



Piękna panna Sara Willis doświadczyła
Wielu dziwnych zdarzeń w swoim
dwudziestotrzyletnim życiu. Jednym z nich
była niewątpliwie wyprawa statkiem do Australii
z grupą więźniarek zesłanych do kolonii karnej.
Panna Willis – jako osoba światła, energiczna i
wymancypowana – pragnęła na miejscu poznać
sytuację deportowanych kobiet. Nie dotarła jednak
do celu podróży – po kilku tygodniach żeglugi
statek został przejęty przez piratów
pod wodzą lorda Gideona Horna, który wraz
ze swoją załogą zamieszkiwał pobliską wyspę,
będącą niemal rajem na ziemi. Miała ona jednak
zasadniczą wadę: nie było tam ani jednej
kobiety... Statek pełen dam okazał się więc
dla piratów nie lada gratką...

SABRINA
JEFFRIES

PIRAT

Rozdział 1

*Wielka szkoda, że od angielskich dam
oczekuje się, iż będą siedzieć i błyszczeć, skoro
zdolne są reformować...*

Hannah More (1745-1833) angielska pisarka i filantropka
Eseje na różne tematy... dla młodych dam

Londyn, styczeń 1818

Panna Sara Willis doświadczyła wielu dziwnych zdarzeń w swoim dwudziestotrzyletnim życiu. Jak wtedy, gdy miała siedem lat i matka przyłapała ją na podkradaniu ciastek z kuchni na dworze Blackmore, albo gdy wkrótce po tym wpadła do fontanny podczas ślubu matki z ojczymem, nieżyjącym już hrabią Blackmore. No i był jeszcze ten bal w zeszłym roku, kiedy nierozważnie przedstawiła księżnę Merrington kochance księcia.

Ale żadna z tych sytuacji nie mogła się równać z tym - została zaatakowana fizycznie przez swojego przyrodniego brata, gdy opuszczała więzienie Newgate w towarzystwie Komitetu Dam. Jordan Willis - nowy hrabia Blackmore, wicehrabia Thornworth i baron Ashley - nie był człowiekiem, który miał w zwyczaju kryć dezaprobatę, o czym wielu członków parlamentu miało wątpliwą przyjemność się przekonać. A teraz ją pochwyił bez jakichkolwiek ceregieli i ciągnął do powozu Blackmore, jakby była małym dzieckiem.

Słyszała śmiechy swoich przyjaciółek, gdy Jordan otworzył drzwi powozu i rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Do powozu, Saro. Natychmiast.
- Jordan, naprawdę, takie zachowanie nie jest konieczne...

- Natychmiast!

Przełykając strach i wstyd, wspięła się po stopniach powozu z całą godnością, na jaką w tej sytuacji mogła się zdobyć. Wsiadł za nią, zamknął drzwi, po czym opadł na siedzenie naprzeciwko niej z takim impetem, że powóz się zakołysał.

Kiedy nakazał woźnicy jechać, rzuciła swoim przyjaciółkom przepraszające spojrzenie. Miała wybrać się z nimi na herbatę do pani Fry, ale z pewnością domyśliły się, że w zaistniałej sytuacji będzie to niemożliwe.

- Szlag by to trafił, Saro, przestań robić smutne miny do swoich przyjaciółek i popatrz na mnie.

Opadając na poduszki z adamaszku, Sara spojrzała przyrodniemu bratu w oczy. Otworzyła usta, żeby udzielić mu reprimendy za jego niestosowne zachowanie, po czym zamknęła je, widząc jego groźnie zmarszczone brwi. Chociaż przyzwyczajona była do wybuchów Jordana, to nie lubiła być ich adresatką. Większość londyńskiej socjety dzieliła z nią tę niechęć, bo Jordan rzeczywiście potrafił być przerażający, kiedy był zły.

- Powiedz mi, Saro - warknął - jak dziś wyglądam?

Skoro pytał o coś takiego, pomyślała, to może wcale nie był taki wściekły. Złożywszy dłonie na kolanach, przyjrzała się bratu. Miał krzywo związany krawat, co było do niego niepodobne. Kasztanowe włosy miał jak zwykle w nieładzie, surdut i spodnie były wygniecione.

- Szczerze mówiąc, jesteś trochę wymięty. Musisz się ogolić, a twoje ubrania są...

- Wiesz, dlaczego tak wyglądam? Czy masz pojęcie, co zmusiło mnie do przyjechania z prowincji, bez wypoczynku i odpowiedniej toalety? - Jego kasztanowe brwi utworzyły solidną linię dezaprobaty.

Spróbowała odplącić mu tym samym, ale jej się nie udało. Okazywanie niezadowolenia nie było jej mocną stroną.

- Stęskniłeś się za mną? - zaryzykowała.

- To nie jest śmieszne - warknął ostrzegawczo. - Dobrze wiesz, dlaczego tutaj jestem. I nie próbuj mnie oczarować, bo i tak nie przymknę oczu na twój ostatni szaleńczy pomysł.

Dobry Boże. Przecież nie mógł wiedzieć.

- Jj-jaki szaleńczy pomysł? Komitet Dam i ja po prostu rozdawałyśmy koszyki z jedzeniem tym biedakom w Newgate.

- Nie kłam, Saro. Nie wychodzi ci to najlepiej. Dobrze wiesz, że nie z tego powodu jesteś w Newgate.

Skrzyżował ramiona na piersi, obrzucając kobietę prowokacyjnym spojrzeniem.

Czyżby znał prawdę? A może tylko blefował? Z Jordanem nigdy nic nie było wiadomo. Nawet kiedy miał jedenaście lat i jej matka wyszła za męża za jego ojca, po czym przywiozła Sarę, żeby mieszkała z nimi na dworze Blackmore, Jordan był zupełnie nieprzenikniony.

Cóż, ona potrafiła być równie niekomunikatywna. Naśladując go i także krzyżując ramiona, spytała:

- Dlaczego więc byłam w Newgate, panie Wszystkowiedzący?

Nikommu nie mogło ująć na sucho naśmiewanie się z Jordana. Znosił takie zachowanie z jej strony,

ponieważ naprawdę uważał ją za swoją siostrę, chociaż nie było między nimi pokrewieństwa. Jednakże, sądząc po błysku w jego oczach, posunęła się dalej, niż on był gotów znieść.

- Byłaś w Newgate, żeby spotkać się z tymi kobietami, które mają być wysłane do Nowej Południowej Walii statkiem dla skazańców, który odpływa za trzy dni, ponieważ przyszedł ci jakiś niedorzeczny pomysł, żeby płynąć z nimi. - Kiedy otworzyła usta, aby zaprotestować, dodał: - Nie próbuj zaprzeczać. Hargraves o wszystkim mi powiedział.

Och, niech to licha. Lokaj mu powiedział? Ale Hargraves zawsze był wobec niej lojalny. Dlaczego ten nieszczęśnik ją zdradził?

Czując się oszukana, opadła na kanapę i spojrzała na niebo pokryte mgłą. Jechali wzdłuż Fleet Street. Zazwyczaj cieszył ją widok zagonionych ludzi, bo świadczyło to o tym, iż komuś zależało, żeby coś zmienić w społeczeństwie. Ale teraz nic jej nie cieszyło. Jordan mówił dalej ostrym głosem:

- Kiedy otrzymałem list Hargravesa, zostawiłem na dworze Blackmore wiele niedokończonych spraw i natychmiast wyruszyłem do Londynu, żeby przemówić ci do rozsądku.

- Nigdy więcej nie zaufam Hargravesowi - mruknęła.

- Nie zachowuj się w ten sposób, Saro. Już ci mówiłem, że chociaż ty nie przejmujesz się niebezpieczeństwem, które ci grozi w towarzystwie tej kwakierki, pani Fry i jej Komitetu Dam, to jednak służba i ja nie możemy sobie na to pozwolić. - Troška w jego głosie pobrzmiwała jeszcze wyraźniej.

- Nawet Hargraves, który akceptuje twoje reformatorskie zapędy, nie jest głupi. Rozumie, jak ry-

zykowny jest twój nowy pomysł. Mówiąc mi o tym, po prostu spełnił swój obowiązek. Gdyby tego nie zrobił, wylałbym go na zbity pysk, i on o tym wie.

Popatrzyła na przystojnego przyrodniego brata, którego kasztanowe włosy i oczy przypominały jej własne, i dlatego ludzie często uważali ich za prawdziwe rodzeństwo. Czasami jego wysiłki, by ją chronić, miały urok. Jednak najczęściej były uciążliwe. Gdyby nie jego czasochłonne obowiązki świeżo upieczonego hrabiego, nigdy nie byłaby w stanie skupić się na kwestiach, które uważała za ważniejsze od bezpieczeństwa czy konwenansów.

Gdy milczała, Jordan dodał:

- Popatrz, Saro, nie chodzi o to, że nie akceptuję reform. Szczerze popieram wysiłki Komitetu Dam. Gdyby nie ich działalność, na ulicach byłoby więcej sierot, więcej dzieci chodziłoby głodnych...

- Więcej nieszczęsnych kobiet byłoby zmuszonych do prostytucji za kradzież chleba dla dzieci.

- Nachyliła się, wzburzona. - Te skazane kobiety są wysyłane do obcego kraju za najmniejsze przestępstwo, tylko dlatego, że w Australii potrzeba więcej kobiet.

- Rozumiem - odparł sucho. - Chcesz więc powiedzieć, że żadna z nich nie zasługuje na więzienie?

- Nic takiego nie powiedziałam - warknęła. Pomyślała o kobietach, które dzisiaj spotkała. - Przyznaję, że wiele z nich to złodziejki i prostytutki... albo jeszcze gorzej. Ale przynajmniej połowę z nich do kradzieży zmusiła nędza. Powinieneś usłyszeć, jakie to „ohydne zbrodnie” popełniły - kradzież starych ubrań, żeby wymienić je na mięso, albo wyciągnięcie szylinga z kasy. Jedna kobieta została skazana na deportację za kradzież czterech główek kapusty z pola. Cztery kapusty, na litość boską! Cóż, mężczyzna za coś

takiego z pewnością nie poniósłby żadnej kary!

Spoważniał.

- Wiem, że zdarzają się pomyłki sądowe, kruszyno. Ale zapobiec temu można jedynie dzięki uchwaleniu stosownych ustaw w parlamencie.

Teraz będzie mówił do niej „kruszyno”. Robił to tylko wtedy, gdy chciał ją „zmiękczyć”.

- Parlament scedował odpowiedzialność za deportowanych skazańców na komisję marynarki, której zupełnie nie obchodzi to, co się dzieje.

Wilgoć panująca w powozie nie mogła równać się z wilgocią, której te kobiety doświadczały w Newgate i doświadczą w czasie rejsu. I doświadczą jeszcze gorszych rzeczy. Na myśl o tym jej głos stał się twardszy.

- W chwili, gdy wchodzą na pokład, mężczyźni z załogi zaczynają się do nich... zalecać. Te statki zamieniają się w pływające burdele. To znaczy do czasu, aż statek nie dotrze do celu, gdzie są oddawane w ręce jeszcze gorszych ludzi. Nie uważasz, że to zbyt surowa kara dla kobiety, która ukradła mleko dla swojego dziecka?

- Pływające burdele? I mówienie mi czegoś takiego ma mnie przekonać, żebym pozwolił ci podróżować takim przybytkiem?

- Och, ci mężczyźni nie będą się mnie czepiać. Wykorzystują jedynie skazane kobiety, ponieważ one nie mogą się sprzeciwić.

- Nie będą się ciebie czepiać - powtórzył sarkastycznie. - Jeśli nie jest to najbardziej naiwne, niedorzeczne...

Przerwał, kiedy spojrzała na niego gniewnie.

- Saro, statek ze skazańcami nie jest odpowiednim miejscem dla...

- Reformatorki? - Powóz podskoczył na nierówności. Kiedy przestał się kołysać, dodała: - To miejsce, jak żadne inne, wymaga zreformowania.

- A dlaczego, u licha, sądzisz, że twoja obecność na tym statku cokolwiek zmieni?

Zmarszczyła brwi, słysząc przekleństwo. Niestety, nie była to odpowiednia chwila na prawienie mu zwyczajowych kazań.

- Wielcy lordowie z twojego parlamentu zignorowali protesty misjonarzy, którzy płynęli tymi statkami. Ale nie będą ignorować siostry hrabiego Blackmore'a, jeśli przedstawi im ona uczciwy opis dramatycznych warunków, zarówno na statku, jak i w Australii.

- Masz rację. - Nachylił się, opierając pięści na kolanach. - Nie zignorują cię, jeśli pojedziesz. Ale ponieważ nie ma takiej możliwości, żebym pozwolił ci...

- Nie możesz mnie zatrzymać, wiesz o tym. Jestem wystarczająco dorosła, żeby jechać tam, dokąd chcę, z twoim pozwoleniem lub bez niego. Nawet jeśli zamkniesz mnie w moim pokoju, znajdę sposób, żeby uciec - nawet jeśli nie zdążę na ten rejs, to zdążę na następny.

Jordan był tak wściekły, że obawiała się, iż może wybuchnąć. Dobry Boże, był nieprzewidywalny. Niech Bóg ma w opiece kobietę, która wyjdzie za niego za męża.

- Skoro uważasz, że nie jestem w stanie cię zatrzymać - warknął - to dlaczego zaplanowałaś to wszystko podczas mojej nieobecności?

- Ponieważ chciałam uniknąć tej dyskusji. Ponieważ zależy mi na tobie i nie lubię się z tobą kłócić, Jordanie.

Stukot kół zagłuszył przekleństwo, które wymamrotał.

- To dlaczego tutaj nie zostaniesz? Westchnęła.

- Daj spokój, Jordanie, moja nieobecność może ułatwić ci życie. Nie będzie ci łatwiej zajmować się posiadłością, gdy nie będziesz musiał się o mnie martwić?

Podróż do Nowej Południowej Walii trwała prawie sześć miesięcy, więc nie byłoby jej ponad rok.

- Nie będę musiał się o ciebie martwić? A jak sądzisz, co będę robił przez cały ten czas? - Uderzył pięścią w ścianę powozu. - Mój Boże, Saro, statki toną! Zdarzają się epidemie, i zawsze istnieje możliwość, że na statku wybuchnie bunt...

- Nie wspominając o piratach. Z pewnością bylibyśmy dla nich wspaniałą zdobyczą.

Zdusiła uśmiech. On zawsze był przygotowany na najgorsze, nawet jeśli to najgorsze było niedorzeczne.

- Bawi cię to, prawda? - Przeczesał palcami włosy, jeszcze bardziej je mierzwiąc. - Nie masz pojęcia, czym ryzykujesz.

- Mam, naprawdę. Ale czasami trzeba troszkę zaryzykować, żeby zrobić dużo dobrego.

Wtedy w jego oczach pojawił się smutek. Westchnąwszy, Jordan potrząsnął głową.

- Jesteś nieodrodną córką Maude Gray. Natychmiast oprzytomniała na wspomnienie swojej matki.

- Tak, jestem. I jestem z tego dumna.

Jej matka dzielnie walczyła o reformy, począwszy od dnia, w którym ojciec Sary, bezrobotny żołnierz, został wtrącony do więzienia za długi. Nie przestała nawet po jego śmierci w więzieniu. Prawdę powiedziawszy, Sara

była przekonana, że właśnie altruizm matki był tym, co pociągało w niej zmarłego niedawno hrabiego Blackmore'a. Jej matka poznała hrabiego, bardzo postępowego człowieka, kiedy przyszła prosić go o pomoc w załatwieniu audiencji u członków Izby Lordów, żeby mogła przedstawić im swoje plany zreformowania więziennictwa. Niemal natychmiast się w sobie zakochali. Nawet po ślubie z nim pozostała aktywną reformatorką.

Do czasu swojej śmierci dwa lata temu, po długiej i wyczerpującej chorobie.

Do oczu Sary napłynęły łzy, wytarła je, po czym dotknęła srebrnego wisiora po matce, który zawsze nosiła.

- Wciąż za nią tęsknisz. - Cicha uwaga Jordana przerwała ciszę w powozie.

- Nie ma dnia, żebym o niej nie myślała. Charakterystyczne stukanie palcami o kolano świadczyło o tym, jak niezręcznie czuł się w obliczu jej głębokich uczuć.

- Twoja matka również była mi bliska, wiesz o tym. Traktowała mnie jak syna, kiedy... cynicznie podchodziłem do tego, żeby ktoś mi matkował.

Sara zawsze wyczuwała, że było coś dziwnego w stosunku Jordana do własnej matki, która zmarła zaledwie rok przed tym, jak jej matka poznała jego ojca i wyszła za niego za mąż. Ale Jordan i jego ojciec nigdy nie chcieli mówić o pierwszej lady Blackmore, a Sara nigdy na nich nie naciskała.

- Tak czy siak - pospiesznie dodał Jordan - również tęsknię za twoją matką. I ceniłem jej reformatorski zapał.

- Tak samo jak twój ojciec, jeśli pamiętasz.

- Tak, ale nawet ojciec byłby przeciwny czemuś takiemu. Powiedziałałby, że powinnaś tutaj zostać i...

- I co robić? Karmić ubogich? Od czasu do czasu odwiedzać więzienie i jednocześnie wykręcać się od twoich wysiłków, żeby mnie wyswatać?

Pożałowała tych ostatnich gorzkich słów w chwili, gdy zobaczyła, że drgnął. Nie chciała go zdenerwować, nie wtedy, gdy za kilka dni zamierzała opuścić Londyn.

- Moje wysiłki, żeby cię wyswatać! Co, do licha, masz na myśli?

- Nie jestem głupia, Jordan. Wiem, dlaczego nalegasz, żebym bywała na tych modnych imprezach. - Pochyliwszy się, ujęła jego dłonie w swoje. - Uważasz, że jeśli wrzucisz mnie w odpowiednio liczną grupę kawalerów, znajdzie się jakiś, który zlituje się i ożeni się ze mną.

- Zlituje się nad tobą! - Wyrwał dłonie z jej dłoni z oburzeniem. - Jak możesz mówić coś takiego? Jesteś piękna, inteligentna i dowcipna. Gdybyś spotkała odpowiedniego mężczyznę...

- Odpowiedni mężczyzna nie istnieje. Nie możesz tego pojąć?

- Wciąż mnie karzesz za pułkownika Taylora. O to chodzi. Nie chcesz innych mężczyzn, ponieważ nie zgodziłem się na tego jednego.

- Oczywiście, że nie! To było pięć lat temu, na litość boską. A poza tym, gdybym chciała, byłby mój. - Kiedy rzucił jej lekko zdziwione spojrzenie, zawahała się, rozdarła między dumą a potrzebą wyjaśnienia mu swoich emocji. To ostatnie zwyciężyło. - Ja... nigdy wcześniej ci tego nie mówiłam, ale czy pamiętasz tę noc, kiedy powiedziałeś wszystko swojemu ojcu? Tę noc, kiedy wezwał mnie do siebie i zagroził, że pozbawi mnie posagu, jeśli wyjdę za pułkownika?

- Jak mógłbym zapomnieć? Byłaś na mnie wściekła.

- Cóż, wymknęłam się w nocy, żeby spotkać się potajemnie z pułkownikiem Taylorem.

Na jego przystojnej twarzy pojawił się prawdziwy szok.

- Niech to diabli!

- Poszłam do niego i... i zaproponowałam ucieczkę. - Odwróciła się, ze wstydu nie mogąc spojrzeć bratu w oczy. - Odmówił. Chyba rzeczywiście był takim draniem, jak mówiłeś. Chciał mnie wyłącznie dla swojego posagu. A ja byłam zbyt głupia, żeby to zobaczyć.

Czekała, aż ją zaatakuje, żeby udowodnić, iż w przeszłości podejmowała już pochopne decyzje. Kiedy życzliwie poklepał jej kolano, z trudem powstrzymała łzy.

- Nie, głupia kruszynko. - W jego głosie słychać było troskę. - Po prostu byłaś młoda. W tym wieku kobiety idą za głosem serca, a miłość jest ślepa. W przeciwieństwie do nas, nie mogłaś zobaczyć jego prawdziwego charakteru.

- Och, ale powinnam była! Wszyscy inni to widzieli - ty, tata, nawet mama. Tylko ja nie widziałam.

- Czy dlatego nie dopuszczasz do siebie innych zalotników? Ponieważ uważasz, że mogliby cię oszukać?

Szarpnęła jedną ze wstążek lawendowej sukni i zaczęła oplatać ją wokół palca.

- Gdy mama była chora, nie mogłam myśleć o żadnych zalotnikach. A kiedy zmarła, chyba... chyba straciłam zimną krew. Tak źle wybrałam za pierwszym razem, że teraz nie wiem, czy

czy będę w stanie odróżnić łowców posagu od uczciwych mężczyzn.

- Żadnego z moich przyjaciół nie możesz oskarżyć o to, że chcą twoich pieniędzy. Taki na przykład St. Clair. Przyznaję, że jego majątek jest niewielki, ale pieniądze nie mają dla niego znaczenia. I często mówi o twojej urodzie.

- St. Clair nigdy nie pozwoliłby mi na pracę. Chce mieć w domu żonę, nie reformatorkę. A poza tym - uśmiechnęła się - lubi łososia, a ja nie znoszę ludzi, którzy lubią łososia.

- Bądź poważna, Saro. Jest wielu mężczyzn, którzy by ci odpowiadali.

Mocniej owinęła wstążkę.

- Nie tak wielu, jak ci się wydaje. Mężczyźni, którzy mają niższą pozycję społeczną, są zainteresowani moim majątkiem, a mężczyźni o wyższej pozycji nie potrzebują żony, która będzie dręczyć ich znajomych reformami.

- To znajdź kogoś pomiędzy.

- Nie ma takiej istoty. Jestem kobietą z gminu, którą zaadoptował hrabia, ale nie mam żadnego rodowodu. Nie jestem ani rybą, ani kurą. Nie należę do twojego świata, Jordanie. I nigdy nie należałam. Dobrze czuję się jedynie w Komitecie Dam, a wśród nich nie ma potencjalnych zalotników, zapewniam cię.

Nie dodała, że nigdy nie spotkała mężczyzny z jakąkolwiek pozycją, z którym chciałyby spędzić resztę życia. Wszyscy znajomi Jordana byli bardzo mili, ale oni raczej bawili się w życiu, niż robili coś użytecznego. I żaden z nich jej nie rozumiał. Ani jeden.

- Niech to licho, Saro, gdybym miał pewność, że to cię powstrzyma, ja bym się z tobą ożenił. Nie jesteśmy spokrewnieni. Chyba moglibyśmy się

pobrać.

Roześmiała się.

- Chyba? Cóż za entuzjazm! - Znając jego stosunek do małżeństwa, była zaskoczona, że w ogóle zaproponował coś takiego. Spróbowała wyobrazić sobie małżeństwo z Jordanem i wzdrygnęła się na tę myśl. - Cóż to za pomysł! To niemożliwe i dobrze o tym wiesz. Może i nie łączą nas więzy krwi, ale jednak jesteśmy rodzeństwem. Nigdy nie moglibyśmy skonsumować tego małżeństwa.

- Prawda. - Najwyraźniej bardzo mu ulżyło, że odrzuciła jego pochopnie złożoną ofertę. - Poza tym to nie powstrzymałoby cię przed podróżą, prawda?

- Obawiam się, że nie. Daj spokój, Jordanie, ten statek skazańców nie będzie aż tak okropny, jak sądzisz. Większość z tych kobiet została skazana za przestępstwa bez użycia przemocy. Lekarz będzie tam z żoną, a w przeszłości misjonarze także zabierali ze sobą żony na statek. Będę bezpieczna.

Skręcili w ulicę Stand. Jordan wyjrzał przez okno, jakby szukając odpowiedzi w rozświetlonych eleganckich witrynach sklepowych.

-A jeśli wzięłabyś do ochrony służącego? Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie. Czuła, że jego opór słabł. Bardzo ostrożnie dobierała słowa.

- Nie mogę zabrać służącego. Moje powiązanie z tobą jest tajemnicą. Mam udawać niezamężną nauczycielkę. Będę prowadzić szkołę dla skazanych kobiet i ich dzieci, jak wcześniej robili to misjonarze.

- Dzieci?

Na samą myśl o tych wszystkich dzieciach, które musiały odbyć tę podróż statkiem, dostawała szału.

- Tak, skazana kobieta może zabrać ze sobą każdego syna, który nie ukończy! sześciu lat, i córkę, która nie ukończyła dziesięciu. Jeśli się obawiasz, że będę musiała oglądać jakieś okropieństwa, to pomyśl o tych biednych dzieciach - odezwała się ponuro.

Milczał przez chwilę, jakby to sobie wyobrażając.

- Dlaczego musisz ukrywać swoją tożsamość?

- Będę prowadzić dziennik nadużyć. Jeśli kapitan i załoga dowiedzą się, że jestem twoją siostrą, będą się kryć z tym, co robią. Chcemy mieć uczciwą ocenę warunków podróży, dlatego nie możemy mu powiedzieć o moich arystokratycznych związkach.

- To nie znaczy, że nie mogę wysłać kogoś...

- Zapewniam cię, że Sara Willis, nauczycielka, nie będzie podróżować z służącym.

- Cudownie - powiedział cokolwiek sarkastycznie.

- Nawet nie będziesz miała przy sobie służącego.

- Nie będzie mi potrzebny. - Chciała, aby zabrzmiało to lekko. - Uważasz, że jestem tak niezaradna, że nie poradzę sobie przez jakiś czas bez pokojówki?

- Dobrze wiesz, że nie chodzi tutaj o niezaradność.

- Przerwał. - Więc zamierzasz wypłynąć na pokładzie Chastity*, tak? Niech to licho, to najmniej odpowiednia nazwa dla statku, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Kiedy rzuciła mu poirytowane spojrzenie, odwrócił się do okna. Właśnie podjeżdżali pod dom Blackmore'ów na Park Lane, imponującą palladiańską willę mającą onieśmielać wszystkich gorzej urodzonych, którzy znaleźli się w jej wysokich salach.

* *Chastity* - ang. czystość, niewinność.

Sara pamiętała, jaki czuła respekt, widząc strzeliste słupy i niezliczone okna, gdy pierwszy raz przyszedł tam z matką na kolację. Jednak jej ojczym nie pozwolił, aby czuła się onieśmielona. Zaproponował, że pokaże jej w kuchni dopiero co urodzone szczeniaki, i tym na zawsze zaskarbił sobie jej sympatię.

Czasami tęskniła za nim tak samo mocno jak za matką. Nie знаła swojego prawdziwego ojca, a hrabia tak dobrze sprawdził się w tej roli, że jego uważała za ojca. Bardzo kochał jej matkę. Chociaż jego śmierć w rok po śmierci jej matki była dla Sary i Jordana tragedią, to jednak nie była zaskoczeniem, bo lord i lady Blackmore nigdy nie lubili się rozstawać.

Powóz się zatrzymał i Jordan stanął na oszronionym podjeździe, po czym pomógł siostrze wysiąść.

- Czy naprawdę nie jestem w stanie cię przekonać, żebyś nie płynęła?

- Naprawdę. Muszę to zrobić. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Teraz jesteś moją jedyną rodziną, kruszynko. Nie chcę cię stracić.

Poczuła ucisk w gardle i uściśnęła jego dłoń.

- Nie stracisz mnie. Rok szybko minie, i zanim się obejrzysz, już będę z powrotem.

Rok. Dla Jordana brzmiało to jak wieczność. Chociaż nic nie powiedział, gdy wzięła go pod ramię i pozwoliła się poprowadzić do domu, miał ochotę ciskać gromy i porządnie ją potrząsnąć. Kobieta z jej pozycją na okręcie dla skazańców! To było szaleństwo! Jednak nic nie mógł zrobić, aby ją zatrzymać. Może gdyby żył ojciec...

Nie, nawet ojciec nie umiał Sary trzymać w ryzach, kiedy się na coś uparła. Dowodziła tego jej opowieść,

jak wymknęła się z domu, żeby potajemnie spotkać się z pułkownikiem Taylorem. Niech szlag trafi Taylora! Gdyby nie ten przeklęty pułkownik, mogłaby już być mężatką z dwójką dzieci, zamiast wyruszać w jakąś niedorzeczną podróż do Australii.

Obserwował, jak pojawił się Hargraves, żeby wziąć od niej płaszcz, a ona rzuciła mężczyźnie oskarżycielskie spojrzenie.

Biedny Hargraves zaczerwienił się po cebulki włosów.

- Przykro mi, panienko. Naprawdę.

Sara jak zwykle złagodniała, widząc skruchę służącego. Poklepując Hargravesa po ręce, mruknęła:

- W porządku. Po prostu spełniałeś swój obowiązek.

Zaczęła wchodzić po schodach na piętro, a Jordan stał i patrzył za nią. Ta kobieta była zdecydowanie zbyt dobra i łaskawa. Jak, na miły Bóg, przetrwa na okręcie pełnym skazańców? Praca w Komitecie Dam dała jej posmak ludzkiego nieszczęścia, ale nigdy wcześniej nie była w jego środku. Kiedy znajdzie się na pokładzie tego statku, utknie tam na rok, a może dłużej. Bez opieki. Sama.

Popatrzył na jej szczupłe plecy, na kosmyk kasztanowych włosów, który wysunął się z koka, i nie mógł powstrzymać westchnienia. Sara nie była świadoma swojej urody. Może i nie czuła się pewnie w towarzystwie, to jednak nigdy nie powstrzymywało mężczyzn przed pożądaniem jej. Wręcz przeciwnie. Jej pierwszy sezon Jordan spędził na poskramianiu niestosownych zalotów co śmielszych adoratorów.

Nie chodziło o to, że była wyjątkowo piękna, chociaż niewątpliwie nie brakowało jej urody.

Mężczyzn przyciągała jej inteligencja czy sposób bycia i szczerą dobroć w stosunku do wszystkich, bez względu na ich pozycję. Jak mógł pozwolić wsiąść na pokład tego statku bez żadnej ochrony?

Nie mógł. A skoro zabranianie jej było bezcelowe, miał tylko jedną alternatywę. Musiał postarać o ochronę dla niej.

Kiedy tylko była wystarczająco daleko, by nie móc go usłyszeć, zwrócił się do Hargravesa.

- Znasz jakichś marynarzy?

- Tak, panie. - Służący w średnim wieku wziął od niego płaszcz i bobrową czapkę. - Mój najmłodszy brat, Petey, jest marynarzem.

W głowie Jordana rodził się plan.

- Czy jest w stanie obronić sam siebie? Albo kogoś?

Hargraves rzucił mu przenikliwe spojrzenie.

- Przez sześć lat służył w marynarce, zanim zaokrętował się na statku handlowym. O ile dobrze pamiętam, dobrze sobie radzi w bójkach. Nieczęsto go widuję, jak pan się domyśla, skoro większość czasu spędza na morzu.

- Czy teraz jest na morzu?

- Tak się składa, że dwa tygodnie temu przybił do portu.

- Wspaniale. Sądysz, że zgodzi się ponownie wypłynąć w morze za kilka dni? Dostanie za to pożądaną sumkę.

Służący przytaknął.

- Jestem pewien, że się zgodzi. Nie ma żony, którą musiałby się przejmować. Poza tym jest mi winien przysługę.

- Przyślij go do mnie jutro o dziesiątej. I dopilnuj, żeby Sara go nie widziała. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem - odparł Hargraves. - Niech mi wolno będzie powiedzieć, panie, że Petey nada się do pańskich celów.

- Mam nadzieję.

Jordan z uśmiechem odprawił Hargravesa, zadowolony, że znalazł sposób, aby mieć oko na Sarę podczas jej podróży tym okropnym statkiem. Poczeka z oceną, dopóki nie zobaczy Peteya Hargravesa, ale jeśli ten człowiek okaże się odpowiedni, Sara będzie miała towarzystwo na Chastity. Czy tego chciała, czy nie.

Rozdział 2

*Nikt nie powinien ufać własnej cnocie
z konieczności, siła szaleństwa jest nieznaną,
dopóki nas nie dotknie, i dlatego powinno się
absolutnie unikać takiej pokusy.*

Lady Mary Wortley Montagu (1689-1762)
angielska pisarka i arystokratka,
list z 22 czerwca 1762 roku

Tydzień po rozmowie z bratem Sara stała na pokładzie statku Chastity. Był wczesny poranek, a ocean wyglądał jak płynny dywan. To był cud. Zauważyła to dopiero dwa dni temu, kiedy wypłynęli z Tamizy na pełne morze, ale już spodobała jej się zmienna natura wielkiej wody.

Pierwszego dnia odnosiło się wrażenie, że to jakiś ognisty smok unosi statki na swoim grzbiecie. Jego oddech zamieniał się we wszechobecną mgłę, a jego pazury wściekle smagały kadłub, miotając trójmasztową fregatą.

Dzisiaj jednak ocean był spokojniejszy, bardziej jak koń na biegunach; przyjemnie kołysał statkiem. Odetchnęła przesiąkniętym solą powietrzem, tak różnym od ciężkiego powietrza Londynu. Na szczęście udało jej się uniknąć choroby morskiej, która zbierała żniwo wśród skazanych. Jakby stworzona była do żeglugi.

- Piękny dzień, nieprawdaż, panienko? - odezwał się głos z boku.

- Odwróciła się i zobaczyła obok siebie jednego z marynarzy. Zauważyła już wcześniej, że się jej

przygląda, jakby próbując ją rozszyfrować. Coś w nim wydało się jej znajome, ale nie wiedziała, co to takiego. Nie wyglądał jak ktoś, kogo znała. Żyłasty, około trzydziestoletni mężczyzna, o dużych uszach i chudych kończynach, przypominał co najwyżej małpkę kataryniarza. Chociaż wydawał się niegroźny, jego zainteresowanie ją niepokoiło. I stał zdecydowanie zbyt blisko.

- Tak - mruknęła, odsuwając się od niego wzdłuż relingu. - Rzeczywiście piękny dzień.

Odwróciwszy się w stronę morza, ostentacyjnie go ignorowała, mając nadzieję, że zostawi ją w spokoju.

Ale on zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

- To pani uczy skazane, prawda? Nazywa się pani Willis?

- Tak, zaczynamy zajęcia dziś rano.

Kiedy pochylił się w jej stronę, jej serce zaczęło walić jak oszalałe; rozejrzała się po pokładzie, rozpaczliwie szukając pomocy. Ale chociaż wielu marynarzy wspinało się po takielunku ponad jej głowę, żaden nie był w zasięgu jej głosu. Nie żeby zamierzała wołać któregoś z dwudziestu dwóch członków załogi. Nie miała do nich za grosz zaufania. Już raz musiała udzielić ostrej reprymendy marynarzowi, który w nocy zakradł się do części dla skazanych, i nakryła go, gdy wyszła ze swojej maleńkiej kajuty, nie mogąc spać.

Ale gdzie byli teraz kapitan i oficerowie? Albo lekarz i jego żona?

- Chciałem z panią porozmawiać - zaczął mężczyzna, a ona przygotowała się, żeby go ostro przywołać do porządku.

Wtedy rozległ się dzwon okrętowy, oznajmiając zmianę warty.

Gdy mężczyźni pospiesznie schodzili na dół z takielunku, a inni wyszli spod pokładu, wykorzystwała stale zamieszanie, żeby uciec od dziwnego marynarza. Czuła w uszach łomot krwi; wpadła do salonu, w którym ona i oficerowie jadalili śniadania. Może jednak troska Jordana była uzasadniona.

Nie bądź niemądra, powiedziała sobie. Wokół jest mnóstwo ludzi. Po prostu nie przechadzaj się już samotnie po pokładzie.

Jednak nie było to łatwe do wykonania. Nie mogła całego czasu spędzać w swojej kajucie czy pod pokładem, a nie miała z kim spacerować.

Wszedł kapitan Rogers i zajął miejsce w przeciwległym końcu stołu. Kapitan nigdy by jej nie towarzyszył. Nieprzyjemny, szorstki mężczyzna około pięćdziesiątki bardziej był zainteresowany żeglowaniem niż rozmowami z uciążliwą kobietą, którą Komitet Dam przysłał na jego statek.

Przyjrzała się siedzącym przy stole osobom. Oficerowie byli zbyt zajęci, żeby z nią spacerować. I chociaż lekarz i jego żona zapewne chętnie by z nią pospacerowali, wołała całkowitą samotność niż rozmowę z nimi. Nigdy nie spotkała tak ponurej pary, pełnej okropnych przewidywań na temat sztormów i wraków statków. A lekarz przeraził jedną ze skazanych, mówiąc jej, że jej wystające czoło świadczy o tym, iż będzie wieść życie kryminalistki jak jej matka. Dziewczyna uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Sara zauważyła, że żona lekarza ma podobne czoło, chociaż zakryte drobnymi loczkami.

Kucharz postawił przed Sarą miskę owsianki, a ona ją chwyciła, żeby nie przesunęła się po stole, kiedy statek zakołysał się na falach. Nie, znalezienie sobie towarzystwa nie było rozwiązaniem.

Po prostu będzie musiała zadowolić się pracą. Na szczęście miała jej mnóstwo, przy ośmiorgu dzieciach w wieku szkolnym, pięćdziesięciu jeden skazanych i trzynaścioru maluchach.

Tak więc, godzinę później, kiedy zeszła do cel więziennych na najniższym pokładzie, była pełna zapału do pracy. Co dziwne, czuła się bezpieczniejsza w towarzystwie skazanych kobiet niż w towarzystwie marynarzy.

Przy kobietach szykujących się do nowego dnia niemal zapominała, że były kryminalistkami. Podzielono je na osiem grup. W nocy dwie grupy kobiet i dzieci były zamykane w dwóch celach o rozmiarach dziewięć na dwanaście stóp, ale za dnia miały więcej swobody. Kiedy tak wchodziły i wychodziły, układając swoje rzeczy czy myjąc się w beczce z morską wodą, wyglądały jak zwyczajne kobiety w podróży. Oczywiście pomijając tatuaże. Co mogło podkusić kobietę, żeby w taki sposób na zawsze oszpecić swoje ciało? Prawdopodobnie to samo, co nakazywało kobietom nosić niegdyś pudrowane peruki i suknie na obręczach. Moda skazanych zapewne nie była bardziej udziwniona niż każda inna.

Prawdę mówiąc, tylko najbardziej zatwardziałe kryminalistki miały tatuaże, kobiety, które były w gangach albo łączyły prostytutkę ze złodziejstwem. Mleczarkom i sprzedawczyniom, które zostały skazane na wygnanie za kradzież pasztecików i używanej odzieży, nigdy nie przyszłoby do głowy, aby tak się „ozdabiać”.

Sara przyjrzała się kobietom krytycznie. Ich ubrania znajdowały się w opłakanym stanie. Przepisy komisji marynarki były jak zwykle idiotyczne. Jakiś głupiec uznał, że przez wełnę i flanelę roznoszą się choroby i w związku z tym materiały te nie nadają

się na ubrania dla więźniarek. Kobiety nosiły suknie bawełniane, które nie chroniły ich przed chłodnym powietrzem Morza Północnego. Nawet dzieciom wolno było mieć odzienie jedynie z bawełny.

Natychmiast należało coś z tym zrobić. Poza kreacjami z muślinu, które miały okazać się przydatne w cieplejszym klimacie, zabrała też pięć niedrogich wełnianych sukienek. Ale nie potrzebowała ich wszystkich. Dwie w zupełności jej wystarczą, chociaż będzie musiała je codziennie prać. Z pozostałych można będzie uszyć cieplejsze ubrania dla dzieci. Jeśli chodzi o kobiety, to może uda jej się nakłonić kapitana, aby piec trzymać w ładowni, przynajmniej dopóki nie dołyną w cieplejsze rejony.

Ale to mogło poczekać. Teraz nadszedł czas, by rozpoczęła działalność jej mała szkoła. Stanęła na szeroko rozstawionych nogach i klasnęła w dłonie, żeby skupić na sobie uwagę kobiet.

Kiedy tylko zajęły miejsca i zwróciły twarze w jej stronę, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze spałyście.

- Kiedy wymamrotały coś w odpowiedzi, mówiła dalej: - Wiele z was zna mnie jako jedną z dam pani Fry, które odwiedzały więzienie w Newgate. Ale dla tych, które mnie nie znają: nazywam się Sara Willis. Jestem waszą nauczycielką.

Kobiety zaczęły mrużyć coś pod nosem. Powiedziano im, że będą nauczane, ale najwyraźniej niektórym z nich ten pomysł się nie spodobał. Poszturchiwały się i szeptały między sobą, aż wreszcie jedna z nich wystąpiła naprzód. Twarz i ręce tej biedaczki były popękane z zimna. Niemniej zachowywała się wyniośle, co było niezwykle w jej położeniu.

- Niektóre z nas znają już litery i liczby, panienko. Nie potrzebujemy lekcji.

Sara nie obraziła się, słysząc zbyt pewny siebie ton. Skazane wiele przeszły i nic dziwnego, że zachowywały się wobec niej podejrzliwie. Musiała po prostu rozwiązać ich wątpliwości.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze. Te z was, które mają wykształcenie, mogą mi pomóc w pracy z tymi, które go nie mają. Z przyjemnością skorzystam z pani pomocy, panno... Jak się pani nazywa?

Kobieta była najwyraźniej zaskoczona jej zyczliwością.

- Louisa Yarrow - wyrzuciła z siebie, potem zmarszczyła brwi, jakby dała się nabrać. Potrząsnęła głową, a jej krótko obcięte blond włosy energicznie się poruszyły. - Nie wiem, czy chcę pani pomagać.

- To zależy wyłącznie od pani, panno Yarrow. Oczywiście byłaby to wielka szkoda, gdyby dzieci przez całą podróż nie miały możliwości przyswajania wiedzy. Miałam nadzieję, że ktoś się nimi zajmie, podczas gdy ja będę pracować z kobietami, które są zainteresowane dalszą nauką. - Westchnęła ostentacyjnie. - Ale skoro nikt nie chce mi pomóc...

- Ja pomogę, panienko! - rozległ się głos z tyłu pomieszczenia.

Sara spojrzała w stronę, z której dobiegał nieśmiały młody głos, ale kiedy czarnowłosa dziewczyna wstała, przytrzymując się krat, żeby nie upaść, Sara zdała sobie sprawę, że nie była to dziewczyna, lecz śliczna młoda kobieta.

- Nazywasz się...?

- Ann Morris. Z Walii. - Ciężki walijski akcent był tego dowodem. - Nie znam zbyt dobrze angielskich liter, ale znam walijskie.

- Na co, u licha, nam się to przyda tam, dokąd płyniemy? rozległ się ochrypły głos z jednej z koi. – Fakt, że to miejsce nazywa się Nowa Południowa Walia, nie oznacza, iż są tam jacyś Walijscy!

Wszystkie roześmiały się hałaśliwie na tę ciętą uwagę. Mała Ann Morris wyglądała na dotkniętą, co niektóre kobiety rozbawiło jeszcze bardziej. Zmarszczywszy z dezaprobatą brwi, Sara klaskała w dłonie, dopóki ponownie nie zapadła cisza.

- I tak możesz mi pomagać, Ann. – Zignorowała reakcję kobiet. - Nie musisz znać angielskich liter, żeby zajmować się dziećmi. Ty i dzieci możecie uczyć się razem.

Inna kobieta mogłaby poczuć się urażona, że stawia się ją na równi z dziećmi, ale Ann Morris uśmiechnęła się do Sary z wdzięcznością, po czym usiadła. Najwyraźniej lubiła dzieci, a Sara zamierzała to wykorzystać, by pomóc dziewczynie w nauce.

Kiedy Sara ponownie zwróciła się do pozostałych kobiet, z zaskoczeniem zauważyła, że ich wrogość zmalała.

- Tak więc Komitet Dam dostarczył nam sto funtów ścinków materiałów i nici do robienia patchworkowych kołder. Każda z was otrzyma opakowanie nici i dwa funty materiałów. Możecie sprzedać kołdry, które uszyjecie, a dochód zatrzymać dla siebie.

Ta propozycja spotkała się z większą akceptacją kobiet. Chociaż pieniędzy za kołdry pewnie nie będzie wiele, to jednak Sara wiedziała, że przydadzą się w obcym kraju. Po raz pierwszy dostarczono kobietom materiały. W czasie poprzednich podróży marynarze

narzekali, że znudzone skazane przysparzały kłopotów. Oczywiście każdy, kto miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, wiedział, że kobiety potrzebowały zajęcia, ale zdrowy rozsądek był tym, czego brakowało w komisji morskiej, więc pani Fry musiała zwrócić na to uwagę osobiście. Kiedy zdobyła akceptację komisji morskiej, Komitet Dam przekonał kilka fabryk tekstyliów, aby podarowały ścinki materiałów. Panie kupiły nici, igły i inne przybory.

- Za chwilę rozdram wam paczki, ale najpierw chciałabym ustalić, jakie wykształcenie posiadacie. Niech podniosą rękę te z was, które umieją czytać. - Zapadło niezręczne milczenie, pełne ostrożnych spojrzeń i szurania nogami. Kiedy nic się nie wydarzyło, Sara dodała: - Zapewniam was, panie, że po prostu potrzebuję informacji. Obiecuję, że nie wykorzystam jej przeciwko wam.

To je przekonało. Mniej więcej połowa kobiet, w tym Louisa Yarrow, podniosła rękę.

- Niech te z was, które czytają na tyle dobrze, że są w stanie przeczytać stronę druku, nie opuszczają rąk. Reszta niech ręce opuści.

Opuściła połowa. Sara oszacowała, że pozostało jakieś trzynaście kobiet. Podobnie podzieliła kobiety, które umiały pisać i tym sposobem znalazła siedem kobiet, które umiały czytać i pisać. Po krótkiej dyskusji udało się jej przekonać dwie kobiety, żeby pomogły Ann uczyć dzieci, a pięć pozostałych, by uczyły małe grupki kobiet podzielone według ich poziomu zaawansowania.

Zuchwała ładacznica o imieniu Queenie, umiejąca czytać i pisać, odmówiła uczenia, twierdząc, że woli spędzać czas na innych zajęciach. Kiedy uniosła spódnicę powyżej kostek, kilka kobiet roześmiało się i Sara od razu

wiedziała, co Queenie miała na myśli.

Pani Fry ostrzegła Sarę, że kontakty między marynarzami a skazanymi nie zawsze były inicjowane przez marynarzy. Niektóre z tych „splamionych gołąbeczek” z radością kontynuowały swój proceder w czasie podróży.

Sara nie zamierzała tolerować takiego zachowania. Wystarczyło, żeby jedna kobieta zaczęła zachowywać się niestosownie, aby mężczyźni uznali, że mogą narzucać się pozostałym. Widziała to w więzieniu w Newgate i z pewnością to samo działałoby się tutaj. Poza tym chciała, żeby te kobiety zobaczyły swoją wartość - a nie było to możliwe, jeśli będą się sprzedawać.

Ale przecież nie mogła powiedzieć tego Queenie wprost. Postanowiła załatwić to inaczej.

- Dobrze, Queenie. Jeśli nie możesz uczyć, to rób coś innego. Potrzebuję tylko tych, które mają prawdziwe zdolności. Jeśli nie jesteś właściwą osobą, na to stanowisko, to nie chciałabym, abyś odbierała innym kobietom szansę na samodoskonalenie.

Słyszając chichot kobiet, Queenie przestała się uśmiechać.

- Ale ja nie mówiłam, że nie umiem tego robić, tylko...

- Z radością wezmę uczniów Queenie – wtrąciła się panna Yarrow, ku zaskoczeniu Sary. Kiedy Sara rzuciła jej pytające spojrzenie, mówiąca poprawnym językiem kobieta wysunęła podbródek i dodała: - Nie mam innych zajęć, takich jak Queenie... Nie pozwolę, żeby dotykał mnie jakiś brudny facet.

Wypowiedziała te słowa z taką gwałtownością, że Sara zastanowiła się nad tym. Popatrzyła na Luisę Yarrow, usiłując sobie przypomnieć, co o niej czytała

na liście skazanych i ich przestępstw. Ach tak, Louisa była guwernantką córki księcia Dorchester, aż do nocy, kiedy dźgnęła nożem najstarszego syna księcia, niemal go zabijając. Teraz ta szlachetnie urodzona kobieta została skazana na czternaście lat wygnania.

Gniewny głos Louisy uciszył kobiety, i Sara nie wiedziała, jak zareagować. Nagle rozległ się inny, cichy, głos.

- Wybacz, Louiso, ale nie będziemy miały wielkiego wyboru, kiedy dotrzemy do Nowej Południowej Walii. - To była Ann Morris, która zmarszczyła dziewczęce brwi. - Słyszałam opowieści o tym, jak wysyłają kobiety, żeby obsługiwały kolonistów. Podobno jest tam zbyt wielu mężczyzn. Uczynią z nas upadłe kobiety, czy tego chcemy, czy nie.

Krew zawrzała w żyłach Sary na myśl, że taka uroczą młodą kobietą jak Ann mogła czuć się tak bezradna.

- Nie zrobią tego. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby do tego nie dopuścić. Kiedy dotrzemy do Nowej Południowej Walii, dopilnuję, żebyście otrzymały uczciwą pracę, w której będziecie traktowane z szacunkiem.

Podszedłszy do worków z paczkami ścinków, Sara wzięła kilka i zaczęła je rozdawać.

- Ale zanim zasłużycie na szacunek innych, musicie nauczyć się szanować same siebie. Musicie starać się udoskonalać wasze kobiece umiejętności, żeby być z siebie dumne. Wtedy będziecie miały szansę uciec od waszego poprzedniego życia.

Niektóre drwiły. Zbiły się w grupki i coś między sobą szeptały. Ale inne zerkały na nią z nadzieją.

Wzięły paczki i popatrzyły na nie z ciekawością.

Wkrótce podeszła do Sary Ann Morris, która posłała jej nieśmiały uśmiech, i zaczęła razem z nią rozdawać ścinki. Potem dołączyła jedna z kobiet, którą Sara wyznaczyła na nauczycielkę.

Po kobiety pochłonięte były oglądaniem ścinków dyskusją o kołdrach.

Kiedy wszystkie paczki zostały rozdane, Sara cofnęła się i obserwowała swoje podopieczne. Tak wielu z tych kobiet nigdy nie dano szansy. Nikt nigdy nie powiedział, że były warte ocalenia. Nauczyły się wierzyć, iż już zawsze będą tkwić w świecie złodziejstwa, prostytutki i morderstw.

Ale to nie była prawda. Stać je było na więcej. Poznała to po sposobie, w jaki niektóre pomagały sobie nawzajem, jak natychmiast zabrały się do szycia, jak Ann wzięła na bok jednego z chłopców i pokazywała mu, jak ukraść portfel...

- Ann Morris! - krzyknęła Sara, nie wierząc własnym oczom.

Podeszła do drobnej Walijki w chwili, gdy chłopiec, chichocząc, wyciągnął paczkę ze ścinkami z kieszeni fartucha Ann.

- Co ty na Boga robisz?

Ann uśmiechnęła się promiennie.

- To magiczny trik, panno Willis. Queenie pokazała mi to wczoraj. Można człeka okraść, a on nawet tego nie zauważy - Odwróciła się do chłopca. - Oddaj to, Robbie. Nie możesz tego zatrzymać. To byłaby kradzież.

Pohamowując poirytowane westchnienie, Sara rzuciła surowe spojrzenie Queenie, która nagle stała się bardzo zajęta układaniem ścinków, przez

cały czas mrużąc coś o „naiwnych wiejskich dziewczynach”.

Ton Sary złagodniał, kiedy ponownie zwróciła uwagę na Ann.

- Cóż, proponuję, abyś od tej pory nie używała takich „magicznych tricków”. Mogą ci zwiększyć wyrok.

Kiedy Ann spojrzała na nią pytająco, Sara potrząsnęła głową. Niewątpliwie ta praca polegająca na chronieniu niewinnych przed niepoprawnymi była dla niej stworzona. Niektóre z tych kobiet mogły zostać wartościowymi członkami społeczeństwa. Tylko że nie stanie się to w ciągu jednego dnia.

^ ^ ^

Zapadł zmrok, zanim Sara skończyła swój pierwszy dzień pracy. Chociaż lekcje już dawno się zakończyły, pozostała pod pokładem, próbując jak najwięcej dowiedzieć się o skazanych. Początkowo mówiły jej o sobie niechętnie, ale w końcu je nakłoniła, aby zdradziły kilka szczegółów o sobie i dzieciach.

Była wśród nich Gwen Price, Walijka jak Ann, która jednak mówiła po angielsku tak słabo, że Ann musiała zostać jej tłumaczem. Była zwariowana Betty Slops*, która najwyraźniej stała się więźniem swojego nazwiska, bo wiecznie miała na bawełnianej sukni ślady jedzenia. I była też Molly Baker, skazana za paserstwo, obecnie w ciąży z drugim dzieckiem. Pierwsze dziecko, Jane, było córką jej męża, ale drugie zostało poczęte w Newgate, po tym, jak została „uwiedziona”, a raczej zgwałcona, przez strażnika. Sarę wielce

* *Slop* - (ang.) rozlewać, rozchlapywać.

irytowało, że ten system, przez który zaszła w ciążę, karał ją za coś co nie było jej winą, i skazał mimo ciąży na deportację.

Sara starała się spędzić kilka chwil z każdą nich. Kiedy kobiety zostały zamknięte na noc w swoich celach, bolała ją głowa, a mięśnie były niemal sztywne. Jedynie dwukrotnie w ciągu dnia opuściła więźniarki, aby udać się na posiłek, a teraz pragnęła tylko wdrapać się na swoją koję i zasnąć.

Otworzyła wąż i zobaczyła stojącego tuż obok nu marynarza. Niech to szlag. Był to ten sam marynarz, który poprzedniej nocy usiłował dostać się do kobiet, i wyglądał na równie zaskoczonego jej widokiem jak ona jego osobą. Wykorzystując jego zaskoczenie, szybko wspięła się na górę i zamknęła za sobą wąż.

- Dobry wieczór - powiedziała najsurowiej, jak umiała.

Był sam, oczywiście. Przestrzeń między pokładami wykorzystywana była jako magazyn. Rzadko tutaj zaglądano, co oznaczało, że powody jego obecności w tym miejscu prawdopodobnie były niewłaściwe.

Zamaskowała swój niepokój, rzucając marynarzowi gniewne spojrzenie.

- Co pan tutaj robi?

Marynarz był wyjątkowo nieprzyjemnym typem. Miał zmierzwioną brodę i śmierdział zastałą wodą morską i grogiem. Zbyt dużą ilością grogu.

- Słuchaj, panienko - odparł. - Czeka na mnie Queenie, więc się nie wtrącaj.

Na myśl o tym, że ten mężczyzna odbędzie stosunek z jedną z kobiet na oczach wszystkich więźniarek, zrobiło jej się niedobrze. Przybierając surowy wyraz twarzy, skrzyżowała ręce na piersi.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę pozwolić, aby małe dzieci narażone były na taką rozpustę.

Zmarszczył brwi.

- Małe dzieci? Nie. Przyrowadzę ją tutaj. - Wyciągnął ze zniszczonych spodni pęk kluczy i zadzwonił nimi przed oczami Sary. - Jestem pewien, że dziewczyna i ja znajdziemy jakieś ustronne miejsce, żebyśmy mogli załatwić swoje sprawy, chociaż nie powinno cię to obchodzić.

Wpatrywała się w pęk kluczy, który obracał na brudnym palcu wskazującym.

- Kto ci dał te klucze? - spytała ostro.

- Pierwszy oficer. Powiedział nam, że jeśli nie będziemy nikomu przeszkadzać, nie obchodzi go, co będziemy robić z kobietami.

Co za pomysł! Z pewnością trzeba to zanotować w dzienniku. Komitet Dam zostanie powiadomiony, że ta farsa obejmuje także oficerów statku.

Szybko stanęła przed włazem, zagrządzając mu tym samym drogę.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić ci tam iść.

- Nie masz nic do powiedzenia, panienko. - Zbliżył się i wyszczerzył zęby, odsłaniając przerwę między zepsutymi jedynkami. - Lepiej zejdź mi z drogi, zanim zmienię obiekt swojego zainteresowania.

Zarumieniła się, zdając sobie sprawę, co miał na myśli. Męska bezczelność! Och, natychmiast porozmawia o nim z kapitanem! Kapitan z pewnością nie będzie tolerował takiego zachowania wobec szanującej się kobiety!

- Nie ruszę się, dopóki nie opuścisz tego pokładu - odparła. - Zostaw mnie albo powiem kapitanowi o twoich zamiarach!

Odstawił świecę, którą miał w ręku, po czym chwycił Sarę za ramiona i uniósłszy do góry, odsunął na bok.

- Nic nikomu nie powiesz. Powiem, że kłamiesz, a pierwszy oficer mnie poprze. - Puścił ją jak worek ziemniaków, potem pochylił się, żeby otworzyć właz.

Nie chciała się poddać, zwłaszcza że wciąż miała w uszach smętne słowa Ann Morris o zmuszaniu kobiet do prostytucji. Gdy Sara odzyskała równowagę na kołyszącym pokładzie, stopą ponownie zamknęła właz. Tym razem przeklęty marynarz uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć w twarz.

Jednak powstrzymał go głos, który rozległ się na schodach za nim.

- Dotknij jej tylko, koleś, a zobaczysz gwiazdy!

I Sara, i marynarz obrócili się w kierunku schodów niezmiernie zdziwieni. Nie zauważyli mężczyzn, który zszedł z górnego pokładu, a teraz okrążał schody z wyciągniętymi przed siebie rękoma.

Sara jęknęła. To był ten sam podobny do małej marynarz, który zagadnął ją na pokładzie dziś rano. Cudownie. Teraz musiała poradzić sobie z dwoma prostakami.

- Nie wtrącaj się, Petey - warknął marynarz z popsutymi zębami. - Wracaj tam, skąd przyszedłeś, i zostaw mnie i tę panienkę w spokoju.

Mężczyzna nazwany Peteyem zatoczył dłońmi koła w powietrzu.

- Odsuń się od niej albo ci dowalę.

- Dowalisz? Taki chuderlak jak ty? - Marynarz potrząsnął pięścią w powietrzu. - Znikaj stąd i zostaw mnie i dziewczynę w spokoju.

To, co wydarzyło się później, stało się tak szybko, że Sara nie mogła w to uwierzyć. W jednej chwili

marynarze stali zwrócenii do siebie twarzami, a już w następnej marynarz, który ją zaczepił, leżał nieprzytomny na plecach, zaś Petey stał nad nim w dziwnej pozie. Kiedy Petey uniósł wzrok ku Sarze, ta wyszeptała:

- Wielkie nieba, co mu zrobiłeś?

Rozluźnił się, a jego twarz skryła się w cieniu.

Zabrał nieprzytomnemu mężczyźnie klucze.

- Nauczyłem się kilku sztuczek, kiedy pływałem po chińskich wodach, panienko. Jako że nie jestem zbyt wysoki, pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli nauczę się bić. Niewysoki człowiek może bić się w chiński sposób tak jak wysoki.

W przypiływie nagłej paniki Sara zamknęła rozdziawione usta. Skoro Petey mógł w dwie sekundy powalić marynarza, to co mógłby zrobić jej?

Zmusiła się do serdeczności, której zdecydowanie nie czuła.

- Rozumiem. Dziękuję, *sir*, że użyłeś swoich... niezwykłych umiejętności w mojej obronie. A teraz, jeśli mi wybaczysz...

Ruszyła w kierunku schodów, mając nadzieję, że ucieknie, zanim mężczyzna postanowi zażądać jakiejś niestosownej nagrody za swoją pomoc.

Jednak nie była wystarczająco szybka.

- Proszę zaczekać, panienko, muszę z panią porozmawiać. Przez cały dzień próbowałem z panią porozmawiać...

- Nie wiem co mógłbyś mi powiedzieć - mruknęła, pospiesznie wchodząc po schodach na główny pokład.

Och, gdyby tylko miała jakąś broń - nóż, pistolet... cokolwiek.

Zaniepokojona spostrzegła, że zrobił krok nad nieprzytomnym marynarzem i podążył za nią po schodach.

- Proszę, niech się pani nie martwi. Nie zrobię pani krzywdy. - Chwycił ją za kostkę, a kiedy spojrzała na niego lodowatym wzrokiem, dodał niższym głosem: - Nazywam się Petey Hargraves, panienko. Jestem bratem Thomasa Hargravesa. Hrabia mnie zatrudnił.

Wszystko się zmieniło w tej jednej chwili. Poczowała tak wielką ulgę, że niemal zrobiło jej się słabo. Jeśli był bratem Thomasa Hargravesa i zatrudnił go hrabia, to mogło oznaczać tylko jedno: zatrudnił go Jordan. Dzięki Bogu za jej wścibskiego i nadopiekuńczego przyrodniego brata.

Powinna była wiedzieć, że Jordan nigdy nie poddałby się tak łatwo. Kiedy nie uzyskał tego, czego chciał, znalazł po prostu inny sposób, żeby ją chronić. Powinna być na niego wściekła. Zamiast tego czuła wdzięczność, że postanowił zignorować jej życzenia.

- Rozumiem. - Rozejrzała się, mając nadzieję, że nikt inny nie słyszał jego słów. - Może lepiej porozmawiamy o tym w ustronnym miejscu. W mojej kajucie. - Po czym wspięła się na główny pokład i ruszyła tam, gdzie pod pokładem rufowym znajdowała się jej kajuta.

Kiedy tylko znaleźli się w środku, marynarz zdjął kapelusz o szerokim rondzie. Teraz zrozumiała, dlaczego wydał się jej znajomy. Był bardzo podobny do Hargravesa. Miał rudawe włosy brata i głęboko osadzone brązowe oczy. Nie mogła jednak sobie wyobrazić, że Hargraves powala innego mężczyznę przy użyciu chińskich sztuk walki.

Uśmiechnęła się do marynarza. Jordan dobrze wybrał.

- Ma pan ochotę na odrobinę wina na rozgrzewkę, zanim wróci pan na pokład, panie Hargraves?

- Nie, panienko, mam nocną wartę. Nie mam zbyt wiele czasu. Ale dziękuję bardzo.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to ja się napiję. - Otworzywszy jedną z dębowych szafek, w której znajdowały się jej rzeczy i skromne zapasy, wyciągnęła butelkę burgunda i kieliszek. - Więc mój przyrodni brat wynajął pana, żeby mnie pan pilnował, tak?

- Tak. Powiedział, że mam dopilnować, żeby nikt pani nie skrzywdził.

Nalała sporo burgunda do kieliszka.

- I domyślałam się, że miałam o tym nie wiedzieć.

- Właściwie pani przyrodni brat kazał mi poczekać, aż znajdziemy się na otwartym morzu, i wtedy powiedzieć pani, że tu jestem, aby pani pilnować. Chciałem powiedzieć pani wcześniej, ale cały dzień spędziła pani na dole.

- Rozumiem. - Przynajmniej Jordan nie chciał, aby przez całą podróż była nieświadoma, iż w razie potrzeby pomoc jest na wyciągnięcie ręki.

- Co do tego, że przebywa pani do późna w więzieniu - dodał - naprawdę nie powinna tam pani zostawać po zmroku. To niebezpieczne.

Włożywszy butelkę z powrotem do szafki, upiła łyk wina z kieliszka.

- Zdążyłam się o tym przekonać. - Nie mogła powstrzymać oskarżycielskiej nuty w głosie. - Ale ktoś musi powstrzymać tych mężczyzn przed napaowaniem skazanych kobiet.

Obracał w dłoni kapelusz, przypatrując się jej z zaciekawieniem.

- Tom mi mówił, że ma pani miękkie serce, ale nie sądziłem, że będzie chciała pani ryzykować dla bandy przeklętych ładacznic - to znaczy kobiet lekkiego prowadzenia. Nie wolno pani tak postępować. Następnym razem może mnie nie być w pobliżu.

Niech to szlag. Zrozumiała, że jej obrońca może być uciążliwy.

- Nie pozwolę, żeby marynarze napastowali kobiety - ostrzegła. - Na dole są dzieci i dziewczynki, które nie mają nawet czternastu lat. Jeśli załodze wolno tam przychodzić i sobie dogadzać...

- Niech się pani o to nie martwi, panienko. Jeśli pani chce, żeby kobiety były bezpieczne, dopilnuję, aby mężczyźni nie schodzili na dół, nawet gdybym musiał porozmawiać o tym z kapitanem. - Podrapał się za uchem. - Ale musi mi pani obiecać, że nie będzie już pani przesiadywać pod pokładem po zmroku, rozumiemy się? To niebezpieczne.

Upiła kolejny łyk, przyglądając mu się nieufnie.

Mówisz poważnie? Jeśli nie będę pracować po kolacji, będziesz chronił kobiety przed marynarzami, Petey?

Chociaż się zaczerwienił, gdy zwróciła się do niego po imieniu, skinął głową.

Jego lordowska mość dobrze mi zapłacił, żebym się panią opiekował. A jeśli opiekowanie się panią ma oznaczać opiekę nad bandą skazanych kobiet, to chyba sobie poradzę.

Spojrzała na jego stoicki wyraz twarzy, tak podobny do wyrazu twarzy brata, i odprężyła się. Właśnie coś takiego Hargraves mógłby powiedzieć... i zrobić.

- Dobrze, umowa stoi. Ale zamierzam dopilnować, żebyś się z niej wywiązał, Petey.

Skinął poważnie głową i włożył kapelusz.

- Jeśli pani się wywiąże, panienko, ja pani nie zawiodę. Przekona się pani.

Kiedy ruszył do drzwi, powiedziała:

- Petey?

Zatrzymał się.

- Tak, panienko?

- Wydaje mi się, że Jordan zatrudnił najlepszego człowieka, jakiego mógł znaleźć.

Uszy Peteya się zaczerwieniły.

- Dziękuję, panienko. Zrobię co w mojej mocy, naprawdę.

Kiedy wyszedł, opadła na krzesło z poczuciem ulgi. Teraz już nie będzie musiała martwić się o kobiety.

Nagle podróż, która ją czekała, wydała się jej mniej przytłaczająca i męcząca. Może wszystko jednak będzie dobrze, dzięki przezorności Jordana. A jeśli jej i Peteyowi uda się nie dopuścić do tego, żeby statek zamienił się w „pływający burdel”, to kto wie, co uda się im osiągnąć w Nowej Południowej Walii?

Rozdział 3

*Idź i powiedz królowi Anglii,
Idź i powiedz mu ode mnie, Jeśli
on włada na lądzie,
Ja będę władać na morzu.*

Anonim

*Sławna bitwa morska
między kapitanem Wardem i Tęczą*

Palmy zalane były popołudniowym światłem tropikalnego słońca.

Kapitan Gideon Horn ze statku Satyr i kucharz, Drummond, wspinali się drogą prowadzącą przez zatłoczony targ w miasteczku Praia, przytulonym do zbocza gór Santiago. Santiago było ostatnią i największą wyspą z Wysp Zielonego Przylądka, którą Gideon i jego ludzie odwiedzili. Najpierw odbili mniejsze wyspy, mając nadzieję, że znajdą to, czego szukają, ale się pomylili. A teraz Gideon obawiał się, że nie znajdą tego nawet na Santiago.

Postanowił więc, że zrobią zapasy i zabiorą je na wyspę Atlantyde. Skoro Praia nie mogła dać im tego, czego potrzebowali, nie było sensu dłużej tutaj przebywać.

Obrzucił wzrokiem najbliższy stragan, gdzie uśmiechnięta kobieta w pomarszczonym słomkowym kapeluszu oferowała bele farbowanej bawełny nawoływała przechodniów łamanym portugalskim, którym posługiwali się wyspiarze.

- Ile? - spytał Gideon po angielsku, potem poczekał, aż Silas, który mówił trochę po portugalsku, przetłumaczy jego pytanie.

Kobieta popatrzyła na niego, a uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Najpierw zabarwioną na kolor indygo dłonią otarła pot z czoła. Potem wyrzuciła z siebie potok słów, gwałtownie przy tymi wymachując rękami w stronę Gideona. Jego przysadzisty tłumacz zachichotał.

- Mówi, że jeśli „amerykański pirat” chce czegoś dla swojej damy, będzie musiał za to słono zapłacić.

Gideon spojrział na nią gniewnie.

- Powiedz jej, że nie mam damy i nieprędko jakąś będę miał. - A potem, zanim Silas zdążył przetłumaczyć, dodał: - A w ogóle, to skąd ona wie, kim jestem?

Przez kilka chwil Silas z ożywieniem rozmawiał z kobietą. Najwyraźniej zaniepokoiła ją obecność Gideona przy jej straganie.

Skubiąc gęstą, ciemną brodę, Silas w końcu odwrócił się do Gideona.

- Wieści na tej wyspie szybko się rozchodzą, kapitanie. Najwyraźniej wiedzą, że osławiony lord piratów i jego załoga już tutaj są. Spojrzała tylko na szablę u twojego pasa i domyśliła się, kim jesteś. Może dlatego nie możemy dostać tego, co chcemy od tych przeklętych wyspiarzy. Kiedy odkryli, kim jesteśmy, zaczęli ukrywać swoje dziewczyny.

- Może. - Gideon posłał kramarce przymilny uśmiech, który jednak jej nie udobruchał. - Niech diabli wezmą tę kobietę! Powiedz, że nie potrzebuję jej materiałów. Po co nam one, skoro nie możemy znaleźć żadnych kobiet?

Silas przytaknął poważnie, a Gideon obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku doków. Rzuciwszy kilka

słów do kramarki, Silas podążył za Gideonem, poruszając się na swojej drewnianej nodze zadziwiająco szybko.

- Więc co teraz zrobimy, kapitanie?

- Nie wiem. Będziemy musieli porozmawiać z załogą. Może niektórzy mieli dziś więcej szczęścia niż my.

- Może - odparł Silas, chociaż nie wyglądała przekonano.

W milczeniu szli po kamienistych ścieżkach Prai. Gideon nie zwracał uwagi na zagniewanego mężczyznę u swojego boku. Cały ten plan nie miał sensu; powinien był to wiedzieć od początku. To po prostu nie mogło się udać.

Nadal to sobie powtarzał, gdy podbiegł do nich Barnaby Kent, jego pierwszy oficer.

- Nigdy nie zgadniecie, co się pojawiło w porcie! – krzyknął.

Barnaby był jedynym Anglikiem, którego Gideon przyjął do załogi, i nigdy tego nie żałował. Mężczyzna był urodzonym marynarzem, chociaż ubierał się jak dandys.

- Co takiego? - spytał Gideon, kiedy Barnaby zatrzymał się przed nimi, dysząc. Musiało to być coś niesamowitego, skoro Barnaby był tak podekscytowany, że aż biegł. Mężczyzna zazwyczaj przechadzał się niespiesznie, lustrując wszystko i wszystkich czujnym wzrokiem.

Barnaby pochylił się i oparł dłonie na udach, łapczywie łapiąc powietrze.

- Do portu wpłynął... statek... który może nas zainteresować.

Gideon jęknął.

- Już się przerabialiśmy, Barnaby. Mamy wystarczająco dużo cholernych klejnotów, złota i srebra, żeby zapełnić

okręt wojenny. Potrzebujemy kobiet, a nie łupów.

- Tak, *sir*. - Barnaby wyprostował się, potem wyciągnął chusteczkę i otarł twarz. - I ten statek ma kobiety. Dużo kobiet. Wszystkie do wyrwania.

Gideon i Silas wymienili spojrzenia.

- Co masz na myśli? - spytał Gideon.

Barnaby w końcu odzyskał oddech i teraz mówił szybko.

- To statek ze skazanymi z Anglii – Chastity. Wiezie kobiety do Australii. Sądzę, że na pokładzie jest jakieś pięćdziesiąt albo więcej bab, i może marzą o tym, żeby ktoś je uratował, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Patrząc na zatłoczoną przystań, Gideon potarł podbródek.

- Skazane kobiety, powiadasz? Angielskie skazane kobiety?

- Wiem, o czym myślisz, kapitanie - wtrącił Silas - ale to nie ma znaczenia, że są Angielkami. Angielki nadadzą się tak samo, jak każde inne. Nie wszyscy ludzie nienawidzą Anglików tak bardzo jak ty.

Kiedy Gideon spojrział na niego gniewnie, ten pospiesznie dodał:

- Nie żebym nie rozumiał, dlaczego ich nienawidzisz. Rozumiem. Naprawdę. Ale te kobiety na statku... nie są jak ci Anglicy, których nie lubisz. To tylko biedne nieszczęsnice, jak nasi marynarze, którzy od początku byli pokrzywdzeni. Będą pasować do naszych ludzi, o wiele bardziej niż te bezczelne wyspiarskie dziewczuchy, które uważają, że są lepsze od piratów.

- Ale nie mamy wiele czasu - powiedział Barnaby, rozsądnie omijając temat Anglików. – Chastity wyływa rano.

Zawinęli tylko po to, aby uzupełnić zapasy.

Nie zwracając uwagi na Barnaby'ego, Gideon skupił się na swoim zazwyczaj gburowatym kucharzu, który nie był osobiście zainteresowany całym pomysłem. Silas nie lubił kobiet i przysiągł już nigdy z żadną nie zadawać.

- Naprawdę uważasz, że to zadowoli mężczyzn?

- Tak uważam - odparł Silas. – Naprawdę.

Barnaby poprawił krawat, rzucając wymowne spojrzenie.

- Z pewnością zadowoli mnie.

Gideon się wahał. Ale nie miał wielkiego wyboru. To była najlepsza okazja, jaka trafiła się im w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A statek ze skazanymi będzie na morzu łatwym łupem. Takie statki nigdy nie były dobrze uzbrojone.

- Dobrze. - Kiedy na twarzach jego dwóch najbliższych przyjaciół odmalowała się ulga, dodał: Barnaby, dowiedz się wszystkiego o tym statku - jakie mają strzelby, jego rozmiary... wszystko, co powinniśmy wiedzieć, żeby go przejąć. I, na Boga, postaraj się zrobić to dyskretnie. Na szczęście przycumowaliśmy do innego nadbrzeża, ale zrób wszystko, żeby załoga Chastity nie usłyszała o tym, że w porcie jest piracki statek. Upij ich, nawet jeśli miałbyś przez całą noc płacić za ich alkohol. Nie chcemy splotać zwierzyny.

Gdy Barnaby zawrócił w stronę portu, Gideon zwrócił się do Silasa.

- Zbierz załogę. Powiedz im, że wypływamy o świcie i chcę, żeby w nocy byli na statku. - Kiedy Silas skinął głową i ruszył ścieżką w dół, Gideon zawołał: - I dopilnuj, żeby wiedzieli dlaczego, bo inaczej będą cię przeklinać.

Kiedy odeszli, popatrzył w dół na port, gdzie stał zacumowany statek z galionem, który przedstawiał przysłoniętą postać kobiecą, kołyszący się na wodzie. Chastity. To musiał być właśnie ten statek. Chociaż nie widział żadnych kobiet, domyślał się że podczas pobytu w porcie trzymano je zakute w łańcuchy pod pokładem.

Załoga Chastity zwijała się jak w ukropie, najwyraźniej chcąc jak najszybciej zwinąć żagle, zanim zejda na ląd, żeby pić, grać i się łajdaczyć. Dobrze. Jak wszystko dobrze pójdzie, wpadną prosto w ręce Barnaby'ego.

Z odległości ocenił statek najlepiej jak umiał. Miał osprzęt rejoy, trzy maszty... i był dosyć mocno zanurzony w wodzie. Z tej odległości nie widział wielu strzelb, i naliczył dwudziestu kilku marynarzy - o wiele mniej niż jego sześćdziesięcio- trzyosobowa załoga. Nie mógł sobie wyobrazić łatwiejszej zdobyczy.

Na jego ustach pojawił się nieznaczny uśmiech. Ślicznotka z ciebie, moja droga, i masz bardzo cenny ładunek. To będzie jak zrywanie winogron z krzaka.

Nie mógł się doczekać jutra.

^ ^ ^

Petey wdrapał się na królewski drzewiec, żeby zwinąć najwyższy żagiel. Ale jego umysł zaprzątnięty był zagadką, jaką stanowiła panna Willis.

Minęły dwa tygodnie od ich rozmowy, a panien- ka wciąż nalegała, aby każdej nocy pilnował ko- biet. Przekonała nawet kapitana, żeby na stałe postawił go tam na warcie. Miał nadzieję, że to się skończy, kiedy mężczyźni przekonają się, że on nie żartuje, ale panna

Willis nie ufała nikomu poza nim.

Wierzcchem dłoni ocierając pot z brwi, Petey przewiół linię przez blok i cofnął się nieznacznie wzdłuż królewskiego drzewca. Jego lordowska mość ostrzegał go, że panienka może przysparzać kłopotów. Petey wiedział, że może się tego spodziewać. Przynajmniej dotrzymała swojej części umowy. Nie dochodziło już do żadnych konfrontacji pomiędzy nią a marynarzami. Prawie wynagrodziło mu to bezsenne noce, które spędził pod pokładem, pilnując kobiet.

Prawdę powiedziawszy, nie było tak źle, a w każdym razie nie po pierwszej nocy. Pierwszej nocy kobiety trochę się go obawiały, a dzieci przyglądały mu zza krat szeroko otwartymi oczami, gdy rozpiął swój hamak między celami. Nie była to jednak spokojna noc. Co chwila jakiś marynarz wsadzał głowę przez właz, chociaż kapitan rozkazał im, żeby zostali na górnym pokładzie, chyba że mieli na dole coś do załatwienia. Kiedy wreszcie dotarło do nich, że Petey zamierzał dopilnować, aby przestrzegali rozkazu kapitana, porzucili próby.

Po tamtej nocy kobiety znosiły jego obecność w milczeniu. Niektóre nawet mu podziękowały. Była nawet jedna urocza dziewczyna o imieniu Ann, która zaproponowała mu część swojej kolacji. Zważywszy na to, że kobiety lepiej wykorzystywały swoje racje żywnościowe niż kucharz, z radością przyjął posiłek.

Oczywiście załodze nie podobało się, że się wtrącał, ale to go nie obchodziło. Jego prawdziwy pracodawca, hrabia, płacił mu trzy razy więcej, niż wynosiła pensja marynarza. Za takie pieniądze biłby się z wieloma z nich, jeśli by musiał.

Na szczęście spuścił łomot tylko jednemu mężczyźnie, i do tego pijanemu. Chociaż inni Marynarze próbowali uprzykrzyć Peteyowi życie, dla niego nie było to żadne uprzykrzanie. Pierwszy oficer wysyłał go na królewski drzewiec tak często, jak tylko się dało, sądząc, że w ten sposób go ukarze. Było naturalne, że wybierał Peteya, ze względu na jego niewielką posturę, jednak większość marynarzy nie lubiła zwijać żagli, bo było to bardzo niebezpieczne zajęcie. Jednak pierwszy oficer wiedział, że Petey lubił być wysoko, gdzie mógł czuć słońca bryzę i obserwować rozciągający się wokół niego bezkres oceanu, który w pogodny dzień połyskiwał jak diamenty. Teraz, kiedy opuścili pochmurną Anglię, z radością pocił się w słońcu tropiku. Poza tym wolał wykonywać zadania niebezpieczne niż brudne, jak smołowanie lin.

Patrząc w dół, zauważył niewielką grupkę kobiet szorującą pokład. Pracowały na zmiany, ale to im nie przeszkadzało, bo w ten sposób mogły przebywać na świeżym powietrzu.

Zerknął na mężczyzn, którzy przyglądali się kobietom z niewielkim zainteresowaniem. Po ostatniej nocy spędzonej w Prai byli na tyle zaspokojeni, że nie napastowali kobiet na statku.

Ale to nie potrwa długo. Petey dobrze o tym wiedział. Co dziwne, po dwóch tygodniach pilnowania kobiet żałował, że wkrótce znowu będą narażone na zaczepki marynarzy.

- Hej, koleś - zawołał marynarz, który siedział na bocianim gnieździe. - Muszę się wysikać. Zastąpisz mnie na chwilę?

Skinąwszy mu głową, Petey wspiął się po olinowaniu na maszt. Wziął od marynarza lunetkę i zastąpił go na bocianim gnieździe. Zlustrował horyzont, potem przyjrzał się Santiago. Dzień był idealny na żeglowanie.

Chociaż Chastity dotrze do martwej ciszy równika za dzień albo dwa, teraz radosny wiatr wydymał żagle, popychając statek na południe wzdłuż wybrzeża Afryki.

Petey oparł się o bocianie gniazdo i wrócił myślami do małej Ann. Walijki, jak można było wnioskować po akcencie. A do tego kobiety ślicznej, o mleczonej skórze i śnieżnobiałych zębach. Zastanawiał się, co zrobiła, że znalazła się wśród tej bandy kryminalistek. Wydawało się to niewłaściwe.

Może z powodu takich dziewcząt jak Ann, siostra hrabiego ryzykowała tak wiele, żeby pomóc skazanym. Wciąż zadreęczała kapitana, by poprawił warunki skazanych, i cały czas spędzała pod pokładem, ucząc kobiety czytać i pisać. Minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd statek wypłynął z Londynu, a kobiety już mówiły o pannie Willis, jakby była cholerną świętą. Westchnął. Może i była.

Podnosząc lunetę, ponownie się rozejrzał, wprawnym okiem oceniając tafelę wody i niegroźne chmury.

Właśnie skończył obserwować ocean i lustrował wyspę które opuszczali, kiedy coś przykuło jego uwagę. Wyostrzywszy lunetkę, gwałtownie zaczerpnął powietrza.

Po nawietrznej od strony Santiago pojawił się statek. Pojawił się znikąd i Petey poczuł się nieswojo. Wyglądało to tak, jakby się na nich zaczął. Co więcej, wyglądało na to, że zbliżał się do Chastity. Serce zaczęło mu bić szybciej. Marynarze wiedzieli, że należało być czujnym, gdy na oceanie spotykało się inny statek, zwłaszcza taki, który poławiał się znikąd.

- Statek z prawej burty! - zawołał w dół do pierwszego oficera.

Pierwszy oficer przeszedł pod masztem.

- Jaki statek?

Petey spojrział przez lunetkę na statek. Patrzył, dopóki obraz się nie wyostrzył, a zamazane żagle i drewno nie przybrały kształtu solidnego szkuner najeżonego bronią. Widok tyłu pistoletów zaniepokoił go. To na pewno nie był statek kupiecki.

Szukał wzrokiem flagi, ale żadnej nie zobaczył,

- No, Petey? - ponaglił go pierwszy oficer. - Co widzisz?

- Próbuję coś dostrzec. To szybki szkuner. Dwumasztowiec. Dużo pistoletów.

Pierwszy oficer zmarszczył brwi, dobrze wiedząc, co to może oznaczać.

- Flaga. Jaka jest flaga? - Do jego krzyku dołączył krzyk kapitana, którego zaalarmował bosman.

Petey ponownie zlustrował groźny statek, i w końcu dostrzegł, że wciągają flagę. To był zły znak, bo większość statków pływała z flagą na maszcie.

- Niech Bóg ma nas w opiece - wymamrotał, gdy w końcu ją dostrzegł. Czarną jak smoła, z białą czaszką i dwiema skrzyżowanymi kośćmi. - Piraci - wrzasnął. - Piraci się zbliżają!

- Wszyscy na pokład! - krzyknął kapitan, gdy bosman pognał, żeby uderzyć w dzwon alarmowy - Sprowadźcie kobiety pod pokład i powiedzcie chłopakom, żeby wstawali!

Nigdy wcześniej załoga statku nie poruszała się tak szybko, wykonując swoje obowiązki jak marionetki na wiejskim jarmarku. Nie zwracając uwagi na pytania kobiet, dwóch marynarzy zagoniło je pod pokład, podczas gdy kapitan wykrzykiwał komendy, a pozostali popędzili, żeby rozwinąć żagle i chwycić za te kilka strzelb, które mieli do dyspozycji.

- Pełne żagle! - krzyknął kapitan do pierwszego oficera, który powtórzył rozkaz. - Uciekniemy im!

Petey uznał, że to mało prawdopodobne. Przez cały czas obserwował statek przez lunetę, szukając u napastników jakichś słabych punktów, ale żadnego nie znalazł. Sądząc po wyglądzie, szkuner był amerykański, a niewielkie zanurzenie sprawiało, że był szybszy niż jakakolwiek angielska fregata, Szkunery z amerykańskimi korsarzami stanowiły utrapienie dla angielskich kupców w czasie wojny 1812 roku. Chociaż wojna dawno się skończyła, niektórzy korsarze stali się piratami, i obawiał się, że właśnie tak było w przypadku załogi statku, który za nimi płynął.

Może kiedy zobaczą, że na Chastity nie ma żadnych łupów, pozwolą im płynąć dalej. Takie przypadki miały już miejsce w przeszłości, tak przynajmniej słyszał.

- Doganiają nas! - Petey zawołał do kapitana, który z kolei poganiał marynarzy, żeby statek zaczął płynąć jeszcze szybciej. Ale nie mogli wiele zrobić. Oba statki popychał ten sam wiatr, ale drugi statek był lżejszy, a co za tym idzie szybszy.

Petey znowu podniósł do oczu lunetę. Piraci byli coraz bliżej, na tyle blisko, że Petey dokładnie widział flagę. Zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się czaszce. Ta czaszka wyglądała inaczej, nie jak zwyczajna czaszka i skrzyżowane kości. To było coś w kształcie czaszki...

Rogi. Czaszka miała rogi. Jego serce zamarło. Tylko jeden piracki statek miał taką flagę - Satyr.

Żeby się upewnić, poszukał wzrokiem galionu. Kiedy zobaczył charakterystyczną rzeźbę mitycznego pół kozła, pół człowieka, jęknął. Zobaczył ciemnowłosego mężczyznę stojącego na dziobie.

To bez wątpienia był Satyr. I jego demoniczny właściciel, kapitan Gideon Horn.

- To sam lord piratów! - zawołał i wsadziwszy lunetę pod pachę, zaczął zsuwać się po głównym maszcie. - To kapitan Horn z Satyra! I nie uciekniemy mu! Ma najszybszy statek na oceanach!

Kiedy znalazł się na pokładzie, podbiegł do niego blady jak płótno kapitan.

- Jesteś pewien, człowieku? Lord piratów? Dlaczego miałby nas ścigać? Nasz właściciel nie jest arystokratą, tylko handlowcem!

Swoje przezwisko zawdzięczał specyficznemu doborowi swoich ofiar. Na pierwszym statku, który zaatakował, był jego właściciel, głupi hrabia, który nierozważnie ostrzegł pirata, żeby nie okazywał takiego braku szacunku „członkowi Izby Lordów”.

Świadek tego pierwszego pojmania opowiedział potem o riposćcie pirata: „W Ameryce wszyscy ludzie są równi, i nawet pirat jest lordem. Więc nie kłaniam się przed nikim, tylko przed Bogiem, *sir*, a zwłaszcza nie przed dandysowatym angielskim szlachcicem”. Kapitan Horn ukradł wszystko, co posiadał hrabia, nawet ubrania, które wtedy miał na sobie. Ukradł także całusa żonie tego człowieka.

Od tamtej pory wszystkie zdobycze Satyra stanowią statki angielskich arystokratów, na pokładzie których znajdowali się szlachetnie urodzeni pasażerowie, i podobno okradanie ich sprawiało kapitanowi Satyra wielką przyjemność. Niektórzy arystokraci posuwali się nawet do tego, że podróżowali incognito i skrywali się za nazwiskami swoich partnerów, żeby chronić siebie i swoje statki.

Pomyślał z niepokojem o pannie Willis. Ten człowiek chyba nie zamierzał napaść na ich statek wyłącznie z jej powodu. Chociaż została adopto-

wana przez hrabiego, nie była prawdziwą damą. Poza tym nikt na tym statku nie wiedział o jej szlacheckich powiązaniach.

- Jest pan pewien, że właściciel statku jest kupcem? – spytał kapitana. - Jest pan pewien?

- Tak. To mój kuzyn. Mówię ci, że ten statek nie ma żadnego związku z arystokracją.

Poza panną Willis. Lepiej będzie, jeśli Petey do niej pójdzie i ostrzeże ją, aby nie wspominała o swoim bracie, na wypadek jeśli zostaną pojmani. Kiedy zostaną pojmani; wydawało się to nieuniknione.

- Może lord piratów nas puści, kiedy zobaczy, że nie mamy żadnych łupów - mruknął Petey.

- Wytnie nas w pień, oto co zrobi! - Pierwszy oficer stał za sterem i rzucił te słowa w ich kierunku, jakby to sam kapitan Horn wypowiedział tę groźbę. - Słyszałem opowieści, że jest w stanie powalić mężczyznę jednym ciosem!

Petey przełknął ślinę. Rzadko się bał, ale lord piratów napawał go strachem. O ile wiedział, nikt nigdy nie oskarżył pirata o morderstwa i okaleczenia, których dokonywali inni piraci. Ale nie oznacza to, że kapitan Horn nie zaatakuje z wściekłości kiedy okaże się, że na Chastity nie ma żadnych

- Może powinniśmy walczyć - zasugerował Petey.

Kapitan Rogers prychnął.

- Walczyć? Oszalałeś? To Satyr, człowieku, naszpikowany bronią! Rozniosą nas na strzępy! Nie mamy ani broni, ani ludzi, żeby walczyć ze świetnie uzbrojonym statkiem pirackim. Poza tym, jeśli będziemy walczyć, uznają, że mamy na pokładzie coś wartościowego, a to tylko pogorszy całą sprawę.

- Nie uciekniemy im - powtórzył Petey. Jakby na potwierdzenie jego słów, Satyr zbliżył się do nich, jak demon, który prześladowuje grzesznika. Kapitan popatrzył na swoją załogę, potem pierwszego oficera i Peteya.

- To nasza jedyna szansa, chłopaki. Uciekniemy albo zostaniemy pojmani. I obawiam się, że jednak pojmani, chyba że zdarzy się jakiś cud.

Cud się nie zdarzył. Chwilę później piraci im zagrozili, że użyją dział, jeśli Chastity się nie zatrzyma, żeby mogli dokonać abordażu. I dopiero, gdy kapitan Rogers wydał załodze rozkaz, aby się poddała, Petey uświadomił sobie, że nie ostrzegł panny Willis.

Rozdział 4

*Moje marsele topotały
A kupcom serca drżały
Tak wielu z nich pojąłem
Gdy po morsach pływałem*

Anonim

Ballada dla kapitana Kidda

Do dzisiaj Sara uważała, że podróż przebiega bez żadnych przygód. Co prawda powstrzymywała przed hazardem co bardziej zatwardziałe kobiety, które lubiły zabierać dziewczynom ze wsi ich racje żywności, i wiele razy upominała je, że przeklinanie jest niestosowne, niemniej lekcje przebiegały pomyślnie, a ponadto jej i Peteyowi udało trzymać kobiety z dala od mężczyzn.

Teraz jednak była zdezorientowana. Kobiety, które pracowały na pokładzie, zostały odesłane na dół i zebrały się wokół Sary, przestraszone i rozgadane. Minęła chwila, zanim udało jej się zrozumieć, o czym mówiły. Zbliżał się piracki statek? Na pewno nie. Piratów było coraz mniej, odkąd Anglicy i Amerykanie starali się oczyścić morza z tych wrednych szkodników. I czegoś mogliby od statku ze skazanymi, który nie miał na pokładzie nic wartościowego.

Oczywiście nie wiedzieli, że na pokładzie Chastity były tylko kobiety. Zamarała, czując ukłucie hu w żołądku. Kobiety. Wszyscy wiedzieli, co i robili kobietom. A jeśli ci mężczyźni nie

znajdą złota, które zaspokoiliby ich żądze, z pewnością zainteresują się innymi przyjemnościami.

- Pozabijają nas! - krzyknęła Ann Morris, przebijając się przez gwar głosów, tym samym wypowiedając najgorsze myśli Sary. - Zgwałcą nas a potem pozabijają! Och, panno Willis, co my pocznjemy?

Sara chciała krzyżeć, że nie wie, że nigdy wcześniej nie spotkała piratów. Jedynie wielką siłą woli powstrzymała się przed wypowiedzeniem tych słów.

Słyszając krzyk Ann, reszta kobiet zamilkła, a teraz przyglądały się jej wyczekująco, jakby uważały, że będzie w stanie wyczarować armię obrońców, która je uratuje. Och, gdyby tylko mogła.

Gdy się odezwała, zmusiła się do zachowania spokoju, chociaż wcale spokojna nie była.

- Nie trzeba panikować. Marynarze ich pokonają. Statek jest uzbrojony i...

- Uzbrojony? - sarknęła Queenie. - Kilka pistoletów nie wystarczy, żeby odgonić piratów.

- Marynarze nie będą walczyć - zza pleców Queenie rozległ się znajomy głos Louisy. - Ta żalсна banda? Dlaczego mieliby to robić? Prędeżysko- czą ze statku, niżby mieli poświęcić dla nas chociaż jeden włos na głowie.

Znowu rozległy się okrzyki przerażenia. Marynarze nie będą walczyć o statek pełen skazanych kobiet. Louisa miała rację. Sara czuła ogarniającą ją bezsilność. Głosy w ładowni stały się męczące, i musiała bardzo się starać, żeby, w przeciwieństwie do pozostałych kobiet, nie poddać się panice.

Nagle Louisa krzyknęła głośno:

- Słuchajcie!

Jedna po drugiej uspokajały się, aż w końcu słychać było jedynie płacz niemowląt. Nasłuchiwały,

ale na górze niczego nie słyszały, może poza zduszonymi głosami. Wyglądało na to, że statek się zatrzymał, chociaż z ich miejsca trudno było to ocenić.

Nagle rozległ się łomot. Potem statek przechylił się nieznacznie do tyłu, aż kobiety chwyciły się krat, by się nie przewrócić.

- Weszli na pokład - oznajmiła Queenie. Może jeśli będziemy bardzo cicho, nie zorientują się, że tu jesteśmy - wyszeptła nieśmiało Ann Morris. - Może kapitan Rogers powie im, że ładownia jest pusta i sobie pójdą.

- Pójdą sobie? - Chociaż śliczna twarz Louisy w świetle latarni była blada jak płótno, ton jej głosu wciąż pozostawał ostry. - Wierząc na słowo naszemu dobremu kapitanowi? Nie sądzę. Poza tym on dla nas z pewnością nie skłamie. Jesteśmy jedyną rzeczą, którą może rzucić piratom na pożarcie.

Te ostre słowa sprawiły, że kobiety zadrżały, nawet Sara. Nigdy nie przypuszczała, nawet żartując na ten temat z Jordanem, że napadną na nią piraci, że coś takiego może się wydarzyć. Na tych wodach nie powinno ich być, i nie powinni zatrzymać Chastity. To nie dzieje się naprawdę! Musi być jakieś wytłumaczenie pojawienia się drugiego statku, myślała rozpaczliwie. Za chwilę załoga zejdzie na dół, żeby je poinformować, iż był to jedynie statek brytyjskiej marynarki, który chciał uzupełnić zapasy. Nie, to nie miało sensu. Wciąż znajdowali się niedaleko od Santiago, gdzie każdy mógł uzupełnić zapasy. Gdyby tylko ona i pozostałe kobiety umiały walczyć. Gdyby mogły powstrzymać piratów przed wejściem do ładowni. Ale nie miały czym się bronić, bo kobietom nie pozwolono mieć nic, co mogłyby wykorzystać przeciwko napastnikom.

Kobiety stały jak sparaliżowane. Każde skrzypnięcie statku zwiększało tylko napięcie w gorącej dusznej ładowni. Wydawało się, że nawet dzieci przestały odychać w oczekiwaniu na swój los.

- Och, jakbym chciała, żeby Petey... t-to znaczy pan Hargraves... był tutaj na dole, żeby nas bronić - wyrzuciła z siebie Ann.

- Nawet twój pan Hargraves nie może powstrzymać bandy piratów, Annie - oznajmiła Louisa - On nie jest Bogiem. Tym razem wszystkie panny Willis i pan Hargraves nie są w stanie zapobiec temu, że zostaniemy zmuszone do robienia okropnych rzeczy...

- Wystarczy, Louiso - odezwała się ostro Sara. - Straszysz dzieci. A my nie musimy wysłuchiwać o... Przerwała, gdyż rozległ się charakterystyczny odgłos otwieranego włazu. Wszystkie kobiety zwróciły się w kierunku schodów, a w ich oczach malował się strach.

Jednak to nie pirat zszedł po schodach, lecz zwinny chłopiec okrętowy kapitana Rogera. Gdy tylko go dostrzegły, westchnęły z ulgą i ruszyły w kierunku schodów. Natychmiast ładownia wypełniła się okrzykami „Co się dzieje?” i „Czy to naprawdę piraci?”.

- Przysłano mnie, aby wam powiedzieć, żebyście zabrały swoje rzeczy i wyszły na pokład - powiedział chłopiec okrętowy.

Jego twarz była blada pod warstwą brudu, a chude nogi drżały.

- Kto cię przysłał? - Sara zrobiła krok naprzód.

- Kapitan Horn, panienko. Z Satyra. To statek, który nas pojmał.

Satyr. Myślała, że może o nim słyszała, ale nie mogła sobie przypomnieć.

- Ten kapitan Horn jest piratem?

Chłopiec popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Tak, panienko. Każdy to wie.

Nie poprawiło jej to humoru.

- A dlaczego chce, żeby kobiety zabrały swoje rzeczy?

- Nie wiem, panienko, ale...

No dalej, chłopaku, wystarczy tych pogaduszek - wrzasnął z góry ochrypli głos, przerywając mu. - Powiedz im, żeby natychmiast tu przyszły. Kapitan Horn chce, żeby pokazały się na pokładzie, bo jak nie, to będzie wściekły!

Groźny głos wprowadził kobiety w stan paniki. Rozpierzchły się we wszystkie strony, zbierając swój nędzny dobytek, ostrzegając dzieci i wciągając buty, bo wiele z nich zaczęło chodzić boso, gdy znaleźli się na ciepłych wodach.

Wkrótce zmierzały z płóciennymi torbami w dłoniach w kierunku stromych schodów. Niektóre niosły także materiały na kołdry. Zanim jednak wspięły się na górę, Sara stanęła na ich czele. Nie mogła ich teraz opuścić. Ktoś musiał mówić w ich imieniu, i równie dobrze mogła to być ona.

- Posłuchajcie mnie, panie. Pamiętajcie o wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Bez względu na to, co wam zrobią, wasze dusze należą do was. Nie będą mogli ich dotknąć, jeśli je w sobie skryjecie.

Wyglądało na to, że jej słowa dodały im otuchy, chociaż po schodach podążała za nią ponura grupa.

Widok, jaki ukazał się oczom Sary, gdy wyszła na powietrze, otrzeźwił ją. Załoga Chastity stała w rzędzie po bokach statku, pilnowana przez świetnie prezentującą się grupę piratów. Byli czysti i dobrze zorganizowani, odwrotnie niż załoga

kapitana Rogersa. Jakim cudem ci ludzie zwali się piratami? Przecież żaden z nich nie miał przepaski na oku czy haka zamiast ręki! A gdy kobiety po kolei pojawiały się na pokładzie, nie rzucili się na nie ani nie robili żadnych niestosownych uwag.

Jednak ich ubranie pasowało do ich profesji. Dominowały skórzane kamizelki, założone nazwyczaj na gołe ciało. W całym swoim życiu Sara nie widziała tylu gołych torsów... ani tylu długich do ramion włosów.

Potem zobaczyła ich broń i to ścięło jej krew w żyłach. W rękach połyskiwały im noże z kościanymi rękojeściami, a niektórzy mieli pistolety zatknięte za pas. Może i byli czyści i zorganizowani, ale ta broń jasno mówiła, o co im chodziło. Aż nazbyt jasno.

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, postawny, brodaty mężczyzna z drewnianą nogą nakazał kobietom przejść na dziób. Tam stali kolejni piraci, którzy liczebnie znacznie przewyższali załogę Chastity.

Wtedy tłum się rozstał i po raz pierwszy spojrziała na jedyne go człowieka, który mógł być kapitanem Satyra.

Stał w rozkroku, z ramionami skrzyżowanymi na okrytym białą koszulą i skórzaną kamizelką torsie, a poważny wyraz twarzy czynił jego twarde rysy jeszcze bardziej surowymi. Obserwował kobiety spod w półprzymkniętych powiek.

Nie miała pojęcia, skąd wiedziała, że to był właśnie kapitan; po prostu wiedziała. Cechowała go pewna wyniosłość, której brakowało pozostałym. Były także inne elementy, jak jego wysoki wzrost i świetnej jakości ubranie. Idealnie skrojone bryczesy z doskonałego materiału w gołęmb kolorze

umięśnione nogi, a pas zdobila sprzączka wysadzana drogocennymi kamieniami.

Nazwa jego statku świetnie do niego pasowała. Chociaż tam, gdzie powinny być kopyta, miał czarne buty, a z jego niesfornych czarnych, długich do ramion włosów nie wystawały rogi, na jego twarzy malował się wyraz ironicznej satysfakcji, który godny był jedynie prawdziwego satyra. W bezczelny sposób taksował wzrokiem kobiety, jakby chcąc odgadnąć wszystkie ich słabości.

A jego twarz! Chociaż gładko ogolona, także była twarzą satyra - zdecydowanie męska, surowo przystojna pomimo grubych brwi i wykrzywionych ust... I przerażająco groźna. Co sprawiało, że wyglądał tak groźnie? Może jego blizny - ta w kształcie półksiężyca, która przecinała osmagany wiatrem policzek, i niewielkie cięcie wzdłuż zewnętrznej krawędzi brwi, które najwyraźniej tylko o milimetry ominęło oko.

Ale chodziło o coś więcej. Podejrzewała, że ten mężczyzna napawałby niepokojem, nawet gdyby nie miał blizn, szpady i nosił długi płaszcz i czapkę bobrowa.

- Dzień dobry, szanowne panie - odezwał się wyraźnym amerykańskim akcentem, kiedy już wszystkie kobiety znalazły się na pokładzie i zamknięto włazy. Z uśmiechem, który trochę złagodził surowy wyraz jego twarzy, przyjrzał się kobietom i dodał: - Przybyliśmy was uratować.

Jego słowa były tak nieoczekiwane, tak jednoznaczne, że Sara zamarła. Stosował rażące metody zastraszania, taksował kobiety jak bydło idące na rzeź, a teraz miał czelność powiedzieć coś takiego!

- Tak właśnie nazywa się dziś złodziejstwo, grabież i gwałt? - warknęła.

Kiedy wśród załogi Chastity rozległ się pomruk, a kobiety odsunęły się od niej, jakby dystansując się od jej słów, skarciła się w myślach za swój niewyparzony język. Och, równie dobrze mogłaby błagać go, aby rozplątał ją na pół swoją szablą. To nie był cywilizowany lord czy chełpliwy kapitan statku, któremu mogłaby wygłosić kazanie; ten człowiek nie miał zasad moralnych, skrupułów, ani cienia litości.

A teraz jego cała uwaga skupiła się na niej.

Wstrzymała oddech, gdy obrzucił ją obraźliwym spojrzeniem, jakby przyglądając się każdej części jej ponurej garderoby, od koronkowego czepka do czubków zniszczonych pantofli. Potem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, głośno się roześmiał.

- Grabież, złodziejstwo i gwałt? A kim ty jesteś, mała dzielna kobietko, żeby mówić do mnie w ten sposób?

Poczuła ucisk w żołądku. Ze strachu chciała błagać go o wybaczenie, oznajmić, że z głupoty nie wiedziała, co czyni. Ale nie pozwoliła jej na to dumy. Jeszcze jej nie zabił, i może oznaczało to, iż istniała szansa, by przemówić mu do rozsądku.

- Jestem panna Sara Willis, *sir*, nauczycielka i opiekunka tych kobiet.

Powiew wiatru zdmuchnął kruczoczarny kosmyk włosów z jego twarzy, ukazując niewielki kolczyk, który nosił w uchu.

- Rozumiem. Zamierzasz bronić je przed naszą „grabieżą, złodziejstwem i gwałtem”, tak?

Kiedy piraci zarechotali, zaczerwieniła się.

- Dobrze wiesz, że nie jestem w stanie tego zrobić. Nie mam szabli ani dość siły. - Nie mogła powstrzymać się przed dodaniem z nieznaczną ironią w głosie: - Może dlatego ta sytuacja nie jest dla

mnie tak zabawna, jak dla ciebie i twoich krwiożerczych towarzyszy.

Rozbawienie gwałtownie zniknęło z jego twarzy.

- Powinno cię więc ucieszyć, panno Willis, że moi ludzie i ja nie po to tutaj jesteśmy. Złodziejstwo byłoby bez sensu, skoro na tym statku nie ma żadnych kosztowności. Jeśli chodzi o grabież, uważam, że ta profesja jest bezużyteczna i bezcelowa, nie uważasz?

Kiedy skończył, poczuła w brzuchu węzeł strachu.

- Zostaje więc tylko gwałt, prawda? Statek pełen kobiet... statek pełen piratów...

- Nie jesteśmy tutaj również z powodu gwałtu warknął, cofając się z dziobu z niezrozumiałym gniewem. - To, co mamy do zaoferowania twoim... podopiecznym nie ma z tym nic wspólnego.

- Do zaoferowania?

Podchodząc do niej, oparł ręce na biodrach.

- Tak, do zaoferowania. Jesteśmy tutaj, żeby zaoferować tym kobietom ratunek. Wolność.

Był na tyle blisko, że widziała kolor jego oczu, żywo niebieskozielony, który odbijał kolor tropikalnego morza. Ten kolor zdecydowanie nie pasował do zbrodniczego pirata.

- I zaoferujecie to, nie oczekując nic w zamian zauważyła chłodno.

Nieznacznie uniósł kąciuki ust w uśmiechu.

- Tego nie powiedziałem.

- Oczywiście. Piraci nie słyną z altruizmu, prawda? - Nie wiedziała, co ją opętało, żeby odzywać się do niego tak bezczelnie. Może strach pozbawił ją zdrowego rozsądku. Ale jeśli zamierzał ją zabić, równie dobrze mogła nadać swojej śmierci jakieś znaczenie.

- Czego więc oczekujesz? - ciągnęła. — Kilku rozkosznych nocy, zanim porzucicie je na pastwę losu na wybrzeżu Afryki? Chcecie potraktować je jak prostytutki, ale zapłacić im wątpliwą wolnością zamiast pieniędzmi?

- Nie. - Rzucił jej gniewne spojrzenie. — Nie prostytutek potrzebujemy, panno Willis. Tylko żon. Żon dla mnie i moich ludzi.

Sara gapiła się na niego, usiłując zrozumieć znaczenie jego słów. Za nią rozległ się pomruk. Rozejrzała się po twarzach piratów i z zaskoczeniem odkryła, że ich miny potwierdzały słowa kapitana Horna.

- Ale... ale wy jesteście piratami! Po co wam żony?

Jego twarz stała się nieprzenikniona.

- A to już nie twoja sprawa, panno Willis. Zabieramy te kobiety, czy ci się to podoba, czy nie. - Obciął ją beczelnym spojrzeniem. - Nie martw się. Ciebie nie zabierzemy. Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to zgorzkniała stara panna, która będzie sprawiać kłopoty.

Nakazał kilku swoim ludziom zabrać kobiety i dzieci na pokład Satyra. Pozostałym nakazał skonfiskować zapasy Chastity.

Z niedowierzaniem obserwowała, jak piraci pospieszili do swoich zadań, podczas gdy załoga Chastity stała ponuro z boku. Jak oni mogli? Ten łotr porywał wszystkie kobiety ze statku dla swoich nikczemnych celów, a załoga zamierzała mu na to pozwolić.

- Nie możesz tego zrobić! - powiedziała do kapitana piratów. - To jest niedopuszczalne!

Ignorując ją, zwrócił się do kapitana Rogersa.

- Zabieram ci całą wodę i jedzenie. Jedyne, co możesz zrobić, to wrócić do portu w Santiago. I nie obchodzi mnie, co zrobisz później, o ile nie będziesz próbował nas ścigać. Kiedy odpłyniemy, a ty chociażby spróbujesz płynąć za nami, damę słowo, że zmiotę cię z powierzchni wody.

Kiedy przechodził obok Sary, chwyciła go za ramię i krzyknęła:

- Nie pozwolę ci tego zrobić!

Posłał jej ironiczne spojrzenie.

- Jak już powiedziałaś, nie możesz mnie powstrzymać.

Rozwścieczyła ją bezsensowność całej tej sytuacji. Tak ciężko pracowała, aby pomóc tym kobietom odnaleźć lepsze życie, odnaleźć w sobie dobro. A teraz on zamierzał zniszczyć to wszystko jednym ruchem.

Cóż skoro nie chce słuchać panny Sary Willis, to może posłucha kogoś o wyższej pozycji społecznej.

- Nie, ale mój brat może - odparła najbardziej wyniosłym głosem, na jaki było ją stać. - I dopilnuje żeby odnalazł ciebie i twoich ludzi, nawet jeśli miałoby to zająć mi całe życie.

Ze śmiechem zrzucił jej rękę.

- A kimże jest twój brat, żeby zmierzyć się z piratem? Jakiś syn kupca? A może duchowny?

- To hrabia Blackmore. - Wypowiedziała ten tytuł jakby to była broń. - Będzie cię ścigał, jeśli go o to poproszę.

Załoga Chastity i jej kapitan jęknęli chóralnie, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego byli tak przerażeni jej wyznaniem, skoro teraz i tak nie miało to już dla nich znaczenia.

Niestety reakcja kapitana piratów była o wiele bardziej niepokojąca. Zamiast strachu, którego oczekiwała, w jego oczach pojawił się chłodny błysk; chwycił ją mocno za ramię, po czym rzucił wściekle spojrzenie kapitanowi Rogersowi.

- Czy ta dziewczyna mówi prawdę? Jej brat jest angielskim hrabią?

Kątem oka dostrzegła, że Petey Hargraves rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie, ale zignorowała je. Jeśli wyjawienie jej prawdziwej tożsamości mogło pomóc ocalić te kobiety, to bez wątpienia powinna to zrobić.

Kapitan Rogers zrobił się śmiertelnie błądy.

- Nic o tym nie wiem, *sir*. Jeśli jej brat jest hrabią, to dla mnie jest zaskoczeniem.

- Ta kobieta jest szalona - zawołał Petey. - Wbiła sobie do głowy, że jest szlachetnie urodzona i takie tam brednie. Nie jest siostrą hrabiego, kapitanie Horn, może pan w to wierzyć.

Jak Petey śmiał tak kłamać! Czy nie rozumiał jakie to było ważne?

- Ależ oczywiście, że jestem siostrą hrabiego Blackmore'a! - zaprotestowała. - Podróżowałam incognito, żeby władzom w Londynie przedstawić raport na temat traktowania skazanych kobiet na tego typu statkach!

Uwalniając ramię z uścisku pirata, zaczęła grzebać w kieszeni fartucha, aż wyciągnęła z niej swój dziennik, który zawsze przy sobie nosiła. Spomiędzy kartek wysunęła kawałek papieru welinowego i podała go kapitanowi Hornowi.

Jordan nalegał, aby miała przy sobie jakiś dowód tożsamości na wszelki wypadek. Dlatego też napisał list, w którym oznajmiał, że panna Sara Willis jest jego siostrą i odcisnął pieczęć Blackmo-

re'ów na dole listu. Na szczęście nie nazywał jej swoją "przyrodnią siostrą". Jordan chciał, aby użyła tego listu gdyby miała problemy z powrotem do domu do Nowej Południowej Walii, ale ta sytuacja wydawała się o wiele bardziej stosowna na jego powitanie.

Kapitan piratów rzucił okiem na list, a jego oblicze stało się jeszcze groźniejsze, kiedy zobaczył podpis i pieczęć.

- Jeśli naprawdę zamierzasz zabrać te kobiety - powiedziała wyniośle - upewnię się, że mój brat zrobi wszystko, aby ci przeszkodzić. Nie spoczne, dopóki nie wyśle za tobą statków. Ja...

- Dostyc - warknął, składając list i wsuwając go sobie za pasek. Posłał jej irytujący uśmiezek. - Powiedziałaś swoje, panno Willis... lady Saro. To całkowicie zmienia postać rzeczy.

Poczuła gwałtowną ulgę. Jej blef zadziałał. Puści kobiety i będzie dręczył kogoś innego.

Jednak jego następne słowa zburzyły jej pewność siebie.

- Wygląda na to, moja pani, że jednak pójdiesz z nami.

Rozdział 5

Jeśli prawa człowieka wytrzymają dyskusje i wyjaśnienia, prawa kobiet, idąc tym samym torem myślenia, nie unikną takiego testu: chociaż w tym kraju panuje na ten temat odmienna opinia.

Mary Wollstonecraft (1759-1797)
angielska pisarka, prekursorka feminizmu
Uzasadnienie praw kobiet

Gideon Horn przemierzał pokład Satyn 'usiłując nie słyszeć zawodzenia dochodzącego z ładowni, gdy rozkazał swoim ludziom zabrać haki, którymi Chastity był przycumowany do Satyra.

Do diabła z tymi kobietami i ich zawodzeniem! Czyż nie wiedziały, że ucieczka z Chastity była dla nich uśmiechem losu? Był kiedyś w Nowej Południowej Walii. Ta kolonia bezprawia, pełna morderców i złodziei, nie była miejscem dla kobiet, nawet dla kryminalistek.

Gdy Satyr odpłynął od Chastity, do kapitana podszedł Barnaby z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Cóż, chyba gładko poszło.
- Zachowaj swój cholerny angielski humor dla siebie, Barnaby. Nie jestem w nastroju.
- Hałas, jaki robią kobiety pod pokładem, niepokoi naszych ludzi.
- Słyszeli już wcześniej, jak płaczą kobiety - odparł Gedeon, wzruszywszy ramionami.

Musiał jednak przyznać, że lamente kobiet dochodzące z ładowni były znacznie gorsze od płaczu

które utraciły biżuterię. Krzyknął rozkaz do bosmana, potem zwrócił się do Barnaby'ego.

- Powiedz ludziom, żeby zatkali sobie uszy. Musimy żeglować, jeśli mamy zniknąć z pola widzenia, zanim Chastity wróci do Santiago i wyśle za nami pościg.

Barnaby potaknął, ale nie zostawił kapitana.

- Problem polega na tym, że to nie są zwykłe kobiety, tylko ich ewentualne żony, więc nie podoba i są tak zdenerwowane. Nie tego oczekiwali.

- Ja również nie tego oczekiwałem, możesz mi wierzyć. To ta przeklęta lady Sara. Były cicho, dopóki nie wrzuciłem jej razem z nimi do ładowni. Powinienem wiedzieć, że będzie je buntować. To wichrzycielka.

- Tak. - Wyciągnąwszy krótkie cygaro, Barnaby zapalił je i zaciągnął się głęboko. - Może powinieś ją zostawić. Rzucą tylko czcze groźby. Nawet jeśli udałoby się jej przekonać brata, żeby wszczął poszukiwania grupy skazanych kobiet, nie udałoby mu się nas znaleźć. Naszej wyspy nie ma na mapach i...

- Nie chciałem ryzykować. Jeśli nasz plan ma się powieść, musimy mieć spokój. Nie możemy ciągle oglądać się przez ramię, czy za nami nie ma jakiegoś przeklętego angielskiego hrabiego.

- Zabranie jej z nami na pewno temu nie zapobiegnie. A najwyżej pogorszy całą sytuację. Uważasz, że ten hrabia tak po prostu pozwoli na to, by jego siostra zniknęła, i nie będzie jej szukał? Cholernie w to wątpię.

Gideon popatrzył za szybko oddalającym się Chastity. Chociaż Barnaby miał rację, niełatwo mu było zaakceptować jego słowa.

- Jak powiedziałaś, kto nas znajdzie? Poza tym ta kobieta byłaby większym zagrożeniem w Anglii, gdzie mogłaby buntować swojego brata. Jeśli nie będzie miał jej u swojego boku, to może nie będzie mu się chciało ruszać tyłka. Gdybyś miała taką siostrę, to chciałbyś, żeby wróciła?

- Nie wiem. Może. - Barnaby z zamyślonym razem twarzy wypuścił kłęb dymu. - Jesteś pewien, że... hm... nie zabrałeś jej z nami z innych powodów?

Rzuciwszy mu gniewne spojrzenie, Gideon przeszedł na pokład rufowy.

- A co to ma niby znaczyć?

Barnaby poszedł za nim.

- Jest siostrą hrabiego, a ty jesteś znany z tego, że robisz różne rzeczy tylko po to, by utrzcę arystokratom nosa, kapitanie.

Gideon nie odzywał się, wchodząc na pokład rufowy i przejmując ster od bosmana. Nie mógł szczerze odpowiedzieć, czym się kierował, zabierając pannę Willis - lady Sarę - na pokład. Poza tym że gdy rzuciła mu w twarz tytuł swojego brata wściekł się.

Brytyjska arystokracja zawsze wywoływała w nim wściekłość. Te afektowane fircyki były zmo-
rą cywilizowanego świata. Gdyby nie tacy ludzie jak hrabia Blackmore i jego siostra, na świecie byłoby mniej ucisku i cierpienia, mniej okrutnego rozdzielania kochanków...

Zaklął, gdy odezwał się w nim na nowo ból z przeszłości. Bez względu na to, ilu książąt, markizów i wicehrabiów ośmieszył, jak często odbierał im ich własność i kpił sobie z ich statków wojennych, nie zmniejszyło to bólu ani nie zmieniło angielskiego systemu, który zniszczył jego ojca,

a matkę skłonił do zrobienia czegoś, co było nie do pomyślenia.

Jego matka. Dotknął palcami wysadzanej drogimi kamieniami klamry pasa. Kiedyś była to broszka, ale kazał przerobić ją na klamrę, żeby przypominała mu o zdradzie matki. Może Barnaby miał rację. Może zabrał na pokład lady Sarę, bo chciał ją ukarać za arystokratyczne pochodzenie.

- Jeśli nie zabrałeś jej na pokład z powodu jej pochodzenia - dodał Barnaby, jakby czytając w jego myślach - to może z powodu jej wyglądu. Jestem pewien, że zauważyłeś, iż to piękna młoda kobieta.

- Jest jedną z nich - rzucił. - To przeważa wszystko inne.

Kiedy Barnaby się roześmiał, Gideon mocniej zacisnął palce na sterze. Tak, zauważył apetyczną figurę i czarującą twarz lady Sary. Widział tylko kosmyk jej włosów, który wysunął się spod czepka, ale zauważył, że były ciemnorude. Przyłapał się na tym, że się zastanawiał, jak wyglądałyby rozpuszczone na wietrze albo opadające mokrą kaskadą na jej szczupłe plecy.

Świadczące o uporze plecy. Niech to wszyscy diabli, nie mógł przecież rozmyślać o tej dziewczynie w ten sposób. Była utrapieniem o niewyparzonym języku na Boga. Pomimo swojej urody nie mogła go skusić. Miał inne wymagania wobec przyszłej żony, a ona nie spełniała żadnego z nich. Chciał łagodnej panienki, która da mu spokój ducha i komfort psychiczny podczas długich nocy, a nie bezczelnej arystokratki, która zatrułaby mu i dni, i noc.

Nieważne dlaczego zabrałem ją z Chastity - warknął na Barnaby'ego. - Jest na pokładzie i już za późno,

żeby ją odesłać. - Kiedy spod pokładu dobiegła kolejna fala hałasu, Gideon zmarszczył brwi. - Szkoda. Te kobiety nie przestaną zawodzić dopóki ona będzie z nimi na dole.

- Najwyraźniej uważa, że jeśli kobiety będą wystarczająco głośne, zmienisz zdanie i pozwolisz im wrócić na Chastity.

- Wrócić na Chastity! Te kobiety mają szczęście, że wybawiono je od tego, co czekało na nie w Nowej Południowej Walii, nie wspominając już o dalszej podróży.

- Tak, ale one o tym nie wiedzą, prawda? A nie powiedziałeś im zbyt wiele o naszych zamiarach.

Gideon potarł dłonią nieogoloną szczękę.

- Masz rację. Tak się spieszyłem, żeby wsadzić je na pokład bez rozlewu krwi, że nie powiedziałem im niczego poza tym, że nasi ludzie potrzebują żon.

Ustabilizował ster. Może powinien je uspokoić. Może jeśli je zapewni, że nie stanie się im żadna krzywda, będą bardziej chętne do współpracy. To znaczy, jeśli uda mu się zmusić lady Sarę, żeby ich nie podburzała. Najwyraźniej przyjęła rolę rzeczniczki kobiet.

Na jego ustach pojawił się półuśmieszek. Rzeczniczka. Równie dobrze może przejść od razu do sedna problemu.

- Barnaby, idź na dół i przyprowadź lady Sarę do mojej kabiny. Potem wróć, żeby przejąć ster.

- Teraz?

- Teraz. Chyba nadszedł czas, abym odbył pogawędkę z tą irytującą kobietą.

^ ^ ^

Sara stała w ciasnej ładowni, z trudem powstrzymując rozpierające ją słuszne oburzenie. Jak ten przeklęty pirat śmiał je porwać! Jak śmiał tak po prostu je zabrać!

- No dalej, moje panie, wiem, że możecie jeszcze bardziej hałasować! - Sara krzyknęła nad głowami podopiecznych, które zawodziły i hałasowały, jakby odebrano im dzieci. - Zmusimy ich, żeby zawrócili statek, nawet gdybyśmy miały stracić głos!

- Mogą nas za to pozabijać! - krzyknęła Queenie ponad wrzawą.

Ona jedna nie akceptowała planu Sary, żeby działać piratom na nerwy, ale pozostałe kobiety ją zakrzyczały i uznały ten plan za równie dobry, jak każdy inny. Poza tym dzięki temu mogły coś zrobić, a nie tylko leżeć w ciemności i czekać, aż zostaną rozdane mężczyznom, jak rzeczy.

- Gdyby chcieli nas zamordować, już by to zrobili - odkrzyknęła Sara. - Powiedzieli, że potrzebują żon! Pokażmy im, że będą z nas okropne żony, a może nas puszczać!

Właśnie wypowiadała te słowa, gdy włąz ładowni otworzył się i jeden z piratów zszedł do połowy wąskich schodów. Natychmiast wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Sara gestem uciszyła kobiety, przyglądając się nowemu napastnikowi. Jego elegancki ubiór sprawiał, że wyglądał zupełnie inaczej niż jego towarzysze. Prawdę mówiąc, w Anglii mógłby uchodzić za dandysa w swoich jedwabnych pończochach, kamizelce w paski i fularze związanym w fantazyjny węzeł Bergami.

Kiedy kobiety zamilkły, skinął głową do Sary.

- Kapitan chce z tobą zamienić słowo, lady Saro, gdybyś więc zechciała pójść ze mną.

Ależ ten człowiek był Anglikiem! Pośród tych barbarzyńskich mieszkańców kolonii był przynajmniej jeden Anglik, jeden człowiek, który mógł mieć jakieś moralne skrupuły.

Mógł. Jednak był piratem.

Gdy to powiedział, kobiety skupiły się wokół niej, jakby chcąc chronić Sarę. Chociaż ten gest ją wzruszył, jednak na nic się nie zdał. Same sobie nie mogły zapewnić bezpieczeństwa, a tym bardziej jej.

- Wszystko w porządku, moje panie. - Zmusiła się, by uśmiechnąć się uspokajająco. - Pójdę porozmawiać z kapitanem, jeśli sobie tego życzy. Kto wie, może się opamiętał.

Sceptyczne spojrzenia kobiet nie dodawały jej otuchy. Ostatnie, czego chciała, to znaleźć się w prywatnej kabinie samozwańczego satyra. Pod pewnym siebie wyrazem twarzy skryła przerażenie, wyprostowała się i ruszyła w stronę schodów.

Kiedy dotarła do pirata, odsunął się i przepuścił ją przodem. Zawahała się tylko przez chwilę, zanim to zrobiła. Gdy wspinała się po schodach, nie mogła nie unosić spódnicy. Nie wiedziała, dlaczego zadawała sobie trud, żeby zachowywać się skromnie. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie dane jej będzie dłużej cieszyć się dziewictwem. Jednak zwyczaje arystokracji były w niej zbyt mocno zakorzenione, żeby mogła z nich tak łatwo zrezygnować.

Gdy tylko znaleźli się na pokładzie, pirat chwycił ją zaskakująco delikatnie za ramię i zatrzymał.

- Jestem Barnaby Kent, pierwszy oficer. I zanim zaprowadzę cię do kapitana, chcę cię ostrzec przed niewłaściwym zachowaniem w jego obecności.

Starła się mówić jak najbardziej wyniosłym głosem.

- Niewłaściwym zachowaniem? Czy istnieją jakieś zasady pirackiej etykiety, o których nie wiem?

Jego usta drgnęły.

- Nie. Ale może ci się przydać kilka rad na temat naszego kapitana. - Skinął głową w stronę rufy. - Na twoim miejscu nie obiecywałbym sobie zbyt wiele po pokrewieństwie z hrabim Blackmore'em.

- A to dlaczego?

- Nie słyszałaś o lordzie piratów? Wiem, że często o nim piszą w londyńskich gazetach. Z jakiegoś powodu wyrażenie „lord piratów” brzmiało znajomo, natomiast „Satyr” i „kapitan Horn” nie. Jej serce zaczęło bić mocniej.

- Lord piratów. Chodzi ci o tego... tego okropnego człowieka, który ma w zwyczaju atakować arystokratów, ilekroć nadarzy się okazja?

- Tak - odparł sucho. - Ten „okropny człowiek” to Gideon Horn. Twój porywacz.

Przełknęła gwałtownie ślinę. Dobry Boże. A więc stąd właśnie słyszała o Satyrze, z gazet. Nic dziwnego, że kapitan piratów tak się wściekł, kiedy rzuciła mu w twarz tytuł Jordana. Sądziła, że mówi mu o swym bracie, polepszy ich sytuację, ale niestety tylko ją pogorszyła.

- R-rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. Kapitan Horn nienawidzi arystokratów, powinnaś więc powstrzymać się przed przypominaniem mu o swoim arystokratycznym pochodzeniu, jeśli nie chcesz, żeby pokazał swoją gorszą twarz.

- A posiada lepszą? Na twarzy pirata pojawił się uśmiech.

- O tak. - Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów. - Zwłaszcza jeśli chodzi o tak urodziwą kobietę jak ty.

Spuściła wzrok, po czym zarumieniła się.

- W takim razie uważam, że uroda w tym wypadku jest ciężarem, a nie atutem.

- Nie robi ci krzywdy. To nie w jego stylu. Ale nie mogę gwarantować za jego temperament, jeśli będziesz go drażnić swoimi koneksjami. Radzę żebyś zważała na to, co mówisz. Tak będzie lepiej dla was obojga i dla tamtych kobiet.

Wydawał się tak szczerzy, że była tym poruszona, Oto człowiek, któremu zależało. Może będą mogły to wykorzystać.

- Jesteś Anglikiem, prawda? Wiesz, że to, co robi kapitan Horn, to barbarzyństwo. Proszę, przekonaj go, żeby nas wypuścił, zawrócił do Santiago i zrezygnował ze swoich planów.

Wszystkie oznaki troski o jej los zniknęły, gdy jego oczy stały się twarde jak dwa kawałki węgla.

- Dawno temu straciłem wszelkie poczucie lojalności wobec Anglików, milady. Poza tym jestem ostatnią osobą, która mogłaby przekonać kapitana, żeby was wypuścił.

- Dlaczego?

- Ponieważ to był mój pomysł, żeby porwać statki ze skazanymi kobietami.

Otworzyła usta. Potem je zamknęła. Powinna się domyślić. Piratowi nie można było ufać, bez względu na to, jakiej był narodowości. Nigdy by im nie pomógł. Nie było dla nich żadnej nadziei.

- Zaprowadź mnie do kapitana - odezwała się z przygnębieniem w głosie. Nie było sensu tego od-

wlekać; równie dobrze teraz mogła stanąć twarzą w twarz swoim przeznaczeniem.

Szli w milczeniu pod takielunkiem pokładu rufowego. Kątem oka zauważyła kapitana stojącego tyłem do nich przy sterze powyżej, i w tej chwili przebiegły jej po kręgosłupie. Jego sztywna postawa, szeroko rozstawione nogi, szerokie, nieprzystępne plecy... nigdy wcześniej nie widziała tak przerażającej męskiej postaci. Pan Kent nie musiał się obawiać. Nie miała zamiaru drwić sobie z kapitana Horna. Najmniejszego zamiaru.

Pan Kent wprowadził ją przez drzwi pod pokładem rufowym do szerokiego pomieszczenia, które przypominało salon na Chastity. Nikogo tam nie na szczęście, bo wszyscy znajdowali się na pokładzie, starając się odpłynąć jak najdalej od Chastity. Jednak niebawem pomieszczenie wypełni się piratami, którzy będą pić, uprawiać hazard i...

Nie chciała nawet myśleć, co jeszcze mogą robić. Przynajmniej ona i kobiety miały krótką chwilę wytchnienia. A może jeśli porozmawia rozsądnie z Kapitanem, uda się jej przekonać go, żeby zmienił zdanie.

Ta myśl zniknęła, kiedy pan Kent otworzył drzwi do kajuty kapitana na rufie statku i wpuścił ją do środka. Rozejrzała się wokoło, czując ogarniającą ją rozpacz na widok luksusowo urządzonego wnętrza i szafki wypełnionej bronią. Tak nie wyglądała kajuta uczciwego człowieka, który ulitowałby się nad statkiem pełnym skazanych kobiet. To była kajuta rozwiązanego mordercy. I nie będzie dla nich żadnej litości, żadnej.

- Kapitan zaraz do ciebie przyjdzie – mruknął Kent, zanim wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Nie usłyszała go. Była zbyt zajęta rozglądanie się po kajucie. Dotychczas odwiedziła tylko jedną kapitańską kajutę, tę, która należała do kapitana Rogersa. Jej spartańskie wyposażenie, marna tapicerka ścienna sprawiały, że wyglądała raczej jak kajuta chłopca okrętowego w porównaniu z tą tutaj.

Każdy mebel został wykonany z najlepszego mahoni, począwszy od biurka zagraconego przyrządami i papierami, po szafkę z pistoletami i nożami wszelkiego rodzaju, zamkniętymi za kryształowymi drzwiami. Szafirowe zasłony przeszycie złotą nitką, a na podłodze leżał perski dywan, co było przejawem ekstrawagancji w warunkach, w których woda stanowiła nieustanne zagrożenie.

Jednak najbardziej niepokoiło ją stojące w jednym rogu przestronnej kajuty duże mahoniowe łóżko, którego słupki zdobiły takie same motywy satyra jak na galionie statku. Narzuta z krwisto czerwonego jedwabiu i sarta czarnych poduszek przykrywały pluszowy materac. Podeszła w transie do łóżka, zastanawiając się głośno, jakie rozpustne i okrutne akty miały tutaj miejsce.

Bezwiednie dotknęła haftowanego jedwabiu, gdy w jej głowie pojawił się nagle sugestywny obraz ciemnowłosego kapitana piratów. Musiał mieć w tym łóżku wiele kobiet. Poczła dziwny żar rozlewający się po jej ciele na myśl o nim pochylającym się nad kobietą, dotykającym jej tymi dużymi dłońmi, całującym ją pełnymi, drwiącymi ustami...

- Szukasz śladów złodziejstwa, rabunku i gwałtu, lady Saro? - rozległo się za nią.

Odwróciła się gwałtownie od łóżka, a jej twarz oblała się głębokim rumieńcem. Dobry Boże, to był on, kapitan piratów we własnej osobie. Co

za wstyd! Teraz miała coś jeszcze, co mogła dodać do listy swoich poniżających doświadczeń.

Zamknął drzwi z uśmiezkiem błakającym się po jego ustach, podczas gdy ona stała bez słowa.

- Narzuta należała do okropnego wicehrabiego, który płynął do Ameryki, aby poślubić pewną dziedziczkę fortuny - powiedział, odpinając szablę od pasa i wieszając ją na haku przy drzwiach. Potem podszedł do biurka i rzucił jej bezczelne spójnie. - Z radością ściągnąłem narzutę z jego łózka, które dzielił z kochanką.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie, co pan Kent powiedział o nienawiści kapitana do arystokracji. Może powinna powiedzieć mu prawdę o swoich wątpliwych powiązaniach. Może wtedy będzie, bardziej skłonny wysłuchać jej błagania.

- Kapitanie Horn, chyba powinnam... yyy... coś ci wyjaśnić. Nie jestem... to znaczy... nie powinienes nazywać mnie lady Sarą.

W przytłumionym świetle kajuty jego nagły grymas sprawił, że jeszcze bardziej przypominał jakąś postać z mitologii, groźne, przerażające stworzenie, które w każdej chwili mogło ją pożreć.

- Och? A to dlaczego?

- Ponieważ w zasadzie nie jestem damą - nie w takim znaczeniu, o jakie ci chodzi.

Chociaż nie patrzyła na niego, czuła siłę jego niechęci, kiedy się do niej zbliżył.

- Nie jesteś siostrą hrabiego Blackmore'a?

- Cóż, tak, jestem. W pewnym sensie. - Głośno przełknęła ślinę. - Jego ojciec, zmarły hrabia Blackmore, adoptował mnie, kiedy ożenił się z moją owdowiałą matką. Nie jestem więc tak naprawdę lady Sarą, lecz panną Willis.

Kiedy się nie odezwał, ośmieliła się ponownie na niego spojrzeć i odkryła, że wyglądał bardziej na zaskoczonego niż rozłoszczonego.

- Chcesz mi powiedzieć - odezwał się - że chociaż zostałam adoptowana przez hrabiego i w sensie prawnym weszłam do jego rodziny, nie możesz używać grzecznościowego tytułu, który może używać każde z jego pozostałych dzieci?

Nigdy wcześniej nikt tego nie ujął w ten sposób.

- No cóż, nie, nie mogę.

Prychnął.

- To najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. - Przesunąwszy dłonią po rozczochranych, falujących włosach, rzucił jej groźne spojrzenie. - Daję słowo, że nigdy nie zrozumiem was, Anglików. Nie spotkałem się jeszcze z tak liczbą zasad, które wywołują wrogość między rodzinami, jaką wy macie u siebie. Młodszy syn nie może dziedziczyć, córki nie mogą dziedziczyć, ojcowie walczą ze swoimi spadkobiercami. To przekłety bałagan.

Jego komentarz na temat zasad panujących w angielskim społeczeństwie zaskoczył ją. Piraci nie miewali opinii na takie tematy. Ani nie wyrażali ich w tak elokwentny sposób.

- Musisz przyznać, że ten system dobrze się sprawdzał przez setki lat - powiedziała słabo w obronie swoich rodaków.

Uniósł brew.

- Doprawdy?

W tym jednym słowie udało mu się zawrzeć całą swoją pogardę dla wszystkiego co angielskie. Co mogło wywołać w nim takie uczucia? Bycie dawną brytyjską kolonią było dla Amerykanów drażliwym tematem, ale Gideon prezentował skrajną posta-

wę. I chociaż Sara umierała z ciekawości, nie spytała dlaczego tak bardzo nienawidził Anglików. Wątpiła, aby ten dumny pirat odpowiedział na jej pytanie. Czy nawet, aby takie pytanie mu się spodobało.

Gideon przyglądał się Sarze, jakby chciał zajrzeć do jej umysłu. Znosiła namiętne spojrzenia lordów i pożądlive spojrzenia wielu więźniów w Nawgate, i oczywiście wszystkich tych marynarzy. Ale nigdy mężczyzna nie przyglądał się jej z takim skupieniem.

Było to co najmniej niepokojące. Spuściła wzrok, usiłując wymyślić, co mogłaby powiedzieć, żeby odwrócić od siebie jego uwagę.

- W każdym razie, jestem pewna, że nie o tym chciałeś ze mną porozmawiać.

To wyrwało go z milczenia.

- Zdecydowanie nie o tym. - Podeszedł do biurka i usiadł w fotelu, potem wskazał na stojące obok krzesło. - Usiądź, lady Saro.

Chociaż zrobiła, co jej powiedział, zaprotestowała:

- Powiedziałam ci. Nie możesz nazywać mnie...

- To mój statek i moje zasady. Będę cię nazywał tak, jak mi się spodoba. - Przesunął wzrokiem po ciele Sary, zanim zatrzymał się na jej twarzy. - I będzie mi to przypominać, że masz przyrodniego brata, który gdzieś tam się czai, żeby mnie zaatakować.

Wzdrygnęła się, słysząc jego sarkazm. Ależ on wcale nie bał się Jordana. Bez wątpienia słysząc jej wyznanie, uznał, iż Jordan nie stanowi już dla niego zagrożenia. A nie to chciała osiągnąć.

Wyprostowała się na krześle i skrzyżowała ręce na udach.

- Fakt, że Jordan jest moim przyrodnim bratem a nie bratem rodzonym niczego nie zmienia, kapitanie Horn. On o mnie nie zapomni. Zapewniam cię, że będzie cię ścigać, jak tylko się dowie, co się wydarzyło. Statek wojenny będzie wszędzie za tobą płynął. Nie będziesz w stanie pływać po morzach z obawy przed moim bratem.

Jej słowa nie wywarły na Gideonie takiego wrażenia, jak chciała. Na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

- Więc nie ma sensu, abyśmy gdziekolwiek płynęli, gdy już dotrzemy do celu.

- Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

- Rzucamy piractwo, moi ludzie i ja. Dlatego właśnie potrzebujemy żon.

Aż zaniemówiła z wrażenia. Rozejrzała się po luksusowo urządzonej kajucie.

- Rzucacie? - wykrztusiła.

- Tak. Rzucamy. Zapewne wiesz, że piractwo ostatnio stało się bardzo niebezpieczną profesją. Większość rządów pragnie wytropić i zniszczyć takich jak my. A ja i moi ludzie mamy więcej niż trzeba, żeby wygodnie żyć. Nie chcemy zakończyć naszej wspaniałej kariery na stryczku, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Przytaknęła odruchowo. Wystarczająco długo pracowała w Newgate, żeby zrozumieć gwarowe określenie na powieszenie. Ale przejście na emeryturę? Piraci przechodzący na emeryturę?

Rozparłszy się na krześle, splótł palce na brzuchu i przyglądał się jej tym swoim wywołującym niepokój wzrokiem. Miała wrażenie, że dotyka jej ust, policzków, nawet dobrze skrytego biustu. Gdyby inny mężczyzna tak na nią patrzył, Sara byłaby

zbulwersowana. Dlaczego więc jego spojrzenie powodowało u niej przyspieszone bicie serca?

- Problem polega na tym, że - ciągnął niższym, bardziej ochryplym głosem - nie mamy kraju, w którym moglibyśmy osiąść.

- A Ameryka?

- Nawet tam nie możemy. Powiedzmy, że Ameryka nie darzy sympatią większości z nas. I wątpię, by jakiekolwiek amerykańskie miasto z otwartymi ramionami przyjęło bandę piratów.

- Mam nadzieję - mruknęła, a zaraz potem nieomal nie odgryzła sobie języka, widząc jego gniewne spojrzenie.

Ale najwyraźniej szybko się opanował, bo kiedy odezwał się ponownie, jego głos był całkowicie obojętny.

- Widzę, że rozumiesz naszą sytuację. Na szczęście ja i moi ludzie znaleźliśmy wyspę, na której żyją tylko dzikie świnie. Są tam strumienie ze słodką wodą i bujna roślinność, a wyspa jest na tyle duża, aby mogła na niej zamieszkać całkiem spora grupa ludzi. Zdecydowaliśmy się więc tam osiedlić, zbudować nasz własny kraj.

Jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej mroczne, niemal hipnotyczne.

- Jest tylko jeden problem. Nie mamy kobiet. A kolonia bez kobiet... cóż, chyba możesz zrozumieć nasz dylemat.

Uśmiech, którym ją obdarzył, był tak nieoczekiwane czarujący, że siłą powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć tym samym. Nie chciała dać się oczarować temu... temu podstępemu łotrowi. Absolutnie tego nie chciała.

- Ale dlaczego te kobiety? Dlaczego nie poszukacie sobie żon na Wyspach Zielonego Przylądka?

- A jak sądzisz, dlaczego byliśmy w Santiago? - Odwrócił wzrok i spochmurniał. - Niestety, niewiele kobiet chce wyjechać na nieznaną wyspę, gdzie będą odcięte od rodziny i będą musiały pracować, żeby wyspa nadawała się do zamieszkania. Nawet te... yyy... frywolne uważają, że to mało kusząca propozycja.

Frywolne rzeczywiście. Zarumieniła się wbrew sobie. Poruszyła się na krześle.

- Dziwisz się im?

Znowu na nią spojrzął i uśmiechnął się, jakby jej zażenowanie sprawiało mu przyjemność.

- Chyba nie. Mają powody, żeby pozostać na Santiago. Ale dla kobiet z Chastity sytuacja jest całkowicie inna. Skazane są na życie w niewoli na obcej ziemi. Wybraliśmy je, ponieważ pomyśleliśmy, że będą wołały wolność z nami od narzuconej niewoli z okrutnymi byłymi skazańcami Nowej Południowej Walii.

- Chyba nie bardzo rozumiem różnicę między byłymi skazańcami a piratami. I ci, i ci są przestępcami, prawda?

Zacisnął mocno szczęki, przez co wyglądał jeszcze groźniej.

- Uwierz mi, jest istotna różnica między moimi ludźmi a tymi rzezimieszkami.

- Oczekujesz, że uwierzę ci na słowo?

- Nie masz wielkiego wyboru, prawda? - Chociaż widział jej niezadowoloną minę, to najwyraźniej trzymał nerwy na wodzy. - Poza tym nasza wyspa ma więcej do zaoferowania niż Nowa Południowa Walia, gdzie pogoda jest beznadziejna, podobnie jak rząd. Mamy idealną pogodę, przyjemne warunki, mnóstwo jedzenia, i żadnego rządu, poza naszym własnym. Nie ma tam strażników więziennych, żad-

nych magistratów, które mogłyby uciskać biednych i nabijać kabzę bogatym... to raj. Albo raczej będzie raj, jeśli wy, panie, do nas dołączycie.

Utkwił w niej przenikliwe spojrzenie. Przedstawił piękny obraz swojej wyspy, ale Sara nie dała się oszukać. Nowa Południowa Walia mogła się okazać nieprzyjazna na dłuższą metę, ale kobiety miałyby tam przynajmniej jakiś wybór. Nie musiałyby wychodzić za mąż wbrew własnej woli. Chociaż mieszkańcy kolonii mogli uważać skazane za prostytutki, zawsze istniałaby możliwość, że ciężką pracą zasłużą sobie na szacunek. Niektórym z deportowanych kobiet udało się nawet wrócić do swoich rodzin w Anglii.

- A na wyspie kapitana Horna nie będzie takiej możliwości. Będą na łasce jego i jego ludzi.

- Raj? - Wstała, szeleszcząc spódnicą. – Masz na myśli raj dla ciebie i twoich ludzi. Nie powiedziałaś, dlaczego miałyby być to raj dla kobiet. Będą zmuszone do poślubiania was i do pracy dla „kraj”, którego nie wybrały.

On także wstał, obszedł biurko i stanął zaledwie kilku centymetrów od niej, zmarszczywszy brwi.

- Uważasz, że mają jakiś wybór w Nowej Południowej Walii? Byłem tam. Widziałem, jak traktuje się tam skazane kobiety. Rozdawane są wśród kolonistów jako niewolnicza siła robocza, chociaż powszechnie wiadomo, że mężczyźni będą kazali im pracować wyłącznie w pozycji leżącej. Znowu gwałtownie się zarumieniła, słysząc jego wulgarną uwagę.

- Te, które nie zostaną wybrane na służące, zostaną umieszczone w załoczonych fabrykach, w których warunki są gorsze niż w angielskich więzieniach. Takiego właśnie losu chcesz dla swoich

podopiecznych, lady Saro? Ja oferuję im wolność, a ty oferujesz im to.

Jego niesprawiedliwe oskarżenie ją zabolowało,

- Wolność? Tak właśnie nazywasz zmuszanie do małżeństwa? Mówisz, że twoja kolonia będzie lepsza, ale nie przedstawiłeś mi na to żadnych dowodów. Zamierzasz rozdać te kobiety swoim ludziom, tak samo jak robią to australijskie władze. Proponujesz im małżeństwo, ale to nadal jest narzucona niewola, czyż nie?

Zmrużył oczy.

- Założmy, że mogłyby wybrać - wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby już ich pożłował.

Była zaskoczona, ale jednocześnie pojawiła się u niej nadzieja.

- Wybrać co? Czy jechać na twoją wyspę?

- Nie. Wybrać mężów. Mogą spędzić tydzień, poznając mężczyzn i warunki panujące na wyspie. Po tym jednak będą musiały zaakceptować oświadczyzny mężczyzny, który najbardziej im się spodoba.

Zastanawiała się nad tym przez moment. Było to lepsze niż jego wcześniejsza bezduszna oferta, ale z pewnością nie tak dobre, jak dawanie kobietom wyboru pomiędzy powrotem na Chastity a pójściem z piratami. Chociaż wcale nie była pewna, czy chcą wracać. Wiedziała, że mógł mieć rację co do losu, jaki czekał skazane kobiety u celu ich drogi.

Gdyby tylko mogła być pewna, że jego ludzie rzeczywiście mieli zamiar przejść na emeryturę. Gdyby wiedziała coś o ich charakterach. Westchnęła. Byli piratami. Co jeszcze powinna wiedzieć?

Niemniej oferował coś, czego kobiety mogły nie dostać w Nowej Południowej Walii - szansę wyboru tego, kto zostanie ich panem.

- Tydzień to krótko - zaczęła. - Cóż, możemy nie dotrzeć do twojej wyspy, do czasu...

- Dopłyniemy do Atlantydy za dwa dni - przerwał jej.

- Atlantydy? - powtórzyła. - Jak grecka Atlantyda?

Na chwilę jego spojrzenie złagodniało.

- Niektórzy mówią, że Atlantyda była utopią, ludy Saro. I właśnie to chcielibyśmy stworzyć. Utopię.

- Utopię, w której mężczyźni dokonują wszystkich wyborów, a kobiety żadnych.

- Oferuję im wybór.

- Możemy dostać dwa tygodnie?

Jego twarz przybrała groźniejszy wyraz.

- Jeden tydzień. Ani dnia więcej. Tak czy inaczej twoje kobiety będą miały mężów. Poświęcam bardzo wiele, pozwalając kobietom wybrać, a nie mężczyznom. Mężczyznom to się nie spodoba.

- A co, jeśli kobieta zdecyduje, że nie chce wychodzić za mąż?

- To nie podlega dyskusji. - Wsunął kciuk za szeroki skórzany pas z tą dziwną klamrą. - Jeśli kobieta nie wybierze sobie męża pod koniec tygodniu, mąż zostanie wybrany dla niej.

- Dzięki Bogu, że nie targujemy się o nic ważnego - warknęła. - Najpierw, oczywiście, będę musiała porozmawiać z kobietami. Nie mogę za nie podjąć takiej decyzji.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że to będzie oznaczać koniec lamentów.

Te słowa były rozkazem. Wzruszyła ramionami.

- Jeśli zgodzą się na twoje warunki, to zapewne tak. - Wyglądziwszy suknię, dodała: - Mogę odejść, kapitanie Horn, i przedstawić im twoją ofertę?

- Oczywiście. Daję ci godzinę. Potem przyślę do ciebie Barnaby'ego po odpowiedź.

Odwróciła się do drzwi, czując ulgę, że wreszcie będzie mogła uwolnić się od jego niepokojącego towarzystwa.

Ale kiedy otwierała drzwi, powiedział:

- Jeszcze jedna rzecz, lady Saro.

Odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć.

- Tak?

- Gdybyś nie zrozumiała - ta oferta dotyczy wszystkich kobiet na statku. Również ciebie. Masz tydzień, żeby wybrać męża spośród moich ludzi, - Zamilkł, a na jego usta wypłynął złośliwy uśmiešek. - Albo dołożę wszelkich starań, żeby go dla ciebie wybrać.

Rozdział 6

*Och, dowodzę silną bandą
Piratów śmiałych i wolnych.
Nie uznaję żadnych praw,
Mój statek Jest moim tronem,
Królestwem mym jest morze.*

R. B. Dawson
Pirat z Wyspy

Pospiesznie przemknęła przez salon, a potem weszła na pokład.

Cóż za zwierzę! Unikała małżeństwa przez pięć lat ponieważ nie mogła znaleźć właściwego mężczyzny, a teraz on uważał, że może ją oddać pierwszemu lepszemu łotrowi!

Mrużąc ocz w ostrym słońcu, szybko przeszła przez pokład do ładowni. Jego niedoczekanie! Ninie pozwoli, żeby przywiązał ją do jakiegoś lego pirata!

Schyliła się, żeby otworzyć właz, a u jej boku natychmiast pojawił się młody człowiek o krótko przyciętych włosach.

- Pomogę ci, panienko - powiedział.

Jego uprzejmość całkowicie ją zaskoczyła. Kiedy spojrzała na niego zszokowana, dodał:

- Mam nadzieję, że paniom jest wygodnie na dole. Jeśli potrzebujecie czegokolwiek, proszę mi powiedzieć, a ja dopilnuję, żebyście to dostały.

Chociaż trudno było się gniewać w obliczu takiej uprzejmości, Sara wciąż przeżywała spotkanie

z kapitanem Hornem. Taki pokaz troski jej nie zwiódł.

- Jedyłą rzeczą, której panie teraz pragną, to wolność. Możesz im to zapewnić? - Kiedy się zarumienił i wymamrotał, że to mógłby zrobić jedynie kapitan, warknęła: - Nie możesz nam zatem pomóc - i zesła pod pokład.

Chociaż statek piratów był mniejszy niż Chastity, ładownia była większa i nie miała krat. Pozbawiona koi zmuszała kobiety do dzielenia posłań ułożonych na podłodze. Na ścianach jarzyły się lampy, przez co powietrze wewnątrz statku przesiąknięte było ostrym zapachem palonego oleju.

Kiedy tylko kobiety zauważyły Sarę, poderwał się ze swoich posłań i pospieszyły do schodów.

- Co chcą z nami zrobić? - zapytała Queenie.

- Jak długo będziemy musiały zostać pod pokładem? - spytała inna kobieta, podczas gdy jedno z dzieci głośno zaczęło domagać się karmienia.

- Nie wiem, kiedy nas puszcza na górę - odpowiedziała, schodząc po stromych stopniach. - Ale wiem, co zamierzają z nami zrobić. Właśnie o tym kapitan kazał mi z wami porozmawiać.

Przedstawiła im umowę, jaką zawarła z kapitanem, opowiadając o wyspie Atlantydzie i o tym, czego żądali piraci. Kiedy skończyła, kobiety zamilkły. Najwyraźniej nie wiedziały, co począć z propozycją kapitana.

Po kilku chwilach z grupy wyszła Louisa. Jej blond włosy były potargane, a twarz miała bladą jak płótno.

- Chcesz powiedzieć, że ci mężczyźni zamierzają nas zmusić do małżeństwa, a potem więzić na jakiejś bezludnej wyspie przez resztę naszego życia? - W jej głosie wyczuwało się panikę. - Nigdy nie będziemy mogły wrócić do Anglii?

- Kto chciałby wracać do Anglii? - odezwała się Queenie, zanim Sara spróbowała odpowiedzieć. - Nic tam nie czeka na żadną z nas. Poza tym, gdybyśmy dotarły do Nowej Południowej Walii, porzucono by nas na pastwę losu. Kiedy skończy się wyrok, same będziemy musiały zapłacić za bilet powrotny do Anglii, a to raczej nie będzie możliwe, bo kosztuje fortunę.

- Ale ja mam rodzinę w Anglii, Queenie - zawołała jedna z młodszych kobiet. - Muszę zatroszczyć się o mamę. Jest sama...

Sara klasnęła w dłonie, żeby się uciszyły.

- Obawiam się, że kapitan Horn jest zdecydowany nas zatrzymać. Poszedł tylko na jedno ustępstwo pozwalając nam wybrać mężczyzn, których chcemy poślubić.

- Nam? - Na twarzy Louisy pojawił się wyraz niedowierzania. - Ty, dama, także musisz wyjść za mąż?

- Nie jestem damą. Hrabia Blackmore jest moim przyrodnim bratem. Ale tak, mnie także kazał wyjść za mąż. - Chwyciwszy się schodów, gdy statek się zakołysał, Sara dodała: - Wszystkie w tym tkwimy. Kiedy minie tydzień, mamy wybrać sobie mężów, bo inaczej kapitan Horn wybierze ich dla nas sam. Możemy sprawić, że Atlantyda stanie się naszym domem albo więzieniem. On nie da nam żadnej alternatywy.

- To nie wydaje się takie okropne – wyrzuciła z siebie Ann. - Będziemy miały mężczyzn, o których będziemy mogły dbać, i może dzieci...

- Nie każda z nas marzy o mężczyźnie i dzieciach, o których mogłaby się troszczyć, Annie warknęła Louisa. - Niektóre z nas mogą się spokojnie bez tego obejść.

- A co z tymi, które nie są atrakcyjne dla mężczyzn? - dobiegał głos gdzieś z tyłu. Sara popatrzyła w tamtą stronę; na beczce z wodą siedziała Jillian, kobieta około sześćdziesięcioletnia. - Nie wszystkie jesteśmy młode - dodała.

- To prawda.

Sara zmarszczyła brwi. Nie pomyślała o tym. Spośród nich trzy kobiety były w takim wieku, że nie mogły już mieć dzieci. Wątpiła, aby pirat z których większość miała około czterdziestki, chcieli się z nimi żenić.

- A co, jeśli nie jesteśmy zbyt urodziwe? - spytała młoda kobieta, której twarz naznaczona była bliznami po ospie. - Co, jeśli żaden mężczyzna nas nie zechce?

Sara jeszcze bardziej zmarszczyła brwi. Przeklęty kapitan Horn i jego niefrasobliwe założenia. Jego paskudny plan miał kilka poważnych mankamentów. Mężczyźni będą zabiegać o względy kobiet, ale będą konkurować o najładniejsze i ignorować resztę. A potem co? Kiedy urodziwe wybiorą sobie mężów, kapitan zmusi pozostałych mężczyzn, żeby ożenili się z kobietami, których nie chcą? A co z kobietami, które mają dwoje lub troje dzieci? Czy się spodziewa, że piraci zaopiekują się całymi rodzinami? A jeśli odmówią? Co się stanie z dziećmi?

- Sądzę, że kapitan Horn nie przemyślał wszystkich możliwości - powiedziała Sara.

Mógł sobie pomstować na angielski system klasowy, ale sam najwyraźniej nie miał pojęcia, jak zbudować społeczeństwo.

- Wygląda na to, że będę musiała odbyć z nim kolejną rozmowę. Może kiedy dotrze do niego zło-

zoność sytuacji, zrozumie, że nie może od nas oczekiwać zgody.

Wszystkie wyraziły aprobatę, chociaż niektóre mruczały, że równie dobrze mogą mieć za męża pirata, jak i kolonistę. Najwyraźniej kobiety nie były zgodne w tej kwestii.

- Jeśli chodzi o mnie - odezwała się Queenie - to nic chcę być przywiązana tylko do jednego mężczyzny, gdy na wyspie jest tylu innych.

Kiedy kobiety roześmiały się, Sara pohamowała uśmiech. Ciekawie będzie obserwować, jak kapitan Horn poradzi sobie z niepoprawnymi „splamionymi gołębicami” jak Queenie. Wyspa pełna skazanych kobiet i piratów raczej nie stanie się utopią. I może kiedy ten łotr uświadomi sobie, że plan nie spełni jego oczekiwań, pójdzie po rozum do głowy. Może.

^ ^ ^

Gideon siedział na biurku i osełką ostrzył swoją szablę.

Skaleczył się w palec. Klnąc, wytarł krew w skórzaną kamizelkę. Niebezpiecznie było trzymać ostrze w ręku, kiedy jego myśli zaprzętała Sara Willis. Kładąc szablę na kolanach, zapatrzył się nieobecny wzrokiem na drzwi. Nie mógł uwierzyć, że pozwolił, aby tak go rozżłościła. Do diabła z tą kobietą! Była mu kamieniem u szyi. Gdyby nie ona, nie dręczyłoby go sumienie, że porywa skazane kobiety z Chastity. Kobiety byłyby szczęśliwe, on i jego ludzie byłiby szczęśliwi, i wszystko byłoby w jak najlepszym porządku.

Gdyby nie panna Willis.

Barnaby miał rację: powinni byli zostawić tę przeklętą damę na Chastity. Wtedy jej brat – nie, brat przyrodni – mógłby z nią zrobić to, co uważał za stosowne.

Z przekleństwem na ustach Gideon rzucił osełkę na biurko. A w ogóle co to był za brat, który pozwalał takiej kobiecie jak ona płynąć statkiem pełnym skazańców? Hrabiego Blackmore'a należałoby wychłostać. Gideon nigdy nie pozwoliłby swojej siostrze – nawet przyrodniej – zrobić czegoś tak głupiego, a już na pewno nie siostrze, która była arystokratką.

Jęknął. Sprawiała, że teraz myślał jak przeklęty Anglik. Jej szlacheckie urodzenie nie miało znaczenia. Nie była lepsza od którejkolwiek z tych tu kobiet, i nie zasługiwała na lepsze traktowanie.

Poza tym nie była bezbronna, z tym swoim niewyparzonym językiem. Ale nauczy ją pokory, nawet gdyby musiał zakneblować jej usta.

Usta Sary. Niech Bóg ma go w swojej opiece, przychodziły mu do głowy lepsze sposoby, żeby zamknąć jej usta... przyjemniejsze sposoby! Na ułamek sekundy puścił wodze fantazji, jak by to było całować te zuchwałe usta, czuć, jak się przed nim rozchylają i...

Rozległo się pukanie do drzwi; Gedeon poderwał się z jękiem, odrywając myśli od ponętnej panny Willis.

- Co tam! - warknął, ponownie biorąc do ręki osełkę.

Do środka wszedł Barnaby z jednym z ludzi Gideona, a między nimi jakiś niewysoki marynarz.

- Znaleźliśmy go schowanego w szalupie, kaptanie. - Barnaby pchnął mężczyznę do środka. - Sądzymy, że był na Chastity.

Gideon rzucił im surowe spojrzenie. Nie mówiąc słowa, ponownie zaczął ostrzyć szablę. Mężczyzna pobałdł.

- Czy mogę wiedzieć - spytał spokojnie kapitan – jak się nazywasz i co robisz na moim statku?

- Nazywam się Petey Hargraves, *sir*. Zakradłem się na pokład, kiedy zabieraliście kobiety na Satyra. Ja chcę być piratem, *sir*.

Kolejny żądny bogactwa.

- Dlaczego tego chcesz? To nie jest lekkie życie. Musisz ciężko zapracować na złoto i robić różne nieprzyjemne rzeczy.

Hargraves wyglądał na cokolwiek chorego, ale stał wyprostowany.

- Cóż, *sir*... yyy... prawda jest taka, że nie mam wielkiego wyboru. Chciałem popłynąć do Nowej Południowej Walii, żeby dorobić się fortuny, ale pan pokrzyżował mi plany. Nie mogę wrócić do Anglii, więc się schowałem na waszym statku.

Przynajmniej był szczery. Gideon wciąż ostrzył szablę.

- A dlaczego nie możesz wrócić do Anglii?

Czubki odstających uszu Hargravesa poczerwieniały.

Uciekłem na morze przed katem, *sir*. Zabiłem człowieka. Nie mogę tam teraz wrócić.

Nie mogę tam teraz wrócić. Te słowa brzmiały wiarygodnie. Ale reszta... czy ten człowiek mógł kłamać? Chociaż jego historia wydawała się prawdopodobna, w zachowaniu Hargravesa było coś takiego, co kazało Gideonowi podejrzewać, że nie mówił całej prawdy.

Z drugiej jednak strony większość ludzi Gideona miała jakieś sekrety. Dlatego postanowili szukać szczęścia jako piraci. I żaden marynarz nie

skryłby się na pirackim statku, chyba, że był zdesperowany.

Gideon przerwał ostrzenie szabli, żeby przyjrzeć się uważnie mężczyźnie. Chciał więc dołączyć do piratów, tak? Był niski, ale miał wystarczająco silną budowę. Pewnie sprawdziliby się we wspinaniu po takielunku. Jednak taka umiejętność nie będzie już Gideonowi przydatna.

- Powiedz mi, Peteyu Hargravesie, co wiesz o rolnictwie?

Hargraves wpatrywał się w Gideona, jakby ten oszalał.

- O rolnictwie, *sir*?

- Tak, o rolnictwie - odparł zniecierpliwiony Gideon. - Albo o ciesielce czy wyrobie cegieł. Czy wiesz coś na temat tych rzeczy?

Hargraves zerknął na Barnaby'ego, który powiedział tylko:

- Odpowiedz kapitanowi, człowieku.

- Ja... ja nic nie wiem... Jestem marynarzem, *sir*, i to dobrym. - Widząc, że Gideon zmarszczył brwi, pospiesznie dodał: - I jestem dobry w walce. Wiem, że nie wyglądam, ale mogę powalić mężczyznę dwa razy większego od siebie.

Gideon jeszcze bardziej się skrzywił.

- Nie będą mi potrzebni dobrzy bokserzy ani marynarze, kiedy dotrzemy do naszego celu, więc do niczego mi się nie przydasz. Barnaby. Zakuj go w kajdany, dopóki...

- Wiem, jak zabić i rozebrać zwierzę! - wyrzucił Hargraves.

Gideon odłożył szablę i osełkę i rzucił marynarzowi sceptyczne spojrzenie.

- Naprawdę? Umiesz obdrzeć ze skóry świnię i zakonserwować?

- Tak. - Hargraves oddychał teraz ciężko. - Mój ojciec był rzeźnikiem. Nauczył mnie wszystkiego, co umiał. I wypłynął w morze po tym, jak stracił swój sklep.

Rzeźnik. Przydałby im się rzeźnik na Atlantydzie. O ile ten człowiek mówił prawdę. Niemniej warto było zaryzykować.

- Coś ci powiem, Angliku. Możesz dołączyć do mojej załogi na czas podróży do naszego celu. - Kiedy Hargraves zaczął mu dziękować, kapitan podniósł do góry rękę. - Ale będziesz musiał udowodnić, że warto cię potem zatrzymać. Nie będę tolerował lenistwa. Jeśli sobie ubzdurałeś, że piraci to próżniacy, to jesteś w błędzie. Jeśli nie wykonasz swojej dziennej normy, porzucę cię na bezludnej wyspie.

Zignorował uniesioną brew Barnaby'ego. Nidy wcześniej nikogo nie porzucili, nawet angielskich arystokratów, których nienawidzili, ale Gideon najwyraźniej chciał porządnie mężczyzną nastraszyć. Może Hargraves pomyśli dwa razy, mim następnym razem zakradnie się na piracki statek.

- Każ mu wyszorować pokład - rozkazał Gideon, a potem ponownie sięgnął po szablę.

Ale jego pierwszy oficer nie poruszył się.

- Kapitanie?

- Tak? - odparł Gideon, nie podnosząc wzroku.

- Zbliża się pora posiłku. Co mamy zrobić z kobietami?

Kobiety. Były tak cicho przez ostatnią godzinę, że Gideon prawie o nich zapomniał.

- Mamy wystarczająco dużo jedzenia, żeby je nakarmić. Niech Silas przygotowuje posiłek dla nich i dla dzieci, oczywiście.

- Ale mamy wypuścić je na pokład na czas jedzenia?

Kiedy Gideon uniósł wzrok, zauważył, że Hargraves z uwagą przysłuchiwał się ich rozmowie. Może ten mężczyzna nie zdradził im prawdy. Może wśród skazanych znajdowała się jego ukochana. Cóż, był to dosyć niewinny powód, żeby zakraść się na statek, i Gideon nie mógł go za to winić.

- Nie, jeszcze nie. Muszę o czymś porozmawiać z mężczyznami, zanim pozwolę wyjść kobietom.

- O czym? - spytał Barnaby.

Gideon popatrzył na swojego pierwszego oficera.

- Wkrótce się dowiesz. - Wyciągnął z kieszeni zegarek i sprawdził czas. Minęła godzina od jego rozmowy z panną Willis. Nadeszła pora, by się dowiedzieć, czy kobiety przyjęły jego propozycji. - Ale przyprowadź tutaj pannę Willis. Musimy dokończyć naszą rozmowę.

Chociaż Barnaby rzucił mu pytające spojrzenie zignorował je. Jeszcze nie powiedział pozostałym o propozycji, jaką złożył kobietom. Nie chciał znosić narzekań i utyskiwań swoich ludzi, dopóki nie będzie pewny, że kobiety się zgodziły.

Barnaby i jego kolega wyszli, zabierając ze sobą Hargravesa.

Gideon nie pomyślał, jak trudno będzie powiedzieć załodze, że dał prawo wyboru kobietom. Co za diabeł w niego wstąpił, żeby zasugerować coś takiego? Przecież te kobiety nie oczekiwały takich przywilejów. W Nowej Południowej Walii nie miałyby żadnego wyboru.

Otworzywszy szufladę biurka, zaczął w niej grzebać, dopóki nie znalazł napoczętej butelki rumu, którą trzymał tam na wypadek febry. Rzadko pijał ciężkie alkohole, ale dzisiaj było to uzasadnione.

Pociągnął łyk, zakasłał, po czym wziął kolejny. Jego gniew troszkę zelżał.

I co z tego, że dał kobietom wybór? Chciał, żeby były zadowolone. Wtedy zrobią to, co im się powie, i będą się starać na równi z mężczyznami. Kobiety były potrzebne na Atlantydzie nie tylko to, by zapewnić mężczyznom możliwość zaspokojenia ich potrzeb, ale także by gotować, tkać, zajmować się ogrodem i robić te wszystkie rzeczy, o których jego ludzie mieli niewielkie pojęcie. A jeśli odrobina wolności uczyni je bardziej uległymi, to tym lepiej dla wszystkich. Mężczyźni zrozumieją, kiedy im się to wyjaśni.

Oczywiście wołałby, aby jego żona wyszła za niego z własnej woli.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi. Wkładając butelkę rumu do szuflady, kapitan usiadł wyginie na krześle i zawołał:

- Proszę.

Weszła panna Willis. Kiedy poprzednio opuszczała jego kajutę, była wzburzona, teraz wydawała się przybita, a nawet wystraszona. Co dziwne, nie podobała mu się u niej taka postawa, przez co odezwał się ostrzej, niż powinien.

- No i? Co zdecydowały kobiety? Sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała jego pytania.

- Kiedy tu szłam, zauważyłam, że wzięłeś do niewoli jednego z marynarzy z Chastity. Co zamierzasz z nim zrobić?

Z jakiegoś powodu troska Sary o nisko urodzonego angielskiego marynarza zirytowała go.

- Wyrzucić go za burtę, oczywiście. - Kiedy jej przerażone spojrzenie powiedziało mu, że uwierzyła w to co mówił, dodał: - Przyłączył się do nas.

To wszystko. - Na twarzy Sary odmalowała się ulga, co skłoniło go do zadania pytania: - A dlaczego cię to obchodzi?

Odwróciła wzrok.

- Nie chcę, żeby coś złego spotkało kogokolwiek z załogi Chastity.

- To miłe z twojej strony.

Przemknęło mu przez myśl, że to dla panny Willis Hargraves zakradł się na jego statek. Potem odsunął od siebie tę myśl jako absurdalną. Brytyjscy marynarze byli za mądrzy na to, żeby zakochiwać się w kobietach z wyższego stanu. A tak urodziwa kobieta jak panna Willis z pewnością nigdy nie zainteresowałaby się takim mizerakiem jak Petey Hargraves.

Tak czy siak, nie po to ją tutaj wezwał.

- Czy kobiety zdecydowały się przyjąć moją propozycję?

Zasła w niej jakaś zmiana. Zniknął strach, ustępując miejsca zdecydowaniu, które widział w jej mocno zacisniętych ustach i błyszczących brązowych oczach.

- Niezupełnie.

- Niezupełnie? - Wstał zza biurka, obszedł je i stanął naprzeciwko Sary. - Pamiętaj, że jeśli nie chcą tygodnia, żeby dokonać wyboru, po prostu pozwolę moim ludziom wybrać sobie kobiety...

- Nie! - Kiedy uniósł jedną brew, pospiesznie dodała: - To znaczy, oczywiście chcą tego tygodnia. Ale mają kilka pytań. My mamy kilka pytań. O tym, jak to będzie wyglądać w praktyce. Przyglądając się uważnie Sarze, oparł się biodrem o biurko. Wyglądała na podenerwowaną i chciał, aby właśnie tak się czuła. Im bardziej była podenerwowana, tym szybciej wszystko załatwią, i będzie mógł pozbyć się jej ze swojej kajuty.

Wolał się nie zastanawiać, dlaczego chciał się jej pozbyć.

- Zadaj swoje pytania, ale szybko. Muszę dowodzić statkiem.

Na jej twarzy odmalowało się uczucie ulgi. Wsunęła niesforny kosmyk włosów pod czepek i wyprostowała ramiona.

- Niektóre kobiety mają dzieci. Czy mężczyźni, którzy się z nimi ożenią, wezmą na siebie odpowiedzialność także za dzieci?

- Oczywiście. Nie jesteśmy potworami. Słyszając te słowa, nieznacznie zmarszczyła brwi.

Najwyraźniej nie zgadzała się z tym stwierdzeniem.

-A co ze starszymi kobietami? Jest kilka takich, które już nie mogą mieć dzieci. Jeśli żaden mężczyzna nie zechce się z nimi ożenić, czy wtedy wybierzesz im męża, który może ich nie chcieć?

Niech ją diabli, nie zastanawiał się nad tym. Ale to łatwo da się naprawić.

- Zrobię wyjątek dla starszych kobiet, które nie mogą mieć dzieci. Jeśli nie znajdą mężczyzny, który będzie chciał się z nimi ożenić, będą mogły zostać niezamężne.

- Więc jeśli kobieta nie znajdzie mężczyzny, który będzie chciał się z nią ożenić, nie musi wychodzić za mąż.

- Tego nie powiedziałem. Kobiety w wieku rozplodowym muszą wybrać sobie mężów, w przeciwnym razie mężowie zostaną wybrani dla nich.

Prychnąwszy, skrzyżowała dłonie na piersiach. Zastanawiał się, czy miała pojęcie, jak wygląda w tym idiotycznym czepku i skromnej sukni, poszarpanej w czasie pospiesznej ewakuacji na Satyra. Przypominała mu urwisa, który przyszedł

po prośbie do lorda. Tylko że on nie był lordem a ona z pewnością nie była urwisem. Udowodniła to, wyniosła unosząc głowę. - Założmy, że kobieta jest zbyt pospolita, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Zmusisz jakiegoś, żeby się z nią ożenił?

Słowa Sary poirytowały go, zarówno dlatego, że mówiła logicznie, jak i dlatego, że pogardzała jego planem. Podszedł do niej i z satysfakcją odnotował, że na jej twarzy natychmiast odmalowała się nieufność.

- Moi ludzie ostatnie osiem lat spędzili na morzu, tylko od czasu do czasu zawijaliśmy do jakiegoś portu na jedną noc, żeby mogli nacieszyć się kobiecym towarzystwem. Twoje kobiety mogłyby mieć końskie twarze i krzywe zęby, a moi ludzie i tak by je chcieli, zapewniam cię.

Nie była to do końca prawda, ale miał dość jej dociekliwości. Będzie przestrzegać jego zasad, nawet gdyby miał ją do tego zmusić!

Odsunęła się od niego, miała zaróżowione policzki. Ale nawet gdy dotarła już do drzwi jego kajuty i dostrzegła, że jest w pułapce, wciąż go nękała.

- Trudno mi uwierzyć, że twoi ludzie będą chcieli żon, które...

- Dość tego! - Oparł dłonie o dębowe drzwi po obu stronach jej ramion, zakleszczając ją w środku. - Twoje kobiety mają tydzień, żeby wybrać sobie mężów. Kiedy tydzień minie, zrobię, co zechcę, z tymi, które pozostaną niezamężne, i twoje gadanie nic tutaj nie zmieni!

- Ale nie przemyślałeś tego dokładnie - gorąco zaprotestowała, znowu unosząc swój śliczny podbródek.

- Jeśli zmusisz swoich ludzi...

- Dlaczego jesteś taka uparta? Martwisz się, że nie znajdziesz sobie męża? O to chodzi? Boisz się, nikt cię nie wybierze?

Pobladła.

- Ty okropny, podły...

- Bo nie musisz się o to martwić. Wielu mężczyzn na tym statku uzna cię za atrakcyjną.

Zanim zdążyła go powstrzymać, rozwiązał jej czepek, po czym rzucił go na podłogę. Gdy wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, szybko oddychając, poczuł gwałtowny i nieoczekiwany przyptyk pożądania. Kasztanowe kosmyki jej włosów wysunęły się z koka, jej oczy były niemal tego samego koloru, ciemnobrązowe w oprawie najdłuższych, najdelikatniejszych rzęs, jakie kiedykolwiek widział.

Na Boga, była piękna. Usta o odcieniu brzoskwini... białe czoło... i satynowa skóra z odrobiną piegów, które zdradzały jej złośliwą naturę. Jeszcze nie stał tak blisko Sary, nie miał okazji przyjrzeć się jej uroczej twarzy.

On i jego ludzie spotkali na swej pirackiej drodze wiele angielskich kobiet. I chociaż pocałował jedną czy dwie, żeby zagrać na nerwach ich napuszonym mężom, nie pragnął żadnej z nich. Nie tak, jak nagle zapragnął jej.

Ta myśl go przeraziła nie na żarty.

Ona nie była dla niego. Niech jeden z jego ludzi weźmie ją do swego łóżka i znosi jej charakterek i wygórowane wymagania.

Jednak to mu się nie spodobało.

Powinien się od niej odsunąć, ale nie był w stanie, dopóki nie zobaczy trochę więcej. Jak w transie wyciągnął spinki z jej włosów, aż opadły luźno na jej ramiona. Przeczesał je palcami, aż

kosmyki przesuwwały się między nimi jak jedwabne nici. Miękkie, takie miękkie. Kiedy ostatni raz dotykał w ten sposób kobiecych włosów? Ile czasu minęło, odkąd był tak blisko kobiety?

Owinął sobie miedziany pukiel wokół palca, i to najwyraźniej ją obudziło.

- Przestań - szepnęła.

- Dlaczego? - wygładził jej włosy, rozmyślając o tym, że ma najbielszą skórę, jaką zdarzyło mu się widzieć, skórę, która prosiła się o dotyk.

Sara wciągnęła powietrze, gdy przesunął palce po jej szyi.

- To... niestosowne - powiedziała.

Wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Niestosowne? Przekroczyliśmy granicę między tym, co stosowne i niestosowne, w chwili gdy opuściłaś Chastity. Jesteś na statku pirackim, pamiętasz? Sama w kajucie cieszącego się złą sławą kapitana piratów... Straciłaś swój mały, przyzwoity czepeczek... a ja zamierzam cię pocałować.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, wiedział, że popełnił błąd - i to nie z powodu oburzenia malującego się na jej twarzy. Pocałowanie jej byłoby niebezpieczne. Nie była kobietą dla niego.

Ale musiał jej raz posmakować. Tylko raz.

Więc zanim zdążyła zaprotestować, zbliżył usta do jej ust.

Rozdział 7

*Unikaj więc, och, unikaj tego nieszczęsnego stanu
I miej w pogardzie przymilnych pochlebców:
Szanuj siebie i mężczyznami pogardzaj
Musisz być dumna, jeśli chcesz być mądra.*

Mary lady Chudleigh (1656-1710)
angielska poetka
Do dam

Sara zamarła ze zdziwienia. Jego usta, zdecydowanie zbyt miękkie jak na pirata, przesuwały się po jej wargach z delikatną perswazją. Jego oddech, zaskakująco słodki, krzyżował się z jej oddechem. Kiedy przesunął językiem po jej wargach, podskoczyła. Pocałował ją! Ten... łądak miał czelność ją pocałować!

- Co się stało, lady Saro? - Jego głos był schrypnięty, a oczy ciemne i wymowne. Uniósł rękę i dotknął kciukiem jej dolnej wargi. - Nikt cię wcześniej całował?

Jej ciało zadrżało zdradziecko. Spróbowała skoncentrować się na tym, że jest oburzona jego zachowaniem, ale nie mogła myśleć, kiedy jej dotykał.

- Oczywiście... całowano... całowano mnie wcześniej.

Uniósł jedną brew, jakby jej nie uwierzył.

- Ktokolwiek to był, nie udało mu się ci uświadomić, że jesteś pociągająca. - Jego zgrubiały kciuk wodził, po krzywiznach jej górnej wargi. - Kto to był? Jakiś zwalający z kolan adorator, który ledwo co zdążył opuścić szkolne mury?

Naśmiewał się z niej, drań! Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Oficer angielskiej kawalerii, skoro musisz wiedzieć, żaden fircyk. Uniosła rękę, żeby go odepchnąć. Ale chwycił jej dłoń i położył ją sobie na karku.

- Może i nie był fircykiem, ale i nie na ryle mężczyzną, żeby zatrzymać cię w Anglii. I niezbyt wprawny w całowaniu, jeśli się nie mylę. Chociaż może potrzebujesz więcej materiału porównawczego.

Zanim zdążyła go powstrzymać, jego usta, zaborcze, nieustępliwe, znowu przywarły do jej ust. Tym razem jego wargi nie były delikatne. Wziął sobie jej usta, jakby mu się należały, jak przystało na pirata. Chwyciła go za włosy, chcąc odsunąć od siebie jego głowę, ale w tej chwili statek się zakołysał, popychając na nią kapitana z niemałym impetem. Przywarł do niej tak mocno, że aż sapnęła.

W momencie, kiedy otworzyła usta, wsunął w nie język. I ku jej przerażeniu odkryła, że było to... raczej podniecające. Zaskakująco podniecające. Zamarła, zapomniała, gdzie była... kim była. Zamiast pociągnąć go za włosy, wplotła w nie palce i przyciągnęła do siebie jego głowę.

Pocałunki pułkownika Taylora były ostrożne, niepewne, jakby nie chciał spłoszyć swojej ofiary. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, bo podobała jej się zuchwałość kapitana Horna. Pełne żaru ruchy jego języka... jego palce na jej plecach, przysuwające ją bliżej... bliżej...

Pocałunek trwał wiecznie, z każdą chwilą stając się coraz gwałtowniejszy i coraz bardziej zaborczy. Jego ręce zaczęły wędrować po jej biodrach, wzdłuż żeber,

aż w końcu dotarły do zewnętrznej strony piersi.

Odrywając usta od jego ust, zawołała:

- Nie wolno ci dotykać mnie w ten sposób! Nie no!

- Dlaczego nie?

- Ponieważ to nie jest... to nie jest właściwe!

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Odsunął kosmyk włosów, który opadł mu na czoło podczas ich burzliwego pocałunku.

- Czy nigdy nie robisz niczego, co jest niewłaściwe, lady Saro?

Lady Saro. Czy dlatego to robił? Chciał upokorzyć ją pocałunkami, ponieważ jej brat był hrabią? Było to równie wyrachowane, jak pocałunki pułkownika Taylora - to ją otrzeźwiło.

- Nie jestem lady Sarą. Nikt taki nie istnieje. Odwróciła od niego głowę. - Jestem panną Willis, to wszystko.

- Nie, nie panną Willis. - Ujawszy kobietę za podbródek, zmusił ją, aby na niego spojrzała. - Panna Willis to zbyt pruderyjne miano dla tak namiętnej kobiety jak ty.

- Wcale nie jestem namiętna! - zaprotestowała. - Nie podoba mi się...

Pozostałe słowa zdusił głębokim i namiętym pocałunkiem, z siłą człowieka, który zbyt długo przebywał na morzu. Kciukiem gładził jej szyję i zatrzymał się w miejscu, gdzie jej puls przyspieszał z każdym ruchem jego języka.

Spróbowała mu się przeciwstawić. Naprawdę próbowała. Opierając pięści na jego torsie, chciała go odepchnąć, ale jej próba była tak słaba, że nie przyniosła rezultatu. Chwyciwszy za nadgarstki, opuścił jej ręce w dół i przycisnął je do swojego

ciała. W końcu otworzyła dłonie i oparła je o niego. Wtedy puścił jej nadgarstki, ale tylko po to, żeby przywrzeć do niej swoim ciałem.

Przestała myśleć o poruszeniu się... mówieniu... nawet oddychaniu. Liczył się tylko ten mężczyzna ze swoimi szorstkimi dłońmi, który sprawiał, że czuła się jak kobieta, a nie reformator czy przyrodnia siostra hrabiego. Pachniał morze i rumem, i nie był to przykry zapach. Ich oddechy się połączyły, kiedy całował ją pożądliwie. Było dla niej coś tak nieznanego, że pozwoliła się temu porwać dla czystej przyjemności.

Chwycił ją za biodra i przycisnął do siebie tak mocno, że poczuła twardą wypukłość pod materiałem spodni. Zesztywniała. Jej matka otwarcie opowiedziała, jak kobieta i mężczyzna się kochają, więc Sara wiedziała, że to twarde wyrzucenie było dowodem jego podniecenia. Dobry Boże, nie może mu na to pozwolić!

Wydała z siebie zduszony krzyk, odepchnęła go i przecisnęła się obok niego, zanim zdążył ją zatrzymać. Jej usta płonęły od jego namiętnych pocałunków, a serce waliło jak oszalałe, jednak nie zwracała na to uwagi i pobięła w drugi koniec pokoju, szukając schronienia za jego biurkiem.

Jej policzki oblały się rumieńcem, kiedy powoli odwrócił się ku niej, z oczami błyszczącymi jak dwa kawałki kryształu. Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła, aby ta bestia jej dotykała. To się więcej nie powtórzy. Nie pozwoli mu na to!

Kapitan podszedł do biurka i oparł na blacie dłonie zwinięte w pięści. Jego oczy wciąż błyszczały przerażającym pożądaniem, a oddech miał ciężki.

- Widzisz, Saro, jesteś namiętna. Możesz trzymać się kurczowo konwenansów, ale oboje wiemy,

że nie jesteś taka porządna, za jaką chcesz uchodzić.

- Nigdy nie będziesz tak porządny jak ja!

- I dzięki Bogu - mruknął.

Rozłościło ją, że zamienił jej obelgę w komplement.

- Tak, lubisz być zbirem, prawda? Podoba ci się rozkazywanie kobietom i dzieciom! Jesteś taki sam jak ci angielscy arystokraci, których tak bardzo nienawidzisz, a którzy znęcają się nad swoimi dzierzawcami i traktują ich kobiety i dzieci jak swoje ruchomości!

W chwili gdy wypowiedziała te słowa, pożałowała ich, ponieważ posłał jej pełne obrzydzenia spojrzenie.

- Nic o mnie nie wiesz! Nic! Kiedy ostatni raz znalazłaś się w biedzie, lady Saro? Kiedy musiałaś walczyć o kawałek chleba albo znosić razy...

Przerwał i odszedł od biurka z tak mocno zaciśniętymi szczękami, że blizna na jego policzku pobieliała. Wziął kilka głębokich oddechów, nim odezwał się ponownie; głos miał spokojny, ale zdecydowany.

- Twoje kobiety i moi ludzie pasują do siebie. Rozumieją się. Tylko ty nie rozumiesz, nie widzisz, że oferuję tym skazanym więcej, niż mogą dostać gdziekolwiek indziej - dom i możliwość posiadania męża i rodziny. I tak, wybór...

- Wybór? Żeby wcześniej lub później zostać zakutymi w kajdany? Cóż to za wybór?

- Dostyc tych dywagacji! Akceptujesz moją propozycję bez zmian, jeden tydzień dla kobiet, żeby wybrały sobie mężów? Czy będę musiał to zrobić tak, jak początkowo zamierzałem, i pozwolić mężczyznom wybrać sobie kobiety, z którymi chcą się ożenić?

- Co z...?

- Tak czy nie, Saro? Jeśli pojawią się problem poradzę sobie z nimi bez twojej pomocy. Czy to rozumiałe?

- Tak. Jesteś małosłownym tyranem i będzie, jak zechcesz. - Prychnęła. - Dobrze. Przyjmujemy tydzień, który nam oferujesz. Ale nie obwiniaj mnie jeśli coś nie pójdzie po twojej myśli.

Jego oczy rozbłyły.

- Wszystko pójdzie dokładnie tak, jak zaplanowałem, zapewniam cię.

Ta przekłeta pewność siebie w jego głosie była taka... taka irytująca! Po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego plan może nie być doskonały. Cóż, niech sobie z tym radzi. Wkrótce się przekona, że nie można łączyć ludzi w pary, jakby byli byłem hodowlanym. A kiedy wszystko weźmie w łeb, ona będzie się śmiać - tak, śmiać się z niego!

Wyprostowawszy ramiona, rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

- Czy mogę teraz odejść, kapitanie Horn?

- Gideon. Nazywaj mnie Gideon. Nie mogła ignorować intymności, która kryła się za tym stwierdzeniem.

- Tylko dlatego, że mnie... pocałowałaś, nie oznacza, że...

- Ten pocałunek był pomyłką. To się więcej nie powtórzy. - Jego oczy błyszczały, zimne i obojętne jak szafiry. - Ale my, żądni krwi piraci, nie przestrzegamy etykiety, więc mów mi Gideon. - Podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce. - Teraz możesz odejść.

Nie wiedziała, czy powinna czuć się obrażona, czy czuć ulgę, że najwyraźniej całowanie jej było dla niego przykre. Oczywiście, że mi ulżyło, powiedziała sobie.

Nie chce, aby ten łajdak jeszcze kiedykolwiek mnie dotykał.

- No i? - Otworzył drzwi, jakby chciał ją wypchnąć na zewnątrz.

Zbierając całą swoją godność, obeszła biurko. Jej czepek leżał na ziemi; zatrzymała się, żeby go podnieść.

- Zostaw to tutaj - rozkazał ostro. - Wyglądasz lepiej z rozpuszczonymi włosami. Nie zakładaj go więcej. - Kiedy spojrzała na niego, zaskoczona tym nagłym zainteresowaniem jej włosami, dodał:

- Z rozpuszczonymi będzie ci łatwiej znaleźć męża, Saro.

Celnie ugodził jej próżność, sugerując, że w przeciwnym razie żaden mężczyzna nie zechce na nią spojrzeć. Podniósłszy czepek, zaczęła zbierać rozrzucone spinki do włosów. Kapitan ruszył w jej stronę, klnąc pod nosem.

- Jeśli go założysz, znowu ci go zdejmę. - Jego głos przeszedł w gardłowy pomruk. - A wiesz, co się dzieje, kiedy rozpuszczam ci włosy.

Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, podniosła się, uznawszy, że roztropniej będzie zostawić spinki. Zanim zdążyła zareagować, wyrwał jej czepek z dłoni. Zwinął go w kłębek i wcisnął do kieszeni spodni.

- Idź, zjedz kolację. Ale oczekuję cię na pokładzie za pół godziny - i pozostałych kobiet także.

- Po co?

- Powinniśmy poinformować o warunkach naszej umowy, nie sądzisz?

Kogo? Dobry Boże, do tej chwili nie przyszło jej do głowy, że trzeba będzie poinformować także załogę. Niewątpliwie nie miała ochoty być w pobliżu, kiedy to nastąpi.

Stała bardzo blisko niej. Gra światła sprawiła, że przez moment miała wrażenie, iż widzi rogi ukryte w jego kruczoczarnych włosach. Potrząsnęła głową, żeby odpędzić od siebie ten obraz. Nie był mitycznym stworem, bez względu na to, jak bardzo takiego stwora przypominał. Był człowiekiem i mogła go pokonać. Tylko jeszcze nie wymyśliła, jak tego dokonać.

- O co chodzi? - warknął. - Boisz się spojrzeć w twarz moim ludziom, kiedy im powiem, że będą musieli poczeekać na swoje szczęście, dzięki tobie?

Prychnęła.

- Niczego się nie boję.

Wyraz jego twarzy złagodniał. Powoli podniósł rękę, żeby odgarnąć kosmyk włosów z jej policzka. Wytrzymała jego dotyk, zdecydowana pokazać mu, że jej nie przeraża. Chociaż właśnie tak było.

- Mogę uwierzyć, że niczego się nie boisz, panno Saro Willis - powiedział, odsuwając rękę. - Podejrzewam, że mogłabyś zmierzyć się z całym angielskim królestwem - albo narodem amerykańskim - gdybyś musiała. - Zniżył głos. - Ale uważaj - nie jestem wymuskanym angielskim lordem, żeby mną rządziła krucha kobietka, bez względu na to, jak słodko całuje. A jeśli ponownie wywołasz bunt wśród kobiet, będziesz miała prawdziwy powód, żeby się mnie bać. Mogę ci to obiecać.

Po czym machnął dłonią w kierunku drzwi.

Uniósłszy wysoko głowę, przeszła przez drzwi i pobieгла na pokład. Kilku piratów uniosło głowę. Kiedy wymienili znaczące spojrzenia, zatrzymała się, a na jej policzki wystąpił rumieniec. Na Boga, ależ musiała wyglądać bez czepka, z rozpuszczonymi włosami i zaczerwienionymi ustami! Co musieli sobie

o niej pomyśleć!

Co sobie myśleli, można się było domyślić z ich uśmiechów. Wyprostowała się, ignorując ich śmiechy, gdy przechodziła między nimi do włazu. Nieszczęsne łotry! Pewnie przyzwyczajeni byli do tego, że kobiety opuszczały kajutę ich kapitana, wyglądając, jakby dopiero co zostały uwiedzione. Bez wątplenia pomyśleli, że uległa lordowi wśród piratów.

Trochę uległa. Ale to był tylko pocałunek. Cóż, dwa. A może trzy?

Dobry Boże, nie miało znaczenia ile; to koniec. On tak powiedział, a ona zamierzała tego dopilnować. Nie będzie już żadnych pocałunków, chyba że ten nikczemny pirat zmusi ją do tego.

^ ^ ^

Petey przyłączył się do piratów na pokładzie i przysiadł na stojącej nieopodal beczce, czując niepokój na myśl o przemowie kapitana. Jak miał wyciągnąć panienkę z tych tarapatów? Kiedy zakradł się na pokład Satyra, nie miał żadnego planu.

Wiedział jedynie, że nie może wrócić do Anglii bez panny Willis. Powodował nim bardziej strach przed tym, co hrabia może zrobić jemu i jego rodzinie, niż poczucie obowiązku.

Och, jasne, ten biedak wydawał się całkiem rozsądny, jednak rozsądny człowiek nie wysyła szpiegu za swoją siostrą i nie oferuje za to sowitej zapłaty. Nie, Petey nie zamierzał narażać się na gniew hrabiego. Tomowi była potrzebna ta praca w posiadłości hrabiego, zwłaszcza teraz, kiedy ojciec stracił sklep mięsny. Jednak Petey czuł się, jakby skoczył

z rozgrzanej patelni.

Rzeczywiście mógł wzbudzać strach, ale lord

piratów- Petey jęknął. Nieomal zwrócił cholerne śniadanie, kiedy kapitan piratów wspomniał o wyrzuceniu go za burtę. Była to powszechna praktyka wśród piratów, a myśl o tym przerażała Peteya. Dzięki Bogu, że przyszło mu do głowy, aby wspomnieć o ojcu. Oczywiście Petey przesadził, opowiadając o posiadanych przez siebie umiejętnościach rzeźniczych. A w ogóle po co piraci potrzebowali rzeźnika?

Ośloniwszy oczy przed zachodzącym słońce, Petey spojrzął na przechadzającego się po pokładzie rufowym lorda piratów - duże dłonie miał splecione za plecami, a na jego twarzy malował się gniew. Był w podłym nastroju, odkąd kazał zwolnić ludzi na pokład i posłał po kobiety.

Petey zastanawiał się, czy panienka miała z tym coś wspólnego.

Nagle z włazu za Peteyem wyłoniły się kobiety prowadzone przez pannę Willis. Napotkał jej wzrok, kiedy przechodziła obok, ale mogła jedynie posłać mu bezradne spojrzenie.

- O co tu chodzi? - mruknął stojący obok mężczyzna. Ten sam, który kilka godzin wcześniej rozdawał jedzenie, Silas.

Odpowiedział pierwszy oficer:

- Nie wiem. Ale ma z tym coś wspólnego lady Sara. Tego możesz być pewien.

Petey przełknął ślinę. Trzeba się modlić, żeby swoim niepoprawnym zachowaniem nie zgotowała kobietom jakiegoś straszego losu, chociaż musiał przyznać, że kobiety na razie traktowane były dobrze. Rozejrzał się po tłumie, szukając małej Ann, ale była niewysoka i nie mógł jej dostrzec.

Kiedy tylko kobiety ustawiły się na pokładzie, lord piratów skinął na pannę Willis, żeby do niego dołączyła na pokładzie rufowym, więc poszła,

choć miała nieufny wyraz twarzy, co zaniepokoiło Peteya. Kiedy stanęła u boku kapitana, ten zaczął mówić.

Początkowo Petey nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Kolonia? Piraci budowali kolonię? I chcieli, żeby kobiety dołączyły do nich jako ich żony? Kiedy lord piratów zajął statek i powiedział, że potrzebują żon, Petey sądził, że to jakiś żart. Ale najwyraźniej ten drań mówił poważnie.

Piraci, którzy chcą się ustatkować? Kto by pomyślał? Piraci za bardzo kochali złoto, żeby się gdziekolwiek osiedlić. Jednak zebrani zachowywali się tak, jakby nie była to dla nich nowina. Co więcej, Petey zauważył, że przyglądali się kobietom, jakby chcieli zdecydować, która im najbardziej odpowiada.

Przeszył go dreszcz. Jego mała Ann zostanie zabrana przez jednego z nich. Nie, tak nie może być! Skoro Petey był teraz jednym z piratów, też będzie mógł wybrać sobie żonę, prawda? A o Ann będzie walczył z każdym mężczyzną.

Po tym Petey już tylko jednym uchem słuchał o zasadach zalotów, które ustalił kapitan - że starsze kobiety zostają z nich wyłączone, a dzieci idą z matkami. Petey mógł myśleć wyłącznie o Ann... Jak uroczo będzie mieć ją za żonę... jak będzie mu wdzięczna za ocalenie przed piratami... jak bardzo pragnął ją pocałować.

Jego przyjemne rozmyślenia zostały gwałtownie przerwane, kiedy jeden z piratów zawołał:

- A co z siostrą hrabiego, kapitanie? Czy ona także musi wybrać sobie męża? Czy mamy założyć, że jest już zajęta?

Wśród chichotów, panna Willis patrzyła przed siebie w milczeniu, a jej policzki były ciemnoczer-

wone. Petey wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź kapitana.

Kapitan Gideon rzucił pierwszemu oficerowi pełne przygany spojrzenie.

- Tak, wybierze sobie męża jak pozostałe.

Petey zadrżał z przerażenia. Cholera jasna! Zmusić pannę Willis do poślubienia jednego z piratów? Ależ to było nie do pomyślenia! Nie taką damę jak ona!

Wszystkie jego marzenia o poślubieniu Ann rozplynęły się. Jeśli panna Willis także miała obiektem zalotów, Petey mógł zrobić tylko jedno: musi wypełnić swój obowiązek wobec niej. Będzie musiał się z nią ożenić - albo przynajmniej udawać, że się z nią żeni - żeby ją chronić przed tymi draniami, dopóki nie uda mu się jej bezpiecznie odwieźć do brata. Och, ale Ann...

Petey skarcił się w myślach. Ann bez dwóch zdań była ślicznotką, jednak obowiązek stawiał na pierwszym miejscu. Nie mógł zawieść rodziny, nie pomagając pannie Willis.

Kapitan Gideon rozglądał się teraz gniewnie jakby temat przysłego męża panny Willis też nie bardzo mu się podobał. Jednak nie przestawał mówić spokojnym i chłodnym głosem.

- Skoro już znacie sytuację, chłopcy, oczekuj że będziecie zachowywać się taktownie. Chcemy założyć kolonię, a nie dom rozpusty. Traktujemy kobiety z szacunkiem albo będziecie mieć ze mną do czynienia.

Panna Willis spojrzała na niego zaskoczona.

- Jeśli pogoda będzie nam sprzyjać, powinniśmy dotrzeć na wyspę za dwa dni. Do tego czasu wasze obowiązki pozostają bez zmian, ale możecie spotykać się z kobietami w wolnym czasie. Kobietom wolno będzie poruszać się po statku bez ograniczeń,

pod warunkiem że nie będą zakłócać jego funkcjonowania. Ale na noc będą zamykane w ładowni i pilnowane, na wypadek gdyby któremuś przyszło do głowy urządzić sobie noc poślubną przed ślubem.

Niektórzy mężczyźni mruknęli, ale szybko ucichli, widząc zmarszczone oblicze kapitana. Potem popatrzył na tłum, zatrzymując wzrok na mężczyźnie stojącym obok Peteya.

- Silas, będziesz odpowiedzialny za ustalenie, jakie umiejętności posiadają kobiety. I zrób listę narzędzi, jakie będą im potrzebne do szycia i temu podobnych zajęć. Chociaż przez jakiś czas powinniśmy trzymać się z dala od Santiago, to jednak dotrzemy na Atlantyde, mogę wysłać kilku mężczyzn na inne z Wysp Zielonego Przylądka po dodatkowe produkty.

- Kobiety mają już narzędzia potrzebne do szycia - wtrąciła panna Willis.

Przez cały czas milczała, więc teraz jej zdecydowany, ale łagodny głos szokująco kontrastował z ostrym, rozkazującym głosem kapitana.

- Dostały narzędzia i materiały na pokładzie Chastity, i wydaje mi się, że większość z nich zabrała je ze sobą na Satyra.

Kapitan zwrócił się ku niej, jakby dopiero teraz zauważył, że stała obok. Było jasne, że nie lubi, kiedy mu się przerywa.

- Dziękuję za wyczerpujący raport, panno Willis odezwał się oschle. - Czy chciałabyś dodać coś jeszcze?

Zarumieniła się pod jego spojrzeniem, ale nie spieszyła.

- Cóż, tak. Jeśli nie masz nic przeciwko, kapitanie, chciałabym kontynuować lekcje pisania i czytania, których udzielałam kobietom. - Kiedy kapitan Horn uniósł brew, pospiesznie dodała: - Mężczyźni też mogą się przyłączyć, jeśli chcą.

To wywołało salwę śmiechu i przez chwilę Petey miał wrażenie, że kapitan też się uśmiechnął. Ale kiedy lord piratów zwrócił się ponownie do swoich ludzi, po uśmiechu nie było śladu.

- Słyszeliście, chłopcy, co powiedziała panna Willis. Możecie przyłączyć się do lekcji, jeśli chcecie. Ale tylko wtedy, kiedy nie jesteście na warcie. - Spojrzał poważnie na załogę i dodał: - Możecie się rozejść. Zachowujcie się przyzwoicie.

Petey czekał na swoim miejscu, ponieważ nie mógł wrócić do piaskowania pokładu, dopóki wszyscy z niego nie zejda. Czekając, obserwował kapitana, który utkwiał wzrok w pannie Willis. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że kapitan śledzi każdy jej ruch. Jednak inni to zauważyli.

- Nieważne, co mówi kapitan, on chce tej dziewczyny dla siebie - odezwał się Silas stojący kilka kroków od Peteya i Barnaby'ego.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział Barnaby. - To angielska arystokratka, a wiesz, jakie on ma o nich zdanie.

- Nie obchodzi mnie, czy jest przeklętą Hotentotka z Południowych Mórz. Nie widziałeś, jak on na nią patrzy? Jakby od dwóch tygodni nie jadł porządnego posiłku, a ona była wyborym kawałkiem wołowiny. - Silas postukał końcem fajki o zęby. - Tak, on jej pragnie. Chodzi o to, żeby zrobić tak, by ona wybrała jego.

- To nie powinno być problemem. Gideon dostaje każdą kobietę, której pragnie. Jeśli rzeczywiście jej pragnie, ona

wkrótce będzie go błagać, żeby się z nią ożenił, zapamiętajcie moje słowa.

Petey obrócił się, żeby z ledwo skrywanym przerażeniem spojrzeć na obu mężczyzn. Żeniąc się z panną Willis, mógł chronić ją przed innymi piratami. Jednak przeciwstawić się lordowi piratów? Niech Bóg ma go w swojej opiece, bo byłoby to równoznaczne z włożeniem głowy w paszczę rekina!

Nagle Barnaby jakby poczuł na sobie wzrok Peteya. Odwrócił się i spojrział na niego surowo.

- Na co się gapisz, stary? Wracaj do swoich obowiązków!

- Tak jest, sir — mruknął Petey.

Podszedł do miejsca, gdzie zostawił wiadro i podniósł kamień, który marynarze nazywali „modlitewnikiem”, miękki kamień wielkości dłoni, używany do piaskownia trudno dostępnych powierzchni pokładu. Ale kiedy padł na kolana i zaczął szorować mokrym piaskiem tekowe deski, nie mógł przestać myśleć o pannie Willis. Musiał znaleźć sposób, by z nią porozmawiać. Musiał ją ostrzec żeby ostrożnie postępowała z kapitanem. Bo jeśli nie będzie, Petey zrobi coś drastycznego, by ją chronić. A wizja konfliktu z tym amerykańskim potworem nie napawała go radością.

Rozdział 8

*Żeglarz wie dzie prym,
Młode dziewczyny godzą się z tym,
I nie jest winą naszą,
Że pragnienie w żeglarskich ramionach
gasną.*

John Clayford (1623-1686)

księgarz, wydawca muzyczny, pisarz i muzyk

Jowialny żeglarz

Słońce chowało się za horyzont, jak złoty wisior bogów zanurzający się w połyskliwym morzu. Sara przechyliła się przez poręcz i wpatrywała w swoje odbicie w wodzie, żałując, że nie może po prostu przejść po słonecznej ścieżce aż do samej Anglii i bezpiecznego domu. Nie chciała tego przyznawać, ale Jordan miał rację. Ta podróż od samego początku była niefortunna.

A ten przeklęty kapitan tylko pogorszył spraw. Och, jak musiał się śmiać, kiedy wyszła z jego kajuty, z tego, że uległa jego pocałunkom! Jakże musiała go cieszyć jej słabość! Zamiast kłócić się o kobiety, pozwoliła, żeby śmiało sobie z nią poczynał. Skutecznie odwrócił jej uwagę, bez wątpienia dla swoich nikczemnych celów.

Z pewnością nie z powodu prawdziwego zauroczenia. Dał to jasno do zrozumienia, najpierw w kajucie, a także później, kiedy publicznie odrzucił ją na oczach swoich ludzi, zachowując się, jakby była... częścią pirackiego łupu, który on może rozdysponować tak, jak uzna za stosowne! Policzki zaczęły jej płonąć na samą myśl o tym. Sprawił, że zmiękła po to tylko, by mógł oddać ja pierwszemu lepszemu

mężczyźnie, który o to poprosi. Nikczemnik!
Łajdak! Nienawidziła go!

- Panno Willis.

Odwróciła się i zobaczyła Louise przedzierającą się przez tłum kobiet jedzących na pokładzie kolację, z talerzem duszonej wołowiny, sucharami w jednej ręce i kubkiem wody z odrobiną whisky w drugiej.

- Musisz jeść - powiedziała tonem guwernantki, którego miała w zwyczaju używać. Wyciągnęła ku niej tackę z talerzem. - Musisz zachować siły.

- Po co? - westchnęła Sara, chociaż wzięła kubek. - Nie ma sensu z nimi walczyć. Zrobią z nami, co zechcą.

- To nieprawda. - Postawiwszy talerz na pudle nieopodał, Louisa wzięła suchara i wcisnęła go Sarze w dłoń. - Udało ci się ich przekonać, by dali nam wybór. To więcej, niż miałyśmy wcześniej.

- Też mi wybór. - W odruchu sprzeciwu wyrzuciła suchara do morza. Nie miała apetytu, nie po spotkaniu z tym okropnym kapitanem piratów. Kiedy ponownie się odezwała, w jej głosie pobrzmiewała złość: - Możemy wyjść za mąż za starego lub za młodego pirata, za odważnego albo tchórzliwego, ale musimy wyjść za piratów i żyć na jakiejś zapomnianej wyspie, gdzie możemy nigdy nie spotkać się z naszymi rodzinami... - Jej głos załamał się na myśl o rozłące z Jordanem na resztę życia.

Bez względu na to, co powiedziała Gideonowi, wiedziała, że Jordan nigdy jej nie odnajdzie. Jak mógłby to zrobić? Szukałby w niewłaściwych miejscach, nie przypuszczając, że piraci są na wyspie. W jej oku pojawiła się łza. Nigdy nie płakała. Była na to zbyt praktyczna. Jednak dzisiaj

czuła się bardzo niepraktycznie...

Mruknąwszy ze zrozumieniem, Louisa ścisnęła jej ramię.

- No już. Nie martw się tym. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Obok Louisy rozległ się kolejny, tym razem szorstki głos.

- Jeśli pani nie będzie jadła swojej kolacji, winna oddać ją innym, a nie marnować, wyrzucając do morza.

Sara i Luisa odwróciły twarze do jednonogiego kucharza, który groźnie im się przyglądał. W jednym ręku trzymał dzbanek z wodą, a w drugiej dłoń, który służył mu za laskę. Cętkowana, brązowosiwa broda, zasłaniająca pół twarzy, nadawała mu groźny wygląd, który przeczył ewentualnej słabości, jaką mogłaby sugerować obecność laski.

Kolejny pirat, który będzie je dręczył. Sara miała ich serdecznie dość i z pewnością nie była w nastroju do walki.

Najwyraźniej Louisa miała całkiem odmieni nastrój, ponieważ wyprostowała się i pogroziła mężczyźnie palcem.

- Jak śmiesz czepiać się tej biednej kobiety z powodu tych obrzydliwych sucharów! Gdybyś zrobi suchary nadające się do jedzenia, *sir* to może nie musiałaby ich wyrzucać!

Zaskoczony, zamrugał.

- Suchary nienadające się do jedzenia? - Podniósł głos. - Suchary nienadające się do jedzenia? Dla twojej informacji, *madam*, wypiekam najlepsze suchary na pełnym morzu!

- To niezbyt pocieszające, zważywszy, że suchary na statkach są ohydne.

- Już dobrze, Louiso, nie musisz mnie bronić zaczęła Sara.

Louisa ją zignorowała.

- Te suchary były tak twarde, że z trudem udało mi się je przełknąć. A jeśli chodzi o duszone mięso...

- Słuchaj, ty przemądrzała jędo - odezwał się kucharz, wybijając rytm słów laską - wszystko jest w porządku z duszonym mięsem Silasa Drummonda, i wyzywam każdego mężczyznę - albo kobietę żeby zrobili lepsze, jeśli potrafią!

- Proszę bardzo. Chyba będzie lepiej, jeśli ja się zajmę gotowaniem. - Louisa uniosła rąbek lichego fartucha, który kobiety nosiły jako część więziennego uniformu. - Oczywiście będzie mi potrzebny lepszy fartuch i porządny czepek, ale jestem pewna, że uda nam się coś znaleźć... och, i gdybyś zechciał pokazać mi, gdzie są zapasy...

- Nic z tego! - Na twarzy Silasa malowała się zabawna mieszanina wściekłości i niedowierzania.

Ku zaskoczeniu Sary Louisa nie zwracała uwagi jego wściekłość.

- Jak więc mam przygotować jutrzejszy obiad?

- Nie przygotujesz jutrzejszego obiadu! - warknął.

- Moja kuchnia nie jest dla paniusi, która pewnie nawet nie wie, jak wyczyścić z soli wołowinę!

Sara oparła łokieć o balustradę, obserwując z rozbawieniem tę wymianę zdań i mając już pewność, że Louisa może zadbać sama o siebie.

- A co jest trudnego w ugotowaniu porządnego posiłku? Widziałam, jak gotują niektórzy z najlepszych kucharzy na świecie. Pracowałam dla księcia Dorchester przez jakiś czas. Zatrudniał dwóch francuskich kucharzy. Sądzę, że nauczyłam się od nich tego i owego.

- Francuscy kucharze? Angielski książę? - wyrzucił z siebie Silas. - Nie zbliżysz się nawet o krok do mojej kuchni, ty... ty...

- Nazywam się Louisa Yarrow, ale możesz do mnie mówić panno Yarrow - odparła sztywno Louisa.

Wyglądał na tak zaskoczony tym protekcjonalnym stwierdzeniem, że Sara musiała kaszlem, zamaskować wybuch śmiechu.

- Nie obchodzi mnie, jak mam cię nazywać, ani jak się nazywasz - warknął, podchodząc do Louisy. Nagła fala zakolysała statkiem, i podczas gdy Sara i Louisa musiały uchwycić się balustrady, Silasowi udało się jakimś cudem zachować równowagę, jakby jego stopy przyspawane były do pokładu. - Nie zbliżysz się do mojej kuchni, kobieto. Mam wystarczająco dużo zmartwień, mając do nakarmienia tyle kobiet. Niepotrzebna mi pod bokiem żadna wichrzycielka.

- Może Louisa mogłaby ci trochę pomóc - wtrąciła się Sara.

Musiała przyznać, że duszone mięso nie wyglądało ani nie pachniało zbyt zachęcająco, a kiedy rozejrzała się po pokładzie, zauważyła, że kobiety jadły swoje porcje bez apetytu, chociaż były głodne.

- To wspomniały pomysł - odezwał się jakiś głos. Sara obróciła się i zobaczyła angielskiego pierwszego oficera z krótkim cygarem w ustach. - Czemu by nie pozwolić kobietom pomóc w kuchni?! Prawda jest taka, że przydałoby się nam porządne żarcie dla odmiany.

Silas spojrział wrogo na pierwszego oficera.

- Stajesz po stronie tej kobiety? Dostę mam twoich narzekań. I jej narzekań też. - Odwrócił się i odszedł

wołając: - Niech ta jędza poda wam ociupinę francuskiego bulionu, a przekonacie się wtedy, czy będzie wam smakować. Za tydzień będziecie błagać o moje jadło. Przekłęci angielscy głupcy. Daję słowo...

Mruczał pod nosem, przeciskając się między kobietami siedzącymi na pokładzie. Ale kiedy Louisa ruszyła za nim, Barnaby zatrzymał ją ręką.

- Nie przejmuj się nim. To stary zrzęda, który nienawidzi kobiet. Podobno dlatego, że żadnej nie udało mu się zadowolić w łóżku, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jakaś stara wojenna rana. - Barnaby obdarzył Louise przymilnym uśmiechem, ukazując przy tym piękne zęby. - Jeśli szukasz męża, lepiej ci będzie ze mną. Wszystkie części mojego ciała są w doskonałej formie.

Na ustach Louisy pojawił się chłodny uśmieszek.

- Doprawdy? Proponuję więc, abyś poszukał sobie żony, która z radością będzie o nie dbać i utrzymywać w tak dobrej formie. Obawiam się, że ja bym je nadwyreżyła. - Powiedziawszy to, uniosła spódnic i ruszyła za Silasem, podczas gdy Barnaby gapił się za nią, instynktownie złączywszy nogi.

- Nic jej nie rusza, co? - rzucił, odwracając się ponownie do Sary.

- Niezupełnie. Po prostu nie przepada za mężczyznami.

- Ach - odezwał się Barnaby, jakby zrozumiał.

Ale grymas na jego twarzy pokazywał, że nie zrozumiał. Jakże mógłby? Nigdy nie był skazany na łaskę mężczyzny, nigdy jego życie nie zostało całkowicie zniszczone przez płć przeciwną. Żaden mężczyzna, który nie był dręczony wyłącznie z powodu swojej płci, nie mógł zrozumieć nienawiści Louisy.

- A ty? - spytał. - Także nienawidzisz mężczyzn?

Niestety nie, pomyślała, przypominając sobie z żałowaniem, jak zareagowała na pocałunek Gideona.

- Tylko tych mężczyzn, którzy próbują odebrać mi wolność.

Słońce w końcu zaszło, a szary zmierzch pogłębił intensywną czerń oczu Barnaby'ego, który uważnie się jej przyglądał.

- Chodzi ci o takich mężczyzn jak nasz kapitan?

Nutka ironii w jego głosie sprawiła, że Sara się zaczerwieniła. Wszyscy uznali, że ona po prostu padnie zemdlona w ramiona ich wspaniałego kapitana. A gdyby znali przynajmniej część prawdy - że niemal tak się stało - pękaliby ze śmiechu. Opuściwszy wzrok, przesunęła palcami po gładkiej powierzchni balustrady.

- Tak, takich. Oczywiście. Nie miał prawa porwać nas wbrew naszej woli.

Barnaby zaciągnął się od niechcienia cygarem.

- Rozejrzyj się, panno Willis. Czy masz wrażenie, że te kobiety mają coś przeciwko temu, że zostały wyswobodzone?

Przyjrzała się im. Ktoś zapalił już latarnie, oświetlając grupki kobiet i mężczyzn śmiejących się i rozmawiających. Kobiety oceniały mężczyzn, niektóre dyskretnie, inne bardziej otwarcie. Jakiś młody pirat objął ramieniem śliczną więźniarkę, która nie tylko na to pozwoliła, ale spojrzała na niego z uśmiechem. Nawet starszą kobietę, która po południu rozprawiała o niewielkich szansach na znalezienie męża, teraz adorował jakiś siwowłosy marynarz, jeden z niewielu starszych mężczyzn na statku kapitana Horna.

Chociaż nie wydawali się agresywni czy niegrzeczni, było coś aroganckiego w sposobie, w jaki podchodzili do kobiet, jakby mieli pewność, że zostaną przyjęci. A wiele z więźniarek wcale ich nie zachęcało.

Westchnęła.

- Kobiety chyba rzeczywiście nie są zbyt zagniewane z powodu tej sytuacji.

- Zbyt zagniewane? - Zachichotał. - Powiedziałbym raczej, że wydają się całkiem zadowolone.

Nagle rozległ się głośny trzask i przenikliwy wysoki głos powiedział:

- Nie dotykaj mnie, ty brudny piracie! Nie muszę znosić twojego obmacywania!

Sara i Barnaby odwrócili się i ujrzeni mężczyznę trzymającego się za zaczerwieniony policzek i młodą kobietę, która od niego uciekła.

- Nie wszystkie są jednak zadowolone, sir. - Kosmyk włosów opadł Sarze na oczy; odgarnęła go ręką. - Niektóre po prostu poddały się swojemu losowi. Wiedzą, że nie mają wyboru. A ponieważ przyzwyczajone są akceptować to, co przyniesie im życie, wykorzystają tę sytuację najlepiej jak umieją. Ale naprawdę miałam nadzieję, że życie zgotuje im lepszy los.

Mówiąc to, odeszła, nie mogąc znieść dalszej dyskusji na ten temat. Barnaby nie różnił się od swojego pana. Nie był w stanie dostrzec ponurych realiów. Bez względu na to, co powie, oni wciąż będą uważać, że porywając kobiety, wyświadczyli im wielką przysługę.

Jeszcze bardziej przygnębiona ruszyła w kierunku pierwszego włazu, gdy wtem zaczął ją marynarz,

który pojawił się znikąd. Nagły atak paniki przeszedł natychmiast w uczucie ulgi, kiedy rozpoznała Peteya.

- Panienko, musimy porozmawiać – mruknął.

- Z pewnością.

Zeszła z nim pod pokład, rozglądając się czujnie, czy nikt ich nie obserwuje. Poczekała, aż zejda, zanim zadała mu pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd zobaczyła go wychodzącego z kajuty kapitana.

- Domyślam się, że zakradłeś się na statek, kiedy nas tutaj przynosili, ale dlaczego cię nie zabili?

- Kapitan uznał, że mu się przydam. - Petey zapalił latarnię, a wtedy Sara dostrzegła ponury wyraz jego twarzy. - Przyjęli mnie do załogi, ale to nie znaczy, że mogę robić, co chcę. Jestem cały czas obserwowany. Musimy się więc pospieszyć.

- Domyślam się, że słyszałeś, co powiedział kapitan Horn. Że musimy wybrać sobie mężów.

Potaknął, a jego oczy pociemniały.

- Słyszałem. I obmyśliłem plan. Kiedy nadejdzie czas, żebyście wybrały mężów, pani wybierze mnie,

Ten pomysł całkowicie ją zaskoczył. Wyjść za Peteya? Chociaż wiedziała, że chciał ją w ten sposób chronić, nie była pewna, czy jej się to podobało. Wizja spędzenia całego życia na jakiejś zapomnianej przez Boga wyspie była okropna, ale spędzenie życia z człowiekiem, którego ledwie знаła...

Oczywiście, nie znała żadnego z tych mężczyzn, Ale któryś z nich mógłby chcieć jej dla niej samej, a nie z jakiegoś poczucia obowiązku.

- No, nie wiem, Petey...

- Proszę mnie posłuchać. Jeśli wyjdzie pani za mnie, nie będzie to prawdziwe małżeństwo, jeśli wie pani, co mam na myśli. - Jego poczerwieniałe uszy powiedziały jej dokładnie, co miał na myśli. - Będzie pani łatwiej, kiedy wrócimy do Anglii.

Jego lordowska mość nie będzie miał żadnych problemów z unieważnieniem tego małżeństwa po naszym powrocie, pod warunkiem że nie... yyy... no wie pani.

- Tak, wiem. - Zmrużyła oczy. - Ale chyba nie sądzisz, że kiedykolwiek uda się nam... - Dwóch piatów przeszło powyżej tak blisko, że słyszała ich śmiech. Zamarła, dopóki nie oddalili się od otwartego włazu, po czym pochyliła głowę ku Peteyowi. - Chyba nie sądzisz, że uda się nam uciec.

- Możemy spróbować. Trochę się znam na nawigacji. Jeśli ta wyspa znajduje się w pobliżu innych wysp, mogę nas zaprowadzić do takiej, która jest zamieszкана.

Westchnąwszy, owinęła pukiel włosów wokół palca.

- Przepraszam, Petey, ale to nie brzmi zbyt obiecująco.

- Chyba nie. Ale proszę pamiętać, że kapitan wiedział również coś o powrocie na Wyspy Zielonego Przylądka po zapasy. Może udałoby nam się ukryć na czas podróży, a stamtąd przedostać się do Anglii. Proszę się nie martwić, wymyślę jakiś sposób, żebyśmy mogli się stąd wydostać i wrócić do domu. - Jego głos stał się bardziej zdecydowany. - A do tego czasu lepiej, żeby się pani trzymała z dala od lorda piratów.

- Nie nazywaj go tak. To dodaje mu majestatu, na który nie zasługuje.

Chwycił ją za ramię.

- Niech pani posłucha, panno Willis. Niech pani nie zwiedzie to, że kapitan pozwolił kobietom wybrać. To diabeł wcielony. I ma na panią oko. Dlatego ktoś inny musi panią adorować, ktoś bezpieczny, żeby on trzymał swoje łapska z daleka od pani.

Na te słowa Peteya przeszedł ją dziwny dreszcz. Powiedziała sobie, że to ze strachu. Przecież tylko idiotka cieszyłaby się ze względów u bezlitosnego pirata. A poza tym Petey się mylił.

- On nie ma na mnie... oka. Nie słyszałeś, co powiedział po południu do piratów?

Petey zmarszczył brwi.

- Wiem, co powiedział, ale słyszałem, co mówili ludzie; zakładają się, że wylądujesz w jego łóżku zanim skończy się tydzień.

Twarz Sary zapłonęła.

- Bzdura! Nie musisz się martwić. Prędzej umrę niż pozwolę, żeby ten potwór jeszcze raz mnie dotknął.

- Jeszcze raz? - Petey zacisnął palce na jej ramieniu. - Co pani zrobił, kiedy była pani w jego kajucie? Nie skrzywdził pani?

Przeklinając się w myślach za to, co jej się wymknęło, powiedziała:

- Oczywiście, że nie. Tylko rozmawialiśmy, nie sądzę, żeby mnie lubił, zaś ja nim gardzę. Więc nie musisz się martwić. Nigdy nie uda mu się mnie poślubić ani uwieść.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Nie miała za to pewności, czy byłaby w stanie mu się oprzeć gdyby próbował. Ta myśl była niepokojąca.

- Może masz rację, Petey. Może powinnam wybrać cię na męża.

- Tak będzie najlepiej, panienko, zobaczy pani. Ale niech się pani nie obawia, tak czy inaczej, wyciągnę nas stąd.

- Mam nadzieję - szepnęła. - Mam szczerą nadzieję.

Rozdział 9

Mam nadzieję, że kobiety, jeśli mają w sobie jeszcze choć odrobinę charakteru, spożytkują go na udowodnienie, że są stworzone do lepszych celów, i nie poddadzą się potulnie takiej nieuzasadnionej arogancji [ze strony mężczyzn].

„Sophia” (prawdopodobnie lady Mary Wortley Montagu)

Kobieta nie jest gorsza od mężczyzny

Gideon wyszedł ze swojej kajuty i niespiesznie udał się na pokład. Noc była pogodna i ciepła, a na niebie gwiazdy lśniły diamentowym blaskiem, jak wysadzana drogocennymi kamieniami królewska szata. Głęboko odetchnął ostrym, słonym powietrzem. Będzie mu tego brakowało: spokojnych nocy na pokładzie Satyra, skrzypienia drewna, uderzeń fal o dębowy kadłub. Chociaż pewnie w przyszłości zajrzą na Wyspy Zielonego Przylądka po zapasy, już nie będą spędzać długich tygodni na morzu.

Szybko przyjrzał się marynarzom na warcie, po czym włożył ręce do kieszeni i ruszył wolnym krokiem przez pokład. Jakieś bliżej nieokreślone niezadowolenie nie dawało mu spokoju, psując przyjemność, jaką zazwyczaj czerpał z nocy na morzu.

Jednak ostatnio dość często odczuwał niezadowolenie. To dlatego stworzył swój radykalny plan wskrzeszenia Atlantydy, dlatego zdecydował się porzucić piractwo.

Morskie pościgi, dreszcz, kiedy odbierał złoto arystokratom, których nienawidził... wszystko to

już nie wystarczało, a zwłaszcza kiedy wiedział, co się stanie, jeśli pozostanie przy swoim procederze. Piractwo zawsze oznaczało przedwczesną śmierć. Nie było starych piratów.

Może niektórym ludziom nie przeszkadzało, że umrą młodo, może niektórzy chcieli odejść z tego świata w ferworze emocji, ale on do nich nie należał. Zamierzał żyć długo, cieszyć się pełnią życia i nie skończyć na szubienicy. Ani na statku, jeśli o to chodzi.

Oddał morzu wystarczająco dużą część swojego życia, w sumie dwadzieścia jeden lat. Miał zaledwie dwanaście lat, kiedy jego przeklęty ojciec zapisał się na śmierć, zostawiając swoje jedyne dziecko bez grosza, bez przyjaciół, całkowicie same. Więc kiedy wreszcie po roku walki o przetrwanie i szukaniu pracy został zauważony przez pewnego kapitana statku, który ulitował się nad nim i zaoferował mu pracę chłopca okrętowego, od razu skorzystał z okazji.

Później, kiedy rząd amerykański wynajął piratów, żeby nękali Anglików, zainwestował wszystkie oszczędności w zakup słupa *. Ten sposób na przetrwanie był równie dobry jak każdy inny. Wkrótce stać go było na to, żeby zamienić słup i szalup na Satyra.

W ciągu tych lat szukał ludzi o dwóch podstawowych cechach: nie posiadali żon ani rodzin w ogóle, bo wtedy nie mieli nic do stracenia; i nienawidzili Brytyjczyków równie mocno jak on.

Jego dobór załogi okazał się trafny, bo ludzie dobrze mu służyli. Kiedy wojna się skończyła i ten

*Słup - jednostka pływająca o napędzie żaglowym, posiadająca jeden maszt - grotmaszt.

sam rząd amerykański, który wcześniej zachęcał ich do okradania Anglików, teraz oczekiwał, że on i jego załoga złożą broń i zgodzą się na pokój, wówczas on i jego ludzie wybrali trzecią drogę – piractwo. Niezłe z tego żyli. Jednak zaczęło im, a zwłaszcza jemu, doskwierać niepewne i samotne życie marynarza. Ku jego zaskoczeniu złoto i klejnoty, które ukradł swoim wrogom, nie dawały mu radości. Nawet dręczenie pomniejszych lordów straciło swój urok. Chciał więcej - prawdziwej przyszłości, nie tylko kolejnych podróży i podbojów. Chciał zbudować coś, co byłoby jego własne, coś dobrego i solidnego. Mógłby to zrobić na Atlantydzie. Wszyscy mogliby to zrobić na Atlantydzie.

Obrzucił wzrokiem kłębiący się tłum, zauważając, że mężczyźni, którzy nie stali na warcie, całkiem dobrze sobie radzili z adorowaniem kobiet. Wkrótce będzie musiał kazać Barnaby'emu sprowadzić kobiety na dół i zamknąć je pod pokładem, jednak teraz chciał się cieszyć tą chwilą. Osiągnął swój cel. Znalazł kobiety dla swoich ludzi. I niebawem będą pracować ramię w ramię dla ich wspólnego dobra.

Dlaczego więc był taki niespokojny, niezadowolony, skoro powinien radować się swoim sukcesem? Dlaczego dręczyła go obawa, że źle to rozegrał?

Z powodu tej przeklętej Angielki. To Sara zasiała niedorzeczne wątpliwości w jego głowie. Sara o karmelowych oczach i miękkim, uległym ciele... Sara, która była w stanie wzbudzić w mężczyźnie pożądanie jednym potrząśnięciem lokami. Poczuł napięcie w kroczu i jęknął. Jeszcze żadna kobieta tak go nie zauroczyła. Jak każdy marynarz miał swoje miłości, ale żadna wyspiarska piękność o migdałowych oczach nie sprawiła, że jego krew zaczynała szybciej krążyć za ledwie na samą myśl o...

Nie miało jednak znaczenia, co Sara robiła z jego krwią... ani z czymkolwiek innym - powiedział sobie. W małżeństwie chodziło o coś więcej niż tylko o namiętność. Jego rodzice byli tego dowodem.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to pójść do ołtarza z jakąś rozpieszczoną siostrą hrabiego - nawet tylko adoptowaną. Takie kobiety jak ona nigdy nie były zadowolone z tego, co może im dać mężczyzna. Takie kobiety jak ona nigdy nie dawały mężczyźnie chwili wytchnienia.

Podszedł do balustrady i oparł się o nią plecami. Nie, Sara Willis nie była dla niego. Będzie musiał gdzie indziej rozejrzeć się za żoną. Obserwował tańce godowy, który rozgrywał się przed jego oczami, zastanawiając się, czy rzeczywiście był w stanie oddać się temu z takim samym entuzjazmem jak jego ludzie. Powinien. Tego właśnie potrzebował - kolejnej kobiety, innej kobiety, którą mógłby uwodzić, która bardziej pasowałaby do jego wyobrażenia o żonie.

Wsunął ręce do kieszeni, po czym zmarszczył brwi, bo jego palce dotknęły zwiniętego kawałka materiału. Czepek Sary. Ten, który jej zabrał. Ten, który skrywał cudowną kaskadę jej jedwabistych włosów.

Zakławszy, wyciągnął go z kieszeni i rzucił do morza. Nigdy nie powinien był rozpuszczać jej włosów. A już zdecydowanie nie powinien był jej całować. Jego zauroczenie nią było równie nierozsądne, jak żeglowanie pod wiatr, a pocałowanie jej tylko zaostrzyło jego pożądanie. Niech to szlak musiała być wiedźmą, skoro nie przestawał o niej myśleć nawet wtedy, gdy jej nie widział!

Nie widział jej? Zaniepokojony obrzucił wzrokiem tłum. Rzeczywiście, nie widział. Gdzie była?

. Na drugim końcu statku? Pod pokładem z jednym z jego ludzi? Zachmurzył się na tę myśl.

Podczas gdy wciąż rozglądał się za Sarą, podeszła do niego inna kobieta, dorodna blondynka, która taksowała go wzrokiem jak urzędnik portowy oprowadzający inspekcję statku. Wzięła jego, rękę i położyła ją sobie w pasie, zerkając na niego wstydliwie spod ciężkich powiek.

- A niech mnie, jeśli to nie jest nasz drogi kapitan, który uwolnił nas z tego przekłętego więzienia statku. Szukasz dla siebie kobiety, prawda? A Queenie jest po prostu dla ciebie stworzona. - Przesuwając jego rękę na jedną ze swoich pełnych piersi, pochyliła się ku niemu, uśmiechając się kapryśnie. - Mam wszystko, czego może pragnąć taki mężczyzna jak ty, i jeszcze więcej.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niesmaku.

Gwałtownie zabrał rękę z jej piersi. Przykro mi, Queenie, dziś wieczorem mam inne rzeczy na głowie.

Było oczywiste, z jakiego powodu ta kobieta została uwięziona, a on nie miał nastroju na takie nagabywanie. Może Sara nie była kobietą dla niego, ale Queenie również nie.

Niestety Queenie najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Szybkim ruchem położyła mu rękę na wybrzuszeniu w jego kroczu, które powstało na myśl o Sarze.

- Och, gubernatorze - zagruchała silnym *cockneyem**, kiedy jej wprawne palce ocierały się o jego spodnie - kłamiesz w żywe oczy. Jesteś diabelsko napalony, a ja wiem, jak przegonić takiego diabła.

*Cockney - dialekt języka angielskiego używany przez mieszkańców Londynu wywodzących się z niższych warstw społecznych.

Jego usta nawet nie drgnęły. Odsunął rękę Queenie

- Każdy mężczyzna na tym statku jest dzisiaj diabelsko napalony, Queenie. Znajdź sobie innego. Powiedziałem ci, nie jestem zainteresowany,

Wyglądała na obrażoną.

- Chcesz więc to zachować dla kogoś innego.

- Kiedy uniósł brew, jej twarz na moment przybrała zacięty wyraz. - Zachowujesz to dla „milady”? Bo jeśli tak, to marnujesz czas. Ona uważa, że jest lepsza od takich jak ja i ty. Ona na pewno nie ugasi tego żaru w twoich spodniach, mogę cię zapewnić.

Chociaż zapewne miała rację, nie chciał tego zaakceptować. Zatrzymał się na chwilę, żeby postać jej swoje najbardziej druzgocące spojrzenie, którego śmiertelnie bali się jego ludzie. Pobladała.

- Dziękuję za ostrzeżenie co do panny Will - powiedział, a jego słowa ociekały sarkazmem. - Ale nie przyjmuję rad od dziwek.

To wystarczyło, żeby obróciła się na pięcie i odeszła obrażona. Jednak nie zapewniło mu to samotności, bo pojawiła się kolejna kobieta, żeby zająć jej miejsce. To mogło stać się uciążliwe, pomyślał. Kiedy dawał kobietom wybór, nie przypuszczał, że będą się za nim uganiać z takim entuzjazmem. Chciał odejść, ale kobieta zawołała:

- Kapitanie Horn, *sir!* Przyniosłam panu kolację! - Kiedy się zatrzymał, podała mu talerz pełen jedzenia. - Pan Drummond kazał, żebym to panu przyniosła.

Nie patrzyła na niego, i nagle zdała sobie sprawę, że niechętnie wykonywała to polecenie. Powinien wiedzieć, że nie wszystkie były pokroju Queenie, ale nie nawykł, by usługiwała mu kobieta.

Wziął talerz.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że jestem głodny.

Najwyraźniej zabrakło jej słów, a kiedy się zbliżył, dostrzegł na jej twarzy strach.

- Jak masz na imię?

- Ann Morris, *sir*.

Chyba wolałaby być gdziekolwiek indziej, zamiast z nim tutaj rozmawiać, i z jakiegoś powodu zapragnął rozwiązać jej obawy.

- Morris. To walijskie nazwisko, prawda?

Otworzyła szeroko oczy. Potem przytaknęła.

- Z Carmarthenshire, *sir*.

Uśmiechnął się.

- Nie musisz mówić do mnie *sir*. Nie jestem lepszy od ciebie czy pozostałych kobiet.

- Tak, *sir*. To znaczy, tak.

- Nadział kawałek mięsa na widelec i włożył do ust. Było jak zwykle twarde i bez smaku, ale czuł głód, a Silasa stać było tylko na tyle. Kiedy Ann kręciła się nerwowo w miejscu, jakby szykując się do ucieczki, zapytał:

- Jadłaś już?

Gwałtownie pokiwała głową. Uśmiechnął się. Chyba ją to uspokoiło, bo przestała się wiercić.

Była drobna, miała piękne oczy, których koloru nie mógł określić w świetle lampy, i ciemne, kręcone włosy, krótko obcięte, prawdopodobnie przez służby więzienne. Gdyby nie jej kobieca figura, można było ją wziąć za dziecko.

Ta kobieta mogłaby zostać jego żoną. Była ładna i ujmująca. Pewnie wiedziała, jak po kobiecemu zadbać o mężczyznę, czego on w swoim życiu nie doświadczył. Kiedy przestanie się go bać, będzie uroczą i miłą towarzyszką.

Szkoda, że wywoływała w nim jedynie ojcowskie uczucia. Westchnął.

- Czy tobie i pozostałym jest wygodnie? Czy wszystko pod pokładem jest w porządku?

Jej twarz rozpromieniła się, dzięki czemu wyglądała jeszcze bardziej anielsko.

- Och, tak, wszystko jest bardzo ładne. O wiele ładniejsze niż na Chastity.

Umoczył kawałek suchara w sosie.

- Wybacz, że pytam, ale jak znalazłaś się na Chastity?

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się smutek. Usiadła na pobliskiej skrzyni z westchnieniem.

- Wysłano mnie do więzienia za kradzież.

- Kradzież? Ty? - Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że ta nieśmiała istota mogłaby cokolwiek sobie przywłaszczyć.

Ale ona potaknęła.

- Moja mama była chora i potrzebowałam dla niej lekarstw, ale nie miałam pieniędzy. Grosze, które zarabiałam w sklepie z kapeluszami, nie starczyły na jedzenie dla mnie i dla mamy. Więc pewnego dnia kiedy przechodziłam koło otwartych drzwi jakiegoś domu i nikogo nie było w pobliżu weszłam i... i zobaczyłam srebrny dzbanek. Wzięłam go. - Jej oczy pociemniały. - To było złe, wiem. Pomyślałam po prostu, że jeśli bym go sprzedała mogłabym kupić mamie lekarstwa. - Potrząsnęła głową. - Ale sklepikarz, któremu próbowałam sprzedać dzbanek... widział go już kiedyś. Domyślił się, że go ukradłam, i... i oddał mnie w ręce władz.

Rosło w nim współczucie dla biednej Walijki. Nie umiał ukryć złości.

- I Anglicy skazali cię za to na wygnanie? Za jeden srebrny dzbanek?

- Tak, sir. Moja mama... - Głos się jej załamał - Moja mama wstydziła się za mnie. Nie wybaczyła mi aż

do dnia swojej śmierci, ponieważ wylądowałam w więzieniu. I miała rację. To, co zrobiłam, było bardzo złe. - Odwróciła od niego twarz i teraz w świetle latarni widział jej uroczy profil

Płakała. To biedactwo płakało. Położył jej rękę na ramieniu.

- Zrobiłaś to, co musiałaś, Ann, i zostałaś niesprawiedliwie potraktowana. To nie ty popełniłaś błąd. To twoje państwo popełniło błąd. Jest coś nie tak z krajem, w którym starej kobiety nie stać na leki.

- Jak też tak myślę. - Wzięła kilka drżących oddechów. - Dlatego nie przeszkadza mi tak bardzo, że zabiera nas pan na wyspę. Może być tam lepiej, jeśli wszystko zrobi się jak należy

Zrobi się jak należy. Ogarnęło go nagłe poczucie winy. Sara nie uważała, że robił to jak należy. Ani trochę. Uważała, że był nadgorliwy i nieczuły. Uważała, że wykorzystywał takie niewinne młode dziewczyny jak Ann.

Czując się nieswojo z tą myślą i z dziwnymi emocjami, które wywoływała, zdjął rękę z jej ramienia i spojrzał na ocean.

Więc nie masz nic przeciwko, żeby poślubić jednego z moich ludzi?

Otarła łzy.

- Nie teraz, kiedy jest tutaj Petey.

- Petey?

Nie mógł dostrzec tego wyraźnie w świetle latarni, ale wydawało mu się, że dziewczyna się zarumieniła.

- Petey Hargraves. No, ten marynarz, którego zabrał pan z Chastity.

Nie zadając sobie trudu, żeby sprostować jej mylne wrażenie, powiedział:

- Ach, tak.

Rozejrzała się po pokładzie i wskazała w stronę pokładówki.

- Tam jest, z panną Willis. Natychmiast spojrział w tę stronę. Rzeczywiście był tam członek załogi Chastity, a obok stała Sara.

Gideon zmrużył oczy. A więc tutaj była, uciniała sobie pogawędkę z Hargravesem. Kim on dla niej jest? I co z nim knuła? Nie miał wątpliwości, że coś knuła; wyglądało na to, że Sara cały wolny czas spędzała na obmyślaniu sposobów, by przeszkodzić w realizacji planu.

Spojrział na Ann i zauważył, że przyglądała się Hargravesowi tak samo intensywnie jak on Sarze. Wskazując ręką na parę, Gideon powiedział:

- Powiedz mi, Ann, co wiesz o Peteyu?

Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Och, to wspaniały człowiek. Pilnował i na Chastity.

Gideon zjadł kolejną porcję swojego jedzenia, nie spuszczać oka z Peteya, który ruszył w stronę dziobówki, podczas gdy Sara poszła na rufę.

- To znaczy?

- Każdej nocy trzymał wartę przy naszych celach. Tak rozkazał kapitan. Petey pilnował nas wszystkich. - Pochyliła głowę, ale Gideon zdąży zauważyć w jej oczach błysk uwielbienia dla bohatera. - Zwłaszcza mnie.

Więc Ann była zauroczona tym małym Anglikiem? Dlatego nie miała nic przeciwko małżeństwu, i nigdy nie weźmie pod uwagę w roli męża nikogo innego poza owym Peteyem...

Nie zwracał sobie głowy ulgą, jaka go z tego powodu przepełniła. Po prostu jadł i obserwował Sarę.

- Jak sądzisz, dlaczego rozmawiał z panną Willis?

- Nie wiem. Może dlatego, że ona także się o nas troszczy. Może rozmawiali, co zrobić, kiedy dotrzemy na wyspę.

Nie zdziwiłby się, gdyby Sara chciała uzyskać pomoc kogoś, kto już wcześniej okazał kobietom współczucie. Nie żebyś dał jej jakiś wybór, pomyślał. Do kogo innego miałyby zwrócić się o pomoc?

Zmarszczył brwi. Niech ją diabli. Ta kobieta sprawiła, że zwątpił w swoje plany. A teraz jeszcze ten Hargraves.

- Czy panna Willis miała coś wspólnego z tym, że Hargraves został obrońcą kobiet? – spytał.

Ann wyglądała na zdezorientowaną.

- Nie wydaje mi się. Nie wyglądało na to, że zna go lepiej niż którakolwiek z nas.

- Nie mają więc żadnych powiązań?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Rozluźnił się. Przynajmniej o to nie musiał się martwić.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego.

- Dlaczego?

- Bez powodu. - Skończył jeść, już dawno minęła pora, kiedy kobiety powinny zostać odesłane pod pokład. Jego ludzie stawali się hałaśliwi i niebawem niektórzy z nich mogą zrobić z siebie głupców albo, co gorsza, nagabywać kobiety bardziej nachalnie, niż powinni.

Podając Ann pusty talerz, kapitan powiedział:

- Przepraszam, ale mam parę spraw do załatwienia. Dziękuję, że dotrzymałaś mi towarzystwa. Posłała mu tak promienny uśmiech, że przez sekundę zazdrościł temu chuderlakowi Hargravesowi, który

najwyraźniej cieszył się jej względami Jednak to uczucie nie trwało długo. Chociaż pragnął uroczej, cichej żony, Ann była dla niego odrobinę za urocza i za cicha.

Gideon podszedł do Barnaby'ego, który właśnie flirtował z rozpustnicą o kościstych ramionach, i odciągnął go na bok.

- Już czas, żeby odesłać kobiety pod pokład. Niech panna Willis ci pomoże.

Rozejrzał się za nią i zmarszczył brwi, widząc, że z ożywieniem rozmawia ze sporą grupką kobiet. Sara nigdy nie przestawała intrygować.

Barnaby już chciał odejść, ale Gideon go postrzymał.

- Poczekaj, zmieniłem zdanie. Nie mieszaj w to panny Willis. Ja się nią zajmę.

- Och?

- Umieszczę ją w twojej kajucie. Możesz przez kilka dni spać u Silasa.

- To się jej nie spodoba.

Gideon posłał mu ponury uśmiech.

- Nie obchodzi mnie, co jej się podoba. Jeśli będzie spędzać noce z pozostałymi kobietami, uknuje kolejny bunt. Chcę mieć na nią oko.

Chytry uśmieszek wykrzywił jego usta.

- To jedyny powód umieszczenia jej w mojej kajucie? Naprzeciwko twojej?

- To jedyny powód - warknął Gideon. Przeklęty angielski drań. Był rozpustnikiem pierwszej wody i wszystkich oceniał swoją miarką. - Powiem jej o tym teraz. Poczekaj, aż zaprowadzę ją do środka, potem wyślij kobiety na dół.

- Jeśli zabierzesz ją ze sobą bez słowa wyjaśnienia, kobiety będą chciały wiedzieć dlaczego. Zwracają się do niej o pomoc.

To właśnie stanowiło problem.

- Powiedz im cokolwiek, byle tylko się nie zde-nerwowały. Ale zostaje w twojej kajucie bez względu to, co sobie będą myśleć. - Powiedziawszy odszedł.

Po raz setny przeklinał się, że uległ pokusie, by zabrać Sarę na pokład Satyra. Sprawiała same kłopoty.

Kobiety rozpierchły się, kiedy do niej podszedł, i uznał to za zły znak. Naprawdę zły znak.

- Co teraz knujesz?

- Knuję? - spytała z całkowicie niewinnym wyrazem twarzy.

Był za mądry na to, żeby dać się zwieść.

- Tak, z kobietami. Musiałyście coś knuć, bo inaczej nie uciekłyby na mój widok.

Odrzuciła głowę do tyłu, a wiatr zdmuchnął kilka kosmyków włosów z jej twarzy, odsłaniając jej zdecydowane rysy.

- Po prostu rozmawialiśmy, o której zacząć jutrzejsze lekcje. Uciekły, ponieważ wszystkie się ciebie boją.

Nie mógł temu zaprzeczyć, ponieważ przed chwilą widział, jak zareagowała na niego Ann Morris. Myśl, że połowa tych kobiet obawiała się go, nie poprawiła mu nastroju. Wkładając kciuki za pasek, rzucił Sarze chłodne spojrzenie.

- A ty?

Jej oczy błyszczały w świetle latarni; nie mógł nie zauważyć, że drżała jej broda.

- Powiedziałam ci chyba, że nie boję się niczego, a już najmniej ciebie.

Zbliżył się do niej i ściszył głos.

- Doprawdy? Nie będziesz więc miała nic przeciwko temu, żeby spać w kajucie, która znajduje się naprzeciwko mojej.

Na jej twarzy przez ułamek sekundy pojawił się, strach, ale zaraz nad nim zapanowała.

- C-co chcesz przez to powiedzieć?

Zadowolony, że udało mu się wyprowadzić z równowagi, wziął Sarę za ramię i zaczął prowadzić w stronę pokładu rufowego.

- Będziesz spędzać noce w kajucie Barnaby'ego, do czasu aż dotrzemy na wyspę Atlantis. - Kiedy spojrzała na niego z przerażeniem, dodał: - Nie martw się, Barnaby prześpi się z Silasem. Będziesz miała kajutę wyłącznie dla siebie.

- Ale dlaczego? - Spróbowała wyrwać ramię z jego uścisku, ale kiedy wciąż popychał ją naprzód, syknęła: - Chcę zostać pod pokładem z pozostałymi kobietami!

- Wiem. Chcesz je podburzać do ucieczki lub buntu albo zajmować się równie daremnymi działaniami. - Popchnął ją przez wejście do części mieszkalnej pod pokładem rufowym, a potem puścił - Cóż, nie mogę na to pozwolić. Dowodzę skutecznie tym statkiem, i nie chcę, żebyś to zniszczyła. Kobiety i mężczyźni świetnie się dogadują i chciałbym, aby tak pozostało.

Zaciśnięte szczęki i pięści świadczyły o jej buncie.

- Co zamierzasz zrobić? Więzić mnie w tej kajucie przez cały rejs?

- Nie. Chcę po prostu mieć cię na oku, to wszystko. - Kiedy w jej oczach pojawił się błysk, złagodził swój ton. - Możesz chodzić, gdzie chcesz w ciągu dnia, mieć lekcje i takie tam, ale nie chcę żebyś w nocy była zamknięta z pozostałymi kobietami. Możesz to uznać za środek zapobiegawczy, i to dosyć łagodny.

Jego słowa chyba ją udobruchały.

Zrobił kilka kroków naprzód i zatrzymał się przed drzwiami kajuty Barnaby'ego.

- Poza tym będzie ci tu o wiele wygodniej niż pod pokładem. - Otworzył drzwi i gestem nakazał jej wejść do środka. - Sama zobacz.

Baczenie go obserwując, weszła do kajuty. Podążył za nią i zapalił lampę, żeby mogła lepiej widzieć. Zaskoczenie, a potem zadowolenie odmalowało się na jej twarzy.

Kajuta Barnaby'ego była nieznacznie skromniejsza od kajuty Gideona. Piractwo im się opłaciło, o czym świadczyło łóżko z puchowym materacem, wysokie lustro, które dowodziło próżności Barnaby'ego, i rzeźbiona hebanowa szafa, którą Barnaby nabył w Afryce.

Sara miała niewiele ubrań, które mogłaby włożyć do szafy. Żałował, że nie pozwolił jej spakować rzeczy, zanim wziął ją na pokład Satyra. Będzie musiał coś zrobić ze skromną garderobą kobiet, kiedy dotrą do Atlantydy.

- Może być? - spytał, krzyżując ramiona na piersi.

Odwróciła się do niego. Jej oczy stały się nieprzeniknione, a z twarzy zniknął wyraz zadowolenia.

- Chyba mogę to znieść.

Jakby nie mógł zauważyć, że jej się podobało. Zdusił uśmiech. Ależ była dumna - to zapewne z powodu błękitnej krwi, która płynęła w jej żyłach.

- Dobrze. Zostawię cię więc samą. Muszę się upewnić, że pozostałe kobiety mają się dobrze.

Ruszył do wyjścia.

- Gideonie...

Zamarł, słysząc swoje imię w jej ustach. Brzmiało to tak intymnie, zmysłowo. Chciał, by powiedział

to raz jeszcze. Chciał, żeby szeptała jego imię swoim niskim, gardłowym głosem, który...

Niech to szlag, znowu myślał o niej jak o Kobiecie. Ponętnej kobiecie.

- Tak? - odezwał się, bardziej ochryple, niż zamierzał.

- Kiedy dotrzemy na wyspę, jak... hm... jak będziemy spać? - Choć wyraźnie czuła się zażenowana, pytając o to, nawet nie drgnęła, kiedy przyjrzał się jej uważnie. Dotychczas nie zastanawiał się nad tym, więc nie od razu jej odpowiedział.

Uniosła podbródek na tyle, by dręczyć go widokiem długiej białej szyi.

- Więc?

Będziesz spała ze mną.

Ta myśl pojawiła się w jego głowie w mgnieniu oka, i w mgnieniu oka sam się za nią przeklął. Na Atlantydzie na pewno nie będzie spała w jego pobliżu, jeśli to ma zależeć od niego.

- Mężczyźni będą spać na statku, a kobiety w naszych chatkach do czasu ślubu. - Mężczyźni pewnie będą głośno zlorzeczyć, ale w tej chwili tylko takie rozwiązanie przychodziło mu do głowy.

Odetchnęła, żeby się uspokoić.

- A czy mnie będzie wolno... mieszkać z pozostałymi kobietami?

Rzucił jej długie, wymowne spojrzenie.

- Tylko jeśli będziesz się odpowiednio zachowywać.

W jej brązowych oczach dostrzegł przebłysk wcześniejszego uporu.

- To znaczy, jeśli będę siedziała z założonymi rękami i pozwolę ci z tymi kobietami robić, co ci się podoba?

- Właśnie.

Zadarła wysoko nos.

- W takim razie, obawiam się, że nigdy nie będę w stanie odpowiednio się zachowywać.

- Wtedy będę musiał stosownie zareagować, prawda? Nawet jeśli miałyby to oznaczać trzymanie cię w kajucie naprzeciwko mojej do czasu ślubu.

W końcu zobaczył rumieniec rozlewający się po porcelanowej skórze. Zadowolony, że udało mu się zbulwersować ją na tyle, iż następnym razem rozwydrzona kobieta dobrze się zastanowi zanim zechce mu się sprzeciwić, wrócił do swojej kajuty, pogwizdując.

Rozdział 10

W dłoni miałem szablę,
Jak nakazał ojciec,
I zakopałem ją w plasku,
Kiedy pożeglowałem...

ANONIM

Ballada o kapitanie Kidzie*

Sara wstała, zanim słońce na dobre zagościło na niebie. Umyła się i założyła suknię na koszulę, w której spała. Nie miała ani szczotki do włosów, ani świeżej sukni. Zrobiła, co mogła, przeczesując włosy palcami i myjąc twarz morską wodą z wiadra, które jakiś przytomny pirat zostawił przed drzwiami. Potem pospiesznie opuściła kajutę i pobiegła na pokład.

Musiła zamienić słowo z Peteyem. Chciała powiedzieć, że jeśli nadarzyłaby mu się okazja do ucieczki, powinien z niej skorzystać, nawet jeśli nie będzie mógł zabrać jej ze sobą. Ale najpierw musiała go znaleźć.

Zanim się wczoraj rozstali, powiedział, że będzie miał wartę wczesnym rankiem. Może uda jej się porozmawiać z nim sam na sam, nim reszta statku się obudzi. Obrzuciła pokład wzrokiem, stwierdzając z ulgą, że rzeczywiście większość piratów chyba jeszcze spała, a ci, którzy byli na pokładzie, nie zwracali na nią uwagi. Ale gdzie był Petey?

*William „kapitan” Kidd (1645-1701) - brytyjski korsarz uważany za jednego z najokrutniejszych i najkrwawszych piratów XVII wieku.

Może wysłali go na olinowanie, jak często miał w zwyczaju czynić kapitan Rogers. Osłoniwszy oczy przed wschodzącym słońcem, uniosła głowę i patrzyła na maszty.

- Szukasz kasz kogoś? - odezwał się niski głos.

Drgnęła i obróciła się twarzą do intruza. Niech to szlag, Gideon. Dlaczego już nie spał? Najwyraźniej dopiero co zdążył się umyć, bo jego włosy były mokre i zaczesane do tyłu. Bezczelny okrągły kolczyk potyskiwał w porannym słońcu, jakby manifestując jego pogardę dla cywilizacji. Jednak bardziej szokowało ją to, że nie miał na sobie koszuli. Był ubrany jak wielu jego ludzi, a goły tors okrywała jedynie skórzana kamizelka.

Sara wciągnęła powietrze. Było coś bardzo intymnego w niemal nagiej męskiej klatce piersiowej. A ta jego - niestety - była szeroka i umięśniona, nieznacznie pokryta czarnymi włosami, które zbiegały się w linię znikającą za paskiem spodni. Najwyraźniej rzadko nosił koszulę, bo ręce miał opalone do ramion; skóra była tak ciemna, że niemi nie różniła się od koloru kamizelki.

Sara uświadomiła sobie, że się w niego wpatruje, dopiero wówczas, gdy spytał:

- Kogo szukasz? Jego słowa wyrwały ją z dziwnego transu.

- Ja... ja... - Rozmyślała gorączkowo i powiedziała jedną rzecz, jaka przysła jej do głowy.- Ciebie. Ciebie szukam.

W jego oczach pojawiła się podejrzliwość.

- Na olinowaniu?

- Tak. Dlaczego nie?

- Albo nie masz pojęcia, co należy do obowiązków kapitana, albo kłamiesz. Więc?

Ignorując gwałtowny ucisk w żołądku, zmusiła się do uśmiechu.

- Naprawdę, Gideonie, jesteś taki podejrzliwy. Zeszłej nocy oskarżyłeś mnie o spiskowani, za twoimi plecami, a dziś rano oskarżasz mnie o kłamstwo. Kogóż innego miałabym szukać, jak nie ciebie?

Chociaż jego oczy świdrowały ją na wylot, jakby chcąc dokopać się prawdy, obdarzyła go najbardziej niewinnym spojrzeniem.

Zatknął kciuki za pasek, wciąż obrzucaj ją sceptycznym spojrzeniem.

- A dlaczegóż to miałabyś mnie szukać?

Dobry Boże, jak miała na to odpowiedzieć?

- Ponieważ... ponieważ chcę zejść na dół. - Tak to była logiczna wymówka. - Chcę zajrzeć do kobiet i przygotować się do naszych lekcji. Rozumiem, że potrzebuję na to twojej zgody, skoro ustawiłeś strażę...

- Nie sądzisz, że jest trochę za wcześnie na szkołę? Większość kobiet pewnie jeszcze śpi.

Jego uniesiona brew świadczyła o tym, że jej nie uwierzył. Poczula, że zamiera w niej serce, umiała kłamać, co Jordan zawsze lubił powtarzać. Jednak nigdy wcześniej nie była w tak dramatycznym położeniu.

Odwróciła się od niego, żeby nie mógł wyczytać niczego z jej twarzy.

- Nie pomyślałam o tym. Rzeczywiście jest wcześnie. Może po prostu przejdę się po pokładzie.

Mogłaby w międzyczasie poszukać Peteya i pozbyć się Gideona.

- To wyśmienity pomysł - powiedział, jakby czytając jej w myślach. - Poranek jest bardzo przyjemny, jeszcze nie jest gorąco. Nie masz nic przeciwko, że przejdę się z tobą?

Niech to szlag. Ten podejrzliwy drań nie zamierzał spuszczać jej z oczu.

- A mam wybór?

- Zawsze masz wybór, Saro.

Zaniepokoił ją. Po raz pierwszy tego ranka uśmiechnął się do niej promiennie. To ją zupełnie zbiło z tropu i przypomniało, jak obejmował ją wczoraj w swojej kajucie i namiętnie całował.

Ten łajdak był zdecydowanie zbyt przystojny. Dlaczego Bóg obdarzał takim wyglądem najbardziej ohydnych mężczyzn? Najpierw pułkownik Taylor, a teraz ten pirat. To piekielnie niesprawiedliwe.

Jęknęła. Ten drań nawet sprawił, że zaczęła przeklinać. Jak to się skończy?

Zaferował jej ramię w eleganckim geście, który całkowicie kontrastował z jego skandalicznym wyglądem. Zawahała się. Miał zdolność wzbudzania w niej wszystkiego, co najgorsze, a teraz chciała zachować trzeźwość umysłu.

Jednak nie powinna go prowokować; lepiej będzie, jeśli podejmie wyzwanie. Na pewno to nie było ostatnie.

Kładąc rękę w zgięciu jego nagiego łokcia, pozwoliła poprowadzić się na spacer po pokładzie. Jej palce dotykały nagiej skóry w intymnym geście, do jakiego nie była przyzwyczajona. W Londynie, ilekroć kładła mężczyźnie dłoń na przedramieniu, on miał na sobie kilka warstw ubrania, a ona rękawiczki. Teraz było zupełnie inaczej. Czuła każde poruszenie jego mięśni, a ciepło skóry ogrzewało

opuszki jej palców. Och, jak żałowała, że zostawiła rękawiczki na Chastity. W tej chwili oddał wszystko nawet za tak niewielką ochronę, jak rękawiczki z koźlęcej skóry.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Minęli pirata polerującego mosiężne elementy kabestanu, lecz kiedy Sara usiłowała zerknąć na jego twarz, żeby sprawdzić, czy to Petey, Gideon mocniej przycisnął jej dłoń.

- Powiedz mi coś, Saro. Co taką damę jak ty skłoniło do wyruszenia w rejs Chastity? Po co ryzykować tak trudną i niebezpieczną podróż?

- Nie była niebezpieczna, dopóki nie pojawiłeś się ty i twoi zachłanni piraci - mruknęła.

- Zapewniam cię, że groziłoby wam o wiele większe niebezpieczeństwo, gdybyście zostały na Chastity. Wiele statków zatoneło na niebezpiecznych wodach Przylądka. Dlatego tym bardziej się dziwię, że kobieta o twojej pozycji naraża się dla grupy... nieszczęśnic. - Ton jego głosu stał się twardszy. - Jeśli chodziło ci o rozrywkę, to chyba nie brakowało balów i przyjęć, na których mogła bywać córka hrabiego.

Cóż za pomysł! Jak śmiał coś takiego twierdzić! Nawet jej nie znał!

Puściwszy jego ramię, odeszła i stanęła przy mosiężnej balustradzie. Czuła go za sobą, dużą, niepokojącą postać.

- Przez całe życie byłam reformatorką, tak jak moja matka. Jej motto brzmiało „Wystarczy tylko jedna dusza, żeby wszystko naprawić”, i ja żyłam wedle tego motta najlepiej jak umiałam.

Jej najwcześniejsze wspomnienia wiązały się z zanoszeniem jedzenia więźniarkom i szycia kołder dla ubogich.

- A twój ojciec? - spytał Gideon.

- Mój prawdziwy ojciec zmarł w więzieniu za długi, kiedy miałam dwa lata.

Kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiewało szczere współczucie.

- Przykro mi.

- Nie znałam go, ale moja matka bardzo go kochała. Ta śmierć ją zmieniła. Chciała jedynie znaleźć sposób, by poprawić byt tych, którzy cierpieli. Choć posiadała niewiele pieniędzy i jeszcze mniej możliwości, wstawiała się za więźniarkami u władz i apelowała do Izby Lordów o zmianę niesprawiedliwego prawa. Właśnie w ten sposób poznała i wyszła za mąż za mojego ojczyma, lorda Blackmore'a.

- Jestem pewien, że przeszkodził jej w dobrej robocie.

Zerknęła na niego; kapitan wpatrywał się w wodę, a w jego oczach malowało się zgorzknienie i bezwzględność.

- Prawdę mówiąc, nie - odparła cicho. - Wspierał jej reformatorskie wysiłki aż do dnia jej śmierci. - Bezwiednie przesunęła dłonią po błyszczącej balustradzie. - Zabierała mnie ze sobą wszędzie, dokąd szła, i wpoila mi przekonanie, że ludzie mogą wyplenić niesprawiedliwość, jeśli tylko się postarają. I chyba... poszłam w jej ślady. - Uśmiechnęła się. - Teraz, kiedy ona i mój ojczym nie żyją, czuję się w obowiązku przejąć rodzinny interes, jeśli można tak powiedzieć.

- Rodzinny interes? Wysyłanie młodej kobiety wysokiego stanu z bandą złodziejek i morderczyń?

Przechylając się ku niemu, spojrziała mu w oczy.

- Wcześniej nazywałeś je nieszczęściami.

Przez chwilę się nie odzywał. Potem nieznacznie się uśmiechnął, dzięki czemu jego twarz straciła surowy wyraz.

- Tak, to prawda. Chociaż wciąż nie mogę uwierzyć, że twój brat zgodził się na tak niebezpieczną wyprawę, nawet w szlachetnym celu.

- Nie zgodził się. - Nadsięgnęły chmury, przesłaniając słońce i rzucając długie cienie wzdłuż statku. - Próbował mnie powstrzymać. Ale nadaremnie oczywiście. Jestem wystarczająco dorosła, żeby podróżować dokądkolwiek nawet bez jego zgody, i w końcu musiał zaakceptować, że zrobię, co zechcę.

Uśmiech Gideona zniknął równie szybko, jak słońce zniknęło za chmurami.

- To weszło ci w krew, prawda? - Oparł jeden łokieć na balustradzie, a drugą rękę na biodrze. - Muszę cię ostrzec, Saro Willis. Twoja rodzina może naginać się do twojej woli i przystawać na twoje plany, ale ja nie będę. Twoje kaprysy nie będą na moim statku tolerowane. Ani na mojej wyspie.

- Twojej wyspie? Sądziłam, że to jest bezklasowa utopia, która do nikogo nie należy.

Na jego twarzy pojawił się mroczny grymas.

- Bo jest. Ale ktoś musi ustalać zasady i wprowadzać je w życie, i moi ludzie wybrali mnie, żebym to robił. To oznacza, że będziemy przestrzegać moich zasad na mojej wyspie. - Przerwał. - Wiem, że takim jak ty ciężko jest to zaakceptować. Jesteś przyzwyczajona dostawać to, co chcesz jako córka hrabiego Blackmore'a. Ale w końcu się do tego przyzwyczaisz albo na własnej skórze przekonasz co to znaczy przeciwstawiać się władzy.

Zignorowała jego groźbę, ale nienawiść, z jaką wypowiedział „córka hrabiego Blackmore'a” wzbudziła jej ciekawość. Najwyraźniej pałał niezrozumiałą nienawiścią

do arystokracji, i podejrzewała, że nie brała się ona wyłącznie z faktu, że był Amerykaninem.

- Ciekawe - rzekła spokojnie - kto cię nauczył przeciwstawiać się władzy. Ciekawe, jaki okropny angielski arystokrata nauczył cię nienawidzić „takich jak ja” tak bardzo.

Przez chwilę myślała, że posunęła się za daleko. Jego oczy błyszcząły; odsunął się od balustrady. Wszystkie mięśnie na jego torsie były napięte, jak u bestii gotującej się do ataku, i instynktownie odsunęła się od niego, unosząc rękę do szyi.

- Uwierz mi - odezwał się w końcu niskim głosem w którym pobrzmiwał gniew - nie chcesz tego wiedzieć.

Ruszył w stronę dziobówki, zostawiając ją roztrzęsioną i milczącą.

^^^

Rzuciwszy okiem na kompas, Gideon skrzył ster o ćwierć obrotu. Promienie popołudniowego słońca kładły się na rufie statku, ogrzewając jego głowę i plecy. Niestety, dzięki Sarze Willis było mu już dość gorąco.

Unikał jej przez cały dzień, przekazując Barnaby’emu nadzór nad nią, ale mimo to nie mógł przestać o niej myśleć. Ta historia o jej matce zażyła go. Reformatorka wychodząca za mąż za hrabiego. Niesamowite.

Oczywiście wszystko zapewne nie było tak dramatyczne, jak przedstawiła to Sara. Wysiłki reformatorskie jej matki, a także samej Sary, ograniczały pewnie do bezpiecznych sytuacji. Gideon wielu angielskich hrabiów niemal nadział na szpadę,

i wiedział, że są ostrożni i wyniośli, i nie pozwalali swoim kobietom za bardzo zaprzętać sobie głowy troską o biednych.

Jednak Sara wyruszyła w podróż na pokładzie Chastity. Wyklócała się o skazane kobiety, nie martwiąc się o siebie. Teraz, kiedy o tym myślał zrozumiał, że powiedziała, iż jej brat jest hrabią tylko dlatego, by ocalić Chastity. Tak nie postąpiłaby nieśmiała czy delikatna kobieta.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Sara była równie nieśmiała, jak okręt wojenny. Bardzo piękny okręt wojenny, ze smukłymi liniami od dziobu do rufy, ale jednak okręt wojenny, i to przygotowany do bitwy. Kiedy chodziło o kobiety i ich dobro, walczyła jak dobrze uzbrojony bryg. Jej odwaga była beznadziejna... i otrzeźwiająca. W najbardziej frustrujących momentach sprawiła, że kwestionował nawet swoje decyzje co do przejścia statku ze skazanymi.

Z drugiej jednak strony ten przekłety żołnierz w spódnicy mógł sprawić, że każdy mężczyzna kwestionował swoje decyzje. Niech Bóg ma w opiece tego, który się z nią ożeni. Będzie go prześladowała we dnie i w nocy, nigdy nie dając mu spokoju.

Poza momentami, kiedy będzie się z nią kochał.

Jęknął. Dlaczego ilekroć pomyślał o Sarze, wyobrażał ją sobie w łóżku, z wyciągniętymi smukłymi ramionami i zamglonymi oczami, gdy będzie go do siebie przywoływać, jak syrena żeglarza?

Nie, nie jego. Jakiś inny mężczyzna będzie musiał rozbić się na tym brzegu, bo to nie będzie on.

Ale wtedy jakiś inny mężczyzna będzie doświadczał jej cudownych pocałunków, będzie dotykał jej jedwabistych włosów, gładził jej nagie ciało... Zaklął pod nosem, bo jego ciało zareagowało natychmiast.

Oszaleje, jeśli nie przestanie o niej myśleć. Albo resztę życia spędzi w zimnej kąpieli.

- Gideonie, lepiej zejźdź na dół i posłuchaj, czego ta kobieta uczy w swojej szkole - odezwał się głos za jego plecami.

Kapitan odwrócił się i zobaczył na szczycie drabiny prowadzącej na pokład rufowy Barnaby'ego z rozbawionym wyrazem twarzy. Nie musiał pytać, o jaką kobietę chodziło.

- Nie zaskoczy mnie nic, co ona robi czy powie,

Gideon ponownie stanął przodem do steru, a plecami do Barnaby'ego. Nie zamierzał zbliżyć się do Sary, zwłaszcza w obecnym stanie. Niech Barnaby się z nią użera.

- Może nie, ale to nie znaczy, że nie ma się o co martwić. Jesteś bardziej wykształcony niż ja, ale czy *Lizystrata** to nie jest sztuka, w której kobiety odmawiają kontaktów ze swoimi mężami, dopóki ci nie zaprzestaną wojny?

Gideon z jękiem zacisnął dłoń na sterze. *Lizystrata* była jednym z wielu dzieł literackich, do których przeczytania zmusił go ojciec, kiedy Gideon nauczył się czytać.

- Tak. Ale nie mów mi, że właśnie tego ich uczy. To jest po grecku, na Boga. Nie zrozumiałyby ani słowa, nawet gdyby znała to na pamięć i mogła im recytować.

- Zna to na tyle dobrze, że może im opowiedzieć własnymi słowami, zapewniam cię. Mówi z wielkim entuzjazmem.

**Lizystrata* - sztuka Arystofanesa, komedia opowiadająca o wojnie Aten ze Spartą. Aby położyć jej kres, żony wojowników obu stron wywierają nacisk na mężów, odmawiając im spełnienia powinności małżeńskiej, dopóki trwa wojna, doprowadzając tym samym do pokoju.

Barnaby chwycił za ster, który Gideon puścił zlorzecząc.

- Żałuję, że wzięłam ją na pokład - warknął idąc do drabiny. - Powiniennem był odesłać ją do Anglii zakneblowaną i związaną!

Zignorował śmiech Barnaby'ego i zszedł po drabinie, potem skierował się do wjazdu prowadzącego do ładowni. Zakończy to, zanim ona zbuntuje kobiety.

Kiedy zszedł na dół, usłyszał ożywiony głos Sary. Opisywała scenę, w której herold Sparty mówi sędziemu pokoju Aten, jak bardzo mężczyźni są zdesperowani, by położyć kres oziębłości kobiet. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Recytowała ten fragment, omijając wszelkie nawiązania do fallusa, których dużo było w oryginale. Jedynie Sara mogła zamienić *Lizystratę*, najsprośniejszą z greckich sztuk, w cnotliwą opowieść.

Przystając się uśmiechać, zszedł na sam dół i zobaczył Sarę stojącą do niego tyłem na samym końcu ładowni. Otaczała ją grupka około trzydziestu kobiet i dzieci zasłuchanych w każde jej słowo. Po- mimo upału panującego w ładowni tylko dzieci marudziły, ale kobiety uciszały je, ilekroć ich narzekanie było głośniejsze niż szept.

Zmarszczył brwi. Od początku to wiedział - ta przekłeta kobieta przysparzała wyłącznie kłopotów. Jakim cudem udało jej się zapanować nad tymi hałaśliwymi kobietami za pomocą kilku słów! One nie pozwalały łatwo sobą dyrygować. Wszystkie poznały najciemniejszą stronę życia.

Ale Sara snuła opowieść tym swoim ciepłym, ujmującym głosem, a one wierzyły w każde jej słowo, gotowe pójść za nią w ogień. Cóż, nie mógł na to pozwolić. Nie ponownie. Sprawy toczyły się dobrze,

i ona nie zepsuje tego swoimi ustawicznymi próbami wzbudzenia zamieszek.

Ruszył przed siebie, nie zwracając uwagi na szepty kobiet, które rozległy się na jego widok. Potem Sara odwróciła się i ich oczy się spotkały. Na jej policzkach natychmiast pojawił się rumieniec wywołany poczuciem winy, który powiedział mu wszystko o jej zamiarach.

- Dzień dobry paniom - odezwał się lodowatym tonem. - Lekcja się skończyła. Może pójdziecie na pokład zaczerpnąć świeżego powietrza?

Kiedy kobiety popatrzyły na Sarę, ta skrzyżowała przed sobą ręce.

- Nie masz prawa przerywać moich zajęć, kapitanie Horn. Poza tym jeszcze nie skończyłyśmy, Opowiadałam im historię...

Wiem. Opowiadałaś *Lizystratę*. W jej oczach na ułamek sekundy pojawiło się zaskoczenie, ale zaraz, zadarłszy do góry swój arystokratyczny nos, Sara spojrzała na niego z wyższością.

- Tak, *Lizystratę* — odparła słodkim głosem, który ani na chwilę go nie zwiódł. - Chyba nie masz nic przeciwko, żebym przekazywała kobietom wiedzę o największych dziełach literatury, kapitanie Horn.

- Zupełnie nic. - Położył ręce na biodrach. Jednak nie zgadzam się z twoim doбором materiału. Nie uważasz, że Arystofanes jest trochę za trudny dla twoich uczennic?

Wielką przyjemność sprawił mu zszokowany wyraz jej twarzy, dopóki nad sobą nie zapanowała. Ignorując szepty kobiet, wyprostowała się.

- Jakbyś coś wiedział o Arystofanesie.

- Nie muszę być angielskim lordem, żeby znać się na literaturze, Saro. Znam wszystkich przeklętych

pisarzy, których wy, Anglicy, tak sobie cenicie. Każdy z nich byłby lepszy dla twoich podopiecznych od Arystofanesa.

Gdy wciąż patrzyła na niego nieprzekonana, przeszukiwał w pamięci setki wersów, które wbił mu do głowy jego angielski ojciec.

- Mogłaś wybrać *Poskromienie złościcy* Szekspira, na przykład: „Wstyd! Po cóż zmarszczki na niechętnym czole, / po co te gniewne, wzgardliwi spojrzenia? / Chcesz zranić swego pana, królu władcę?”*

Od dawna nie recytował najbardziej ulubionego przez jego ojca fragmentu Szekspira, ale słowa były tak świeże w jego pamięci, jakby nauczył się ich zaledwie wczoraj. A jeśli ktoś wiedział, jak wykorzystać literaturę jako broń, to tym kimś był on. Jego ojciec czerpał przyjemność z zadreczania go cytatami o nieposłusznych dzieciach.

Sara wpatrywała się w niego oszołomiona, podczas gdy pozostałe kobiety zerknęły zdezorientowane to na nią, to na niego.

- Jak... to znaczy... skąd ty...

- Nieważne. Chodzi o to, że opowiadasz im *Lizystratę*, kiedy powinnaś mówić im: „Mąż jest twym panem, opiekunem, wodzem, / Monarchą, życiem; troszczy się o ciebie / I twój dobrobyt; naraża swoje ciało / Na móżół pracy na lądzie i morzu”**

Jej zaskoczenie najwyraźniej znikło, kiedy rozpoznała cytowany fragment - scenę, w której Katarzyna akceptuje Petruchia jako swojego pana i władcę w obecności gości swojego ojca.

* W. Shakespeare *Poskromienie złościcy*, w tłum. St. Barańczaka, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007.

**Tamże.

Oczy Sary błyszczały, gdy wystąpiła z grupy kobiet i podeszła do niego bliżej.

- Jeszcze nie jesteście waszymi żonami. A Szekspir powiedział także: „Wzdychacie, panie. Dręczy was / Wieczna męska niestałość / Zmienni jak wiatr, twardzi jak głaz / Zdradzają, budzą żalność”^{*}.

- Ach, tak. *Wiele hałasu o nic*. Ale nawet Beatrice w końcu zmienia swoje nastawienie, prawda? To chyba ona mówi: „Żegnaj mi, pycho! Niech precz idzie wzgarda! / Za ich plecami nie odjadę chwały. / Twą, Benedicku, miłość odwzajemnię; / Me dzikie serce w twoje serce skłonię”^{**}

- Została podstępem zmuszona do powiedzenia tego! Zmuszono ją, żeby go uznała, tak samo jak ty zmuszasz nas!

- Zmuszam was?! - wrzasnął. - Nie masz pojęcia, co to znaczy zmuszać! Przysięgam, że gdybyś była...

Urwał, gdy uświadomił sobie, że kobiety przyglądały mu się okrągłymi z przerażenia oczami. Sara przekręcała jego słowa, żeby zrobić z niego potwora. I udawało jej się to, niech ją szlag.

- Wyjść! - wrzasnął na kobiety. – Wszystkie wynoście się natychmiast! Chcę porozmawiać z panną Willis na osobności!

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Kobiety były zmęczone, spocone i bały się. Jego rozkaz wystarczył, aby przy akompaniamencie szelestu spódnic uciekły na pokład. Sara z rozpaczą obserwowała, jak ładownia pustoszeje.

- Wracajcie! Nie może was zmusić do wyjścia! Nie ma prawa...

^{*}W. Shakespeare *Wiele hałasu o nic*, w tłum. M. Słomczyńskiego, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2001.

^{**}Tamże.

- Przepraszam, panienko - mruknęła ostatnia kobieta z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

Potem schyliła głowę i popchnęła swoje dziecko w stronę drabiny.

Kiedy wszyscy zniknęli, Sara odwróciła i do kapitana z błyskiem wściekłości w oczach.

- Jak śmiesz! Nie masz prawa tu przychód i po prostu zwalniać moich uczniów, ty... ty despoto!

Nawet jeśli jej oskarżenie było słuszne, niełatwo było je przełknąć. Zrobił kilka sztywnych kroków i znalazł się u jej boku.

- Mam dosyć tego, że nazywasz mnie despota Saro. To prawda, że zajęliśmy wasz statek, ale czy od tamtej pory byliście źle traktowane? Zostałyście zgwałcone? Pobite? Zamknięte w swoich jutach?

- Nie, ale jestem pewna, że to tylko kwestia czasu! A ty narzucałeś mi się wczoraj!

Sara pożałowała swoich słów w chwili, gdy je powiedziała. Oboje mieli zapomnieć o wczorajszym pocałunku. Ona nie powinna o nim wspominać - zwłaszcza z taką pasją.

Zesztywniał, blizna na policzku odcinała się od opalonej skóry.

Zrobiwszy dwa szybkie kroki, objął ją w pasie zanim zdążyła uciec.

- Czy właśnie to wydarzyło się wczoraj? Narzucałem ci się, a ty musiałaś znosić moje pocałunki. Dziwne, ale ja to pamiętam trochę inaczej. Pamiętam, jak twoje usta rozchyłały się pod moimi. Pamiętam, jak wplatałaś palce w moje włosy i zaciskałaś je na moim karku. Większość kobiet nie tak reaguje na przemoc.

Wściekła, że rzucił jej w twarz jej własną słabość, zawinęła dłonie w pięści, ale przyciągnął ją mocno do siebie.

- Nie masz pojęcia, czym jest przemoc, Saro, żadnego. Może nadszedł czas, żeby ktoś ci pokazał, czym jest prawdziwa przemoc.

- N-nie... - szepnęła, kiedy pochylił ku niej głowę, ale jego usta przerwały wszelkie protesty,

Pocałunek był silny i nieustępliwy, kapitan trzymał ją mocno i zdecydowanie. Wiła się, próbując się wyswobodzić. Z błyszczącymi oczami posadził ją na wysokim kufrze. Potem chwycił ją za nadgarstki i wykręcił jej ręce do tyłu, przytrzymując je swoją dużą dłonią, podczas gdy drugą przytrzymał głowę, by móc ją ponownie pocałować.

To był pocałunek karcący, który miał sprawić, że ona szczerze go znienawidzi. I tak się stało. W tym momencie szczerze go nienawidziła. Spróbował wepchnąć język między jej zęby, ale zacisnęła je mocno, zdecydowana nie przegrać tej bitwy. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie zdoła się oswobodzić, postanowiła walczyć z nim w jedyny sposób, jaki przyszedł jej głowy: ugryzła jego dolną wargę. Odsunął głowę, przeklinając, ale jej nie puścił.

- To, moja droga Saro, jest przemoc - syknął. Mogłaby przysiąc, że w jego oczach dostrzegła poczucie winy, ale natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Ten... ten brutal nie wiedział, co to wyrzuty sumienia! Po czym jego oczy nabrały łagodniejszego wyrazu, a ton głosu stał się nieznacznie cieplejszy.

- Nie żebym cię za to winił. Mnie również się nie podoba. Nie chcę, abyś ze mną walczyła.

Jego oczy syciły się każdym rysem jej twarzy. Delikatnie chwycił jej podbródek, potem lekko musnął palcami szyję. Wstrzymała oddech.

- Nie - odezwał się ochryplym głosem. - Wolę cię taką jak wczoraj... miękka... uroczą... przystępną...

Same jego słowa były pieszczotą, a to, jak patrzył na jej usta, jakby były wyjątkowo smakowitym kąskiem, wywoływało u niej dreszcz.

- W ogóle nie możesz mnie mieć.

- Doprawdy?

Schylił głowę; przygotowała się na kolejny brutalny pocałunek. Lecz kapitan delikatnie dotknął ustami miejsca, w którym na jej szyi wyczuwało się puls.

Jego wargi były ciepłe i miękkie, zupełnie inni niż kilka chwil wcześniej. Próbowwała siedzieć bez ruchu, udawać, że nie rozgrzewał jej krwi i nie wywoływał dreszczu podniecenia. Jej ciałem zawładnęły gwałtowne uczucia. Nie umiała nad nimi zapanować. Powędrował ustami do jej ucha, potem delikatnie całował policzek, drapiąc ją bokobrodami.

Nie zważając na pożądanie, które pokonało jej opór, starała się zachować powściągliwość na tyle, na ile mogła to uczynić kobieta, którą mężczyzna obsypywał delikatnymi pieszczotami.

I najwyraźniej ten łajdak dobrze wiedział, czego pragnęła. Cofnął się na moment, wbijając wzrok w jej drżące usta. Potem przywarł do nich swoimi. Były miękkie. Dyskretne. Diabelsko cudowne.

Powiedziała sobie, że musi mu się przeciwstawić, jak na porządną córkę hrabiego przystało.

Jednak woła walki całkowicie ją opuściła. Był taki silny, taki męski. Ładownia statku stanowiła jego

królestwo, mroczne, tajemne i pełne pokus. Nawet kołysanie statku wydawało się być z nim w zмовie, zmuszając Sarę, by się o niego opierała dla zachowania równowagi. Jej kolana robiły się miękkie... tak samo jak brzuch i lędźwie. Dobry Boże, jeszcze nikt nie sprawił, że czuła... ten zdradziecki niepokój, to pragnienie, by odpowiedzieć na każdy pocałunek z równą namiętnością.

Kiedy przesunął rękę na jej pierś, cały jej opór zniknął ostatecznie. Przyjmowała jego pocałunki jak bezwstydną ladacznica.

Gideon od razu wyczuł zmianę, jaka w niej zaszła, zwłaszcza gdy puścił jej ręce, bo zamiast go odepchnąć, wsunęła dłonie pod jego kamizelkę, by objąć go w pasie. Niech ją szlag, była niesamowita. Dlaczego nie pogardzała nim za wcześniejszy brutalny pocałunek? On sobą za to pogardzał tak bardzo, że ponownie ją pocałował, by pokazać, że nie jest potworem, za którego go uważała.

Teraz pragnął jedynie jej dotykać. Jego ciało myślało za niego i nie mógł temu zapobiec.

Reakcja Sary na niego była taka niewinna, taka niewyuczona... taka urzekająca. Pragnął zedrzyć z niej ubranie, położyć ją na posłaniu i zatopić się w niej. Jęknął, kiedy mocniej objęła go w pasie. Musiał się kontrolować. Musiał postępować ostrożnie, by tej kobiecie uświadomić, czym przemoc różni się od obopólnej satysfakcji. Potem będzie mógł ją od siebie odsunąć.

Ale później. Znacznie później. Kiedy już pozna jej ciało.

Przeszkadzało mu ubranie oddzielające jego dłoń od jej piersi. Bez zastanowienia szarpnął koronki, które skromnie zasłaniały dekolt jej sukni. Oderwała od niego wargi, miała szeroko otwarte oczy i niepewne spojrzenie.

Kiedy kawałek koronki opadł na ziemię, kapitan zaczął pieścić krągłość jej piersi i czekał, aż zniknie jej dziewicza determinacja.

Wsunął ręce pod gorset. Musiał jej dotknąć. Oszalałaby, gdyby tego nie zrobił. To w końcu wywołało reakcję.

- Nie powinienes... w ten sposób – wysapała, a jej sutek stwardniał i zamienił się w słodki pączek.

- Nie, nie powinienem. - Wciąż pieścił jej pierś.- Ale chcesz, żebym to robił, prawda? Chcesz. - Zmusi ją do przyznania, że go pragnie, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Odwróciła twarz, ale go nie powstrzymała.

- Ja nie... to znaczy, ja... nie chcę... ja... ja.,

Znowu ją pocałował, uciszając ją i zanurzając język w słodkim cieple jej ust, marząc o tym, by zanurzyć się w innej części jej ciała. Kiedy do niej przywarła, sięgnął za nią, żeby rozwiązać gorset i zsunąć suknię z ramion. Niecierpliwie szarpał tasiemki koszulki, potem zdjął muślin z jej piersi.

Chociaż jęknęła i drgnęła, nie odsunęła się od niego. Ależ była słodka, najśodsza kobieta, jaką zdarzyło mu się smakować.

Gdy do niego przywarła, odsunął usta, ale tylko po to, żeby przenieść je w dół do jej satynowych piersi. Szeroko otworzyła oczy, kiedy ustami zaczął pieścić jej sutek. Ale nie sprzeciwiła mu się. Wygięła się ku niemu, wbijając palce w jego ramiona. Jej paznokcie pewnie zostawią ślady, ale nie obchodziło go to. Pragnął jej. Teraz. Tutaj.

W jego głowie rozległ się dzwonek alarmowy, Zignorował go. Jej zapach, słony smak jej skóry doprowadzały go do szaleństwa. Mógłby jej się

oprzeć, gdyby była zimną angielską damą, której się spodziewał. Ale była ognistą wojowniczką, która recytowała *Lizystratę* dla podniesienia ducha swoich żołnierzy. Takiej kobiecie nie mógł się oprzeć. Pragnął jej. Ona pragnęła jego. Co innego nie liczyło?

- Gideon! Och, na niebiosa! - wysapała, gdy pieścił najpierw jedną, potem drugą jej pierś, chcąc się nią nasycić.

- Tak, to są niebiosa - wymruczał w jej piersi. - Ty jesteś niebiosami, kochanie.

Była aniołem, ta Angielka, której pragnął z każdym uderzeniem swojego lubieżnego amerykańskiego serca. Będzie ją miał. Musi ją mieć. Jej miejsce było przy nim. I pragnęła go. Bez względu na to, co powiedziała, jej ciało mówiło wszystko. Pragnęła go.

Usprawiedliwiał się przed sobą w ten sposób, znowu ją całując, tym razem z namiętnością, której nie mogła zaspokoić słodycz jej ust. Pragnął więcej. Musiał dostać więcej. Gorączkowo podniósł do góry jej spódnicę.

Przesunął dłonie po gładkich udach do miejsca, w którym spotykały się jej nogi. Będzie należała do niego i tylko do niego. Nikt poza nim nigdy jej nie posiadzie.

Pokaże jej, jak bardzo go pragnęła. Sprawি, że już nigdy go nie odepchnie. I z tą myślą wsunął rękę dalej.

Rozdział 11

Jesteśmy tak samo wolne, jak królowa trafi, która zwycięsko pojmała waleta kier.

Lady Mary Wortley Montagu,
list z 13 stycznia 1759 roku

Dotyk palców Gideona w jej najintymniejszym miejscu wyrwał ją z letargu.

- Nie - szepnęła, odrywając usta od jego ust.

- Nie, nie wolno ci!

Jego dłoń przykryła ją, natychmiast rozładowując słodkie napięcie, które narosło w jej ciele.

- Ach, ale muszę - wyszeptał. Jego spojrzeń było ciemne, wymowne, jakby dokładnie wiedział co czuła. - Chcesz, żebym to robił. Pozwól mi się dotykać, Saro. Pozwól mi pokazać, jak mogłoby być między nami.

Sprawiał, że była rozpalona i wilgotna, jak rozgrzane słońcem tropikalne morze.

- Tak - wysapała pomimo zastrzeżeń.

Zamknęła oczy, żeby nie widzieć wiedzy malującej się na jego twarzy, wiedzy o jej słabości. Opanowało ją niemal niepohamowane pragnienie, żeby poddać się jego wprawnym rękom, żeby go dotykać i robić mu to samo, co on robił jej.

Wciąż gładził dłonią miejsce, które najbardziej łaknęło jego dotyku, jednocześnie kładąc sobie jej dłoń na twardym wybrzuszeniu spodni.

Gwałtownie otworzyła oczy. Jego spojrzenie nie było już znaczące, lecz poważne, surowe i tak głodne, jak głodne może być tylko spojrzenie mężczyzny. Wydał z siebie gardłowy odgłos, wypychając biodra ku jej dłoni. Jednocześnie jego pieśczoły stały się jeszcze bardziej intensywne i ogarnęła ją gwałtowna fala rozkoszy.

- Och, mój Boże - wyszeptała.

Całe jej ciało trzęsło się i drżało. Każda jej cząstka pragnęła więcej. Nieświadoma tego, co robi, ocierała się o jego rękę w poszukiwaniu kolejnej pieśczoły.

Jego oczy błyszczały.

- O tak, kochanie. Pozwól sobie na rozkosz.

Rozchylił jej płatki i wsunął jeden palec do środka, gdzie teraz było wilgotno i ślisko.

- Słodki Jezu, jesteś cudowna, taka cudowna.

Sara usłyszała gdzieś na górze skrzypienie drewna. Potem jakiś głos zawołał:

- Kapitanie? Kapitanie, jest pan tam?

Gideon cofnął rękę, klnąc pod nosem.

- Tak, Silas, jestem tutaj. Zaraz do ciebie przyjdę.

Sarę ogarnął wstyd; ocknęła się z miłosnego letargu. Dobry Boże, jej ręka znajdowała się na jego rozporoku! A on dotykał jej najbardziej intymnych miejsc, których dotykać mógł tylko mąż!

Dobiegł ich odgłos kroków.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedział Sillas przy akompaniamencie stukotu drewnianej nogi.

- Chodzi o tę kobietę Louise...

- Jeśli się zbliżysz, Silas - warknął Gideon - każę cię przeciągnąć pod kilem, przysięgam!

Stukot ustał gwałtownie. Sara gorączkowo obciągała spódnicę, ale kiedy spróbowała zsunąć się z kufra, Gideon jej nie pozwolił.

Nie odrywając od niej wzroku, zawołał do Silasa -

- Idź do mojej kajuty. Wkrótce tam do ciebie przyjdę.
Najpierw muszę coś tu skończyć.

Jej serce waliło w rytm odgłosu kroków Silasa wspinającego się z powrotem na górę. Ona była tym „czymś”, i jeśli pozwoli, żeby „dokończył” to, co z nią zaczął, może być pewna, że zaraz potem odstawi ją na bok.

Cóż, nie pozwoli mu na to. Nie z tym mężczyzną z tym pozbawionym skrupułów brutalnym. Właz się zamknął, a Gideon wyraźnie zamierzał znowu ją pocałować. Ale tym razem była przygotowana. Opierając dłonie o jego tors, odwróciła głowę.

- Nie - szepnęła. - Już nie.

Objął ją ramieniem w talii.

- Dlaczego nie?

Przez chwilę miała pustkę w głowie. Jaki powód mogłaby podać, żeby zrozumiał? Gdyby zaprotestowała, że nie są małżeństwem, rozwiązałyby to, po prostu się z nią zeniąc, a to byłoby straszne.

Potem przypomniała sobie plan Peteya.

- Ponieważ już obiecałam swoją rękę innemu.

Zesztywniał. Zapadło przytłaczające milczenie, przerywane jedynie miarowym odgłosem dzwonu odmierzającego wachnię. Ale nie odsunął się i w pierwszej chwili wystraszyła się, że jej nie usłyszał.

- Powiedziałam...

- Słyszałem. - Cofnął się, na jego twarzy malowała się podejrzliwość. - Co to znaczy „innemu”? Komuś w Anglii?

Rozważała wymyślenie narzeczonego w Londynie. Ale to nie miałyby dla niego znaczenia.

- Nie. Innemu marynarzowi. Ja... zgodziłam się wyjść za mąż za kogoś z twojej załogi.

Wyraz jego twarzy stawał się coraz twardszy, aż w końcu wydawało się, że jego twarz jest wyrzeźbiona z tego samego dębu co statek.

- Żartujesz.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Zeszłej nocy Petey Hargraves poprosił mnie, żebym... żebym wyszła za niego za męża. Zgodziłam się.

Na jego obliczu najpierw odmalowało się zaskoczenie, które ustąpiło miejsca wściekłości. Położywszy sobie ręce na biodrach, pochylił głowę, aż jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Nie należy do mojej załogi. Czy dlatego przyjęłaś jego propozycję - ponieważ nie jest jednym z moich ludzi? A może chcesz powiedzieć, że coś do niego czujesz?

Ostatnie słowa wypowiedział z szyderstwem; zawstydziała się. Nie mogła twierdzić, że czuje coś do Peteya, skoro przed chwilą niemal oddała się Gideonowi. Ale to była jedyna odpowiedź, która mogła go powstrzymać. Jej dłonie drżały na jego torsie.

- Ja go... lubię, tak.

- Tak samo, jak lubisz mnie? - Kiedy odwróciła wzrok, niepewna, co powiedzieć, chwycił ją za podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała. Pomimo słabego światła widziała, że nadal był podniecony. A kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało napięcie spowodowane żądzą. - Nie obchodzi mnie, na co zgodziłaś się ostatniej nocy. Wszystko się zmieniło. Niemożliwie, że nadal chcesz za niego wyjść po tym, w jaki sposób reagowałaś na mój dotyk.

- To była pomyłka - wyszeptała. - Petey i ja pasujemy do siebie. Znam go jeszcze z Chastity.

Wiem, że to człowiek honorowy, dlatego nadal zamierzam za niego wyjść.

Szczęka Gideona drgnęła.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest despotą. Nie jest złym piratem jak ja, który „gwałci i plądruje”. - Odsunął się od kufra z przekleństwem na ustach, po czym ruszył w stronę schodów. - Cóż, on nie jest dla ciebie, Saro, bez względu na to, co myślisz. I zamierzam natychmiast zakończyć jego zaloty!

Ogarnęło ją przerażenie.

- Nie! - krzyknęła, zrywając się z kufra i biegnąc za nim. - Nie, Gideonie! Zatrzymaj się!

Ale kapitan był już w połowie schodów. Gdy rzuciła się za nim w pogoń, suknia opadła jej z ramion. Musiała ją poprawić, patrząc bezradnie, jak Horn znika w otworze włazu.

Niech to szlag! - pomyślała, szarpiąc się z halkami. Jeśli szybko nie znajdzie się na pokładzie, Gideon na pewno każe wyrzucić Peteya za burtę albo zrobi mu jeszcze coś gorszego. A ona nie mogła na to pozwolić. Petey był jej jedyną nadzieją na ucieczkę!

^ ^ ^

Zszedłszy właśnie z wachty na bakburcie, Petey leżał w swoim hamaku, wycinając w kawałku kości słoniowej rysunek statku. Pomieszczenia załogi były puste, bo wszyscy albo emablowali kobiety, albo byli na wachcie. Gdyby mógł wybierać, byłby z nimi. Odszukałby Ann.

Jednak to było niemożliwe, a świadomość, że jakiś inny pirat właśnie próbował ją uwieść, wprawiła go w podły nastrój. Wybrał jedyną możliwą drogę, ale

nie podobało mu się, że wykluczała ona Ann.

Nagle drzwi do pomieszczeń załogi otworzyły na oścież, uderzając o ścianę z taką siłą, że Petey niemal spadł z hamaka. Do kajuty wszedł sam lord piratów, przypominając wyglądem diabła z błyszczącymi oczami i wściekłością wypisaną na twarzy. Spojrzał na Peteya tak zjadliwe, że ten poczuł, jak przerażenie ściska mu serce.

Petey ostrożnie zsunął się z hamaka i stanął za nim.

- Dobry wieczór, kapitanie. Wszystko w porządku?

Kapitan chwycił go za koszulę i uniośł kilka centymetrów nad ziemię.

- Nie możesz jej mieć, słyszysz? Ani teraz, ani kiedykolwiek!

Peteya ogarnęło jeszcze większe przerażenie. Ledwie powstrzymywał dreszcze.

- K-kogo ma pan na myśli, kapitanie?

- Wiesz, kogo mam na myśli, Angliku. - Pirat mrużył oczy. - Chyba że kłamała, mówiąc, iż wybrała cię na męża.

Ach, więc o niej mówił. O paniencie. Petey z trudem przełknął ślinę. Co za koszmar.

- Panna Willis nie kłamała, kapitanie. Ja... poprosiłem ją, żeby została moją żoną, i zgodziła się.

Kiedy kapitan chwycił go jedną ręką za gardło, Petey położył rękę na rękojeści noża do krojenia mięsa. Gdyby jakkolwiek inny mężczyzna złapał go za gardło, Petey powaliłby go, wbijając mu nóż w brzuch. Ale to był kapitan piratów. Z takim szaleńcem musiał postępować ostrożnie.

- Puść go! - To była panna Willis we własnej osobie. - Puść go, mówię!

- Nie wtrącaj się, Saro - rozkazał kapitan, zaciskając palce na szyi Peteya. Choć kapitan wciąż trzymał go w powietrzu za koszulę, to jednak nie przestawał go dusić. Petey z trudem łapał powietrze.

Panna Willis zignorowała słowa kapitana. Złapała go za ramię.

- Zrobisz mi krzywdę! Postaw go na ziemi!

- Daję mu nauczkę. Trzeba mu przypomnieć, gdzie jest jego miejsce, co na tym statku oznacza, że znajduje się w hierarchii za chłopcem okrętowym!

- I z tego powodu go udusisz?

- Z tego powodu. I za uwodzenie cię. - Kapitan zerknął na Peteya, który z coraz większym trudem łapał powietrze. - Nie ma takich samych praw jak moi ludzie. Powinienem mu to jasno powiedzieć już wcześniej.

- Ale ja go wybrałam! - Sara przytrzymała się do ramienia kapitana jak rzep. - Powiedziałeś, że możemy wybrać sobie mężów! I ja wybrałam! Wybrałam, kogo chciałam!

Nagła cisza była ogłuszająca, a przerywało ją jedynie skrzypienie hamaka. Kapitan, nieznacznie rozluźniając uścisk na szyi Peteya, przenikliwie spojrzał na pannę Willis.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę pragniesz mieć za męża pośledniego marynarza?

- Jeśli alternatywą miałby być pirat, to tak! - Był to emocjonalny wybuch, ale gdy kapitan wciąż się w nią wpatrywał, dodała bardziej zdecydowanie: - Oczywiście, że tego chcę. I jeśli mówisz, że nie może się ze mną ożenić, to odbierasz mi wybór, który podobno mi dałeś. - Wzięła głęboki oddech. - Jeśli mogę wybrać wyłącznie mężczyznę, którego ty zaakceptujesz, to znaczy, że nie mam żadnego wyboru, prawda?

Kapitan spojrział na nią wściekłym wzrokiem. Potem puścił Peteya, klnąc przy tym siarczyście i pochylił się nad nim z wyrazem twarzy człowieka, który pałał żądzą zemsty.

Kiedy kapitan wyprostował palce, a potem zwinął je w pięści, Petey zerwał się na równe nogi i przyjął pozycję do walki. Nie chciał bić się z kapitanem, bo postanowił nie rzucać się piratom w oczy. Ale będzie musiał z nim walczyć, jeśli miałyby to uratować jego i panienkę.

- Przestańcie! - zawołała panna Willis. - Przestańcie natychmiast, obydwaj!

Kapitan Horn zignorował ją. Patrząc na Peteya z mieszaniną pogardy i rozbawienia, skinął na niego jedną ręką.

- Spróbuj, Hargraves. No dalej, spróbuj!

Rozsierdzony protekcjonalnym tonem pirata, Petey kopnął tak, żeby powalić przeciwnika na ziemię. Zaraz potem leżał jak długi, a kapitan uśmiechał się ponuro, stawiając stopę na klatce piersiowej marynarza.

- Bardzo dobrze, Hargraves. Gładki manewr. Ale ktokolwiek nauczył cię walczyć w ten sposób, powinien także nauczyć cię ignorować szyderstwa przeciwnika. Walczenie jak Azjata wymaga myślenia jak Azjata, co oznacza, że nie wolno dopuścić, aby zawaładnęły tobą emocje.

Petey wpatrywał się w niego z obawą. Nigdy nie spotkał innego marynarza, który by wiedział takie rzeczy.

Kapitan nagle zabrał nogę, potem wyciągnął do Peteya rękę. Petey wahał się przez chwilę, zanim pozwolił kapitanowi sobie pomóc. Kiedy wstał, panna Willis odepchnęła kapitana i podbiegła

do marynarza, z troską przesuając rękami po jego ramionach i torsie.

- Jesteś ranny? Nie zrobił ci krzywdy?

- Nie, panienko, ucierpiała tylko moja duma. -

Posłał jej smutny uśmiech. - Proszę się nie niepokoić. Nic mi nie jest.

Dopiero gdy zauważył taksujące spojrzenie kapitana Horna, uświadomił sobie, że zachowuje się jak sługa, nie jak narzeczony. Gdy objął pannę Willis w tali, nie zważając na jej zaskoczone spojrzenia zauważył, że pirat obserwuje go z zainteresowaniem.

- Cóż za wzruszająca scena. - Na twarzy kapitana Horna malowała się podejrzliwość i zduszony gniew. - I pomyśleć, że aż do teraz nie zauważyłem tej wielkiej namiętności, która rozkwitła tuż pod moim nosem.

- Jak powiedziała panna Willis, wybrała mnie. - Petey wypiął pierś, przyjmując postawę obronną... trochę za późno, niestety. - Chyba powiedziała panu, że zaprzyjaźniliśmy się na Chastity.

Zeszłej nocy ustalili, że tak właśnie będą mówić chociaż wiedzieli, że wielu wyda się to mało prawdopodobne.

Najwyraźniej kapitan był jednym z nich.

- Rzeczywiście twierdziła coś takiego. Twierdziła. To zrozumiałe, że ten człowiek nie wierzył żadnemu z nich.

Potem ten wilk morski spojrział poządlawie na pannę Willis, sprawiając, że zadrżała.

- Ona i ja także się „zaprzyjaźniliśmy” w ciągu ostatnich dwóch dni. Prawda, Saro?

Petey z zaskoczeniem stwierdził, że gwałtownie się zarumieniła. Rzuciła mu pełne skruchy spojrzenie, potem zerknęła na swoje ręce.

- N-nie wiem, o czym m-mówisz.

- Oczywiście, że nie - wycedził kapitan. - Powiniennem był się spodziewać, że taka dwulicowa angielska dama jak ty zaprzeczy prawdzie o naszej „przyjaźni”. Cóż, możesz temu zaprzeczać przede mną i przed tym swoim marynarzem. - Zniżył głos do groźnego pomruku. - Ale cholernie trudno będzie ci zaprzeczać przed samą sobą.

Rzuciwszy tę dziwną uwagę, kapitan obrócił się na pięcie i wyszedł z dziobówki, trzaskając drzwiami i zostawiając Peteya kompletnie zdezorientowanego. Coś łączyło kapitana i pannę Willis, to było oczywiste.

Panna Willis odskoczyła od Peteya.

- Drań! Wstrętny drań! Po raz pierwszy, odkąd weszła do pomieszczeń załogi, Petey zauważył, że jej ubranie było w nieładzie. Zniknęła koronka, którą zawsze przysłaniała dekolt sukni, a jedna z tasiemek jej koszuli wystawia poza gorset. Zmroziło go to.

- Co miał na myśli, mówiąc „zaprzyjaźnieni”? Co ten cholerny pirat pani zrobił?

Przez chwilę nie odezwała się ani słowem.

- Nic, na co bym mu nie pozwoliła - wymamrotała wreszcie.

Jęknął. Jeśli kiedykolwiek uda mu się wyrwać pannę Willis z tego bałaganu, jej przyrodni brat go zabije.

- Dotykał pani? Czy on... to znaczy, czy był...

Petey zamilkł. Psiakrew. Jak byle marynarz ma zadać przyrodniej siostrze hrabiego tak nietaktowne i obraźliwe pytanie?

Ale nie musiał pytać. Po jej rumieńcu poznał, że zrozumiała. Prostując ramiona, spojrzała na niego zbyt błyszczącymi oczami.

- Nie... nie odebrał mi cnoty, jeśli o to pytasz. I nie zrobi tego. Nigdy. - Kiedy tylko uniósł brew w odpowiedzi, dodała: - Nie musisz się o mnie martwić. Sama mogę o siebie zadbać.

- Widzę. Dlatego kapitan węszy za panią jak kocur na łowach.

Rzuciła mu spojrzenie tak ostre, że mogło przeciąć szybę.

- Poradzę sobie z kapitanem Hornem, Petey. I skup się na tym, żeby nas stąd wydostać.

Potem pospiesznie wyszła z kajuty, zostawiaj go rozmyślającego, jak ma pomóc jej w ucieczce skoro nie mógł nawet uchronić jej przed lordem piratów.

Rozdział 12

Och, Anglia jest uroczym miejscem dla tych,
którzy są bogaci i wysoko urodzeni,
Ale Anglia jest okrutnym miejscem
dla takich biedaków jak ja;
Nigdy już nie odwiedzę takiego portu
dla żeglarzy,
Jak wyspa Aves u wybrzeży Hiszpanii.

Anonim

Ostatni korsarz

Co myślisz? - Sara spytała Louise, gdy następnego ranka tuż po śniadaniu stały na pokładzie, obserwując horyzont. Minęło prawie pół godziny, odkąd czujka krzyknęła: „Ziemia!”, i wciąż widziały jedynie brązową plamę.

- Trudno powiedzieć. Wciąż jest za daleko, żeby móc coś powiedzieć.

Otaczał je tłum kobiet, usiłujących zaspokoić ciekawość, jak wygląda ich nowy dom. Ann Morris przecisnęła się między kobietami, żeby stanąć z boku Sary, jej ciemne włosy okalały pogodną, różową twarz.

- Czy to to? - Ann przełożyła stertę brudnych talerzy z jednej ręki do drugiej. - Czy to Atlantyda?

- Nie jesteśmy pewne - odparła Sara - ale tak sądzimy. Najwyraźniej tam zmierzamy. A kapitan powiedział mi, że podróż zajmie tylko dwa dni.

Ann spojrzała spod przymrużonych powiek na plamę na horyzoncie.

- Może powinniśmy poprosić Peteya, żeby pozwolił nam popatrzeć przez lornetkę. Założę się, że znajdzie sposób, żeby jakąś dla nas znaleźć.

- Och, jestem pewna, że jeśli poprosi go o to panna Willis, będzie szczęśliwy – zauważyła od niechcienia Louisa. - Skoro zamierza za niego wyjść, on...

Nagły łoskot sprawił, że Sara i Louisa obróci się ku Ann. Kobieta stała wpatrzona w stertę rozbitych talerzy, z pięścią przyciśniętą do ust.

- Ann? - spytała Sara, kiedy Walijka zaczęła zbierać skorupy, szybko wrzucając je do fartuchu - Ann, nic ci nie jest? - Uklękła przy dziewczynie, która teraz płakała, a po jej okrągłej twarzy spływały wały wielkie łzy. - Boże drogi, co się stało?

- Nic. To nic. Po prostu wysłiznęły mi się, to wszystko.

- Ale ty płaczesz...

Louisa przerwała jej, kładąc Sarze rękę na ramieniu. Pochyliła się, żeby szepnąć jej do ucha:

- Zostaw ją. Nie powinnam mówić tego przy niej, ale sądziłam, że już o tym wie.

- O czym wie? - Sara uniosła głowę.

- Że ty i Petey jesteście zaręczeni.

Sara rzeczywiście powiedziała o tym wielu kobietom, ale nie sądziła, że którąkolwiek to dotknie. Zerknęła na Ann, która zebrała skorupy, po czym pospiesznie zaczęła przeciskać się przez tłum innych kobiet.

Wtedy Sara zrozumiała. Och, jak mogła być tak głupia? Nie zwracała uwagi na pełne zachwyty komentarze Ann na temat Peteya.

Ann była w nim zakochana i zaręczyny Sary musiały być dla niej ciosem w samo serce. Pewnie wymarzyła sobie, że poślubi Peteya. Sarę ogarnęło gwałtowne poczucie winy

Niefrasobliwie przystała na plan, nie zastanawiając się, czy ktoś przypadkiem nie będzie cierpiał. Biedna Ann.

Nie pomogło jej przypuszczenie, że Petey pewnie nawet nie odwzajemniał jej uczucia, i że ucieknie z wyspy, jak tylko nadarzy się okazja. Nie, nie pomogło ani trochę. Ann niewiele miała z życia, a teraz odebrano jej jedyną nadzieję, której się uczepliła. I zrobiła to Sara, której tak bardzo zależało na szczęściu tych kobiet.

Sara obserwowała Ann, gdy ta pospiesznie uciekła do kambuza. Potem wstała i zwróciła się i Louisy.

- Wiedziałaś, że ma oko na Peteya?

Louisa potaknęła.

- Ale nie przejmuj się. Rozumiem, dlaczego ty i Petey się spiknęliście, nawet jeśli Ann tego nie rozumie. Tylko wy dwoje w tym tłumie nie jesteście kryminalistami. Nie mogę go winić za to, że nie chce poślubić więźniarki, a ciebie za to, że nie chcesz poślubić pirata. - Wzruszyła ramionami. - Ludzie zazwyczaj trzymają ze swoimi. Dowiedziałam się tego... dawno temu.

Smutek w głosie Louisy sprawił, że Sara poczuła ucisk w gardle. Louisa niewiele mówiła o swojej przeszłości, ale Sara powiązała kilka faktów. Mężczyzna, którego dźgnęła nożem, był najstarszym synem księcia. Łatwo było zakochać się w kimś takim, ale jako guwernantka Louisa nie mogła mieć żadnej nadziei na ślub. Niemniej, jeśli była w nim zakochana, to co musiał jej zrobić, że rozgniewał ją tak bardzo? Zwykła odmowa poślubienia jej nie wydawała się wystarczającym powodem w przypadku tak dobrze wychowanej i wykształconej kobiety jak Louisa. Musiało być coś jeszcze w tej historii.

Ale Louisa nie opowiadała o swojej zbrodni.

Pomóc Louisie. Tak samo jak pomogła Ann. Louisa obejdzie się bez takiej pomocy.

- Nie widzę żadnych drzew - stwierdziła Louisa, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

Nadal czując się winna, Sara spojrzała na horyzont. Teraz plama stała się bezkształtnym zarysem, wciąż brązowym i dziwnie wyglądającym.

- To Gideon nazywa „rajem”? - zastanawiali się głośno.

Louisa rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

- Gideon? Jesteś po imieniu z naszym kapitanem?

Sara się zarumieniła.

- Nie, oczywiście, że nie. Chciałam powiedzieć kapitan Horn.

Jeszcze z jednego powodu powinna czuć się winna - swojego wczorajszego tragicznego spotkania z nim. Unikał jej od tego czasu, i dobrze. Nigdy nu powinna była pozwolić mu na takie swobodne zachowanie. Dało mu to całkowicie mylne wyobrażenie.

- Na twoim miejscu nie zbliżałabym się do kapitana Horna - rzuciła Louisa z obojętnym wyrazem twarzy.

- Nie jestem z nim zaprzyjaźniona.

Louisa uniosła brew.

- Dobrze. Więc nie będzie ci przeszkadzać, że zeszłej nocy wysłał Barnaby'ego do ładowni, żeby przyprowadził mu do łóżka Queenie.

- Co zrobił?

- Powiedziałaś, że nic cię z nim nie łączy.

Ponownie zwracając wzrok ku horyzontowi, Sara usiłowała zmusić się przynajmniej do odrobiny nonszalancji.

- Nic. Jestem tylko... oburzona, że zrobił coś takiego, chociaż wcześniej powiedział mężczyznom, żeby zachowywali się jak dżentelmeni do czasu ślubu. - Po tym, jak spędził popołudnie, usiłując mnie uwieść.

Poczuła bolesne ukłucie zazdrości, chociaż usiłowała je w sobie zdusić. Zerkając na stojącego u steru Gideona, który wykrzykiwał głośno rozkazy, zmarszczyła brwi. W tej skandalicznej skórzanej kamizelce i dopasowanych spodniach wyglądał na kogoś, kim naprawdę był - jurnym satyrem. Miała rację, nie ufając mu. Bo wszystkie jego czule słówka, podchody nie miały znaczenia. Nie chodziło mu o nic więcej, jak o szybkie uwiedzenie.

I pomyśleć, że niemal mu uległa! Byłaby to straszna pomyłka!

Luisa wzruszyła ramionami.

- On jest kapitanem. Chyba się nie spodziewałaś, że będzie przestrzegał zasad, które ustalił dla swoich ludzi.

- Właśnie tego się spodziewałam - prychnęła Sara - Mówi o stworzeniu kolonii i zbudowaniu raj, ale tak naprawdę chce mieć harem dla siebie i swoich ludzi. Chce, żebyśmy były takie jak Queenie.

- Ciii... - szepnęła Louisa. - Właśnie nadchodzi.

Sara powtarzała sobie, że ma nie zwracać na kobietę uwagi. Ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć, czy Queenie rzeczywiście wyglądała na taką, która spędziła noc z kapitanem.

Nie było co do tego wątpliwości. Queenie niewątpliwie spędziła z kimś noc. Uśmiechała się jak kocur, który opił się śmietany, a jej twarz promieniała.

- Dzień dobry wszystkim - zaszczebotała. Unosząc ramiona nad głowę, teatralnie ziewnęła.

- Chyba trochę zaspałam. Miałam długą noc. - Leniwie opuściła ramiona, potem przyjęła uwodzicielską pozę. - Mówię wam, drogie panie, nie musicie się martwić o to, jacy będą z tych piratów mężowie. Sądząc po ostatniej nocy, spiszą się całkiem nieźle... naprawdę nieźle.

Większość kobiet zachichotała. Sara nie była w stanie. Odwróciwszy się, zdusiła gorzkie słowa, jakie cisnęły jej się na usta. Jakie to miało znaczenie, że Gideon wziął sobie do łóżka Queenie? Jakie to miało znaczenie, że tej wywłóce to się podobało? Pasowali do siebie. Queenie była najgorsza ze skazanych kobiet, a Gideon najgorszy z piratów; byli dla siebie stworzeni.

Potem Sara raczej poczuła, niż zobaczyła, że Queenie przeciska się przez tłum i staje obok niej.

- Czy to to? - spytała Queenie, opierając skrzyżowane ramiona o poręcz. - To jest Atlantyda?

- Tak sądzimy - odparła Louisa.

W tej chwili Sara nie była w stanie grzecznie odpowiedzieć, nawet gdyby od tego miało zależeć jej życie.

- Nie wygląda na zbyt dużą - mruknęła Queenie. - Nie ma zieleni. I gdzie jest woda?

Sara zmrużyła oczy. Queenie miała rację. Nie było widać żadnego strumienia ani roślinności,! Chyba nie tak Gideon wyobrażał sobie „raj”. Jeśli tak, to miał dziwne o nim wyobrażenie.

Zapadło ponure milczenie, kiedy statek zbliżał się do wyspy. Po tym wszystkim, czego doświadczyły te kobiety, pomyślała Sara, przynajmniej Gideon powinien mieć na tyle przyzwoitości, żeby ich nie oszukiwać.

Kiedy tak obserwowały wyspę, statek zaczął skręcać w prawo.

- Może to jednak nie ta wyspa - zauważyła jedna z kobiet stojących za Sarą. - Może po prostu musimy ją opłynąć.

- Nie sędę. Gdyby chcieli ją ominąć, zachowaliby większą odległość.

Kobiety zbliżyły się do poręczy, bo każda chciała lepiej się przyjrzeć rzadkiej roślinności i nagim głazom.

Statek wykonał pełny skręt w prawo i teraz płynął równolegle do brzegu. Atlantyda była szersza, niż się spodziewały. Aż nagle ich oczom ukazał się widok, który zaparł im dech w piersiach. Druga strona wyspy była tak zielona i soczysta, jak pierwsza była brązowa i sucha. Pierzaste palmy kosa porastały piaskową plażę, a w głębi rozciąga się dżungla pełna egzotycznych drzew, pnącego wina i zbitego podszycia.

Do lasu przytulone były chaty pokryte strzechą, a na jednym końcu naturalnej laguny znajdował się pomost, do którego mógł przybić Satyr. Kolejny statek, o połowę mniejszy od Satyra, lecz zdolny do przetransportowania dużego ładunku, przycumowany był dalej.

Kiedy statek zwolnił, Sara spojrzała na srebrny strumień, który przecinał plażę. Obok leżało kilka drewnianych wózków, najwyraźniej używanych do przewożenia pojemników z wodą.

Raj. Musiała to przyznać. Czyste błękitne wody pełne tropikalnych ryb, kolorowe owoce zwisające drzewa i delikatny, ciepły klimat. Istne niebo.

Odgłos trzeszczącego drewna wyrwał ją z zamyślenia, oznajmiając, że dobili do pomostu. Gdy mężczyźni wyrzucili kotwicę i przywiązali cumy do pali, kobiety zaczęły z ożywieniem rozprawiać o swoim nowym domu.

- No i co sądzicie, drogie panie? - rozległ się donośny głos. - Czy to odpowiada waszym oczekiwaniom?

Gdy chór kobiet głośno zachwycił się wyspą, Sara zacisnęła usta. Gideon. Teraz, kiedy statek przybił do brzegu, miał czas, aby przechwalać się swoją drogocenną posiadłością. Niech to diabli. Miała ochotę powiedzieć mu, co sądzi o tym jego raju.

Stojąc z tyłu, Gideon przyglądał się sztynnym plecóm Sary, zastanawiając się, dlaczego była taka wściekła. Spodziewał się, że będzie mile zaskoczona urokami Atlantydy, a nie zła.

Co mnie to obchodzi? - pomyślał cierpko, kiedy nie chciała nawet na niego spojrzeć ani się odezwać. Pościeliła sobie łóżko z tym cholernym Hargravesem. Niech teraz w nim śpi.

Problem polegał na tym, że nie mógł pozwolić aby to Hargraves ją posiadał. Bóg wiedział, że była nieznośną dziewczuchą o niewyparzonym języku. Ale nie mógł zapomnieć, co czuł, kiedy ją obejmował i całował, jak przez chwilę była uległa w jego ramionach. Niech ją szlag, takie myśli nie dawały mu zasnąć przez połowę nocy i sprawiły, że posłał po Queenie i szybko oddał ją Barnaby'emu, kiedy uświadomił sobie, że nie tego chciał.

Jakby czytając mu w myślach, Queenie podeszła do niego i położyła mu rękę w zgięciu łokcia.

- Dzień dobry, gubernatorze. Mam nadzieję, że czujesz się dziś równie dobrze jak ja.

Wpatrywał się w Queenie z niedowierzaniem. Ostatnim razem, kiedy ją widział, pomstowała na niego, że nie chce iść z nią do łóżka. Obaj z Barnabym musieli ją przekonać, by zechciała wyjść z jego kajuty po tym, jak popełnił błąd i kazał ją przyprowadzić. Jaka grę prowadziła? Wiedział, że

spędziła tę noc z Barnabym, a sądząc po uśmiechu pierwszego oficera i jej zadowolonym wyrazie twarzy, była to upojna noc. Czego chciała od niego?

Potem Queenie zerknęła na nieprzystępne plecy Sary, i Gideon natychmiast zrozumiał. Wyglądało na to, że Sara słyszała, iż wezwał do siebie Queenie. A Queenie pozwoliła Sarze wierzyć, że spędziła z nim noc.

To dlatego Sara nie chciała z nim rozmawiać ani na niego spojrzeć! Była zła z powodu Queenie. Ta myśl sprawiła mu niesamowitą radość. Wbrew zapewnieniom Sary, że go nie chce, była zazdrosna o jakąś dziwkę.

Potem uderzyła go otrzeźwiająca myśl. Mogła udawać moralne oburzenie jego lubieżnością.

Gdy Queenie uwiesiła się na jego ramieniu, zerknął na plecy Sary. Mała wiedźma. Nie miała prawa być zła. Nie zrobił niczego, czego musiałby się wstydzić, a nawet jeśli, ona ponosiła winę za to, że jej pragnął.

Zaczął odsuwać od siebie Queenie, ale się powstrzymał. Dlaczego miałby to robić? Jeśli Sara była zazdrosna, niech poczuje to, co on czuł wczoraj, kiedy zobaczył, jak cacka się z Hargravesem niczym troskliwa kwoczek. Może wtedy przyzna, że nie chce tego paskudnego marynarza.

A jeśli nie z powodu zazdrości się wściekła, to przynajmniej utrzej jej nosa domniemaną „lubieżnością”.

Pozostałe kobiety zniknęły, sprowadzone na ląd przez swoich mężczyzn, żeby mogły obejrzeć wyspę. Jedyne Sara pozostała przy poręczy. Kapitan wyszczerzył w uśmiechu zęby. Jakby nigdy nic obejmując ramieniem Queenie, odezwał się gładko:

- Dzień dobry, panno Willis. I co pani sądzi o naszej wyspie?

Odwrociła się do niego i natychmiast pobladła, widząc u jego boku Queenie. Ale szybko się opanowała.

- Jest urocza. - Jej głos był pełen jadu. - To idealne miejsce dla ciebie i twoich towarzyszy, by mogli zabawić się ze swoimi konkubinami.

Uśmiechnął się.

-Masz na myśli „zabawianie się z naszymi przyszlými żonami”, prawda? I zapewniam cię, że nie wszystkie są niechętne. - Zerknął na obfity biust Queenie.

Widok wyrazu twarzy Sary był bezcenny.

Uniosła wyniośle podbródek i równie wyniośle powiedziała:

-Niektóre z nich się nie szanują. O takich nic nie mówię. Będą musiały same zmagać się ze swoimi sumieniem.

Queenie się najeżyła.

- Ty zarozumiała, mała dzi...

- Dosyć, Queenie. - Opuścił rękę z jej ramion.- Możesz przyłączyć się do pozostałych kobiet? Muszę coś powiedzieć pannie Willis.

Przez chwilę myślał, że Queenie odmówi, ale najwyraźniej uznała, że gra nie była warta świeczki. Wzruszyła ramionami i zabrała rękę z jego talii.

- Skoro chcesz, gubernatorze. - I rzuciwszy mu ostatnie uwodzicielskie spojrzenie, zeszła na pomost, prowokacyjnie kołysząc biodrami.

Gideon spojrział na Sarę i zobaczył, że ta obserwuje Queenie morderczym wzrokiem. Zachichotał.

- Nie lubisz jej, prawda?

- Nie darzę jej żadnym uczuciem. A teraz, jeśli mi wybaczysz, kapitanie Horn...

Ucichła, kiedy chwycił ją za ramię.

- Nie jesteś ani trochę ciekawa, Saro? Nie chcesz usłyszeć, co sędzę o występie Queenie zeszłej nocy?

- Zupełnie nie! - Zrobiła się purpurowa. - Puść umie!

Chwycił ją w tali i pochylił się, żeby szepnąć:

- Nie chcesz wiedzieć, co robiliśmy? Czy całowałem ją tak jak ciebie? Czy pieściłem jej piersi i tajemne miejsce między jej nogami?

- Przestań. - Drżała. - Przestań mówić takie czy!

Na jej twarzy malowała się taka rozpacz, że nie był w stanie dłużej jej dręczyć.

- Nie dotknąłem jej - wymknęło mu się, zanim zdążył to powstrzymać. - Odesłałem ją do Barnaby'ego po jednym pocałunku.

Sara zamarła.

- Nie... nie obchodzi mnie, co z nią robiłeś. To nic dla mnie nie znaczy. - Ale ulga w jej głosie mówiła co innego.

- To ciebie pragnąłem - szepnął Horn. - I to ciebie posiadę, bez względu na to, co będę musiał zrobić, by tak się stało.

Zeszłej nocy zrozumiał jedno: nie mógł wziąć do łóżka innej kobiety, kiedy pragnął tylko Sary. Musiał się z nią kochać przynajmniej jeden raz, choćby po to, żeby pozbyć się jej ze swoich myśli.

- Nie możesz... mnie mieć - odezwała się niepewnie. - Jestem obiecana innemu.

- To nie ma znaczenia. - Ostatniej nocy, podczas długich godzin tęsknoty za nią, podjął decyzję, że w jakiś sposób odbije ją Hargravesowi. - Jesteś pisana mnie, nie jemu. I pewnego dnia sprawię, że to przynasz. Możesz być tego pewna.

Rozdział 13

**Och, jak niewiele trzeba czasu, żeby położyć kres
kobiecej wolności!**

Fanny (Frances) Burney (1776-1828)

pisarka angielska

Wczesne dzienniki i listy Fanny Burney

Po zaledwie dwóch godzinach przechadzki po plażach Atlantydy Sara musiała przyznać, aczkolwiek niechętnie, że miłość Gideon do tego miejsca była uzasadniona. Z każdym krokiem jej pantofle zapadały się w biały, drobny piasek. Powietrze przesycone było zapachem bogatej roślinności, jak powietrze w londyńskiej oranżerii, którą kiedyś odwiedziła podczas prozowanej kolacji.

A te kolory! Żywy róż i jaskrawa żółcień zdobiły wierzbowy i dębowy las. Barnaby wyjaśnił jej, że chociaż wyspa znajdowała się w tropikach, to południowe wiatry i zimne prądy Północnego Atlantyku utrzymywały łagodny klimat, dzięki czemu obok palm i bambusów rosły drzewka pomarańczowe i cytrynowe. Z tego, co mówił Barnaby, zim tu nie było, a lata były łagodne.

To wyjaśniało bujną roślinność, ale co ze zróżnicowaną fauną? Do tej pory widziała na wzniesieniach dzikie kozice i króliki, na brzegu olbrzym żółwie morskie, a co krok - kuropatwy i bażant Czy dla wszystkich tych zwierząt wyspa była naturalnym domem, czy przywieźli je tutaj dawno temu jacyś koloniści, którzy jednak

Porzucili swoje marzenia o raj?

Cóż, nie taki całkiem absolutny raj. Była druga strona wyspy - sucha, brązowa przestrzeń, którą widzieli najpierw. Kiedy spytała o to Barnaby'ego, wyjaśnił, że to rezultat dziwnego fenomenu pogodowego. Te same wiatry, które przynosiły wyspie łagodny klimat, wysuszały tę stronę wyspy, na którą cały czas wiały. Ponieważ ta mniej atrakcyjna strona wyspy widoczna była ze szlaku handlowego, nikt nie próbował się tutaj osiedlać. Kiedy jakiś statek zbaczał z kursu i znajdował Atlantyde, uznawał ją za nieurodzajną wyspę i odpływał.

Była jak mityczny rajski ogród ukryty przed ludźmi. Przed wszystkimi, poza Gideonem.

Ukradkiem zerknęła na kapitana; miał na sobie jedynie spodnie i pas z przypiętą do niego szablą. Podniósł ręce i chwycił kiść żółtych owoców z palmy o płaskich, błyszczących, zielonych liściach. Nawali to drzewem bananowca. Odciał kiść za pomocą szabli.

Kiedy się pochylił, żeby położyć owoce na wózku, który był już pełen, dostrzegła pracę jego mięśni pod błyszczącą od potu skórą. Właśnie w tym momencie spojrzał w kierunku Sary i ich oczy się spotkały. Przez chwilę jego spojrzenie było intensywne i niezgłębione. Ogarnęła ją nagła, dobrze znana fala gorąca, wywołująca rumieniec. Zawstydzona, że ją przyłapał, odwróciła się, ale zdążyła jeszcze zauważyć znaczący uśmiezek, który wypłynął na jego wargi.

Dobry Boże, ten mężczyzna stanowił zagrożenie dla całej kobiecej populacji! Ona, najbardziej ze wszystkich, powinna być na niego uodporniona, poznawszy w czasie swojej pracy tylu kryminalistów. A jednak nie

uodporniła się. Dlaczego ze wszystkich ludzi na ziemi to właśnie zatwardziały kapitan piratów musiał powodować u niej miękkość w kolanach, jak u jakiejś nieopierzonej nowicjuszki? Zawsze była zbyt rozsądna na takie zauroczenia, nie licząc pułkownika Taylora, ale nawet przy nim nie straciła całkowicie głowy, jak to miało miejsce tu i teraz.

Chociaż pospiesznie zeszła na plażę, nie mogła ignorować ciepła, które wędrowało od najintymniejszych części jej ciała. Och tak, Gideon należał do rajskiego ogrodu. Był równie piękny, jak piękny musiał być biblijny Adam. Bóg nie zaniedbał swoich obowiązków, tworząc Gideona Horna. Prawdę mówiąc, zastanawiała się nawet, czy Bóg przypadkiem nie przyłożył się za bardzo do swojej pracy. Powinien wyposażyć tego mężczyznę w coś bardziej przydatnego niż uroda i zdradziecki urok. W pokorę, na przykład.

Zobaczywszy Louise, która siedziała na zwałonym pniu, kilka metrów od miejsca, w którym kończyła się plaża, a zaczynały krzaki, Sara ruszyła w jej kierunku.

- Z czego się śmiesz? - mruknęła Louisa - Nie mów mi, że już dałaś się uwieść czarowi wyspy.

„Uwiedzenie” to dobre słowo, pomyślała Sara

- Musisz przyznać, że jest inaczej, niż się spodziewałaś.

- Jest dokładnie tak, jak się spodziewałam. Widziałas te chaty? To najbardziej prymitywne budowle na ziemi! Żadnych okiennic... podłogi z desek... dach kryty strzechą. Jedyнным plusem są materace z pierza, które wyglądają na wygodne. Ale czego więcej można się spodziewać po piratach?

Oczywiście, że przywiązują wagę do swoich łóżek. Tylko o nie dbają. Mężczyźni! A ta wspólna kuchnia, której używa Silas jest prymitywna jak...

- Silas? Wygląda na to, że nagle bardzo zaprzyjaźniłaś się z panem Drummondem.

Prychnąwszy, Louisa pochyliła głowę.

- Ani trochę. Silas... to znaczy... pan Drummond i ja nauczyliśmy się po prostu... tolerować nawzajem swoje towarzystwo. Wreszcie uświadomił sobie, że potrzebuje mojej pomocy, to wszystko.

Jej pomocy? Pomoc Louisy polegała na tym, że przejęła ona całkowicie kuchnię tego biednego człowieka, ignorując wszelkie próby odzyskania przez niego władzy. Jeśli rzeczywiście nauczył się to nosić, był lepszym człowiekiem, niż sądziła.

- Cóż, muszę przyznać, że posiłki były całkiem jadalne, odkąd zaoferowałaś mu swoją „pomoc”. I jestem pewna, że możemy upiększyć te chaty.

- Tylko dlatego nas tutaj przyciągnęli. Żebyśmy dla nich sprzątały, gotowały i szyły.

- Och, nie, chcę o wiele więcej - odparła zjadliwie Sara, przypominając sobie znaczące, uwodzicielskie spojrzenie Gideona.

Louisa zeszywniała.

- Masz rację, oczywiście. Chcę także naszych ciał. Niech mnie szlag, jeśli pozwolę któremukolwiek mnie pojąć. Najpierw będą musieli mnie związać.

- Nie mów tego głośno. Możesz poddać im pomysł. - Sara rozejrzała się dokoła po niektórych kobietach, które wybrały już sobie mężów. - Niestety, ty i ja jesteśmy w mniejszości z naszym pragnieniem pozostania w panińskim stanie.

Louisa rzuciła jej przeciągłe, zaciekawione spojrzenie.

- Ty i ja? Ty także wybrałaś już męża, pamiętasz?

Jęknąwszy, Sara przekleła się za gadulstwo.

- Czy może zmieniłaś zdanie i postanowiłaś zostawić Peteya Ann?

Sarę natychmiast ogarnęło poczucie winy. Biedna Ann.

- A gdzie ona jest, tak w ogóle? - spytała, ignorując pytanie Louisy.

Już wcześniej chciała jej poszukać, żeby spróbować naprawić relacje między nimi, ale zwiedzając wyspę, zapomniała o dobrych chęciach.

Louisa skinęła głową w stronę strumienia nieopodal.

- Jakiś czas temu widziałam ją w tamtej okolicy, Sądzę, że chce zostać sama.

- Och, oczywiście. - Sara rzuciła w tamtym kierunku zatroskane spojrzenie i zaniepokoiła się, nie widząc tam Walijski. - Może pójde i jej poszukali Nie powinna za bardzo się oddalać, bo wciąż nie znamy tej wyspy. Coś może się jej stać.

- Rób, jak chcesz. Ale jeśli nie masz nic przeciwko, to wróć do tej brudnej małej nory, którą nazywają kuchnią. Niebawem będzie kolacja. Piraci urządzili wspaniałe przyjęcie na naszą cześć – ubili dziką świnię - i jeśli zostawię gotowanie Silasowi, zmieni mięso w twardą podeszwę.

Po tych słowach młoda kobieta ruszyła w stronę z której właśnie przyszły, a Sara zaczęła wspinać się na stromy brzeg strumienia. Natychmiast zdała sobie sprawę, że jej buty, w których przemierzała wypolerowany pokład Satyra, nie nadawały się na wspinaczkę po skałach. Utrzymanie równowagi wymagało od niej wielkiego wysiłku i pochłonęło ją tak bardzo, że nie słyszała cichych głosów dobiegających z lasu, dopóki nie podeszła bliżej.

Wtedy się zatrzymał, usiłując usłyszeć coś więcej. Po chwili usłyszała głos Ann, któremu odpowiadał głębszy głos mężczyzny. Boże jedyny, czy któryś z tych okropnych ludzi chciał wykorzystać złamane serce Ann? Sara nie mogła na to pozwolić. Ann za wiele już przeszła.

Przedzierając się przez krzaki porastające brzeg strumienia, nagle wypadła na polanę. Stojąca przed nią w miłosnym uścisku para natychmiast od siebie odskoczyła. Ku jej zaskoczeniu tym „okropnym człowiekiem”, który obejmował Ann, był Petey.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Och... ja... przepraszam. Myślałam... martwiłam się... - Odwróciła się, jej twarz była purpurowa. - Nieważne. Wróć na plażę.

- Zaczekaj! - zawołał za nią Petey. Słyszała jego kroki za sobą. - Proszę, panno Willis, mogę to wyjaśnić.

Sara potrząsnęła głową, nie zatrzymując się.

- Nie musisz niczego wyjaśniać.

Jednak zdążył ją dogonić, złapać za ramię i zatrzymać.

- Proszę posłuchać. - Kiedy Sara spojrzała na niego, dodał: - Powiedziałem Ann o wszystkim dlatego się z tobą żenię i kim jesteś. Powiedziałem jej, że pracuję dla twojego brata. Musiałem.

- Proszę, nie obwiniaj go - zawołała Ann.

Kiedy Sara spojrzała na nią, ze smutkiem zauważyła jej zaczerwienione oczy i nos.

Dziewczyna mówiła, zacinając się.

- P-przyszedłam tutaj, żeby pobyć sama... bo... cóż...

- Płakała - wtrącił Petey. - Widziałem, jak szła tutaj samotnie, i martwiłem się, że coś może się jej stać,

więc poszedłem za nią i znalazłem ją siedzącą na tym pniu i płaczącą. Spojrzał na Ann z czułością. - Sądziła, że ty i ja jesteśmy w sobie zakochani. Nie mogłem pozwolić, żeby tak myślała i przez to cierpiała. Zwłaszcza że to nieprawda.

Spojrzenia, jakie Ann i Petey wymienili, były tak słodkie, że Sara poczuła ucisk w gardle. Nagle zapragnęła, żeby mogła wymieniać takie spojrzenia z Gideonem.

Na tę myśl natychmiast jęknęła. Rzeczywiście z Gideonem! Ten człowiek nie miał pojęcia o uczuciach ani o czułości. Pragnął jedynie posiąść jej ciało, i to wyłącznie dlatego, że nie chciała mu się oddać.

Ann spojrzała na Sarę.

- Ponieważ Petey wszystko mi wyjaśnił, panno Willis, rozumiem, co musi zrobić. Naprawdę

- Brzmiało to tak, jakby bardziej usiłowała przekonać o tym siebie niż Sarę. Spuszczając wzrok, dłonią wygładziła suknię. - Nie ma innego sposobu. Petey musi się z tobą ożenić, żeby cię uchronić przed piratami. Teraz to rozumiem.

Żeby cię uchronić przed piratami. Ann nie powiedziała ani słowa o własnym poświęceniu, o ochronieniu przed piratami siebie samej. Po prostu zaakceptowała fakt, że Sara była ważniejsza, zasługiwała na większą ochronę niż ona.

Nigdy wcześniej Sara nie czuła się tak okropnie - ani nie była tak bardzo świadoma niesprawiedliwości angielskiego systemu klasowego. Oto kobieta, której zabrano wszelkie szanse na szczęście, i której jedyną zbrodnią była kradzież mająca uratować życie jej matce... Straciła i wolność, i matkę zanim stała się na tyle dorosła, żeby znaleźć sobie męża i mieć dzieci. Spotkała mężczyznę, na którym jej zależało i któremu najwyraźniej

Zależało na niej. Lecz także miał być jej zabrany, i to z najbardziej błahego powodu - aby Sara nie stała się bohaterką skandalu, gdyby jakimś cudem została uratowana z niewoli Gideona i jego ludzi.

To nie było właściwe. Wbrew swoim opowieściom o sprawiedliwości i równości, Sara bez szemrania zaakceptowała poświęcenie Peteya, jakby jej się należało, ani przez chwilę nie zastanawiając się, czego pragnął on sam.

Cóż, dość tego.

- Petey nie ożeni się ze mną. - Głos Sary był zdecydowany. - Gdybym wiedziała, co do siebie czujecie, nie zgodziłabym się na taki plan. A skoro teraz wiem, nie mogę na to pozwolić.

- Ale, panienko... - zaczął Petey.

- To moje ostatnie słowo, Petey. Nie wiemy, co przyniesie nam przyszłość, a ja nie mogę pozwolić, żebyś ożenił się ze mną, kiedy kochasz inną.

Otworzył usta, żeby znowu zaprotestować, ale mu przerwała.

- Możemy tutaj spędzić długie lata. To nierozsądne zachowywać się, jakby to miało się skończyć lada dzień.

Na twarzy Ann pojawiła się nadzieja, ale Petey w geście uporu skrzyżował ramiona na piersi.

- A co z lordem piratów? Ma na ciebie oko, wiesz o tym. Jeśli zobaczy, że jesteś wolna...

- Poradzę sobie z nim - powiedziała Sara, mając nadzieję, że jej głos nie zdradza, jak bardzo się bała.

- Nie podoba mi się to - mruknął Petey, potem zauważył, że nadzieja znika z twarzy Ann. Podszedł do niej szybko i objął ją. - Nie chodzi o to, że nie chcę się z tobą ożenić, kochanie. Po prostu nam obowiązki wobec panny Willis.

Sara westchnęła. Petey nigdy się nie podda, dopóki będzie uważał, że potrzebowała ochrony.

- Wiem, co możemy zrobić - powiedziała. - Możemy wykorzystać upór Gideona przeciwko niemu, Przecież powiedział, że zrobi wszystko, co musi, żeby mnie dostać.

- Kiedy... - zaczął Petey.

- Nieważne - odparła pospiesznie. - Chodzi o to, że dopóty, dopóki będę się upierać, że chcę ciebie, on nie będzie mógł mnie zmusić, żebym wybrała jego. - Wypowiedziała te słowa, zanim pomysł przybrał ostateczny kształt w jej głowie. - Im bardziej będę mu się opierać, tym bardziej prawdopodobne jest, że da kobietom więcej czasu na wybór, dopóki ja nie wybiorę jego. A ponieważ ten dzień nigdy nie nastąpi, możemy go zwodzić w nieskończoność.

- W nieskończoność? - W głosie Peteya słychać było sceptycyzm. - Przepraszam, panienko, ale nie mogę sobie wyobrazić lorda piratów czekającego na ciebie w nieskończoność.

Szczerą prawdą, pomyślała.

- Niemniej potrzebujemy czasu, żeby obmyślić jakiś plan wydostania się stąd. - Spojrzała na nich z czułością. - Tak czy siak, to lepsze niż zmuszanie was do zaakceptowania tragicznej sytuacji. - Odwróciła się do Ann. - Co sądzisz? Możecie udawać, że jesteście sobie obcy w obecności innych ludzi?

Ann skinęła głową. Najwyraźniej zrobiłaby wszystko, żeby nie stracić Peteya.

- Dobrze. Petey objął Ann mocniej.

- A jeśli pirat nas zaskoczy? Jeśli zmęczy się uganiem za tobą i poszuka sobie innej dziewczyny?

Jeśli dotrzyma swojej obietnicy i każe kobietom wybrać w ciągu tygodnia? Co wtedy?

- Wtedy wy dwoje się pobierzecie, a ja poradzę sobie najlepiej jak będę umiała. - Kiedy się skrzywił, dodała poważnie: - Wiesz, że to jedyne rozwiązanie, Petey. Naprawdę chcesz, żeby oddano Ann innemu mężczyźnie wbrew jej woli? Ponieważ to właśnie zrobi Gideon, jeśli ona nikogo nie wybierze.

Najwyraźniej to go przekonało. Szorstkim głosem, który zdradzał ulgę, przystał na jej plan.

- Dobrze. A teraz wracajcie, zanim ktoś zauważy, że nie ma was obojga. I rozdzielcie się, nim dotrzecie na plażę.

- Nie idziesz z nami? - spytał Petey?

- Za chwilę. Chcę zbadać ten teren.

Petey chciał zaprotestować, ale kiedy posłała mu buntownicze spojrzenie, wzruszył ramionami i poprowadził Ann do strumienia.

Sara nie czuła się gotowa ponownie stanąć twarzą w twarz z Gideonem. Wciąż jeszcze nie pozbiierała się po jego porannym wyznaniu, że zrezygnował z nocy z Queenie, ponieważ pragnął jej. Potrzebowała kilku chwil w samotności, żeby się przygotować, zebrać w sobie siły do bitwy, do której ją zmuszał. Kilka chwil to niewiele.

Powinna była wiedzieć, że Gideon nigdy jej na to nie pozwoli.

- Ładna z nich para, prawda? - za jej plecami rozległ się chropawy męski głos.

Przeraził ją.

- Co? - Obróciwszy się, zobaczyła nieznośny obiekt swoich rozmyślań schylający się pod niską gałęzią dębu.

Jej serce natychmiast zaczęło łomotać jak oszalałe. Jak długo tu stał? Ile słyszał? Czy wiedział, co planowali z Peteyem?

- Z-z kogo? - zająknęła się, grając na zwłoka i usiłując wyczytać cokolwiek z jego twarzy.

Jak zwykle umiał świetnie ukrywać uczucia.

- Ann Morris i Petey, naturalnie. - Oparł się o pień dębu; wyglądał na bardzo pewnego siebie - Widziałem, jak szli w stronę strumienia.

Prześwietające między listowiem promienie słońca kładły się złocistymi pasekami na jego ciemnych włosach, a jego spodnie zbyt mocno odsłaniały umięśniony brzuch. Gdyby nie te spodnie, wyglądałby jak biblijny Adam. W jej głowie pojawił się obraz Gideona odzianego jedynie w listek figowy.

Odrywając wzrok od jego kuszącej pozy, skupiła się na przecince, którą odeszli Ann i Petey. Och, jakże żałowała, że nie poszła z nimi. Nie musiałyby teraz kłamać półnagiemu mężczyźnie.

- Tak, cóż... Ann i Petey są przyjaciółmi. Traktuje ją jak młodszą siostrę. Opiekuje się nią.

Gideon odsunął się od dębu.

- Tak samo, jak opiekuje się tobą?

- Tak, naturalnie - wycedziła. - Nie... to znaczy, nie dokładnie tak samo. Jego uczucie do niej jest bardziej... bardziej braterskie.

- Braterskie? - Zbliżył się. W jego tonie porzmiewał sceptycyzm. - Szkoda, że jej uczucia są inne... powiedzmy, mniej siostrzane.

Sara spojrzała mu w oczy. Niech to szlag, skąd o tym wiedział?

Widząc jej zaskoczenie, wzruszył ramionami.

- Ann niemal wielbi Hargravesa. Powiedziała mi o tym kilka dni temu. Odniosłem nawet wrażenie, że miała nadzieję, iż on się z nią ożeni. - Przyglądał

się twarzy Sary, zmrużywszy oczy. - Pewnie ma złamane serce, kiedy widzi was razem.

Gideon był zbyt spostrzegawczy. Wzruszyła od niechcenia ramionami. Nie mogła pozwolić, żeby domyślił się prawdy!

- Najwyraźniej źle Ann zrozumiałeś. Naprawdę, Gideonie, ona uważa Peteya za brata. Jestem tego pewna.

- Dlaczego więc to ją odprowadzał na plażę, a nie ciebie?

Przełknęła ślinę. To stawało się coraz trudniejsze.

- Powiedziałam im... że chcę być sama. - To przynajmniej była prawda. - Po tylu dniach spędzonych na statku pełnym ludzi potrzebowałam trochę przestrzeni dla siebie. Chyba możesz to zrozumieć. Przy tylu kobietach, które ciągle czegoś chcą, i dzieciach wiecznie zadających pytania, czułam się przemęczona. To znaczy, tyle dni... - Urwała.

Matko Boska, płątała się, a on z pewnością podejrzewał ją o kłamstwo. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, ale najwyraźniej nie zwracał już na nią uwagi. Przeniósł wzrok gdzieś ponad jej prawe ramię.

- Co to jest? - spytała.

- Nie ruszaj się! - Chociaż wydał rozkaz ściszym głosem, powiedział to tak zdecydowanie, że posłuchała.

Jego twarz przybrała ponury wyraz; wciąż wpatrywał się w coś ponad jej ramieniem. Zadrżała ze strachu. Również ściszyła głos.

- Powiedz mi, co się dzieje, Gideonie.

- Posłuchaj uważnie i nie wpadaj w panikę.

Nie odrywając wzroku od tego czegoś, powoli położył rękę na rękojeści szabli.

- Z jakiego powodu mam nie panikować - warknęła.

Wystraszył ją na śmierć, ten drań, i pewnie bez powodu!

Na ułamek sekundy spojrział na jej twarz.

-Na drzewie za tobą jest czarna mamba. - Sara otworzyła usta, ale zanim zdążyła zadać pytanie dodał: - To wąż. Jadowity.

Ogarnął ją przerażający chłód. Jadowity wąż. Za nią?

- Jak blisko?

- Wystarczająco blisko. - Poruszając się niemal niezauważalnie, uniósł ku niej lewą dłoń. - Weź mnie za rękę. Powoli, Saro, powoli. Nie za szybko.

Nad jej górną wargą pojawiły się kropelki potu, kiedy milimetr po milimetrze podnosiła rękę. Wiatr poruszył nad nimi listowie; zamarła, a serce podskoczyło jej do gardła.

- Świetnie sobie radzisz - odezwał się uspokajająco Gideon. - Teraz nie wydaje się nami zainteresowany. Niech tak pozostanie.

Równie powoli prawą ręką wyciągnął szablę.

Jej ciało drżało.

- C-co zamierzasz zrobić?

- Odciąć mu głowę.

Krople potu spływały jej teraz po policzku.

- A jeśli nie trafisz?

- Lepiej módl się, żeby tak się nie stało. Modlitwa była łatwa; przychodziło jej na myśl tysiące modlitw. Proszę, Boże, niech Gideon trafi. Proszę, Boże, niech wąż mnie nie ukąsi. Och, proszę, drogi Boże, nie pozwól mi umrzeć na tej przeklętej wyspie.

Nagle ich ręce spotkały się i Gideon mocno zacisnął swoją dłoń na jej dłoni.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Lewą Gideon przyciągnął ją do siebie, podczas gdy prawą zamachnął się szablą. Kiedy Sara do niego przywarła, rozległ się świst przecinanego powietrza, błysnęła stal i dało się słyszeć przerażający syk.

W następnej chwili ostrze szabli odcięło głowę i gad spadł na ziemię.

Krzyknawszy, wtuliła twarz w tors Gideona, ale wcześniej zauważyła ciało węża wijące się na ziemi tuż obok.

- Och, mój Boże - zawołała.

Wbił szablę w ziemię. Potem objął Sarę tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- Już dobrze, kochanie, już dobrze - powtarzał Gideon, tuląc ją do siebie. - Wąż jest martwy. Już nie zrobi ci krzywdy.

- A-ale mógł. Tak niewiele brakowało... po prostu tam był! - Nie miała w zwyczaju panikować, ale nigdy wcześniej nie widziała jadowitego węża, a tym bardziej nie była tak blisko niego. To była kropla, która przepełniła czarę. - Gdyby... gdyby mnie ukąsił...

- Ale nie ukąsił. - Zdecydowanym ruchem ujął w dłoń jej twarz; ich oczy spotkały się. - Wszystko jest w porządku, daję słowo. Nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić.

Nie mogła złapać powietrza. Panika wciąż zaciskała jej krtań.

-A... gdyby... nie było... cię... tutaj - wykrztusiła. - A... gdyby...

- Ale byłem. - Gładził ją delikatnie po plecach. - Zawsze tutaj będę. Nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić. Obiecuję.

- Jesteś... jesteś pewien, że nie żyje?

Wiedziała, że to było głupie pytanie, ale musiała je zadać.

- Jest martwy. - Odsunął się nieznacznie i wskazał ręką na ziemię. - Widzisz? Nie rusza się.

Zerknęła przez jego ramię tam, gdzie leżało nieruchomo czarne ciało gada. Przeszedł ją dreszcz,

- Czy... czy jest bardzo jadowity?

- Teraz to już nie ma znaczenia.

- Do diabła z tobą, Gideonie, powiedz mi prawdę! Czy mógł mnie zabić?

- Powiedzmy, że nigdy nie słyszałem, aby ktoś przeżył ukąszenie czarnej mamby.

Od razu wyczuła ironię.

- Powinnam była wiedzieć, że będą tu węże - powiedziała smutno, wtulając się w niego. - Czym byłby rajski ogród bez węża?

Uśmiechnął się.

- Nie wiem. Byłby nudny? Nudny? Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Czy właśnie powiedział... po tym, co niemal się wydarzyło... ale taki właśnie był Gideon.

Uderzyła go pięściami w tors, zaskakując go całkowicie.

- Dla ciebie to tylko zabawa, tak? Nie obchodzi cię nawet, że wyrwałeś nas z naszych domów i przyciągnąłeś na tę przeklętą wyspę, na której są zabójcze węże i... Bóg raczy wiedzieć jakie jeszcze potworne bestie! Chciałeś czegoś, więc to sobie wzięłeś, i nie obchodzi cię, co to oznacza dla nas... dla mnie!

Rozplakała się, nie mogąc się otrząsnąć po dramatycznych przeżyciach. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni wróciło do niej ze zdwojoną siłą. Od chwili, gdy pojmał ich statek, nie miała czasu, aby zapłakać nad tym, że już nigdy nie zobaczy Anglii i Jordana.

Jednak teraz rzeczywistość ją przytłoczyła, gdy na dziwnej polanie z mnóstwem nieznanych roślin wokoło i martwym węzem. Nie mogła przeplakać. Łzy wypływały z niej nieprzerwanym strumieniem. W tej chwili nawet nie próbowała ich powstrzymać.

Gideon tulił ją mocno ze zmartwionym wyrazem. Początkowo opierała mu się, gdy jej gniew walczył z potrzebą pociechy, ale nie puścił jej. Powtarzał tylko:

- Przepraszam, kochanie, przepraszam.

W końcu poddała się i wtulona w niego, szlochała. Nie było nikogo poza nim, kto mógłby ją pocieszyć. Chociaż był jej przeciwnikiem, miał siłę, ona teraz potrzebowała jego siły. I to bardzo. Nie bardzo wiedziała, kiedy pocieszenie przerobiło się w coś jeszcze. Może wtedy, gdy jej łkanie uspokoiło się trochę. Albo gdy zobaczyła, jaki był poruszony i poczuła potrzebę, by z kolei uspokoić go:

- J-już nic mi nie jest, naprawdę - powiedziała, wycierając łzy.

Nagle jego usta znalazły się na jej ustach, delikatne, miękkie, jakby proszące o wybaczenie. Ku własnemu zażenowaniu odwzajemniła pocałunek, szukając pocieszenia, które tylko on mógł jej dać. Ich pocałunki były czułe, pełne obopólnej troski.

Przytulił ją do siebie, położył rękę na plecach ani na chwilę nie przestawał pokrywać jej twarzy pocałunkami.

- Powinienem zostawić cię na Chastity - wyszeptał. - Atlantyda jest dobra dla innych, ale nie dla ciebie.

- To nieprawda. To nie w porządku... - Dla żadnej z nas, powiedziałyby, gdyby nie zamknął jej ust kolejnym pocałunkiem.

Tylko że tym razem jego pocałunek oferował coś więcej niż pocieszenie. Oferował czystą, gorącą namiętność, głodne pożądanie, które szybko ją porwało; odpowiedziała taką samą namiętnością.

Nie mogła temu zapobiec. Pomimo wszystko potrzebowała go, żeby przez to przejść, żeby zapomnieć o wężu. Jakby dokładnie rozumiejąc, czego potrzebowała, zaczął jej dotykać, głaskać ją i pieścić. Jego dłoń zamknęła się na jej piersi, co wzbudziło żar w łędźwiach. A to sprawiło, że znowu zaczęła płakać.

Pocałunkami startł łzy z jej twarzy.

- Nie płacz już, Saro, moja Saro. Proszę, nie płacz. Nie chcę cię skrzywdzić. - Popchnął ją do rosnącego nieopodal drzewa, przycisnął ją do pnia i zaczął wodzić rękoma po jej ciele. Zaraz po tym uniósł jej spódnice. - Pragnę tylko dać ci rozkosz, to wszystko.

Chociażby próbowała, nie mogła go powstrzymać. Nie chciała. Dobrze było czuć jego dłonie na nagich udach, wędrujące wyżej, aby odnaleźć tę część jej, która pragnęła go tak gorąco, że to aż przerażało. Całował ją coraz bardziej namiętnie i zachłannie. Jego palce odnalazły pulsujące miejsce między nogami Sary. Kciukiem pogładził mały guziczek ukryty pomiędzy jedwabistymi płatkami jej skóry, a ona instynktownie wypchnęła ku niemu biodra.

- Właśnie tak, kochanie - wyszeptał jej w usta. - Pozwól mi dać sobie rozkosz. Tylko rozkosz.

Gdzieś w głębi duszy czuła, że w ten sposób chciał ją przeprosić za wszystko, co zrobił. I chociaż jej zdrowy

rozsądek próbował krzyknąć, że nie tego chciała, ciało mówiło coś innego. Pragnęło się oddać. Pragnęło jego dotyku, jego bliskości. Ku jej zażenowaniu im mocniej ją pieścił, tym bardziej bezwstydnie tego pragnęła... Pragnęła jego.

- Tak, kochanie - wysapał. - Pozwól sobie na to. Przyjmij to ode mnie.

Nie musiała się zastanawiać, o czym mówił. Narastało w niej nieznane napięcie, jak to podniecenie, które czuła, gdy Chastity opuściła wody Tamiży i wypłynęła na pełne morze. Przed nią było niebezpieczeństwo... i podniecenie... Przyzywało ją.

Każdy szmer liści, każde muśnięcie włosów Gideona na jej twarzy, każdy zapach tropikalnego lasu przyzywał ją. Kapitan już jej nie całował, zbyt pochłonięty pieszczotami. Na jego twarzy malowało się napięcie, oczy płonęły grzesznym blaskiem, ale ani na moment nie przestawał jej pieścić, wzbudzać w niej tego napięcia, które wreszcie nieoczekiwanie eksplodowało.

Krzyknęła ochryple, drżąc na całym ciele. Och, słodki Jezu. Słodki, słodki Jezu. Czy tak właśnie działo się między kobietą i mężczyzną? To... to przeszywające podniecenie... ta wstrząsająca bliskość? Nigdy nie śniła... nie wyobrażała sobie... nikt jej nie powiedział, że takie rzeczy są możliwe.

Teraz, kiedy już wiedziała, zrozumiała, dlaczego Gideon wykorzystał to jako ułagodzenie, dlaczego sądził, że może ją tym zwabić do swojego łóżka.

I ta wiedza przyniosła jej gorzkie łzy.

Rozdział 14

*W każdym porcie uwodzą stare i młode;
Zwodzą; nie wiercie pochlebstwom żeglarzy*

Anonim

Rada dla młodych niewiast poszukujących męża

Gideon wiedział, że dał jej rozkosz. Czuł, jak jej ciałem wstrząsa orgazm. Tak niewiele trzeba było, żeby unieść jej nogi i zatopić się w jej miękkości, czego tak bardzo pragnął od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. Ale nie zrobił tego.

Ten ponowny wybuch płaczu... tego nie mógł znieść. Płakała jak kobieta, która utraciła całą nadzieję, która spojrzała w twarz wstydu i zobaczyła tam siebie. Każdy jej szloch szarpał nim jak nie szarpał szloch żadnej kobiety. To nie miało żadne go sensu.

Zły na siebie za swoją reakcję, opuścił jej spódnice i mruczając pod nosem przekleństwo, odwrócił się, po czym podszedł do miejsca, gdzie leżała martwa mamba. Stał i wpatrywał się w węża, ale nie mógł odciąć się od płaczu, który dochodził zza jego pleców. Jeszcze chwilę temu był twardy jak stal, pragnąc jej tak bardzo, że aż czuł ból w lędźwiach.

Cóż, teraz już z pewnością nie był twardy. Jak mógłby być, słysząc to jej łkanie? Słodki Jezu, nie mógł tego znieść. Nie płakała, kiedy zabierał ją z Chastity, i kiedy się kłócili. A teraz jej płacz, kiedy wcześniej była taka silna, przypomniał mu, że

pozbawił ją domu i rodziny. Nienawidziła go za to. Słyszał, jak bardzo.

Ale jednocześnie go pragnęła. Teraz płakała nad swoją stratą, ale chwilę temu go pragnęła.

Jej płacz stawał się cichszy i usłyszał, że się poruszyła, pewnie poprawiając suknię. Jednak czego innego mógł się po niej spodziewać? Panna Pruderyjna Reformatorka uważała, że jest za dobra, żeby znaleźć się w ramionach pirata. Niech ją szlag.

Zakławszy siarczyście, wyrwał szablę z ziemi i wytarł o liście.

- Lepiej wracaj na plażę. Sprawdzę okolicę, czy nie ma jeszcze innych węży. Czasami przemieszczają się w parach.

Była to tylko wymówka. Ale nie mógł teraz spojrzeć jej w twarz, kiedy była taka zdenerwowana, a on absurdalnie czuł się winny.

- Przemieszczają się w parach? - Wydawała się przerażona.

Wbijając paznokcie we wnętrze dłoni, zwalczył w sobie pokusę, żeby do niej podejść i ją pocieszyć.

- Nie martw się. Jeśli będziesz trzymać się strumienia, nic się nie stanie. Idź. Ja przyjdę za kilka minut.

Zapadło krótkie milczenie.

- Gideonie, chyba... ja... to znaczy... - zamilkła.-
Dziękuję, że uratowałeś mi życie.

- Nie masz mi za co dziękować - rzucił, nie mogąc zapomnieć tych rozdzierających serce szlochów. - Ale...

- Wracaj na plażę, Saro. - Nie wiedział, co było gorsze - jej łzy czy podziękowania.

Niemal natychmiast usłyszał za sobą szelest liści. Najwyraźniej nie zamierzała mu dłużej dziękować.

I zirytowało go to równie mocno jak jej dziękowania.

Wszystko, co robiła, irytowało go. Jęknął. Nie wszystko. Nie to, jak reagowała na jego pieszczoty.

Jego nieposłuszne ciało znowu stwardniało. Nie będzie mu tego robiła, niech ją szlag! Miał za dużo spraw na wyspie, którymi musiał się zająć, żeby martwić się o jedną irytującą damę.

Rzuciwszy kilka przekleństw, wpadł z szablą w pobliże zarośla, zadowolony, że nie wystraszy już więcej węży. Niestety, nie był z Sarą do końca szczerzy. On i jego ludzie mieli do czynienia już z kilkoma węzami.

Kopnął martwego gada z całej siły. Gdyby nie ten wąż, Sara nie miałaby nic przeciwko Atlantydzie. Westchnął, chowając szablę. Nie, to nie do końca była prawda. Od początku czuła niechęć. Wąż tylko to przypieczętował.

Popatrzył w dal na błyszczące liście bananowca i owoce zwisające ze środka jak wisiorzy na brzuchu szejka. Ciepłe i łagodne powietrze przepełnione było zapachem dzikiego jaśminu, powietrze, które tak bardzo różniło się od powietrza w jego rodzinnym Yorktown. Ależ on uwielbiał tę wyspę! Gdyby tylko mógł sprawić, żeby zobaczyła ją jego oczami.

Prychnął. Oczywiście - nakłonić bogatą angielską arystokratkę z utytułowanej rodziny, aby doceniła dziewicze piękno Atlantydy. To się nigdy nie stanie. Takie damy jak ona nie bawiły się na plaży z wielką radością. Patrzyły z góry na brudnych piratów. Robiły wszystko, żeby wrócić do zimnej, beznamiętnej Anglii. Nikt nie wiedział o tym tak dobrze, jak on. Wysoko urodzeni Anglicy nigdy nie byli tacy, jak się wydawali.

Spojrzał na broszę swojej matki. Jak on nienawidził tych wszystkich przeklętych arystokratów! Uważali, że należą im się te wszystkie przywileje, którymi się cieszyli. Uważali, że są panami świata, przez nich został pozostawiony na łasce okrutnego człowieka, który nie miał pojęcia, jak postępować z dzieckiem. Ani z kimkolwiek innym. I dlatego wiele lat później, kiedy zaczęła się wojna 1812 roku, Gideon z ochotą postanowił wypełnić swój obowiązek wobec ojczyzny. Widział, jak statki angielskiej floty zabierają amerykańskich marynarzy z amerykańskich statków, twierdząc, że to angielscy dezertery. On też kiedyś niemal został zabrany. I dobrze wiedział, jak okrutni byli Anglicy.

Ale pokazał im wszystkim. Pokazał, gdzie jest ich miejsce.

Aż pojawiła się Sara. Przeciągnął dłonią po włosach. Co ona mu zrobiła? Sprawiała, że niemal zapomniał, kim była i co reprezentowała. Była namiętna, czego zupełnie nie spodziewał się po angielskiej damie. Ale nie mógł pozwolić, żeby jej namiętność go zwiódła. Kiedy przeminie i odezwie się jej pruderyjne angielskie wychowanie, wszystko zacznie się od początku. Cała wrogość.

Ruszył stronę plaży. Nie, zdecydowanie nie da jej więcej okazji. Och, chętnie będzie się z nią kochał. Weźmie ją do łóżka. Ale tylko tyle. Nie pozwoli jej zniszczyć swojego życia, tak samo jak jego matka zniszczyła życie jego ojca.

Kto niszczy czyje życie? - odezwał się wewnętrzny głos. Sara miała przyrodniego brata hrabiego i pozycję w społeczeństwie, dopóki tego wszystkiego jej nie zabrałeś.

Szedł wzdłuż strumienia w kierunku plaży. Dobrze, więc jej to zabrał. Nie miał wyboru. Co miał

zrobić, zostawić ją na tamtym statku, żeby pokazała swojemu bratu, gdzie ma go szukać?

To tylko wymówka, powtórzył ten wewnętrzny głos. Nie musiałaś jej zabierać i dobrze o tym wiesz.

Zatrzymał się gwałtownie, patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie. Sumienie od dawna go nie dręczyło. W dniu, w którym zmarł jego ojciec, przeklinając jego matkę, uznał, że sumienie było luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić. Najwyraźniej matka nigdy nie słuchała sumienia. A ojciec nie zważał na nie, gdy dał pasy z siedmioletniego chłopca. Gideon uznał, że jemu też będzie lepiej bez sumienia.

Dlaczego to przekłete coś teraz go dręczyło? I to z powodu kobiety, angielskiej arystokratki!

Sprawiły to łzy Sary, pomyślał z goryczą. Właśnie tak. A kobiety używały łez, żeby dostać to, co chciały. Jego matka pewnie robiła to samo, i będzie lepiej dla niego, jeśli przypomni sobie o tym raz na jakiś czas.

- Kapitanie! - rozległo się wołanie z plaży, wrywając go z zamyślenia. Spojrzał w dół i zobaczył Barnaby'ego i Silasa, którzy na niego czekali. Barnaby zapamiętale palił cygaro, a Silas coś mamrotał pod nosem, kuśtykając w tę i z powrotem.

Przyspieszywszy kroku, szybko do nich dołączył,

- O co chodzi? Coś jest nie w porządku?

- Mężczyźni się burzą - powiedział Barnaby, - Powiedziałeś, że mają spać na statku do czasu ślubu? Cóż, teraz kiedy wrócili na wyspę, nie chcą spać na statku. Chcą wrócić do swoich domów.

Gideon wzruszył ramionami.

- Więc kobiety zostaną na statku. Nie widzę problemu.

Barnaby i Silas spojrzeli na siebie.

Silas podrapał się po brodzie.

- To też się nie sprawdzi. Kobiety również nie chcą zostać na statku.

- Nie obchodzi mnie, czego chcą - warknął Gideon. - Albo zostaną na statku, albo wybiorą sobie mężów. Ponieważ nie są jeszcze gotowe, żeby wybrać, będą musiały zostać na łajbie, póki nie upłynie tydzień. - I z pewnością nie chciał ich popędzać, bo w ten sposób popchnie Sarę wprost w ramiona tego przekłętego angielskiego marynarza.

Nie żeby sam chciał się z nią ożenić. Ale nie chciał, żeby wychodziła za mąż za kogokolwiek innego.

Silas zmarszczył brwi, jakby nie spodobała mu się odpowiedź Gideona.

- Ale te kobiety spędziły na statku wiele tygodni. To nie jest dla nich dobre. Wszyscy to widzą - Umilkł na chwilę, żeby popatrzeć na morze. Na przykład mała Molly, ta, która będzie miała dziecko. Nie musi spać na posłaniu, skoro na wyspie są wygodne łóżka. Jak mówi Louisa, kobiety zasługują na coś... - Zamilkł, kiedy zauważył, że Gideon i Barnaby gapią się na niego podejrzliwie. No co?

- Od kiedy to obchodzi cię wygoda ciężarnych kobiet? - spytał Barnaby, wyjmując Gideonowi to pytanie z ust. - I kiedy przestałeś nazywać Louise „tą kobietą”? Nie mów mi, że panna Yarrow zmiękczyła twoje zatwardziałe serce. Twarz Silasa poczerwieniała.

- Niczego takiego nie zrobiła. To, że raz na jakiś czas wykazuje się zdrowym rozsądkiem... - Przerwał, kiedy Gideon i Barnaby wybuchli śmiechem. Odwróciwszy się od nich, ruszył przez plażę.

- Ach, do diabła z wami. To nie wasz interes, mężczyzna sądzi o kobiecie. To nie tak, że ja...

Odszedł, a fale zagłuszyły jego pomruki.

- Nie wierzę - odezwał się Gideon. - Silas Drummond, usidlony przez kobietę.

- Nie powiedziałbym, że usidlony. Raczej skołowany. Wcześniej żadna kobieta nie sprzeciwiła mu się. Zazwyczaj się go boją... albo brzydzą jego drewnianej nogi i jego niemożności dania im rozkoszy w łóżku. Ale odkąd Louisa zaczęła z nim walczyć, stał się innym człowiekiem. Dziś rano przyłapałem go, jak wciera sobie w uszy olejek pimentowy.

- Jakże nisko upadają wielcy.

Gideon wiedział jedno. Nigdy nie zachowywałby się jak głupiec z powodu Sary. Nigdy. Zerknął na Barnaby'ego.

- Nie grozi ci utrata głowy, co?

- Powinieneś wiedzieć lepiej. Lubię kobiety, ale powinny znać swoje miejsce. - Wyszczrzył zęby. - Najchętniej w moim łóżku.

Kiedyś Barnaby podzielałby jego opinię. Teraz uznał ją za odrobinę niesmaczną i to mu przeszkadzało.

- Cóż, widzę, że przez jakiś czas nie będziesz mi zawracał głowy w kwestii żony. Dopóki Queenie będzie ci dawać to, co chcesz, za darmo.

- Prawda, prawda. Ale zapewniam cię, że inni mężczyźni uczynią z twojego życia piekło, dopóki nie dostaną swoich żon, zwłaszcza jeśli będziesz, nalegał, żeby kobiety spały na statku.

- To nie zostawia mi wielkiego wyboru, co? Muszę znaleźć sposób, żeby przekonać kobiety do pozostania na Satyrze - przynajmniej przez jakiś czas.

Sara na pewno będzie szczęśliwa, że może spać w swojej kajucie, zwłaszcza po dzisiejszym spotkaniu z wężem.

Waż.

Na jego twarzy nagle pojawił się uśmiech.

- Posłuchaj, Barnaby, zwołaj kobiety i mężczyzn przed moją chatę. Sądzę, że mogę przekonać nasze, przyszłe żony, że nie powinny spać na wyspie. - Odwróciwszy się tyłem do strumienia, zaczął wracać po swoich śladach.

- Dokąd idziesz?

- Zobaczysz. Po prostu zwołaj wszystkich. To nie potrwa długo.

^ ^ ^

Pół godziny później Gideon stał na plaży przed wszystkimi, trzymając w dłoniach płócienną torbę. Zebrani wyglądali na zdegustowanych. Kobiety i mężczyźni byli rozdzieleni, mężczyźni stali przy zaroślach, kobiety bliżej brzegu. Na twarzach malował się bunt. Kobiety patrzyły na kapitana wyzywająco, bez wątplenia z powodu małej wicherzycielki, która z uniesioną wysoko głową prezentowała się jak Joanna d'Arc.

Niebawem zrozumie, z kim miała do czynienia.

Uniósł rękę, żeby ich uciszyć, i prawie mu się to udało, chociaż niektóre kobiety nadal między sobą szeptały. One również umilkły, gdy rzucił im mroczne spojrzeenie.

- Barnaby powiedział mi, że nie jesteście zadowoleni z ustaleń w kwestii spania. - Obie grupy zaczęły naraz coś tłumaczyć, ale uciszył je głośnym:

- Cisza!

Kiedy już odzyskał ich uwagę, mówił dalej:

- Rozumiem, że nikt nie chce spać na statku. A skoro kobiety mają wciąż cztery dni na wybranie mężów...

- Pięć dni, kapitanie Horn - przerwał mu kobiecy głos. Spojrzał groźnie na Sarę, a ta dodała ciszej: - Zostało nam pięć dni.

Ich oczy spotkały się po raz pierwszy, od czasu skradzionych pocałunków w lesie, i ucieszył się, widząc rumieniec na jej policzkach.

- Skoro tak mówisz. Nie będę się z tobą sprzeczał. - Spojrzał na pozostałe kobiety. - I żadna z was nie musi się martwić, że wycofam się ze swoich obietnic. - Popatrzył na swoich ludzi. - Damy kobietom czas, o który proszą, prawda, chłopaki? - To był bardziej rozkaz niż pytanie.

- Ale, kapitanie - zawołał jeden odważny marynarz - czy musimy być wyrzuceni z naszych wygodnych chat tylko dlatego, że kobiety nie mogą dzielić z nami łoża bez zalotów?

Chór „tak” i „dlaczego musimy” powiedział mu, że pozostali marynarze dzielają ten pogląd.

Gideon zaczekał, aż głosy ucichną.

- Jesteśmy tutaj po to, żeby to przedyskutować. I sądzę, że kiedy kobiety usłyszą, co mam im do powiedzenia, zrozumieją, że lepiej spać na statku.

- Proszę zauważyć - zawołała Queenie wojowniczo - że twoi ludzie byli na morzu niecały tydzień, a my płyniemy już prawie miesiąc. Powiedziałeś panie Willis, że będziemy spać na lądzie i tego właśnie chcemy!

Kobiety pomrukiem wyraziły aprobatę. Zaciskając zęby, Gideon spojrział na Sarę. Wciąż miała dumnie uniesiony podbródek. Tak, jak podejrzewał, stała za tym małym buntem. Ale jeśli nie umiałby

poradzić sobie z tłumem kobiet, to jaki byłby z niego kapitan piratów?

- Rozumiem, co czujecie, moje panie. – Złagodził ton głosu, chociaż jego nastrój daleki był od łagodności. - Problem polega na tym, że wyspa jest miejscem dla kobiet pozostawionych bez opieki. Są tutaj dzikie zwierzęta i inne niebezpieczeństwa. - Kiedy kobiety wymieniły między sobą spojrzenia, dodał: - Panna Willis może wam opowiedzieć o tych niebezpieczeństwach. Zaledwie godzinę temu niemal zginęła. - Sięgając do płóciennej torby, wyciągnął mambę i uniósł do góry, żeby pokazać ją w całej okazałości. - Przez to.

Rozległo się zbiorowe sapnięcie.

- Węże? - pisnęła jedna z kobiet. - Och, Lud, tutaj są węże? - Inne zwróciły się zaniepokojone do Sary.

Unosząc brew, kapitan uśmiechnął się i mówił dalej.

- Na szczęście byłem nieopodal i zabiłem go, ale Gdyby mnie tam nie było... - Przerwał dramatyczne, pozwalając im samym wyciągnąć wnioski. - Oczywiście, kiedy wyjdziecie za mąż, wasi mężowie będą zajmować się takimi rzeczami, ale na rancie będziecie bezpieczniejsze, jeśli zostanieie na statku.

- Też mi raj. - Queenie z rozdrażnieniem kopnęła piasek. - Jesteś szalony, gubernatorze, jeśli sądzisz, że będziemy spać w miejscu, po którym grasują węże.

- Tak - dodała Louisa. - Obiecałeś nam nową ziemię, a zamiast tego przywiódłeś nas tutaj, żebyśmy zostały żywcem pożarte. Nie postawię nogi na tej wyspie, dopóki nie pozbędziesz się tego cholerstwa. - Zrobiła gniewną minę. - A skoro będziesz się tym zajmował, to może dopilnujesz

także, aby te chaty zostały porządnie umeblowane? Ledwie są przystosowane do zamieszkania przez jedną osobę, a co dopiero przez dwie.

Ośmielone przez Louise, kobiety zaczęły narzekać na wszystkie rzeczy, które im się nie podobały na wyspie. Sara tylko skrzyżowała ramiona piersi i uśmiechała się do niego słodko.

- Nie będziecie się musiały o nic martwić, kiedy wyjdziecie za mąż, drogie panie - powtórzył, czując, że grunt usuwa mu się spod nóg. Kobiety powinny rzucić się w ramiona swoich opiekuńczych marynarzy, a nie grozić buntem. - Moi ludzie wiedzą, jak postępować z wężami. Co do warunków panujących w chatach...

- Tak, kapitanie Horn - przerwała Sara słodziutkim głosem. - Opowiedz nam o usprawnieniach, które zamierzasz wprowadzić. Z pewnością przyznasz, że chaty nie są przystosowane do małżeńskiego życia. O ile mi wiadomo, nie ma tam też sypialni dla matki z dziećmi. Chyba nie oczekujesz, że będą dzieliły łóżę z mężem w obecności małych dzieci.

- Saro... - zaczął ostrzegawczo.

Mówiła dalej, a kobiety ustawiały się za nią, jakby dzierżyła sztandar.

- Brakuje mocnych drzwi i okiennic, które chroniłyby nas przed wszystkimi twoimi „dzikimi zwierzętami”. Nawet twoi nieustraszeni piraci muszą czasami spać, prawda? Jak wtedy będziemy zabezpieczone przed wężami? Nie wspominając o pożalowania godnej kuchni i braku...

- Cisza! - ryknął Horn, aż nawet Sara się wzdrygnęła.

Przekłęta kobieta. Zawsze znajdzie sposób, żeby zamknąć jej usta, nawet gdyby miała to być ostatnia

rzecz na świecie, jaką robi. Otarł pot z oczu i odezwał się przez zaciśnięte zęby.

- Podejrzewam, że kuchnie w poprzednim miejscu zamieszkania pań w Londynie były o wiele bardziej nieodpowiednie.

Na szczęście na jego wspomnienie o londyńskim więzieniu większość z nich zamknęła usta. Nawet Sara najwyraźniej nie umiała na to odpowiedzieć.

- Niemniej, panno Willis, nie chcemy, abyście myślały, że nie jesteśmy gotowi pójść na ustępstwa. Będziecie miały swoją kuchnię i drzwi, i okna. Zamierzałem wysłać kilku ludzi do Sao Nicolau po zapasy, kiedy ustalimy, czego mogą potrzebować kobiety. Jeśli dasz mi listę, dopilnuję, żeby moi ludzie wyruszyli po zakupy jak najszybciej po zaślubinach...

- Po zaślubinach? - przerwała mu Sara. - A co mamy robić do tego czasu?

- Spać na statku. Wiem, że to nie jest najlepsza kwatery, ale przy tych wszystkich zagrożeniach i waszych obawach to jedyne miejsce, jakie mogę zaoferować.

Jeśli wydawało mu się, że wygrał tę bitwę, to zmienił zdanie, widząc słodki uśmiech Sary.

- W tych okolicznościach nie pozostawiasz nam wyboru. - Na jej twarzy pojawiło się zadowolenie. - Prawdę mówiąc, twoja propozycja ma tyle zalet, że chyba powinniśmy pozostać na Satyrze na czas nieokreślony... przynajmniej dopóki twoi ludzie nie poprawią naszych warunków bytowych. Z radością pomieszkamy na łajbie tak długo, jak będzie trzeba, prawda, drogie panie?

Kiedy kobiety chóralnie wyraziły aprobatę, mężczyźni zaczęli protestować. Gideon zacisnął zęby. To wymykało się spod kontroli. Chociaż mężczyź-

ni odzyskali swoje chaty, Sara postarała się, żeby było to jałowe zwycięstwo. Mógł zmusić kobiety żeby zamieszkały w chatach ze swoimi mężami, ale zaczynał rozumieć, że odmówią współpracy, dopóki Sara będzie wynajdowała nowe powody buntu.

Jedyne, co mógł zrobić, to jak najszybciej wysłać kilku ze swoich ludzi na wyspy i opóźnić zaślubiny do czasu ich powrotu. Może jeśli kobiety zobaczą, że on i jego ludzie naprawdę chcieli uczynić współżycie jak najbardziej wygodnym, w końcu ustąpią.

Opóźnienie zaślubin da mu przynajmniej czas aby rozdzielić Sarę i tego przeklętego Hargravesa. Gdyby tylko mógł właśnie jego wysłać na wyspy z innymi ludźmi...

W oczach Horna pojawił się błysk. Dlaczego, nie? Hargraves nie był uszczęśliwiony perspektywą zamieszkania na wyspie. Bardziej był zainteresowany bogactwem, jakie mogą zdobyć piraci. Może jeśli da mu się odpowiedni bodziec, to zdecyduje się nie wracać?...

Gideon skrył radość za gniewną miną.

- Coś wam powiem, moje panie. Zdecydujcie co jest wam potrzebne, a ja jutro wyślę słupem kilku ludzi do Sao Nicolau po zapasy. Kiedy za kilka dni wrócą, zajmiemy się meblowaniem chat. Myślę, że całkiem szybko staną się dla was wygodnymi domami. To chyba was zadowoli, nieprawda?

A ja w końcu pozbędę się Peteya Hargravesa pomyślał z zadowoleniem, gdy Sara odwróciła się; aby przedyskutować z kobietami jego słowa. Jeszcze nie wygrałaś tej bitwy, kochana. Może udało ci się coś uzyskać w kwestii spania. Ale właśnie straciłaś swojego angielskiego narzeczonego.

Rozdział 15

*Bez względu na poetów wersy zacne,
Złoto, kochanie, jest bardzo przydatne*

Mary Leapor (1788-1746)

poetka angielska

Mira do Octavii

Tuż po zmierzchu Petey stał niepewnie przed wejściem do chaty kapitana Horna, ściskając w dłoniach kapelusz. Chata wyglądała na pustą. Było ciemno, bo jedynym źródłem światła pozostały gwiazdy.

Czy powinien zapukać? Ale w co? Nie było żadnych drzwi. Chociaż chata kapitana była najznamienitsza ze wszystkich, to i tak nie miała okiennic ani drzwi. Czy to dziwne, że kobiety nie chciały mieszkać w takich warunkach?

Jednak reszta wyspy nie była taka zła. Przeszedł się po niej dzisiaj. To był naprawdę ładny kawałek lądu, który miał spory potencjał. Ale teraz interesowało go tylko to, dlaczego kapitan po niego posłał. Czuł się trochę zaniepokojony. Piraci dali jasno do zrozumienia, że Horn był sprawiedliwy i nie wymierzał nedorzecznych kar, ale trudno było przewidzieć, co ten człowiek zrobi teraz, kiedy upatrzył sobie pannę Willis.

Panna Willis. Petey jęknął. Powinien być jej wdzięczny, że tak bardzo się starała opóźnić zaślubmy. Przecież robiła to, żeby pomóc jemu i Ann.

Tak, panienska zdecydowanie zaskoczyła dzisiaj kapitana. Ale przy okazji go rozgniewała, rozgniewała lorda piratów, a to się Peteyowi nie podobało. Po nosie spłynęła mu kropla potu; otarł ją kciukiem, zaglądając jednocześnie do chaty. Wyglądało na to, że kapitan spał albo wyszedł. Nie było sensu tutaj stać, żeby jeszcze bardziej go rozzłościć.

Odwrócił się, ale właśnie wtedy z chaty zagrzmiął niski głos.

- Nie stój tak. Wchodźże.

Petey zdławił strach. Tkwił tutaj jak słup soli, podczas gdy ten człowiek przez cały czas go obserwował. Kapitan piratów był bardzo denerwujący.

- Nie widziałem cię - mruknął Petey, wchodząc do ciemnego pomieszczenia.

Bez odpowiedzi. Rozległo się chrobotanie, pojawiła się maleńka iskierka, a potem niewielki płomień lampy, który kapitan podkręcił. Teraz Petey; dostrzegł, że pirat stał przy stole. Na szczęście nigdzie nie zauważył jego szabli.

- Usiądź, Hargraves. - Horn wskazał krzesło, potem wziął butelkę czegoś, co w świetle lampy wyglądało jak rum. - Chcesz przepłukać gardło?

Petey z trudem potaknął. Potrzebował czegoś, żeby przez to przebrnąć. Jednak nie usiadł. Nie lubił siedzieć w obecności wroga, zwłaszcza jeśli ten wróg oferował mu mocnego drinka.

Jak tylko pirat napełnił puchar złocistym płynem i podał go Peteyowi, ten wziął duży łyk, po czym otarł usta rękawem koszuli. Nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia, upił kolejny łyk na odwagę, a potem się odezwał.

- Chciałeś mnie widzieć, kapitanie?

Obrzucając Peteya chłodnym spojrzeniem, kapitan Horn postawił butelkę rumu na stole i zakorkował ją.

- Rozluźnij się, Hargraves. Nie zamierzam przeciągnąć cię pod kilem. Chcę ci tylko pokazać coś, co może ci się spodobać.

To natychmiast wzbudziło czujność Peteya. Kapitan Horn nie miał mu nic do pokazania, chyba że koniec swojej szabli. Czy kapitan zamierzał napić go rumem, a potem zabić?

Kapitan podszedł do kufra w rogu pokoju i otworzył go. Kiedy wyciągnął z niego jakiś długi przedmiot, Petey niemal zemdlał, oczekując, że zobaczy sławną szablę pirata. Ale mężczyzna trzymał w dłoniach berło. Petey wpatrywał się w wysadzaną drogocennymi kamieniami złotą laskę jak zaczarowany.

Jakby dokładnie wiedząc, czego obawiał się Petey, kapitan zamachał berłem w powietrzu, jakby była to szabla.

- Widziałeś kiedyś coś tak pięknego, Hargraves?

Petey mógł jedynie potrząsnąć głową. Pewnie to lampa sprawiła, że migotało jak gwiazdy. Wiedział, że takie rzeczy istnieją, ale nigdy nie myślał, że zobaczy jedną z nich na własne oczy.

Bez ostrzeżenia pirat rzucił berło w jego stronę. Petey złapał je w ostatniej chwili, ratując przed uderzeniem o drewnianą podłogę. Było zimne i ciężkie, a metal połyskiwał tak jasno, że musiało to być szczerze złoto. Z zaciekawieniem przesunął po nim palcami. Na jednym końcu znajdował się brylant wielkości paznokcia. Dalej, wydający się nie mieć końca rząd idealnie okrągłych pereł okręcał się wokół laski aż do kuli wysadzonej rubinami i szmaragdami wielkości orzechów.

- Zdobyłem je w czasach, gdy byłem piratem - Horn napił się rumu, nie odrywając wzroku od Peteya. - Jeden z waszych angielskich ambasadorów wiozł to dla księcia regenta. To chyba miał być prezent od indyjskiego radży. Bez wątpienia radża myślał, że uda mu się tym zaspokoić angielską żądcę ziemi, ale oboje wiemy, że potrzeba o wiele więcej bogactwa, aby nasycić waszą chciwość. - Kapitan uśmiechnął się równie szeroko, co złośliwie. - A ponieważ chodziły pogłoski, że George niebawem będzie miał własne berło, uznali że kolejne nie będzie mu potrzebne.

Petey z wielkim trudem przełknął oburzenie bezczelnym brakiem szacunku dla jego wysokości. Pirat go prowokował, a Petey nie zamierzał dać się podejść. Dotykając palcem fasety* krwistoczerwonego rubinu, spytał:

- Dlaczego mi to pokazujesz?

- Jest twoje.

Petey gwałtownie uniósł głowę i zobaczył, że pirat już się nie uśmiecha.

- Mówię poważnie. Jest twoje. Mnie nie jest potrzebne. Po co komu berło w raj?

Ostrożnie odłożywszy drogocenny przedmiot na stół, Petey spojrział podejrzliwie na pirata.

- A dlaczego jesteś gotowy mi je oddać?

- Nie domyślasz się? Chcę, żebyś zrezygnował z panny Willis.

Ten człowiek chciał oddać berło ze szczerzej złota za jedną angielską wichrzycielkę? Albo był szalony... albo tak bogaty, że mógł sobie kupić dziesięć takich berel. Albo, co najbardziej prawdopodobne, była to jakaś gra, w której Petey tak czy inaczej przegra.

*Faseta - w jubilerstwie: oszlifowana powierzchnia kamieni! szlachetnego.

- A co ja miałbym z nim zrobić? Jak mówisz, po co komu berło w raju?

- Ach, ale ty nie zostaniesz w raju. Wypływasz. Jutro. Popłyniesz z moimi ludźmi do Sao Nicolau.

Peteyowi serce podskoczyło do gardła, ale się opanował.

- Naprawdę pozwoliłbyś mi odejść?

Pirat wzruszył ramionami. Dlaczego nie? Jeśli zrezygnujesz z panny Willis możesz opuścić wyspę i pójść, dokąd chcesz. Mówiłeś mi, że nie możesz wrócić do Anglii, ale jest całkiem wiele innych miejsc, w których mógłbyś wieść całkiem dostatnie życie po sprzedaży berła.

Niech Bóg ma go w swojej opiece, ten człowiek mówił poważnie. Przez jedną krótką chwilę Petey rozważał przyjęcie tej przeklętej rzeczy i wyruszenie w świat.

Ale nie pozwoliłoby mu na to jego poczucie obowiązku. Jaki pożytek miałby ze złota, gdyby zawiódł swoją rodzinę i zaufanie, jakie panna Willis w nim pokładała? Musiałby żyć z tą świadomością. Szkoda, że nie mógł wykorzystać oferty pirata, aby wydostać pannę Willis z wyspy, ale kapitan Horn nigdy by na to nie pozwolił. Musiał więc zostać. Nie mógł jej zostawić na łaskę lorda piratów, gdy ten człowiek najwyraźniej zamierzał ją pojąć.

Petey już miał oddać berło, ale się zawahał. Czy mógł odrzucić taką szansę ucieczki? Im dłużej on i panna Willis tutaj będą, tym większe szanse na to, że kapitan piratów ją posiadzie. Mogła udawać, że ten człowiek jest jej obojętny, ale Petey widział, iż jest nim zauroczona. Delikatne powietrze, prywatność, odcięcie od świata... wszystko to wkrótce

sprawi, że ulegnie, bez względu na to, czy Petey będzie w pobliżu. A skoro pirat gotowy był oddać złote berło tylko za to, że Petey z niej zrezygnuje to znaczy, że nigdy nie pozwoli mu się z nią ożenić. Prawdę mówiąc, jeśli rzeczy tak się miały.

- Dlaczego dajesz mi szansę? Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? Przecież nikt cię nie powstrzyma. - Kiedy pirat rzucił mu złowrogie spojrzenie, dodał pospiesznie: - To nie jest sugestia, lecz pytanie. Wydaje mi się, że skoro piraci są tacy, jacy są...

- Chcesz powiedzieć okrutni, żądni krwi, zabójcy... - Kapitan postawił nogę na krześle, jego oczy błyszczały. - Na morzu jest wielu piratów, tak samo jak żeglarzy. Nie wiem, co o mnie słyszałeś Hargraves, ale nie zabijam ludzi z zimną krwią a już na pewno nie z powodu kobiety. Zabijaj w walce, to prawda, ale zanim zostałem piratem, kiedy służyłem swojemu krajowi jako korsarz.

- Ale to, co słyszeliśmy, co ludzie mówili...

- A co innego miałby powiedzieć baron po tym jak okazał się tchórzem? Mówi, że piraci piją krew, rujną niewinność i dlatego nie ruszył palcem, żeby temu zapobiec, kiedy statek został pojmany. - W jego głosie słychać było rozgoryczenie. - Prawda jest taka, że moja reputacja kogoś, kto zdobywa łupy w najbardziej niemożliwych sytuacjach w czasie wojny sprawiła, iż później łatwo mi było zostać piratem. Kiedy statki kupieckie widziały moją flagę, nawet nie próbowały stawiać oporu. Wiedzieli, że mamy więcej broni i ludzi, nie zamierzali więc ryzykować życia dla kilku szkatulek jedwabiu. Jeśli pamiętasz, to samo stało się także z Chastity. Ale to nie znaczy, że jeśli odrzucisz moją ofertę i postanowisz zostać, zgodzę się, abyś ją miał. Nie zgodzę się. Tak czy siak

przegrasz, i nie będziesz miał nawet mojego złota na pociechę. Zdjął nogę z krzesła i pochylił się, opierając ręce na stole. - Po co te wszystkie pytania, Hargraves? Oddasz wszelką nadzieję na bogactwo i przygody po to, aby ożenić się z panną Willis?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł pospiesznie Petey zanim pirat na dobre nabrał podejrzeń. - Możesz być pewien, że wołałbym to berło i możliwość ucieczki z tej wyspy od panny Willis. - Zamilkł, rozważając swoje słowa. - Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie czujesz podobnie.

Kapitan Horn wyprostował się jak jeden z tych arystokratów, których tak nienawidził.

- To nie twoja sprawa. Chcesz je czy nie? Bo jeśli nie... - Przerwał, sięgając po berło.

Petey był szybszy.

- Chcę je. Opuszczę twoją wyspę jutro.

Przez chwilę mógłby przysiąc, że widzi na twarzy kapitana ulgę. Potem jego twarz nabrała twardego wyrazu.

- Jeszcze jedno - nie wolno ci jej o niczym powiedzieć, rozumiesz? Musisz obiecać, że wyjedziesz jutro bez słowa.

- Ale ona zasługuje...

- Taka jest umowa.

- Dobrze. Nic jej nie powiem.

Ale tej jednej obietnicy Petey nie zamierzał dotrzymać.

^ ^ ^

Londyn nigdy taki nie był, pomyślała Sara, parząc na lagunę z okna kajuty Barnaby'ego.

Cisza tak gęsta, że własne myśli wydawały się krzykiem w nocy... Zapachy, które kusiły zmysły zamiast im przeszkadzać... Niebo jak boski koc usłany gwiazdami i nieskażony czarną mgłą z tysięcy kominów.

Co najlepsze, wyspa była praktycznie nietknięta przez człowieka. Jak dawno temu widziała takie miejsce? Nawet angielska wieś nosiła ślady cywilizacji. Oczywiście istniało wiele dzikich zakątków, ale nigdy ich nie oglądała. Podróżowanie po kraju odrywałoby ją od pracy. Praca wiązała się z odwiedzinami w najbrudniejszych, najbardziej zatłoczonych zaułkach Londynu.

Dopóki nie wypłynęła w rejs Chastity, nie pamiętała, jak to jest oddychać czystym powietrzem nieskażonym smrodem końskich odchodów i dymem z kominów.

Biorąc głęboki oddech, spojrzała na dziób. Zobaczyła tam lojalnego pirata, który stał na warcie i jej zadowolenie natychmiast zniknęło. Gideon nie był tak głupi, by pozwolić, żeby kobiety spały na statku same. Chociaż wątpiła, by umiały samodzielnie żeglować, to jednak mogłyby spróbować gdyby nadarzyła się okazja. A Gideon najwyraźniej domyślił się tego.

Westchnąwszy, odwróciła się od okna i rozejrzała po eleganckiej kajucie, która teraz stała się jej więzieniem. Przynajmniej chwilowo. Trudno było powiedzieć, co się wydarzy, kiedy Gideon już zmusi ich do wybrania mężów. Nie chciała już Peteya bo wiedziała o Ann. Ale gdyby nie wiedziała...

Mąż zostanie dla was wybrany. Z trudem przełknęła ślinę. Co zrobi Gideon? Wyznaczy siebie na jej męża? A może był do niej bardziej przywiązany, niżby chciał? Czasami odnosiła wrażenie, że pragnął jedynie pójść

pójść z nią do łóżka, a potem pozbyć się jej jak najszybciej. Innym razem myślała, że czuł coś więcej, jak dzisiaj, kiedy uspokajał ją po spotkaniu z wężem...

Zadrżała. Gideon tak dzielnie stawił mu czoło w jej obronie.

Saro, zganiła się, myślisz o nim jak o jakimś błędnym rycerzu, który pragnie cię wyswobodzić. On nie jest rycerzem. To pirat, który ma wobec ciebie swoje zamiary, i musisz o tym pamiętać.

Szkoda, że jedyne, co pamiętała, to jego czułość, kiedy płakała, ciepło jego warg na jej wargach, słodki dotyk jego dłoni na piersiach...

Prześmiała! Musisz wyrzucić... tę arogancką bestię swoich myśli!

Tylko że nie wiedziała jak. Ku własnej rozpaczy nie mogła tego zrobić.

Nagle usłyszała jakiś hałas. Jakby ciche pukanie. Na pewno się przesłyszała, wszystkie kobiety były pod pokładem, a żaden z mężczyzn nie pukałby delikatnie do drzwi kajuty. Poza Gideonem, oczywiście.

Uśmiechnęła się na tę absurdalną myśl. Gdyby Gideon miał przyjść do jej kajuty, waliłby w nie ze wszystkich sił. Zaciekawiona, otworzyła przybyszowi. Na zewnątrz stał Petey i ostrożnie się rozglądał.

Na nieszczęście naprzeciwko jej kajuty znajdowała się kajuta Gideona. Wciągnęła Peteya do środka i szybko zamknęła za nim drzwi.

- Oszalałeś? Gdyby Gideon cię tu zastał...

- Nie ma go na statku... jest w chacie. Ale też się niepokoję, panienko, proszę mi wierzyć. Zwłaszcza teraz?

- Zwłaszcza teraz? Co to znaczy?

Petey miał ponurą minę.

- Zapłacił mi, żebym jutro opuścił Atlantyde z jego ludźmi. Mówi, że mogę iść, dokąd chcę pod warunkiem że nie wrócę na wyspę. - Widząc jej zaszokowane spojrzenie, dodał: - Zgodziłem się odejść, oczywiście. To jedyny sposób, żeby ściągnąć tutaj twojego brata.

Chwilę jej zajęło, żeby zrozumieć sens jego słów ale gdy zrozumiała, poczuła nadzieję.

- To cudownie! Odpływasz! Możesz przyprowadzić Jordana, żeby nas uratował! - Po czym ogarnęła ją nagła wątpliwość. - Naprawdę sądzisz, że uda ci się znaleźć drogę powrotną? Ta wyspa przez całe wieki była opuszczona.

- Tylko dlatego, że nie leży na głównym szlaku. Ale obserwowałem kompas i sprawdzałem nasz kurs, odkąd wypłynęliśmy z Wysp Zielonego Przylądka. Sądzę, że bez trudu znajdę drogę powrotną. Jestem pewien, że on nie podejrzewa, iż taki nic nieznaczący marynarz zwracał na to uwagę, zwłaszcza że powiedziałem mu, iż opuściłem Chastity, ponieważ nie chcę wracać do Anglii. Wiem, że dlatego pozwala mi odejść.

- Czy rzeczywiście? Zatrokana zagryzła dolną wargę. Dziwne, że Gideon tak po prostu pozwał Peteyowi odejść.

- Ale, Petey, to może być jakaś pułapka. A co jeśli każe swoim ludziom gdzieś cię wywieźć i porzucić? - Jej głos przeszedł w szept. - Albo... albo nawet zamordować?

- Naprawdę sądzisz, że mógłby to zrobić? Że jest takim człowiekiem?

To pytanie ją zaskoczyło. Czy Gideon był zabójcą? Oczywiście. Był przecież piratem, czyż nie?

Jednak jej serce w to nie wierzyło, nie po dzisiejszym dniu.

- Nie, chyba nie. - Kiedy Petey potaknął, chwyciła go za ramiona. - Ale mogę się mylić. A jeśli tak...

- Nie zabije mnie. Powiedział mi, że tego nie zrobi. A ja, nie wiedzieć czemu, wierzę mu. - Zmarszczył brwi. - Ale to nie znaczy, że nie zrobi po innych rzeczy. Zaraz po moim wyjeździe będzie próbował uczynić z ciebie swoją kobietę, panno Willis możesz być tego pewna. To jedyna rzecz, która mnie martwi w całej tej sytuacji.

Sarę także to martwiło, ale to nie był czas, aby o tym myśleć. Jeśli Petey nie popłynie po pomoc, wszystkie zostaną zmuszone do małżeństwa, a ona nie chciała się z tym pogodzić.

- Nie martw się o mnie. Mogę oprzeć się kapitałowi Hornowi, bez obaw. Mamy jeszcze kilka dni, zanim będziemy musiały wybrać mężów, a być może dzisiaj załatwiłam nam kilka dodatkowych dni. Przecież piratom ulepszenie domów zajmie jakiś czas, a może, jeśli nadal będziemy się opierać, Gideon...

Zawahała się. Widziała po minie Peteya, że nie wierzył w ani jedno jej słowo.

- To i tak nie ma znaczenia. Musisz płynąć. To nasza jedyna szansa.

Przeciagnąwszy dłonią po włosach, Petey przytknął ze znużeniem.

- Wiem. Ale mam wrażenie, że w pewnym sensie cię zawiodłem. - Jego głos stał się cichszy. Ciebie i Ann.

Sara przygryzła dolną wargę. Ann była zupełnie odrębną kwestią.

- Wiesz, że będzie na ciebie czekać.

- Nie pozwolą jej na to. - Miał tak żalostną minę, że Sara położyła dłoń na jego kościstym ramieniu,

żeby go pocieszyć. - Zabrałbym ją ze sobą gdybym mógł, ale kapitan nigdy się na to nie zgodzi. Poza tym domyśliłby się, że kłamałem o mnie i o tobie. Tak czy siak, powiedziała mi, że nic może wrócić. Teraz jest kryminalistką. Jeśli wróci do Anglii, co muszę zrobić, może zostać złapana i będzie jej groziło coś znacznie gorszego. Muszę więc ją tutaj zostawić.

- Nie martw się - odezwała się Sara, żałując, że nie brzmi zbyt przekonująco. - Zrobię co w mojej mocy, żeby żaden pirat nie został jej mężem.

- Nie mogę znieść myśli, że zostanie do tego zmuszona...

- Wiem. Wszystko będzie dobrze; zobaczysz. Myśl o wydostaniu się stąd i sprowadzeniu pomocy, a ja zaopiekuję się Ann.

Ku jej zaskoczeniu Petey nagle zarzucił jej ramiona na szyję i objął ją z całej siły.

- Och, panno Willis, jesteś za dobra. Zawiodłem cię na całej linii, i jeszcze martwisz się o mnie i o moją ukochaną.

- Przestań mówić, że mnie zawiodłeś. Nie zawiodłeś. Zrobiłeś wszystko, co było w ludzkiej mocy i wtedy...

Cokolwiek miała zamiar powiedzieć, zostało przerwane przez gwałtowne otwarcie drzwi. Odskoczyli od siebie, ale było za późno. Gideon wpatrywał się w nich z marsową miną.

- Mieliśmy umowę, Hargraves. I wygląda na to, że jej nie dotrzymałeś.

Chociaż Petey poczuł, że krew odpywa mu z twarzy, wziął się w garść.

- Nie byłoby w porządku, gdybym wyjechał bez pożegnania. Człowiek honoru nigdy by tak nie postąpił.

- Honorowy człowiek również nie sprzedałby jej za złoto. Powiedziałeś jej o tym? Powiedziałeś, że piractwo było dla ciebie ważniejsze od niej?

Kiedy Petey wzruszył ramionami, Sara aż zadrżała, widząc furię malującą się na twarzy Gideona. Ten człowiek naprawdę ją przerażał, gdy wpadał we wściekłość, chociaż nie wiedziała, dlaczego był taki wściekły. Przecież już widział ją wcześniej z Peteyem.

- Wynoś się - dodał Gideon groźnie. - Wynoś się z tej kajuty i z mojego statku. Dostaniesz swoje złoto, chociaż powinienem rzucić cię rekinom na pożarcie. Masz być jutro na slupie, bo inaczej daję słowo, że to zrobię.

Zerknąwszy na Sarę przepaszającą, Petey przecisnął się między nią a Gideonem, a potem wypadł na zewnątrz.

Przez chwilę była sparaliżowana strachem, ale szybko się opanowała. Nie powinna pokazywać mu, że się go bała. Wykorzystałby to.

Wzięła głęboki, uspokajający oddech, krzyżując na piersi ramiona, żeby ukryć ich drżenie.

-Pewnie sądzisz, że wygrałeś. Pozbyłeś się Peteya, więc zakładasz, że po prostu rzucę się w twoje ramiona.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wszedł do kajuty i zamknął za sobą drzwi.

- Jeśli chodzi o ciebie, to wiem, że nie należy niczego zakładać. Niełatwo uznajesz przegraną. Ale przynajmniej pozbyłem się twojej najlepszej amunicji. - Taksował ją wzrokiem w tak intymny sposób, że się zarumieniła. - I daję słowo, kochanie, poradzę sobie ze wszystkimi przeszkodami, które jeszcze dla mnie wymyśliłaś.

Zrobił krok w jej stronę, potem się zatrzymał. W świetle lampy widziała jego ponurą minę. Wyciągnął rękę i przesunął palcami po linii jej szczęki, a jego dotyk stawał się żarem na skórze. Nie dalej jak dzisiejszego ranka dotykał jej w ten sam sposób, sprawiając, że jej krew wrzała, a z krtani wyrywały się okrzyki rozkoszy.

Ale teraz był inny. Nie umiała tego sprecyzować. Ale był inny. W jego stalowych oczach połyskiwało to samo wyrachowanie, które widziała pierwszego dnia. To nie był Gideon, który obejmował ją gdy płakała. To był Gideon, który pragnął jedynie jej ciała, który posiadał ją, nie dbając o nic.

Chociaż ten Gideon był równie uwodzicielski jak ten drugi, przerażał ją, tamten zaś nie. I ter miał moc, aby ją zniszczyć.

Ostrożnie cofając się przed jego wyciągniętą ręką, szepnęła:

– Co się stanie, kiedy bitwa się skończy, Gideonie? Ożenisz się ze mną? Czy tego właśnie chcesz? Żebym wybrała cię na męża?

Wyraz jego twarzy natychmiast stał się nieprzenikniony - Wsunąłszy kciuki za pasek, przyglądał się jej z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Chcesz powiedzieć, że wyszłabyś za mnie? Okropnego, żadnego krwi amerykańskiego pirata?

- To nie jest pytanie, prawda? - Odrzuciła włosy na plecy, a jego oczy pożądliwie śledziły ten gest, sprawiając, że od razu go pożałowała. Wsuwając dłonie pod pachy, dodała pospiesznie: - Nie powiedziałeś, że ożeniłbyś się ze mną, angielską arystokratką.

- Może przedyskutujemy nasz rychły ślub po tym, jak sprawdzimy, czy pasujemy do siebie? - Gwałtownie podskoczył do niej, chwycił ją w tali i przycisnął do siebie. - W przeciwieństwie do

Hargravesa, lubię sprawdzić towar, zanim za niego zapłacę... milady.

Ostatnie słowo wypowiedział z takim sarkazmem, że jej serce zamarło. Nazywał ją „milady” tylko wtedy, kiedy chciał sobie przypomnieć, jak bardzo nienawidził ludzi z jej klasy. Jego następne słowa, mające na celu jej poniżenie, były mniej więcej takie same.

- Nie będziesz sprawdzał niczego, co do mnie należy! - Odepchnęła go. - Natychmiast mnie puść ty...ty...

- Dręczycielu kobiet? Podstępny gwałcicielu? Saro, możesz mówić, co chcesz, ale oboje wiemy, że chcesz, abym się z tobą kochał. Dziś rano...

- Dziś rano byłeś inny - wyrzuciła z siebie. Kiedy przeszył ją wzrokiem, dodała szybko: - Zależało ci na mnie. I tak, chciałam, żebyś się ze mną kochał. Przyznaję. Ale nie teraz, nie, kiedy jesteś taki. Nie, kiedy tak mnie nienawidzisz.

- Czy zachowuję się, jakbym cię nienawidził? - Otarł się o nią biodrami, aż poczuła jego wzwód. - Czy tak właśnie zachowuje się mężczyzna, który nienawidzi?

Uderzyła rękoma w klatkę piersiową, zdeterminowana, by mu się wyrwać.

- Nie chodzi mi o to, co myślisz o moim ciecie, Gideonie. Chodzi mi o to, co myślisz o mnie. Słyszę pogardę w twoim głosie, ilekroć mówisz o mojej klasie i mojej pozycji w społeczeństwie. Widzę, jak czasami na mnie patrzysz, ze złością i niechęcią, jakbyś nienawidził mnie za bycie Angielką i... do tego o wysokiej pozycji społecznej.

- Ani jedno, ani drugie. - Chwytał ją za podbródek, usiłując podnieść jej głowę, by móc ją pocałować. - Twoje ciało pragnie mojego ciała, i Bóg mi

świadkiem, moje pragnie twojego. Zaspokójmy więc nasze pragnienie i miejmy to z głowy.

- Nie! - krzyknęła, wrywając głowę z jego uścisku.
- Nie jestem tłustą gąską, którą możesz pożreć tylko dlatego, że jesteś głodny! Nie będę również znosić twojej nienawiści do mojej klasy!

Tym razem kiedy go pchnęła, puścił ją, obdarzając lodowatym spojrzeniem.

- Czego ode mnie chcesz? Dozgonnej miłości? Przysięgi wierności? Oświadczyn? Co to za gra?

- O to właśnie chodzi, Gideonie. W nic nie gram. A skoro ty najwyraźniej w to nie wierzysz, ja cię nie chcę. Zostaw mnie. Jeśli nie możesz mnie postrzegać jako zwykłej Sary Willis, to trzymaj się ode mnie z daleka i pozwól mi znaleźć kogoś, kto tak mnie będzie widział.

- Mówisz o Hargravesie.

- Mówię o mężczyźnie, który nie nienawidzi tego, kim jestem. - W jej głosie słychać było smutek - Nie sądzę, abyś to ty mógł być tym mężczyzną.

Najwyraźniej jego ciało zmroził nagły chłód, bo poblądł.

- Masz rację. Nie mogę. - Ruszył do wyjścia po czym się zatrzymał. - Obawiam się, że nie znajdziesz tutaj nikogo, kto spełniłby twoje wygórowane oczekiwania, skoro twój przyjaciel Hargraves wyjeżdża. Moi ludzie nienawidzą twojej klasy równie mocno jak ja. Poza tym twoje gusta są dla nich zbyt wytworne. I oboje wiemy, że to ja mogę zaspokoić twoje inne potrzeby, potrzeby, które ignorujesz. Kogo więc wybierzesz na męża, Saro? Kogo?

To pytanie wciąż brzmiało w jej uszach, kiedy pochylił głowę i wyszedł. Niech diabli porwą mężczyznę, który tak dobrze ją znał! Tak, kogo mogła wybrać, jeśli nie jego? Kogo?

Rozdział 16

*Bez pamięci w żeglarzu zakochana
Czekać nań była przygotowana,
Tak mocno kochała,
Iż poślubić go chciała.*

Anonim

Miłość damy do żeglarza

Rozglądając się ukradkowo i nikogo nie widząc, Louisa wpuściła Ann do maleńkiej chaty Silasa Drummonda, która znajdowała się nieopodal wejścia do wspólnej kuchni.

- Wydawało mi się, że Silas powiedział, iż nie wolno nam tutaj wchodzić - szepnęła Ann. - Nie obchodzi mnie, co on mówi. Temu człowiekowi potrzebna jest pomoc. - Louisa machnięciem ręki wskazała całe pomieszczenie. - To miejsce to chlew.

Na drewnianej podłodze leżały sterty brudnych ubrań. Wszędzie wały się brudne naczynia. Najwyraźniej Silas nie uznawał mycia czy odkładania czegokolwiek na miejsce, chociaż w chacie znajdował się kredens i szafa, a także kufer.

Cóż, Silas może i zachowywał się jak wielkolud, ale była to tylko poza. Louisa nie zamierzała pozwolić mu mieszkać w takim brudzie. Podczas gdy wybrał się z Barnabym na polowanie na kuropatwy, ona i Ann miały doprowadzić to miejsce do ładu. Chociaż na pewno będzie na początku narzekał, polubi je, kiedy się przyzwyczai. Jaki mężczyzna by nie polubił?

Poza tym mogła znosić jego narzekania, pod warunkiem że na tym się kończyło. Przez pięć dni od uprowadzenia wydawał z siebie groźne pomruki, przeklinał i krzyczał, ale ani razu nie podniósł na nią ręki w złości. Były nawet momenty, w których okazywał jej wielką dobroć - kiedy sparzyła sobie rękę na tej przeklętej kambuzowej kuchni. Przyniósł jej lekarstwo, żeby złagodzić ból. A kiedy narzekała na swoje twarde postanie na statku pewnej nocy znalazła na jego miejscu puchowy materac. Wtedy tylko zgadywała, że to on mógł go tam położyć, ale teraz miała pewność, ponieważ zobaczyła swoje postanie na jego łóżku.

Ale taki właśnie był Silas, dużo czekał, ale nie gryzł. Mogła więc przynajmniej posprzątać mu chatę.

- Cóż, zabierajmy się do tego, Ann - powiedziała, podwijając rękawy. - Mamy sporo roboty do zrobienia, zanim mężczyźni wrócą.

Przytaknąwszy, Ann podeszła do prostego stołu i starła z niego okruchy sucharów do swojego fartucha.

- Ciekawe, czy Petey dotarł już do Sao Nicolau. Minęły trzy dni, odkąd wypłynęli. Powinni już tam być, nie sądzisz?

Louisa rzuciła Walijsce ukradkowe spojrzenie, ale dostrzegła na jej twarzy jedynie tęskny żal, co było lepsze niż ta potwornie smutna mina, którą kobieta miała przez pierwsze dwa dni po odejściu Peteya.

- Najprawdopodobniej mężczyźni już tam dotarli, a teraz wracają. Będą na Atlantydzie za jakieś dzień dwa.

- Ale nie Petey.

- Nie - odparła Louisa współczująco - nie Petey. - Wciąż nie mogła uwierzyć, że Petey tak chętnie ich

opuścił. Zawsze uważała, że zna się na ludziach, a on nie sprawiał wrażenia człowieka, który bierze nogi za pas.

- Skoro nie ma Peteya - powiedziała Ann - jak ci się wydaje, kogo panna Willis wybierze na swojego męża?

- Nie wiem. Sara bardzo nie lubi piratów.

- Nie wszystkich. Podoba jej się kapitan. Podejrzewam, że tylko jego będzie brała pod uwagę. Louisa schyliła się, żeby zamieść z podłogi zgniłą skórkę banana, ale zaraz się wyprostowała i spojrzała na Ann.

- Kapitan Horn? I Sara? Oszalałaś? Sara nienawidzi kapitana.

Ann potrząsnęła głową.

- Nie wydaje mi się, Louiso. Kłóci się z nim, ale chyba o nim marzy. A on bez dwóch zdań ma na nią chętkę.

Prychnąwszy, Louisa zgarnęła kolejne resztki na śmietniczkę

- Och, oczywiście. Dlatego wezwał do siebie Queenie w noc naszego przybycia...

- Ale do niczego między nimi nie doszło. Słyszałam, co mówiła jednej z dziewcząt. Odesłał ją do pana Kenta. I założył się, że z powodu panny Willis.

Louisa zatrzymała się nagle w drodze do łóżka, z którego chciała ściągnąć brudną pościel. Sara i kapitan Horn? Cóż za okropny pomysł! Tych dwoje nie pasowało do siebie. Jeśli Sara wierzyła, że poradzi sobie z kapitanem piratów, bardzo się myliła. Był typem mężczyzny, który łamie niewieście serca, zwłaszcza te niezahartowane.

- Jeśli masz rację, to bardzo się z tym ukrywają. On najwyraźniej jej unika, a ona robi to samo.

- Tak, ale obserwują się, kiedy myślą, że nikt nie widzi. Któregoś dnia śmiała się z czegoś, co powiedział pan Kent, a kapitan Horn spojrział na nich tak groźnie, że myślałam, iż oboje padną trupem. Zaraz po tym kazał panu Kentowi razem z innymi nosić drewno z odległego końca wyspy. Ma na nią oko, i sędzę, że ona na niego też.

- Och, mam nadzieję, że się mylisz. To nie jest mężczyzna dla niej.

- Nie wiem. - Ann schyliła się, żeby podnieść leżący pod stołem cynowy kubek. - Nie jest taki zły, jak ci się wydaje. Kiedyś rozmawialiśmy i był dla mnie bardzo miły. Pytał mnie o mamę i inne rzeczy. Nie jest taki zły, kiedy się go bliżej pozna.

- Właśnie tego zamierzam unikać - mruknęła Louisa, ściągając pościel z posłania, które leżało na spartańskiej drewnianej ramie.

Kapitan Horn ją przerażał. Za bardzo przypominał jej Harry'ego, syna jej byłego pracodawcy. Chociaż nigdy nie widziała, żeby kapitan Horn kogoś skrzywdził, nie mogła oprzeć się przekonaniu że jego ugryzienia byłyby o wiele groźniejsze niż szczekanie, co wystarczyło, żeby się go bać. Tak czy siak, nie zamierzała się o tym przekonywać.

Nie mogła także znieść myśli o Sarze w ramionach tego mężczyzny. Nie obchodziło jej, co powiedziała Ann, dla niej ta myśl była po prostu okropna. Następnym razem, gdy zostanie z Sarą sam na sam, przemówi jej do rozsądku.

Nagle Anna gwizdnęła.

- A niech mnie, co to takiego? - Odstawiając cynowy kubek, wzięła do ręki duży, rzeźbiony, drewniany przedmiot, który był ukryty za zwiniętymi wełnianymi ubraniami.

Louisa zerknęła na to, co trzymała Ann, i wzruszyła ramionami.

- Wygląda jak rzeźba kobiety.

- Tak, ale z takim dużym... to znaczy, widziałas kiedyś kobietę z... z...

- Biustem. Możesz wymówić to słowo.

Biorąc rzeźbę od Ann, obróciła ją w rękach. Kobieta rzeczywiście miała nieproporcjonalnie duże piersi. Były wielkie jak dynie. Pasowały do naprawdę okazałych pośladków, dzięki którym rzeźba mogła utrzymać równowagę. Louisa przyjrzała się małej głowie i stopom, rozpoznając styl z książek, które czytała.

- Sądzę, że pochodzi to z jednego z tych afrykańskich miejsc, gdzie czci się boginie płodności.

Ann wyglądała na zaintrygowaną.

- Boginie płodności?

- Dawno temu czytałam o nich w książce podróżniczej.

Kiedyś spędzałam wieczory na czytaniu, kiedyś miałam przed sobą całe życie - myślała. - Zanim Harry zaczął obmacywać moje piersi...

- Ale co to jest bogini płodności? - nalegała Ann, wrywając Louise z nieprzyjemnego zamyślenia. - I dlaczego ma takie... wielkie...?

- Ponieważ symbolizuje płodność kobiety. - Kiedy Ann nadal nie rozumiała, Louisa dodała: - Kobiety karmią dzieci piersią, więc rzeźbiarz wyrzeźbił je duże, żeby pokazać przymioty kobiet.

Najwyraźniej Ann nie miała pojęcia o symbolizmie. Młoda kobieta wzięła rzeźbę od Louisy.

- Myślisz, że Silas to czci?

- Wątpię - odparła sucho. - Sądząc po tym, co powiedział nam Barnaby, Silas nie może... yyy..

mieć dzieci. Nie, sędzę, że jego zainteresowanie jest tak... lubieżne.

Ann przypatrywała się rzeźbie.

- Uważam, że ma śmieszny kształt. Same cycki i tylek i nic więcej. Ciekawe, czy kobiety w Afryce właśnie tak wyglądają?

- Wątpię. Gdyby tak było, bylibyśmy świadkami masowego exodusu męskiej populacji Anglii do Afryki.

Ann zachichotała.

- Tak, ale byliby rozczarowani. Taka kobieta nie mogłaby się nawet położyć, prawda? Jej piersi są tak wielkie, że zwisałyby jej na boki i musiałyby balansować na tym wielkim zadzie. Nigdy nie udałoby się jej zasnąć. Ani mężowi.

- Nie sędzę, żeby jej mąż nie mógł spać z powodu jej bezsenności - mruknęła Louisa.

Ann spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc, i tym razem Louisa nie mogła powstrzymać uśmiech. Naprawdę, czasami Ann była jak dziecko. Pomimo tego, co w życiu przeszła, wciąż patrzyła na świat niewinnymi oczami. Louisa nigdy nie miała w sobie takiej niewinności. Nigdy jej na to nie pozwolono.

- Wiesz, Silas nie powinien mieć czegoś tak nieprzyzwoitego w chacie - powiedziała Ann. - Mogłoby to zobaczyć któreś z dzieci. - Rozpromieniła się. - Wiem! Ubierzemy to! Tak będzie dobrze nie sędzisz?

- Och, oczywiście - powiedziała Louisa, a w jej głosie pobrzmiwało rozbawienie.

Ann rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś stosownego.

- Och, to będzie dobre - powiedziała, stojąc tyłem do Louisy.

Przez chwilę męczyła się z rzeźbą, po czym odwróciła się i pokazała ją Louisie.

Louisa wybuchła śmiechem.

Kalesony Silasa. Ann ubrała rzeźbę w brudne kalesony Silasa.

Louisa nie mogła przestać się śmiać. Ann obwiązała nogawki wokół szyi rzeźby tak, że tylna część kalesonów przykrywała jej przód. Był to naprawdę niesamowity widok. A kiedy Ann spojrzała na nią, najwyraźniej nie rozumiejąc, że odzienie figurki jest równie nieprzyzwoite jak sama figurka, Louisa śmiała się tak mocno, że aż rozboleł ją brzuch.

- Louiso, nic ci nie jest? - spytała Ann, podchodząc do przyjaciółki. - Daję słowo, dziwnie się dziś zachowujesz. Naprawdę dziwnie.

Louisa nie mogła nawet mówić. Mogła tylko się śmiać i wskazywać na rzeźbę.

- To? - spytała Ann, unosząc figurkę. - Coś nie tak? Nie podoba ci się jej wełniana sukienka?

Louisa wybuchła jeszcze bardziej donośnym śmiechem. Niestety, właśnie w tym momencie, kiedy Louisa śmiała się do rozpuku, a Ann wymachiwała rzeźbą, wszedł Silas.

- Co wy tu robicie? - rozdarł się ochryplym głosem, aż podskoczyły.

Ann natychmiast opuściła rzeźbę, patrząc przerażona, jak ta toczy się po drewnianej podłodze, pozbywając się przy tym gustownej kreacji. Louisa pohamowała śmiech, chociaż wymsknęło jej się kilka chichotów.

- Nic nie robiłyśmy, naprawdę - zaczęła paplać Ann. - Louisa powiedziała... to znaczy... myślałyśmy...

- W porządku, Ann. - Louisa zwróciła się do Silasa, a jej oczy wciąż były roześmiane. Jednak kiedy zobaczyła jego wściekłą minę i poczerwieniałą twarz,

natychmiast oprzytomniała. - Jestem pewna, że Silas nie będzie cię za nic obwinał.

- Po prostu chcieliśmy pomóc. - Ann podała podniesioną rzeźbę Silasowi. - Naprawdę, panie Drumm...

Silasa zatkało, gdy zobaczył, co Ann trzyma w rękach.

- Wynoś się. - Wyrwał jej figurę i rzucił przez pokój. - Wynoś się stąd, natychmiast!

Ann pospiesznie ruszyła do drzwi, a Louisa tuż za nią, ale kiedy zbliżyła się do Silasa, chwycił ją za ramię. - Nie ty, Louiso... tylko ona. Mam z tobą do pomówienia.

Jej serce zamarło, i po raz pierwszy od poznaniu Silasa Louisa poczuła strach. To nie był ten mężczyzna, który dał jej medykament na oparzenie. Tu był inny Silas. Nigdy nie widziała go tak wściekle go. Jego brwi tworzyły jedną linię, i nawet jego broda wyglądała, jakby była nastroszona.

Musiała być głupia, jeśli sądziła, że on nie zauważy, iż weszła do chaty podczas jego nieobecności. Naprawdę głupia.

Cóż, nie miało to znaczenia. Już wcześniej miała do czynienia ze wściekłymi mężczyznami, i najlepszą obroną było nie pozwolić im się wykorzystać. Nauczyła się tego na własnej skórze.

Wyrwawszy ramię z uścisku Silasa, odwróciła się do niego cała usztywniona.

- Nic ci nie da, jeśli mnie zrugasz, Silasie. Ktoś musiał posprzątać ten... chlew, który nazywasz domem, a skoro najwyraźniej nie zamierzałeś nikogo o to poprosić...

- Chciałaś to zrobić za moimi plecami.

W jego głosie słychać było głęboką urazę i nagle uświadomiła sobie, jak on mógł to odebrać.

- Niezupełnie. Ja tylko... sądziłam, że to docenisz.

- Och, doprawdy? Sądziłaś, że docenię rozrzucanie moich rzeczy i naśmiewanie się ze mnie?

Zaczerwieniła się.

- To nie było tak. My tylko... - Urwała, zrozumiawszy, że nie będzie mu w stanie tego wyjaśnić. - Nie chciałyśmy przysporzyć kłopotów. Chciałyśmy tylko pomóc... za... za to, że jesteś dla nas taki dobry.

Uniósł wysoko brwi.

- Dla was?

Jeszcze bardziej się zarumieniła.

- Dla mnie.

To najwyraźniej dało mu do myślenia. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią. Potem, ku jej wskoczeniu, odwrócił się i przeszedł przez pokój. Wziąwszy fajkę z półki, napełnił ją tytoniem, zapalił i kilka razy się zaciągnął, po czym przełożył ją do prawej ręki. Ostry zapach dymu wypełnił pokój, kiedy Silas odwrócił się do niej, wyglądało na to, że jego gniew trochę przygasł. Teraz przyglądał się jej uważniej.

- Jesteś wścibską kobietą, Louiso Yarrow, wiesz o tym? Najbardziej wścibską kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. - Zamilkł, żeby zaciągnąć się fajką, ani na chwilę nie spuszczać jej z oczu. Dziwi mnie tylko, że wtrącasz się w moje życie, skoro na tej wyspie jest wielu innych mężczyzn, których możesz zadręczać. Tylko tyle chcę wiedzieć.

- Nie sądziłam, że w ten sposób będę cię zadręczać.

Zignorował jej zjadliwą uwagę.

- Dlaczego ja, Louiso? Dlaczego jestem tym jedynym?

Poczuła się niezręcznie pod jego badawczym spojrzeniem. Odwróciwszy się do niego plecami zaczęła zbierać jego brudne ubrania.

- Jesteś kucharzem, to wszystko, i chciałam mieć pewność, że dla odmiany dostaniemy jakiś porządny posiłek. A musisz przyznać, że nie gotujesz najlepiej na świecie, Silasie.

Nie zaoponował żywo na tę zniewagę, jak to miał w zwyczaju przy innych. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu powiedział:

- Tak, to prawda. Zanim straciłem nogę, dobrze służyłem Gideonowi jako marynarz, i dlatego teraz Gideon znosi moje gotowanie.

Nie wiedziała o tym. Trochę to zmieniło jej zdanie na temat kapitana Horna.

- Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie - ciągnął Silas. - Nie wiesz o gotowaniu więcej ode mnie. Słyszałem, że w Anglii pracowałaś jako guwernantka, nie kucharka.

- To prawda. Ale gdy pracowałam dla księcia Dorchester zainteresowałam się... gotowaniem. Dużo czasu spędzałam w kuchni. - Tak, całkiem sporo czasu. Tylko w tym miejscu Harry nie mógł jej złapać samej, tylko tam mogła się skryć przed jego obmacywaniem. A przy okazji dowiedziała się czegoś o gotowaniu.

- Nadal twierdzę, że nie mówisz mi wszystkiego, Krzychałem na ciebie i warczałem, a tobie to najwyraźniej nie przeszkadzało. Dlaczego nie boisz się mnie tak jak inni?

- Bo wiem, że nie zrobisz mi krzywdy! - wyrzuciła z siebie, natychmiast tego żałując. Dlaczego musiał zadawać te wszystkie krępujące pytania?

- Ach. Podejrzewałem, że to może mieć z tym coś wspólnego. - Kiedy Louisa spojrzała na niego zaskoczona, dodał: - Kto cię skrzywdził? Jaki mężczyzna skrzywdził cię tak strasznie, że czujesz się bezpieczna jedynie z mężczyzną, który, jak uważasz, nie może wziąć cię do łóżka?

Jej twarz stała się purpurowa.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Włożył fajkę.

- Ależ wiesz. Zastanawiałem się nad tym. Jedyny powód, dla którego kobieta taka jak ty odrzuca Barnaby'ego dla mnie, to taki, że nie chce, aby mężczyzna jej dotykał.

Nigdy nie przyznała się przed sobą do tego. Nigdy nawet tak nie myślała. Ale w podświadomości wiedziała, że właśnie dlatego uczepiła się Silasa. Był dobry i łagodny... i był impotentem. Nie musiałyby się obawiać, że będzie chciał ją zmusić

Bolesnie zagryzła dolną wargę, starając się zdusić bolesne wspomnienia, które zawsze wywoływały w niej łzy. Podeszedł do niej.

- Nie jestem ślepy, Louiso. Widziałem, jak się wzdrygasz, kiedy dotyka cię jakiś mężczyzna. Widziałem przerażenie w twoich oczach, póki nie wzięłaś się w garść i nie naskoczyłaś na nich, żeby trzymali łapy przy sobie. Sądzisz, że jeśli będziesz dla mnie przydatna, ożenię się z tobą, chociaż ponoć nie mogę z tobą spać.

- To nieprawda - zaprotestowała słabo, zanim dotarło do niej słowo „ponoć”. - Co to znaczy „ponoć”? - Po czym, uświadomiwszy sobie, jak okropnie zabrzmiało to pytanie, zaczęła się jąkać: - To znaczy... ja...

- Nie przejmuj się. Wiem, co powiedział ci ten głupiec Barnaby. Powiedział, że nie mogę kochać się z kobietą, prawda?

Rozważała, czy potwierdzić, ale w końcu zdecydowała, że zasługiwał przynajmniej na tyle uczciwości.

- Tak.

- Powiedział ci, że nie lubię kobiet, ponieważ nie mogę z nimi spać, nieprawdaż?

Odwracając od niego twarz, przytaknęła.

- Cóż, to nieprawda - odparł.

Spojrzała mu w oczy.

- To znaczy?...

- To znaczy, że moje członki są tak samo sprawne, jak członki tego przekłętego Anglika.

- Ale dlaczego...

- To długa historia. - Zacisnął usta w wąską linię. Kiedy spojrzała na niego wyczekująco, westchnął i potarł dłonią brodę. - W czasie kiedy straciłem nogę, miałem konkubinę na jednej z wysp w Indiach Zachodnich. Była Kreolką. Gideon zawiózł mnie do niej, żebym doszedł do siebie, a ona troszczyła się o mnie. Ale przeszkadzało jej, że nie mam nogi. Starła się ukryć swą niechęć, ale pewnego dnia zastałem ją w łóżku z kupcem. Właśnie wtedy zrozumiałem, że już mnie nie kocha... jeśli w ogóle kiedykolwiek mnie kochała.

Odwrócił się i podszedł do stołu, ciężko opadając na krzesło i znowu biorąc do ręki fajkę. Louis chciała pójść za nim i go pocieszyć. Biedny Silan. Nie mogła się z tym pogodzić; był takim porządnym człowiekiem. Jak w ogóle jakakolwiek kobieta mogłaby przestać kochać swojego męża z tak banalnego, nieistotnego powodu?

- Wtedy się rozstaliśmy - ciągnął. - Ona poszła do swojego kupca, a ja wróciłem na morze jako kucharz na Satyrze. Ale wszyscy myśleli, że rozstaliśmy się z powodu problemów w sypialni. Myśleli, że zraniłem sobie coś jeszcze, kiedy straciłem nogę. - Popatrzył na fajkę. - Trochę... pozwoliłem im w to wierzyć. Mniej mi przeszkadzało, kiedy myśleli, że żona mnie opuściła, ponieważ nie mogłem jej dać tego, do czego każda kobieta ma prawo, niż przyznać, że po prostu mnie nie... kochała, mężczyźni... uważali, że to tragiczne, a ja pozwoliłem im tak myśleć. Gideon znał prawdę, ale nikt inny. A on zachował mój sekret w tajemnicy.

Zaciągnął się mocno, po czym wydmuchał dym.

- Prawdę powiedziawszy, po tym wszystkim nie byłem zbyt zainteresowany kobietami. Podeptała mi serce i nie wierzyłem, że znajdę jeszcze kogoś, komu będzie na mnie zależało. Więc... żyłem bez kobiety, czasami tylko wymykając się w tajemnicy do jakiejś portowej dziwki.

Czując ucisk w żołądku, wytarła spocone dłonie w spódnicę. Wiedziała, dokąd to zmierzało. A ona nie miała pojęcia, co z tym począć.

Spojrzał na nią, a jego oczy były tak niebieskie jak niebo na zewnątrz.

- I wtedy pojawiłaś się ty, złoźnica, jakiej nigdy nie widziałem. Byłaś nektarem, który dodaje mężczyźnie sił do życia. I wiedziałem, że muszę powiedzieć ci prawdę.

- Nic już nie mów. Proszę...

- Muszę to powiedzieć, Louiso. Po prostu muszę. Przymiliłaś się do mnie, ponieważ myślałaś, że nie jestem prawdziwym mężczyzną, bo jakiś drań sprawił, że boisz się prawdziwych mężczyzn.

Pochlebiam sobie, że chodziło o coś więcej niż to...

- Bo chodziło! - Nie mogła pozwolić, aby myślał że chciała być blisko niego, bo uważała, że nic jej przy nim nie grozi. Kiedy popatrzył na nią znad fajki z niedowierzaniem, dodała cicho: - Naprawdę chodziło o coś więcej. Jesteś dobry i łagodny, i...

- Nie jestem dobry i łagodny, dziewczyno! - burknął, zrywając się na równe nogi. - Właśnie to próbowałem ci powiedzieć. Kiedy widzę cię rano, gdy wyglądasz jak najświeższa róża, jaka kiedykolwiek rozkwitła na tym brzegu, krew zaczyna mi szybciej krążyć. Tak bardzo cię pragnę, pragnę wziąć cię w ramiona i całować do utraty tchu. To co do ciebie czuję... to nie jest łagodne. - Rzucił fajkę, jego oczy błyszczały. - A ty chcesz łagodności. Chcesz mężczyzny, który będzie cię traktował jak kawałek delikatnej porcelany, i...

- Nie, nie tego chcę.

- To nie znaczy, że uważam, iż na to nie zasługujesz - ciągnął, jakby jej nie usłyszał. - Wiem, że na to zasługujesz. Zasługujesz na stuprocentowego mężczyznę.

- Przestań! - Podbiegła do niego. - Nie mów takich bzdur! Ty jesteś stuprocentowym mężczyzną! Nie masz nogi, ale to nic nie znaczy. To nic dla mnie nie znaczy.

Zmrużył oczy i pogładził się po brodzie.

- Co ty mówisz, dziewczyno? Musisz ze mną rozmawiać otwarcie, bo ja nie jestem dobry w zgadywaniu tego, co kobieta myśli.

Louisa zamilkła na chwilę. Co ona mówiła? Że nie przeszkadzało jej, kiedy jej dotykał? Że może nawet jej się to podobało?

Och, była taka zdezorientowana. Przysięgła sobie po tym, jak Harry po raz ostatni ją napastował, że żadnemu mężczyźnie już nigdy nie pozwoli się dotknąć. Wbiła mu nóż w nogę, mając nadzieję, że trafi w coś innego, i za swoje cierpienia dostała wyrok czternastu lat deportacji.

Ale Silas tak bardzo różnił się od Harry'ego. Chociaż obaj byli arogancy, arogancja Harry'ego brała się z przekonania, że wszyscy są stworzeni wyłącznie po to, by mu służyć. Nigdy by nie powiedział, że zasługiwała na kogoś łagodnego. Zawsze uważał, że powinna być zadowolona z faktu, że raz w tygodniu ją gwałcił.

Natomiast arogancja Silasa, podobnie jak jej, była formą obrony. Wiedziała, jak to jest bronić się dumą i pogardą. Dzięki nim przetrwała proces. I pojmanie. Najwyraźniej nikt tego nie rozumiał tak dobrze jak Silas.

Ale czy jego zrozumienie wystarczyło? Gdyby wziął ją w ramiona, czy czułaby, że chce umrzeć jak wtedy, gdy Harry zadarł jej spódnicę i wdarł się w nią?

Mogła to sprawdzić tylko w jeden sposób.

- Chyba mówię... - Przerwała, nie bardzo wiedząc, jak to ująć. - To znaczy, wiem, że mówię... że jeśli muszę wybrać męża, to wołałabym, abyś był nim ty niż ktokolwiek inny.

- Nawet po tym, co ci powiedziałem? Bo musisz zrozumieć, Louiso, że nie mogę mieszkać z tobą pod jednym dachem i cię nie dotykać. - Jego głos stał się mrukliwy i niższy, co jednocześnie ją przerażało i podniecało. - Chcę się z tobą kochać, dziewczyno. Nie chcę żadnej innej kobiety, więc jeśli to nie będziesz ty, będę żył tak samo jak wcześniej. Ale jeśli się z tobą ożenię, nie mogę obiecać, cię nie tknę...

- Więc tego nie obiecuj - powiedziała, zaskoczona własnymi słowami.

Podeszła i położyła mu dłonie na ramionach na tyle silnych, że mogły przełamać ją na pół, mogły wziąć ją siłą... bardzo ją zranić. A jednak czuła, jak drżą pod jej palcami, i to rozproszyło jej obawy. Człowiek, który drżał pod jej dotykiem, nie mógł jej skrzywdzić...

Uniosła ku niemu twarz, i niemal opuściła ją odwaga, gdy w jego oczach dostrzegła pożądanie. Nie uciekła tylko dlatego, że nie rzucił się na nią, przynajmniej na razie.

- Chcę spróbować, Silasie. Z tobą. Bez względu na to, co mówisz, wierzę, że mnie nie skrzywdzisz. Nie zrobisz tego, prawda?

- Nigdy. - Delikatnie położył dłonie na jej talii. - Ale jeśli jeszcze dłużej będziesz stała tak blisko to przysięgam, że cię pocałuję.

Jej oddech stał się szybszy pomimo wszystkich obaw.

- Dobrze.

Popatrzył na nią, jakby jej nie zrozumiał.

- Co powiedziałaś?

- Pocałuj mnie, Silasie.

Nie musiała powtarzać tego dwa razy. Nie marnował czasu i od razu wziął się do rzeczy. I kiedy jego usta dotknęły jej ust, zapomniała o Harrym, dziedzicu księcia Dorchester. Zapomniała o więzieniu, procesie i pojmaniu przez piratów. Mógł jedynie myśleć, że Silas niebiańsko całował. A ona od dawna nie miała przyjemności gościć w niebie.

Pocałunek był długi, głęboki i mocny, a jednak chwyciła go za kamizelkę i przyciągnęła do siebie. Dopiero kiedy poczuła jego wzwód, odskoczyła.

Ale on się uśmiechał, co w przypadku Silasa było niespotykane.

- Nie przejmuj się, kochanie. Nie oczekuję, że natychmiast rzucisz się w moje ramiona. Ale teraz wiem, że skoro możesz znieść mój pocałunek, reszta przyjdzie z czasem.

- Jesteś pewien? - Dlaczego nagle zaparło jej dech w piersi? I dlaczego chciała, żeby znowu ją pocałował? - Ugodziłam w nogę kuchennym nożem ostatniego mężczyznę... który ze mną spał.

Uśmiech Silasa przygał.

- Zasłużył na to?

- Moim zdaniem tak. On... wziął mnie wbrew mojej woli. Wiele razy.

Zacisnął palce na jej talii.

- Więc zasłużył. Zasłużył na to i na znacznie więcej. - Ujął jej podbródek i podniósł głowę. - A jeśli ja na to zasłużę, możesz także dźgnąć mnie nożem w nogę. Pozwolę ci nawet zniszczyć tę zdrową, jeśli dzięki temu zostaniesz moją żoną.

Jego słowa były tak słodkie, pełne oddania, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Och, Silasie - powiedziała, zarzucając mu ramiona na szyję. - Nie zasługuję na ciebie.

- Ależ zasługujesz. - Przytulił ją i oparł podbródek na jej głowie. - Człowiek, który sprawił, że tak o sobie myślisz, był draniem. Pewnego dnia opowiesz mi o nim, żebym mógł sprawić, byś na zawsze o nim zapomniała. Wtedy zaczniemy żyć. Razem. Będziemy mieć dzieci i będziemy szczęśliwi, niech diabeł porwie każdego, kto będzie chciał nam w tym przeszkodzić.

Tak, kochany, pomyślała, unosząc głowę do kolejnego namiętnego pocałunku. Tak, och, tak.

Rozdział 17

*Odrobina niepokoju od czasu do czasu
chroni nas przed stagnacją.*

Fanny (Frances) Burney

Camilla

Sara stała w ładowni Satyra, licząc odzież, którą kobietom udało się zabrać z Chastity. Pozostali piraci mieli wrócić dziś wieczorem bądź jutro, i chciała być gotowa do sortowania odzieży, którą przywiozą. Dopiero kiedy przetała oczy, zauważyła, że w ładowni jest coraz mniej światła. Było popołudnie, kiedy zeszła na dół, a wtedy większość kobiet omijała ładownię z powodu upału. Teraz pewnie już zmierzchało. Niebawem będzie musiała zapalić lampę.

Nagle usłyszała, że ktoś otwiera włącz i schodzi na dół. Zamarła. Była to pewnie któraś z kobiet, ale po trosze miała nadzieję, a po trosze bała się, że będzie to Gideon.

Unikał jej od czasu tamtej nocy w jej kajucie. Ilekroć próbowała porozmawiać z nim o kwestiach związanych z kobietami, dawał jej jakąś wymijającą odpowiedź i zajmował się swoimi sprawami.

Chociaż jego zachowanie ją raniło, wmawiała sobie, że tak będzie lepiej. Jeśli Peteyowi powiodła się ucieczka, wkrótce i ona opuści to miejsce, i powinna je opuścić bez żadnych zobowiązań. To zna-

czy jeśli udałoby jej się znaleźć sposób nakłonienia Gideona, aby nie zmuszał kobiet do wybierania sobie mężów. Jutro miały wybrać, a ona wciąż nie miała pojęcia, jak temu zapobiec, zdobyć trochę czasu, aby Petey zdążył wrócić z Jordanem.

Zobaczyła na schodach nogi. To z pewnością nie był Gideon. Gideon nie nosił spódnicy. Nie, to była Ann Morris. Sara dostrzegła, że dziewczyna płacze.

Kiedy tylko Ann ją zobaczyła podbiegła do niej, jeszcze bardziej zalewając się łzami.

- Och, panienko Willis, co ja pocznę? Jak ja to zniosę?

Sara wzięła drobną kobietę w ramiona.

- No już, kochanie, co się stało? Tęsknisz za Peteyem?

Chwilę zajęło, żeby wyciągnąć z Ann kilka zdań, ale gdy już się udało, Sara była bardzo zaniepokojona. Jeden z piratów zalecał się do niej i Ann obawiała się, że jutro, kiedy trzeba będzie wybrać męża, zostanie zmuszona do wyjścia za niego za męża.

- Jest chyba dosyć miły - jąkała się przez łzy - ale... ale...

Zaczęła gwałtownie szlochać.

- Ale on to nie Petey - szepnęła Sara.

Ann potaknęła, zawodząc jeszcze bardziej.

- Nie pozwolę, żebyś wyszła za nieznanego - obiecała Sara, tuląc ją. - Ten absurdalny plan Gideona zaludnienia wyspy zaszedł zdecydowanie za daleko. Nie pozwolę, żeby to dłużej trwało.

Ocierając łzy, Ann spytała:

- Co zrobisz?

- Zobaczysz.

Sara ruszyła pośpiesznie do schodów. Nadszedł czas, aby ona i Gideon porozmawiali bardzo poważnie. Musi zrozumieć, że nie wolno tak po prostu rozdać swoim

ludziom żon, jakby były skradzionymi łupami. Nie pozwoli na to!

Kiedy zeszyły ze statku, nie musiały szukać Gideona. Rozmawiał o czymś z Barnabym i Silasem przed chatą. Ale kiedy do nich podeszła, przerwali rozmowę.

- Czego chcesz? - warknął Gideon ze zniecierpliwieniem.

Prostując ramiona, Sara wytrzymała jego pełne pogardy spojrzenie, odpłacając mu tym samym.

- Chcę skończyć to szaleństwo ze zmuszaniem kobiet do wyboru męża. Czy nie wystarczy, że ty i twoi ludzie zaciągnęliście nas tutaj wbrew naszej woli? Musisz je jeszcze męczyć i zmuszać do poślubienia mężczyzn, których właściwie nie znają?

- Mają wybór.

Prychnęła.

- Och tak, ich osławiony wybór. Mogą wybrać męża albo mąż zostanie wybrany dla nich. Ale nie mogą pozostać niezamężne, prawda?

- Czy któraś z nich naprawdę tego chce, Saro? | Odwracając się do Ann, Sara lekko popchnęła ją do przodu.

- Niektóre chcą. Na przykład Ann. Ona... yyy... zostawiła w Anglii ukochanego. Nie jest gotowa, aby obdarzyć uczuciem jakiegokolwiek mężczyzna

- Zostawiła w Anglii ukochanego? - Gideon powtórzył zjadliwie. - Naprawdę? A może straciła go, kiedy odplynął trzy dni temu?

Kiedy Ann wybuchnęła płaczem i uciekła, Sara spozjrzała na Gideona oskarżycielsko.

- Zobacz, co zrobiłeś! Ku jej zaskoczeniu Silas rzucił Gideonowi pełne odrazy spojrzenie, potem mocno zaciągnął się fajką.

- Nie powinienes tego mówić, kapitanie. Ta dziewczyna jest wrażliwa.

Barnaby przewrócił oczami.

- Louisa tak bardzo zmiękczyła Silasa, że ledwie cię poznają.

- Posłuchaj, ty przekłety Angolu...

- Dostyc tego. Nie zmienię zdania w tej kwestii, Saro. Przykro mi, że Ann jest nieszczęśliwa, ale nie uważasz, że lepiej, by miała męża i dziecko, niżby miała opłakiwać jakiegoś ukochanego, który pewnie już dawno o niej zapomniał?

- Och, coś takiego może powiedzieć tylko mężczyzna! - Skrzyżowawszy ramiona na piersi, Sara przyglądała mu się gniewnie. - Poza tym Ann nie jest jedyna, Gideonie. Inne kobiety też nie chcą wychodzić za mężczyzn, których nie znają. Dlaczego nie możesz dać im więcej czasu?

- Czasu na co? Żebyś mogła im wmówić, że będą szczęśliwsze jako służące w zapomnianej przez Boga Nowej Południowej Walii?

- Żeby przygotowały się do roli żon. Nie wiem, czy wiesz, ale nieszczęśliwe kobiety nie są dobrymi żonami. - Nagle ją olśniło. - Oczywiście, może nie dbasz o to, czy będą dobrymi żonami. Pewnie dopóki będą spełniały swoją rolę w łóżku, nie ma znaczenia, czy będą wykonywać prace na Atlantydzie.

Twarz Gideona przybrała marsowy wyraz, kiedy dotarło do niego znaczenie jej słów.

- Dobrze wiesz, że ma znaczenie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie dla nich. Dlaczego mają się zaharowywać, żeby uczynić to miejsce lepszym, skoro nie przyznano im żadnych praw? Są zmuszane, by wybrać mężów spośród mężczyzn, którzy całe życie byli

kryminalistami, a którzy nagle twierdzą, że chcą wieść uczciwe życie. Jednak ci właśnie mężczyźni nie przejawiają żadnego zainteresowania tym, co kobiety czują lub myślą. Dbają tylko o to, żeby ich własne potrzeby były zaspokojone.

Nawet Silas zjeżył się na te słowa, a w oczach Gideona pojawiła się wściekłość. Ściszone głosem powiedział:

- Posuwasz się za daleko, Saro.

Już otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, zaprotestować, kiedy jakiś głos przerwał im obojgu.

- Ogień! - krzyknął mężczyzna. Odwrócili się i zobaczyli jednego z piratów biegnącego po plaży. - Ogień w kuchni!

Sara i Gideon odwrócili się. Sara pierwsza strzegła cienką smugę dymu.

- Dobry Boże, to pożar! - Chwyciła Gideona za ramię.

- Niech to szlag! - Zwracając się do Barnaby'ego, Gideon rozkazał pierwszemu oficerowi zebrać ludzi. - Idźcie na pokład Satyra i znajdźcie jak najwięcej wiader. I pospieszcie się! Jeśli pozostałe dachy się zapalą, nie ugasimy tego!

Gdy Barnaby oddalił się pospiesznie, by wypełnić rozkazy, Gideon krzychał do pozostałych mężczyzn.

Sara usłyszała, jak Silas mamrotał:

- Proszę, Boże, niech Louisy nie będzie w kuchni.

- Dotarli do płonącej kuchni.

- Louisa! - krzyknął Silas.

Ruszył do drzwi, ale Gideon go powstrzymał.

- Nie możesz tam wejść, człowieku! Tam jest jak w piecu!

Nagle pojawiła się Louisa i rzuciła się Silasowi w ramiona.

- Nic mi nie jest, Silasie, naprawdę - odezwała się głosem zduszonym przez jego uścisk, a on głośno dziękował Bogu za jej ocalenie. - Nie było mnie tam, kiedy to się zaczęło.

- Musimy ugasić ogień, zanim zajmą się pozostałe chaty - odezwał się Gideon.

- Już za późno. - Silas wskazał na sąsiednią chatkę. Iskra z płonącej kuchni spadła na jej dach, i len natychmiast zajął się ogniem. - Przez tydzień było tak sucho, że będą się palić jak podpałka.

- Gdzie ci przekłęci ludzie z wiadrami? - Gideon zaklął, rozglądając się.

Podążyła za jego wzrokiem, potem zauważyła płótna, które kobiety wywiesiły. Wiele z nich zebrało się przy kuchni, załamując ręce.

- Panie! Idźcie po te płótna, zamoczcicie je w wodzie i przynieście tutaj! Szybko!

Gideon rzucił Sarze aprobujące spojrzenie.

- Dobry pomysł. Możemy ich użyć, żeby zdusić ogień. - Zdjąwszy koszulę, ruszył w kierunku oceanu i krzyknął do pozostałych mężczyzn: - Pomóżcie kobietom! Musimy to powstrzymać, zanim się rozprzestrzeni!

U boku Sary pojawiła się Ann z zatroskanym wyrazem twarzy. Co z dziećmi, panienko? Co mamy z nimi zrobić?

- Zabierz je z powrotem na statek i niech tam pozostaną, dopóki to się nie skończy.

Ann odeszła szybko, zbierając dzieci jak kwoka młode. Po tym nie było już czasu na rozmowy, wszyscy zajęci byli napełnianiem wodą wszelkich możliwych pojemników i polewaniem ognia albo rzucaniem mokrych płócien na płonące dachy. Niestety kryte strzechą dachy były bardzo suche,

a do tego trudno dostępne. Kobiety dosięgały dolnych krawędzi, ale wyżej już nie. I chociaż mężczyźni byli wyżsi, oni też nie zdołali sięgnąć szczytu dachu, chlustając wodą znacznie niżej.

Mężczyzn nie było wielu, ponieważ przynajmniej jedna trzecia z nich popłynęła na Sao Nicolau.

Po kilku godzinach noszenia wiader i mokrych płócien paliło się dziesięć chat, a kuchnia spłonęła doszczętnie. Obolała Sara wzięła kolejną stertę prześcieradeł i ruszyła w stronę wody.

Gideon chwycił ją za ramię.

- Nie ma sensu.

Poczuła ból, widząc jego przygnębienie. Tak ponuro patrzył na ogień.

- Może gdybyśmy... - zaczęła.

- Nie. Za późno.

- A co z resztą wyspy? Nic nie zostanie!

Ból wykrzywił jego rysy.

- Nie sądzę, żeby las się zapalił. Chaty są w sporej odległości od drzew. Poza tym drzewa są zielone i nie będą łatwo płonąć. Ale chaty są już stracone. Musimy się z tym pogodzić. Teraz trzeba wrócić na statek i od płynąć, zanim się zapali.

- Nie możesz tak po prostu zostawić tego wszystkiego, żeby spłonęło! - zawołała Sara, kiedy pozostałe kobiety zebrały się wokół niej.

- On ma rację, dziewczyno - wtrącił Silas. Stał obok Gideona. Jego brązowa broda poszarzała od popiołu, a z czoła spływał pot. - Nie możemy tego powstrzymać. Musimy pozwolić, żeby ogień się wypalił i modlić się, żeby nie spłonęła pozostała część wyspy.

- Może jeśli zmożemy pozostałe chaty... - zaczęła Sara.

- Jakby któraś z was obchodziło, co się stanie z naszymi domami - wybuchnął Barnaby. Walczył z ogniem dzielnie i jego eleganckie ubranie było mokre i brudne. - Jedna z was podłożyła ogień. I chciałbym się dowiedzieć która. Louiso?

- Daj jej spokój - warknął Silas, obejmując Louise opiekuńczo. - Dziewczyna niczego nie zrobiła.

- Może to Ann - wyrzucił z siebie Barnaby. - Nie widziałem jej. A ktoś z was? Była zła, że musi wybrać męża. Może postanowiła zrobić małe spustoszenie wśród swoich wrogów.

Stojący nieopodal mężczyźni zaczęli coś wrogo burczeć.

- Nie bądź niemądry. - Sara zgarnęła do tyłu potargane włosy. - Ann nie zrobiłaby czegoś takiego.

Niezniechęcony Barnaby utkwiał wzrok w Sarze.

- Tak czy siak zrobiła to któraś z was, przeklętych więźniarek. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tutaj pożaru. Któraś z twoich kobiet podpałiła kuchnię i pewnie ty ją do tego namówiłaś.

- Zamknij się, Barnaby! - warknął Gideon. - Nie ma znaczenia, kto spowodował pożar. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie...

- Kapitanie? - rozległ się cichy głos. Tłum się rozstał, żeby młody chłopak mógł przejść: chłopiec okrętowy Gideona. Miał bladą twarz, na której widać było ślady łez. - To moja wina, *sir*. Pan Kent mnie zawołał, żebym pomógł przy noszeniu drewna i zapomniałem zgasić ogień w piecu. Smażyłem bekon na patelni i pomyślałem, że odstawię tylko na bok...

- To nie ma znaczenia, chłopcze - odezwał się łagodnie Gideon, czochrając włosy chłopca. - Ale jesteś dzielny, że się przyznałeś. - Spojrzał surowo

na Barnaby'ego i pozostałych mężczyzn. - A rzucanie oskarżeń nic dobrego nie przyniesie. Wszyscy powinniśmy się zająć wynoszeniem wartościowych rzeczy z chat i ratowaniem Satyra.

Mężczyźni pobledli. Najwyraźniej żaden z nich nie pomyślał o statku, ale teraz spojrzeli na statek z niepokojem. Sara także. Nawet ona wiedziała, że żagle są łatwopalne.

- Silas, idź powiedz ludziom, żeby opróżnili resztę chat - rozkazał Gideon - potem sprowadź ich na statek. - Zwrócił się do Sary. - Zbierz kobiety i dopilnuj, żeby wszystkie wróciły na pokład. I znajdź Ann.

- Ona jest już na pokładzie. Wysłałam ją na statek z dziećmi, kiedy to wszystko się zaczęło.

- Dzięki Bogu. Nawet nie pomyślałam o dzieciach. - Przeciągnął palcami po włosach. - Czas, żebyście do nich dołączyły. Nie wiemy, jak daleko sięgnie pożar ani jak długo to potrwa, zanim się wypali.

- Ależ, Gideonie, nie możemy po prostu pozwolić, żeby się palił!

- Rób, co mówię, Saro! - warknął. Zobaczywszy że się cofnęła, dodał łagodniej: - Czasami trzeba umieć przyznać, że się przegrało. Wygląda na to że matka natura wzięła sprawy w swoje ręce. Teraz pozostaje nam tylko się modlić, że nie zabierze nam całej wyspy.

Rozdział 18

*Usiądę przy tobie, żeby twój ból złagodzić
I obejmę cię ramieniem w taliu,
I wkrótce ona może się rozpogodzić,
Poddając się pocałunków magii.*

James M. Healy

Moja panna niedzielnego poranka

Dopiero kilka godzin później Sara odważyła się wyjść na pokład Satyra. Ona i pozostałe kobiety padły zmęczone na łóżka tuż przed północą, kiedy Gideon powiedział im, że nie ma sensu aby dłużej były na nogach. Ogień już prawie wygasł, ale nikt nie miał siły, żeby to obserwować.

Spojrzała na plażę, która znajdowała się kilkaset metrów przed nią, potem z przerażeniem wypuściła powietrze. Choć nic się nie zmieniło, odkąd ostatni raz patrzyła na wyspę, po tych kilku godzinach widok wydał się jeszcze bardziej przerażający.

Każdy budynek został zniszczony - do drewnianej podłogi. Obojętny księżyc oświetlał to, co zostało - szerokie czarne kwadraty na piaszczystej ziemi, jak łaty na kremowej kołdrze. Dym się unióś, zanieczyszczając czyste nocne powietrze i tworząc dziwną otoczkę dla całej sceny.

Gideon miał przynajmniej rację, że pożar nie doszedł do lasu, pomyślała. Choć niektóre palmy spłonęły, ogień nie był na tyle silny, by objąć pozostałe drzewa i wilgotną, bujną roślinność. Wiatr także im

sprzyjał, bo przewiał ogień w stronę strumienia, który stanowił barierę dla płomieni.

Przeszła dalej i zobaczyła Gideona. Stał do niej tyłem, z dłońmi zaciśniętymi na balustradzie, i obserwował plażę. Najwyraźniej nie zawracał sobie głowy, by coś więcej na siebie włożyć po kąpieli w oceanie, żeby zmyć z siebie popiół i sadzę. Nadal miał na sobie tylko spodnie i pasek. Ani koszuli, ani kamizelki, ani butów.

Nigdy nie wyglądał bardziej dziko. Ani bardziej samotnie. Poczwała nagły ucisk w sercu. To była jego wyspa, jego raj, jego marzenie. Chwila nieuwagi zmieniła to w popiół w ciągu kilku godzin, a on nie miał się do kogo zwrócić, na kim się oprzeć. Jego ludzie spali już, tak samo jak kobiety. Ale i tak na żadnym z nich nigdy się nie opierał.

Była tylko ona, i chociaż wiedziała, że on nie doceni jej troski, nie mogła go zostawić samego. Podeszła do niego i położyła rękę na jego nagich plecach.

- Gideonie?

Jego mięśnie drgnęły pod dotykiem.

- Odejdź, Saro.

Zaskoczona gwałtownością jego tonu, chciała odejść. Ale szybko się rozmyśliła. Nie powinien być teraz sam, bez względu na to, co mówił.

- Nie mogę. Po prostu... czuję, że muszę coś zrobić.

- Nie masz nic do zrobienia. Wracaj do łóżka i zostaw mnie samego.

Był spięty, zimny, obcy. Jednak jego oczy nie były obce. Wyzierał z nich ból, tak głęboki jak ocean, który kołysał statkiem. Nie mogła go zostawić, kiedy tak cierpiał.

- Atlantyda wiele dla ciebie znaczy, prawda? - szepnęła.

- Saro... - zaczął ostrzegawczo.

- Ale to nie musi być koniec.

Z gardła wyrwał mu się zduszony krzyk.

- To jest koniec! Do diabła, kobieto, nie masz oczu? Zniknęło, wszystko! - Machnięciem ręki wskazał wyspę.

- Nic nie zostało, zupełnie nic!

- Ale możemy to odbudować, prawda? Zbudować całkiem nowe, lepsze chaty.

- Odbudować? - spojrzał na nią drwiąco, opierając dłonie na biodrach. - Czy wiesz, ile czasu nam zajęło wybudowanie tych prostych chałup, ścięcie drzew, zrobienie desek i znalezienie słomy na dachy? Miesiące!

- Tym razem nie trwałoby to tak długo. Mielibyście pomoc. My mogłybyśmy wam pomóc.

- Ach, tak, wy byście nam pomogły. Wy, które nas nienawidzicie. Tuż przed pożarem groziłaś, że nie weźmiecie na siebie żadnej odpowiedzialności za kolonię, jeśli nie dostaniecie tego, czego chcecie. Okazało się, że wasze groźby nie miały znaczenia. I tak zostaliśmy pokonani. Teraz pewnie zaśmiewacie się z tego w waszych łózkach.

Jego słowa były jak policzek. Na pewno miał powody, żeby tak sądzić, niemniej...

- To nieprawda. Wiesz, że zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby ugasić pożar.

- Może. W porządku, tak. Ty i kobiety bardzo pomogłyście. Ale to nie znaczy, że pomogłybyście nam odbudować chaty. Dlaczego miałybyście to robić? Jedyne, co byście zyskały, to mężów kryminalistów.

Zmarszczyła brwi, słysząc sarkastyczne echo swoich poprzednich słów. Nie wstydziła się tego, co powiedziała, ani trochę. Ale nie brzmiały dobrze w tych okolicznościach, kiedy on i jego ludzie wszystko stracili.

- Wszystko się zmieniło - mruknęła. – Nie chciałabym... nie chciałybyśmy, żebyście nie mieli domów. Jestem pewna, że możemy odłożyć na bok nasze swary, na wystarczająco długo, żeby... pomóc wam odbudować wyspę.

Oparł się o balustradę z mieszaniną gniewu i frustracji na twarzy.

- Naprawdę? Jakie to łaskawe z twojej strony,

Zagotowało się w niej, ale pohamowała się, zanim wybuchła. Właśnie tego chciał, odepchnąć ją żeby mógł pograć się w rozpacz. Ale nie tego potrzebował.

- Tak, naprawdę. Chcę pomóc, Gideonie. Chcę ci pomóc odbudować Atlantyde. – Zbierając się na odwagę, dodała: - To znaczy, jeśli ty jesteś gotowy o to walczyć, zamiast się poddać.

Jego oczy rozbliły.

- Jesteś najbardziej świętoszkowatą, irytującą kobietą, jaką znam! - Chwycił ją mocno za ramiona. - Nigdy się nie poddajesz?

- Nie. - Pomimo wściekłości, jaką w nim celowo wzbudziła, jej spojrzenie było spokojne. - Obawiam się, że to krew reformatorki, która we mnie płynie. Muszę działać, dopóki nie zreformuję wszystkiego - Dodała niemal wyzywająco: - I wszystkich.

Rzucił jej chłodne spojrzenie.

- Lepiej nie próbuj tego ze mną. Źle znoszę, zmiany.

Nagle jego gniew się zmienił, przeistaczając się w coś innego, coś ciemnego i przerażającego i na pewno złego. Puścił jej ramiona, potem przesunął dłonie na jej szyję, wyczuwając palcami oszalały puls.

- Może nadszedł czas, żebyś sobie to uświadomiła.

Położył dłoń z tyłu jej głowy i poczuła, że strach ściska jej gardło, gdy przycisnął jej dłonie do swojego torsu.

- Co robisz?

- Próbujesz mnie zreformować. - Jego oczy świeciły w świetle księżycy. - Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby z tym walczyć. Trzeba cię zdeprawować.

Nie miała żadnych wątpliwości co do sensu jego słów. Drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. W piersi poczuła niepokój i narastające oczekiwanie.

- Dlaczego uważasz, że można mnie zdeprawować?

Zbliżył twarz do jej twarzy, aż jego usta znalazły się kilka centymetrów od jej drżących ust.

- Każdego można zdeprawować, Saro. Nawet ciebie.

Po czym jego usta znalazły się na jej wargach, twarde, zdecydowane... i tak, zdeprawowane. Jego bokobrody drapały jej skórę. Usiłowała zebrać resztki zdrowego rozsądku, żeby mu się oprzeć, ale nie miało to sensu. Pocałunkami sprawił, że rozchyliła wargi i jego język leniwie wśliznął się do środka, z każdym ruchem przeganiając z jej głowy jakiegokolwiek myśli.

To był haniebny pocałunek, który miał ją nakłonić do haniebnej reakcji. I tak się stało. Objęła go za szyję i oddała pocałunek z zawstydzającą ochotą, nie zdając sobie sprawy, że tuli się do jego na wpół nagiego ciała, zmierzając do zatracenia.

Wkrótce jego ręce spoczęły tuż pod jej biustem. Kciukami pieścił sutki przez materiał sukni.

Jęknęła i mocniej objęła go ramionami. Jego pocałunek stał się natychmiast bardziej płomienny

i pożądlivy. Chwycił ją za pośladki i przycisną do siebie.

Przy jednym z włazów rozległ się hałas.

Odkoczyli od siebie, dysząc jak dwa konie wyścigowe na ostatniej prostej. Rozejrzała się, na jej policzkach natychmiast pojawił się rumieniec.

Horn wpatrywał się w nią jak wilk w królika.

-Chodźmy do mojej kajuty, Saro. Teraz. Zostań ze mną tej nocy.

Patrzyła na niego, początkowo nie rozumiejąc odurzona jego pocałunkiem. Kiedy jednak jego słowa do niej dotarły, otworzyła usta, żeby zaprotestować. Po czym spojrzała na jego twarz. Malowało się na niej pragnienie przekraczające zwykłe pożądanie. Przeczyło to jego zapewnieniom, iż nie jest podatny na zmiany. Pragnął jej, tak, ale także jej potrzebował, chociaż jeszcze o tym nie wiedział.

Wyczuwając jej wahanie, znieruchomiał, zaciskając mocno usta.

-Nie, nie sądzę, aby porządna lady Sara zrobi coś podobnego.

W jego głosie było tyle urażonej godności, tyle złości, że kiedy ją puścił i ruszył przed siebie, wypaliła:

- Mylisz się. Odwrócił się do niej.

Zastanowiła się nad swoimi słowami.

- To znaczy...

- Nie pozwolę ci się wycofać. Nie dzisiaj.

Nie dał jej szansy, żeby zaprotestować, poskarżyć się czy nawet odpowiedzieć. Chwycił ją w ramiona z głodnym wyrazem oczu. Gapiła się na niego, jej serce waliło jak oszalałe, a on niósł ją na rękach przez pokład.

Chwilę później, gdy zobaczyła uchylone drzwi do jego kajuty, zarumieniła się gwałtownie. Boże drogi, co ona robiła? Czy już całkiem postradała rozum? Pozwalała, żeby pirat niósł ją do swojego łóżka!

Och, tak, pirat... który całował jak młody bóg, który sprawił, że czuła się tak, jak nigdy wcześniej. Nie była szalona; tylko zmęczona walką, zmęczona opieraniem się swojemu pożądanemu, gdy czuła jego ręce na swoim ciele.

Kopniakiem otworzył drzwi i wniósł ją do środka. Zasuwka opadła na swoje miejsce z cichym kliknięciem. Nieśmiało rozejrzała się po kajucie, w której wcześniej była tylko dwa razy. Płomień lampy przy jego łóżku zamigotał, potem rozświecił się mocniej i zaczął poruszać się w rytm kołysania i statku, rzucając złote smugi na purpurową narzutę i czarne poduszki... tę samą purpurową narzutę, u której zapewne leżało setki kobiet.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Nie mogła zostać jedną z tych kobiet.

A może mogła? Zerknęła na jego twarz, szukając jakiejś wskazówki, że to znaczyło dla niego więcej niż tylko kolejny podbój. Ale kiedy ich oczy się spotkały, nawet to przestało mieć znaczenie. Zagubiła się w jego pragnieniu, pragnieniu, które odzwierciedlało jej własne.

Nie spuszczać z niej oczu, postawił ją przed sobą, tak blisko łóżka, że dotykała go nogą.

- Odwróć się - powiedział.

Nie wiedziała dlaczego, ale posłuchała jego polecenia. Kiedy rozwiązywał jej gorset, zadrżała... zadrżała z niecierpliwości. Rozbierał ją jak mężczyzna, który wie, co robi. Jej biała, niewinna suknia opadła na podłogę, a ona została jedynie w batystowej koszuli.

Dopiero gdy odstąpił jej piersi, poczuła panikę. Chociaż już wcześniej je obnażał, nigdy nie robił tego tak jawnie. A już z pewnością nigdy w kompromitującej sytuacji. Przez to ich związek wydawał się nieunikniony.

Kiedy zaczął zsuwać jej koszulę z bioder, chwyciła go za nadgarstki.

- Gideonie, proszę... to znaczy, ja nigdy... ja jestem... jestem...

- Dziewicę. - Odwrócił ją przodem do siebie, miał tak poważną minę, że jej serce zaczęło szybciej bić. - Nie sądzisz, że to wiem? Żadna kobieta nie walczyła tak bardzo, żeby zachować swoje dziewictwo. Ale teraz już nie ma potrzeby walczyć.

Położył dłoń na jej nagiej piersi i zaczął ją pieścić, drażniąc sutek, aż westchnęła.

- Jesteś na to tak samo gotowa jak ja, kochanie. I nawet jeśli nie wierzysz mi teraz, wkrótce uwierzysz. Obiecuję, że nigdy nie pożałujesz utraty dziewictwa.

Chociaż podejrzewała, że miał rację, oblała się rumieńcem, kiedy zdjął z niej koszulę, zostawiając ją nagą jak w dniu narodzin.

Odsunął się od niej nieznacznie i rzucił jej długie, uwodzicielskie spojrzenie, przesuając wzrokiem po jej piersiach, brzuchu... kępce włosów między nogami. Nie mogła uwierzyć, że wytrzyma jego wzrok, a wręcz sprawia jej to przyjemność. Jednak gdyby miesiąc temu ktoś jej powiedział, że będzie stała przy łóżku kapitana piratów, łaknąc jego dotyku jak portowa dziwka, wyśmiałaby go.

Kobieta z charakterem ukryłaby się - ale ona była zmęczona uporem. Jeszcze żaden mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób i chociaż była zażenowana, jego pełne podziwu spojrzenie lechtało

jej kobiecą dumę.

- Masz ciało stworzone do deprawowania - powiedział ochryplym szeptem. – I dziś zamierzam je całkowicie zdeprawować.

Na te słowa przeszedł ją dreszcz, i jeszcze jeden, gdy Horn usiadł na łóżku i chwycił ją w tali, żeby stanęła między jego nogami. Ustami zaczął pieścić jej piersi, mocno ssąc sutki, aż jęknęła. Och, dlaczego musiał robić to tak wspaniale? Dlaczego nie mógł być niezdarny, nieporadny czy nawet okrutny? Wtedy mogłaby mu się opierać.

Ale on był mistrzem. Podczas gdy jego usta pieściły jedną pierś, palce pieściły drugą, i pragnęła już tylko dotyku jego ust i zwinnych palców. Przytuliła do siebie jego głowę; jęknęła.

- Tak dobrze smakujesz - wyszeptał w jej piersi, od tak dawna cię pragnę... od tak dawna...

I znowu pieścił jej piersi, jednocześnie gładząc brzuch, talię, uda. Przysunął ją do siebie, aż w końcu usiadła mu okrakiem na kolanach, opierając nogi o łóżko. Siedząc w ten sposób, obnażyła swoją intymność tak jawnie, że ukryła purpurową twarz w jego ramieniu.

Ale on nie zamierzał jej pozwalać się przed nim ukrywać. Unosząc jej podbródek, popatrzył na jej twarz z diabolicznym uśmiechem.

- Pamiętasz, co ci robiłem w lesie? Chcesz, żebym znowu to zrobił?

Patrzyła na niego w niemym zażenowaniu, niezdolna wydobyć z siebie słowa. Przesunął dłoń do jej ud, potem wsunął ją w ciepłe zagłębienie między jej nogami. Przeszedł ją dreszcz pożądania.

Wpatrywał się w nią intensywnie.

- Chcę, żebyś to powiedziała, Saro. Powiedz, że chcesz mnie w sobie.

Jej policzki płonęły jeszcze bardziej. Och, był zbyt okrutny. Odpłacał jej za wszystkie te rzeczy które mu powiedziała, za wszystkie te razy, kiedy mu odmawiała.

- Wiem, że chcesz - odezwał się z irytującą pewnością siebie. - Ale chcę, żebyś to powiedziała. Nie będziesz jutro mówiła kobietom, że cię wziętem wbrew twojej woli. - Rozchylił kciukiem płatki jej delikatnej skóry i zaczął pocierać guziczek, a ona drżała i bezwstydnie napierała na jego dłoń.

Nagle zabrał kciuk.

- Powiedz, że mnie pragniesz, Saro - wychrypiął.
- Powiedz to!

Znowu gładził wewnątrz jej ud, co sprawiło, że jeszcze bardziej pragnęła tej zmysłowej pieszczoty sprzed chwili.

- Proszę, Gideonie... proszę... dotknij mnie - Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się powstrzymać.

Ten głos nawet nie przypominał jej głosu, był tak zmysłowy. Inna kobieta zawładnęła jej ciałem, sprawiając, że zachowywała się jak ładacznica, a ona najwyraźniej nie umiała tego powstrzymać.

- Proszę...

Zmarszczył brwi.

- To wszystko, co od ciebie usłyszę, prawda? Dobrze. Wystarczy. Na razie.

Potem wsunął głęboko palec w aksamitną miękkość jej wnętrza, aż jęknęła z rozkoszy. Zaczął powoli się w niej poruszać... wchodził... wycofywał się... wchodził... wycofywał się. Kołysała się w rytm jego dłoni, a kiedy nie mogła już znieść je

go włosy pachnące dymem i popiołem łaskotały jej policzek. Chociaż wykąpał się po pożarze, nadal miał na sobie zapach księcia deprawacji - zapach dymu, popiołu i siarki.

Nie miało to znaczenia. Stał u bram piekieł, zapraszając ją do środka, a ona szła ku niemu bez zastanowienia. Niech Bóg jej wybaczy, ale go pragnęła. Pragnęła go bardziej niż czegokolwiek w życiu. Szła na zatracenie od dnia ich spotkania w lesie, a dzisiejsza noc tylko przypieczętowała jej los.

Pocałował ją z gwałtowną namiętnością, która jeszcze bardziej zwiększyła jej pożądanie. Jego język naśladował ruch jego palców.

Doprowadził ją do granicy tej samej rozkoszy, którą dał jej wcześniej, potem gwałtownie odsunął rękę. Otworzyła oczy.

Jego twarz miała szelmowski wyraz.

- Nie tym razem, kochanie. Tym razem dotrzemy tam jednocześnie.

Kiedy patrzyła na niego, niepewna, co chce zrobić, zdjął ją sobie z kolan, położył na łóżku i stanął obok. Wyciągnął pasek ze spodni i odrzucił go na bok. Usłyszała odgłos sprzączki upadającej na ziemię, a on rozpiął guziki rozporka i zdjął spodnie.

Otworzyła usta, widząc go całkiem nagiego. Więc tak wygląda mężczyzna. Wątpiła, aby ktokolwiek był w stanie przygotować ją na widok nagiego Gideona. Jego umięśniony brzuch z bliznami... pępek otoczony ciemnymi włosami... jego mocne uda, które doświadczyły wielu godzin balansowania na pokładzie kołyszącego się statku - wszystko to jednocześnie ją kusilo i szokowało.

Jednak to, co zadziwiło ją najbardziej, znajdowało się między jego udami. W pełnym wzwodzie mógł oszołomić każdą kobietę. Chciał to w włożyć? Przecież ją zabije!

- Ja... nie mogę... - Uniosła wzrok ku jego twarzy, desperacko chcąc, aby zrozumiał. - Nie mogę tego zrobić!

Usiadła i wzięła poduszkę, żeby się zasłonić, był dla niej za szybki. Wdrapał się na łóżko i ukląkł przy niej; czekała, aż zacznie naśmiewać się z jej obaw. Zamiast tego podniósł do ust jej zaciśniętą dłoń i zaczął całować jej palce, aż się rozluźniły.

Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, że nigdy nie będzie gotowa, pocałował ją i objął tak mocno, że zabrakło jej tchu. Zanim zdążyła się zorientować, położył się na niej i rozchyłał kolanami jej nogi.

Potem wsunął się w nią. Sapnęła na to wdarcie i zszokowana oderwała od niego usta.

- Wszystko dobrze - szepnął łagodnie. - Rozluźnij się, kochanie. Po prostu się rozluźnij.

- Jak mam to zrobić?

Była przestraszona. Czowała go w sobie, nad sobą, wokół siebie. Nigdy nie czuła się tak całkowicie bezradna, pokonana.

Czarny kosmyk włosów opadł mu na czoło, przez co wyglądał jeszcze bardziej diabolicznie chociaż jego słowa temu przeczyły.

- Nie wiem - mruknął niepewnie. - Nigdy wcześniej nie spałem z dziewczyną.

Wszedł w nią głębiej, a ona zamarła.

- Cudownie - odezwała się sarkastycznie, bo czuła, że się w nią wdziera. - Jesteś w tym nowicjuszem.

Jego usta drgnęły, jakby zdusił uśmiech. A może jęk.

- Jestem nowicjuszem tylko w sypianiu z dziewczycami. Ale zamierzam zmienić tę sytuację.

Poruszył się w niej, potem zatrzymał i popatrzył na nią.

- Wiesz, że trochę będzie bolało, prawda?

Potaknęła w milczeniu.

- Ufasz mi, że nie sprawię ci więcej bólu, niż to będzie konieczne? Widać było, że z trudem powstrzymuje się, by wejść w nią szybko i głęboko, a jego oczy błyszczały pożądaniem. Jednak powstrzymywał się, czekając na jej reakcję. To ją uspokoiło. Może i był piratem, ale na pewno świadomie jej nie skrzywdzi.

- Ufam ci - wyszeptwała.

- Dobrze.

To było tylko jedno szybkie szarpnięcie bólu, ale na tyle silne, że krzyknęła. Zdusił jej krzyk pocałunkiem i zaczął się w niej powoli poruszać. Początkowo wydawało jej się to obce i niezbyt przyjemne, potem jej wnętrze zaczęło otwierać się na niego, a ona doświadczyła nowych, intrygujących doznań. Uniósł się nad nią na rękach, jego oczy przypominały błękit nieba i sztormowe morze. Wszedł w nią głębiej, mocniej, sprawiając, że zapragnęła więcej.

Doświadczyła słodczy nieba i katuszy piekieł jednocześnie. Posiadła go, ale niewystarczająco... pragnęła go, ale zbyt mocno. Jedyne na w pół świadoma tego, co robi, chwyciła go za ramiona, jęknął i zaczął szybciej się w niej poruszać. Teraz wchodził w nią, jakby bał się, że ją utraci.

Czuła się, jakby dotarł do samego środka jej je-stestwa. Statek kołysał ich oboje, a on kołysał ją, wchodząc głębiej i głębiej, budując w niej napięcie, aż w końcu krzyknęła z pragnienia.

- Mój Boże - mruknął, zanurzając się w niej szaleńczo, jak morska bestia przełamująca fale. – Mój Boże, Saro... moja Saro... tak, moja Saro...

Jej głowa opadła na poduszki, krzyknęła.

- Tak... och, tak, Saro! - na poły krzyknął na poły jęknął, wchodząc w nią do samego końca.

Gwałtowne dreszcze wstrząsnęły jego ciałem,

Ona zrobiła krok w otchłań i poszybowała w przestworza.

Przemknęło jej przez myśl, że w końcu zrobił co obiecał. Zdeprawował ją. A ona, ku swojemu zażenowaniu, upajała się tym. Była grzeszna, naprawdę grzeszna.

Och, jak cudownie było być grzeszną.

Rozdział 19

*Ledwie fartuch został zdjęty, kiedy ludzie zawołali
- „Panienka niebawem wyjdzie za mąż” ...
Całkowita bzdura! Chcą nas pozbawić całej radości
życia, gdy dopiero co zaczęliśmy się nią cieszyć.*

Eliza Haywood (1693-1756)
angielska aktorka i pisarka
Historia panny Betty Thoughtless

Sara śniła. Gideon stał z nią przy ołtarzu, wyglądając cywilizowanie i bardzo angielsko. Czarne włosy miał schludnie obcięte i schowane pod pilśniowym kapeluszem, i nie nosił szabli. Miał na sobie elegancki granatowy surdut, a ona suknię z połyskliwego białego jedwabiu. Obsyty koronką czepek ozdobiony był wstążką i kwiatem pomarańczy.

Ale kiedy się rozejrzała, zobaczyła kościół pełen skazanych kobiet i piratów, którzy grali w karty, pili i profanowali święte miejsce. Przez otwarte drzwi widziała Peteya i Jordana, ale nie weszli do środka. Zamiast tego rzucali jej pełne pogardy, potępiające spojrzenia, po czym odwrócili się do niej plecami.

Chciała do nich iść, ale Gideon chwycił ją za ramię, zatrzymując w miejscu. Nagle jego surdut zniknął, ukazując skórzaną kamizelkę i szablę, a ona uświadomiła sobie, że cały czas miał je na sobie.

- Teraz tutaj jest twoje miejsce. - Wyraz jego twarzy był obcy i surowy, a palce boleśnie wpijały się w jej

ramię. - Twoje miejsce jest z nami. Jesteś jedną z nas.

- Ale muszę porozmawiać z bratem... muszę zobaczyć się z Jordanem... proszę, pozwól mi...

Obudziła się, gdy wyszeptano jej imię Jordana.

Minęło parę dobrych chwil, zanim się zorientowała, że śniła, a kolejnych kilka, nim sobie przypomniała, gdzie się znajduje. Potrząsnąwszy głową żeby przegonić resztki snu, usiadła na pustym łóżku i rozejrzała się po kajucie Gideona, oblewając się przy tym rumieńcem. Boże drogi, była naga w jego łóżku.

Zalała ją fala wspomnień z poprzedniej nocy: Gideon nalegający, by przyznała, że go pragnie... drugi raz, gdy się kochali, Gideon posadził ją na sobie i pozwolił, by poruszała się w swoim tempie..

A potem zasnęła w jego ramionach.

Przynajmniej w jego ramionach się nie obudziła. Nie zniosłaby tego. Oddanie mu się było w jej odczuciu całkowicie naturalne. Ich wcześniejsza kłótnia, pożar... wszystko to doprowadziło do wspólnej nocy.

Ale teraz, w ostrym świetle poranka, wiedziała, że popełniła błąd. Olbrzymią pomyłkę. Petey niebawem przybędzie z Jordanem. Jak mogłaby spojrzeć im w twarz, wiedząc, że okryła hańbą siebie i całą rodzinę?

Oczywiście, nie mogła tego powiedzieć Gideonowi. Nie, nie umiałaby wytłumaczyć mu niczego... czemu zeszłej nocy okazała się tak słaba dlaczego nie mogła dalej być słaba. Nie zrozumiałby, dlaczego nie mogli być kochankami.

To znaczy, gdyby tego chciał. Może nie chce. Wciąż nawet nie powiedział, że chce się z nią ożenić.

Zmarszczyła brwi. Nie żeby chciała wychodzić za niego za męża. Oczywiście, że nie. Jak udowodnił jej sen, małżeństwo z nim byłoby jeszcze większą pomyłką.

Szybko wysunęła się spod prześcieradeł, na których widniała czerwona plama jej dziewiczej krwi. Stracone, wszystko stracone. Już nigdy nie będzie niewinna.

Ale nie miała czasu, żeby teraz się tym zamartwiać. Musiała się ubrać i wyjść, zanim wróci pirat. Czując pieczenie między nogami, rozejrzała się po kajucie w poszukiwaniu koszuli, ale nigdzie jej nie widziała. I nigdzie nie widziała swoich ubrań.

- Tego szukasz? - rozległ się głos od progu.

Serce podskoczyło jej do gardła. Gideon stał w drzwiach, trzymając na palcu jej odzienie. Miał na sobie szare spodnie i śnieżnobiałą koszulę rozpiętą niemal do pasa. W świetle poranka był taki przystojny, czarujący i męski, że zaparło jej dech w piersiach.

Przeklęty mężczyzna! Dlaczego musi być tak pociągający?

- Pomyślałem, że może zechcesz uciec, gdy mnie nie będzie, więc pozwoliłem sobie zabrać twoje ubrania. - Wymownie przesunął wzrokiem po jej nagim ciele. - Widzę, że miałem dobre przeczucie.

Gwałtownie się zarumieniła. Co innego było stać przed nim nago w środku nocy, upojona miłością. A co innego w świetle dnia. Ukradkiem spojrzała przez drzwi. A gdyby jeden z jego ludzi wszedł teraz do salonu? Jakże byłoby to upokarzające!

- Proszę, Gideonie, oddaj mi to.

Niespiesznie wszedł do kajuty i zamknął drzwi. Z uśmiechem powiesił koszulę na haku przy drzwiach, potem podszedł do Sary.

- Jeszcze nie. Lubię na ciebie patrzeć. Później będzie mnóstwo czasu, żeby się ubrać.

- Ale... ale...

Objął ją w talii. W jego oczach pojawił się znajomy błysk, który widziała wczoraj w nocy, ilekroć na nią spojrzał. I ku swojemu zażenowaniu poczuła, że robi się ciepła i wilgotna od tego spojrzeli

- Dzień dobry - wymruczał, gdy pochylił ku niej głowę.

- Proszę, Gideonie...

- O właśnie, kochanie. Powiedz: Proszę, Gideonie... jeszcze, Gideonie... pragnę cię, Gideonie,

- Ależ ty jesteś arogancki.

Zdusił jej słowa pocałunkiem, długim i głodnym. Kiedy wreszcie się od niej oderwał, nie mogła wydobyć z siebie słowa, a on szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Znacznie lepiej. Widzę, że miałem do ciebie złe podejście. Powiniennem cię całować za każdym razem, gdy otwierasz usta.

Prychnęła jak rozgniewana kotka.

- Posłuchaj, kapitanie Horn...

Tym razem kiedy jej przerwał, nie zadowolili się wyłącznie pocałunkiem. Podniósł ją i zaniósł do łóżka, ani na chwilę nie przestając jej całować. A kiedy położył ją, szybko zrzucił z siebie ubranie, po czym rozchylił jej nogi kolanem; otworzyła się na niego, unosząc się na spotkanie z nim, kiedy wszedł w nią gwałtownie.

Tym razem kochali się szybko i szaleńczo, z niecierpliwością ludzi, którzy boją się, że nie będą już mieć drugiej szansy. Ku jej zaskoczeniu była tak samo chętna jak on. Chciała go w sobie. Chciała, żeby był jej, chociaż wiedziała, że było to niemożliwe.

Potem leżeli przytuleni. Chociaż dobiegały ich kroki z pokładu i głos Barnaby'ego rozkazującego marynarzom, czuła się spokojna i zadowolona, że jest w ramionach Gideona.

Jak do tego doszło? Jakie przewrotne demony sprawiły, że zapomniała o wszystkich swoich dobrych intencjach w chwili, gdy jej dotknął? Bez wątplenia Gideon naprawdę był satyrem, bardzo utalentowanym, inteligentnym satyrem, który mógł uwieść ją w każdej chwili. A co gorsza, wiedział o tym.

Pocałował ją w ucho, jego oddech omiatał jej płonące policzki.

- Co jest napisane w Księdze Salomona? *Brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna okolony wiankiem lilii**.

Dobry Boże, teraz ten przeklęty mężczyzna cytował biblię w skandalicznych okolicznościach. Naprawdę był grzeszny.

- A piersi... - zaczął.

- Gideonie! - zaoponowała i spojrzała na niego, czując, że jej twarz płonie. - Naprawdę, ten fragment jest dosyć nieprzyzwoity. Nie powinno się go... powtarzać na głos.

Uśmiechnął się do niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Jestem piratem. Powinienem mówić nieprzyzwoite rzeczy. - Jego oczy błyszczały. - Ale skoro chcesz być pruderyjna, będę mówił o czymś mniej nieprzyzwoitym. Jak twoje włosy. - Poglądził je z delikatnością, o którą by go nie podejrzewała. - Uwielbiam twoje włosy. Są jak miedź i jedwab, i zastryżony panny Mulligan.

*Biblia Tysiąclecia; Pieśń nad pieśniami 7,3.

- Panny Mulligan? Kim jest panna Mulligan, jeśli wolno spytać, i co robiłeś z jej zasłonami?

- Ależ, panno Willis, nie mów mi, że jesteś zazdrosna.

Drań. Oczywiście, że zżerała ją zazdrość. Ale nigdy nie dałaby tego po sobie poznać. Uniósłszy podbródek, odezwała się nonszalancko:

- Nie, byłabym głupia, gdybym chciała być zazdrosna o pirata, który spał pewnie z połową kobiet w całym chrześcijańskim świecie?

Na te słowa z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Nie aż z tyłoma. Prawdopodobnie jedynie z ćwiercią kobiet w chrześcijańskim świecie, chociaż rzeczywiście próbowałem zaciągnąć do łóżka mniej więcej jedną co pół godziny. Dzięki temu pozostaję młody.

Nie zwracając uwagi na jego sarkazm, warknęła:

- A panna Mulligan pewnie była wśród nich.

- Och, oczywiście. Idę do łóżka z siedemdziesięciodwuletnią kobietą, ilekroć mam po temu okazję.

Natychmiast poczuła się jak skończona idiotka.

- Och.

- Jesteś zazdrosna, prawda? I to bez żadnego powodu. Panna Mulligan była starą panną, która prowadziła jeden z wielu pensjonatów, w których zatrzymywaliśmy się z ojcem. Nie miałem jeszcze siedmiu lat, gdy u niej zamieszkaliśmy i byliśmy tam tylko sześć miesięcy. Dłużej niż w innych pensjonatach. - Bawił się jej włosami. - Ale bardzo wyraźnie pamiętam zasłony w jej salonie. Uszyte były ze szkarłatnego jedwabistego materiału, a kiedy świeciło przez nie słońce, wyglądały jak ogień. Myślałem, że to ogień. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Fascynowały mnie. Ilekroć ojciec się upijał

i spuszczał mi łanie za nieodrobione lekcje, biegłem i ukrywałem się za tymi zasłonami w salonie, mając nadzieję, że ogień mnie ochroni. - Spojrzał jej w oczy. - I chyba, w jakiś dziwny sposób, tak było. Nigdy mnie nie znalazł, gdy stałem za zasłonami. A gdy panna Mulligan mnie tam znajdowała, dawała mi mleko i ciasteczka i pozwalala mi przytulać się do niej w łóżku, podczas gdy ojciec spał pijany. Dla sześciolatniego chłopca to był raj. Była dobra i opiekuńcza i pachniała wodą różaną. Bario lubiłem ten zapach.

Sara poczuła ucisk w gardle. Mogła wyobrazić sobie Gideona jako małego chłopca skrywającego się za zasłonami w salonie, szukającego ukojenia u starej kobiety. Dotknęła palcami jego policzka.

- Czy ojciec... często cię bił?

Gideon był zaskoczony i nieobecny, jak lunatyk wyrwany ze snu. Położył głowę na poduszce i zaczął wpatrywać się w sufit.

- Wystarczająco często, żebym pamiętał, jeśli o to ci chodzi. - Zerknął na nią chłodno. - Pewnie myślisz, że powinien to robić częściej, żeby wbić mi trochę rozumu do głowy. Co mówi Biblia? *Szczędząc kija, marnujesz dziecko**?

- Och, nie cytuj tego przekłętego wersu! To okropne, że ludzie używają go, by usprawiedliwić okrucieństwo. Bicie dziecka nie uczy go niczego poza upokorzeniem i strachem.

Wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, jakby chcąc ją wy badać.

- Tak - powiedział w końcu. - Właśnie tego uczy.

Serce ścisnęło jej się z żalu. Biedny Gideon. Nic dziwnego, że pragnął zbudować własny raj. Wyglą-

*tłum. Katarzyna Jędrach

dało na to, że świat, w którym się wychował, raju nie przypominał ani trochę.

- Gdzie była twoja matka, kiedy to wszystko się działo? Akceptowała to, że twój ojciec...?

Twarz Gideona stała się nieprzenikniona. Gwałtownie wstał z łóżka i włożył spodnie.

- Nie było jej.

Sara okryła się prześcieradłem i usiadła.

- To znaczy? Umarła?

Horn wyraz twarzy miał wyniosły i zimny jak rzeźba na dziobie jego statku.

- Mniej więcej. To naprawdę nie ma znaczenia prawda? Nie było jej.

Prychnęła.

- Jeśli nie chcesz o niej rozmawiać...

- Nie chcę. - Kiedy rzuciła mu zranione spojrzenie, dodał: - Mamy ważniejsze sprawy, o których powinniśmy porozmawiać, Saro. Na przykład, co się stanie dzisiaj.

Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu.

- Dzisiaj?

- Kiedy kobiety wybiorą sobie mężów. A może zapomniałaś?

Ach, to. Prawdę mówiąc, zapomniała.

Mówił dalej, nie czekając na jej odpowiedź.

- Przecież nie możemy tego odłożyć do czasu, aż zostaną wybudowane nowe chaty. To zajmie kilka tygodni. Mężczyźni, którzy popłynęli na Sao Nicolau, wrócili dziś rano. Muszę wiedzieć... - Przerwał, na jego twarzy pojawił się wyraz bezradności, - To znaczy, chcę wiedzieć, kogo zamierzasz wybrać.

- Dlaczego? Żebyś mógł go zaakceptować?

- Co to do licha ma znaczyć?

Bardzo się starała mówić jak najspokojniej.

- Kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy, jasno dałeś do zrozumienia, że nie chcesz się ze mną ożenić.

- To nieprawda. Jeśli dobrze pamiętam, to powiedziałem, że najpierw chcę cię przetestować.

- Och, tak, pamiętam. - Mocniej przycisnęła prześcieradło do piersi, nie mogąc powstrzymać gorzkich słów. - A skoro już przetestowałeś, to czy przesłałam twój egzamin śpiewająco? Jak wiele kobiet „przetestowałeś” w poszukiwaniu idealnej partnerki?

- Do diabła, Saro, wiesz, że nie dotknąłem żadnej kobiety, odkąd poznałem ciebie. - Przeczesał palcami włosy, czując się niezręcznie. - To, co dziś w nocy robiliśmy... to nie był test. Ale dla mnie o czymś świadczyło. Gdybym to ja miał wybierać, wybrałbym ciebie i nikogo innego. Niestety zgodnie z naszą umową, to nie ja dokonuję wyboru. Tylko ty. Więc pytanie brzmi: kogo wybierzesz?

Zdezorientowana i rozdarta, oderwała od niego wzrok. Wyjść za niego? Jakże by mogła? Chociaż pewnie minie co najmniej miesiąc, zanim Petey i Jordan tu dotrą, ale w końcu dotrą; była tego piwna. A kiedy to już nastąpi, zamierzała z nimi odpłynąć. Jednak z drugiej strony, myśl o pozostaniu z Gideonem, o pomaganiu mu w budowie nowego świata była tak kusząca... Ale to była głupia myśl. To nie był jej świat, poza tym on tylko szukał kochanki. Z jakiegoś powodu wybrał ją, ale to nic nie znaczyło.

- Przecież ja nie mam wyboru - odezwała się wymijająco. - Wolałabym za nikogo nie wychodzić za mąż, ale na to nie pozwolisz. Jeśli nie wybiorę ciebie, to jak powiedziałaś, ty wybierzesz dla mnie, co oznacza, że albo ja wybiorę ciebie, albo pozwolę,

żebyś ty wyznaczył na mojego męża siebie. Na jedno wychodzi, prawda?

Z błyszczącymi oczami zacisnął dłonie w pięści.

- Wolałabyś raczej w ogóle nie wychodzić za mąż, niż wyjść za mnie? Nawet po tym, co przeżyliśmy ostatniej nocy, uważasz, że nie jestem wystarczająco dobry?

- To nie tak, Gideonie! - Poczwała się zagubiona. Nie mogła powiedzieć prawdy, że niebawem zostanie uratowana. - Po prostu... po prostu... nie jestem jeszcze gotowa. Małżeństwo to taka ostateczność. Gdybym miała wybór, nie wyszłabym za mąż po tak krótkiej znajomości.

- Cóż za pokrętna logika - warknął. - Oddanie mężczyźnie dziewictwa nie jest ostateczne, ale poślubienie go jest. - Znowu przez dłuższą chwilę przyglądał się jej, ponury i zły. - Dobrze. Nie będziesz musiała wychodzić za mąż po tak krótkiej znajomości. Ja z pewnością nie będę cię do niej zmuszał.

Zgarnął koszulę i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! Co chcesz przez to powiedzieć? Co to znaczy?

Bez słowa wyszedł na zewnątrz, chwycił stertę ubrań i wrzucił je do środka kajuty.

- Proszę. Kazałem je kupić dla ciebie na Sao Nicolau. Ubierz się. Spodziewam się ciebie na pokładzie za pół godziny.

I zanim zdążyła zapytać o cokolwiek, oddalił się. Wpatrywała się w zamknięte drzwi, a w sercu czuła narastającą pustkę. Co ona zrobiła? Co teraz zamierzał? Nie powinna była ulec mu zeszłej nocy. To katastrofa, kompletna katastrofa! I jak, na Boga, miała się z tego wykaraskać?



Pół godziny później Gideon stał na pokładzie rufowym z marsową miną, rozglądając się w tłumie za Sarą.

Jeśli miał tak się poświęcić, to chciał, aby była tego świadkiem. Przecież robił to wyłącznie dla niej i dla jej drogocennych kobiet. Dobrze wiedział, że nikt inny nie będzie zadowolony z tego, co zamierzał ogłosić. Mężczyźni będą głośno protestować.

Ale nie obchodziło go to. Dokonał wyboru i zamierzał zrealizować to, co postanowił, nawet jeśli miałby tym rozwścieczyć swoich ludzi. Poza tym to, co zamierzał, pomoże im, bez względu na to, co sobie pomyśla.

Na pewno pomoże jemu. Być może tylko to mogło mu pomóc.

Znowu się rozejrzył. Było inaczej niż wtedy, gdy ostatni raz zwracał się do kobiet i mężczyzn. Wszyscy mieli tak samo minorowe nastroje jak wtedy, gdy wybuchł pożar. Ale pożar zbliżył ich do siebie. Kobiety były łaskawsze dla mężczyzn, a mężczyźni bardziej troskliwi w stosunku do kobiet. Niektórzy już tworzyli pary i ten widok sprawiał mu przyjemność. Może Sara tego nie akceptowała, ale jego plan działał.

Nagle obiekt jego rozmyślań pojawił się na pokładzie rufowym, patrząc na niego z lękiem. Na jej widok puls mu przyspieszył, jak jakiemuś przekłętemu chłopcu okrętowemu.

Miała na sobie białą haftowaną w etniczne wzory bluzkę i powiewną śliwkową spódnicę, którą kazał swoim ludziom dla niej kupić. Wyglądała w tym pięknie, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, a wiatr

oblepiał bawełnianą spódnicę wokół nóg.

Pójście z nią do łóżka powinno było położyć kres temu niezrozumiałemu pożądaniu. Ale tak się nie stało. Pożądał jej jeszcze bardziej. Ironia tej sytuacji odbierała mu mowę. Uwłaczało jego godność że po tylu latach szydzenia z angielskich arystokratek pożądał jednej z nich.

Jednak nigdy nie był na tyle głupi, by z powodu dumy nie dostać tego, czego pragnął, a pragnął Sary... W swoim domu i łóżku. Wybrał sobie żonę. Teraz musiał tylko sprawić, żeby ona wybrała jego.

Odwróciwszy od niej wzrok, spojrzał na resztę ludzi. Nadszedł czas, żeby wykonać pierwszy krok w tym kierunku.

- Witam. Cieszę się, że wszyscy wyszliśmy cało z pożaru. Nikt nie zginął. - Oparł ręce o balustradę. - Zeszłej nocy straciliśmy wszystkie chaty, ale nie zamierzam pozwolić, aby to nas powstrzymało. Ktoś... - Urwał, na moment zerkając na Sarę. - Ktoś mnie przekonał, że o Atlantyde warto walczyć. - Wśród mężczyzn rozległ się pomruk aprobaty, któremu zawtórował nie tak głośny pomruk kobiet.

- Teraz, kiedy pozostali mężczyźni wrócili z Sad Nicolau - kontynuował - mamy prawie wszystko materiały potrzebne do odbudowy. To, czego nie przywieźli, pewnie znajdziemy na wyspie.

Skrzyżował ramiona. Teraz nadchodziła ta trudna część.

- Panna Willis powiedziała, że kobiety chętnie nam pomogą w odbudowie. Postanowiłem więc w pewien sposób odwdziżyć im się za pomoc. - Zamilkł na chwilę. - Daję im jeszcze miesiąc na wybór męża.

Najpierw zapadła całkowita cisza. Potem wśród mężczyzn zaczął się niski pomruk, a ich twarze stały się ponure i pełne dezaprobaty. Barnaby popatrzył na niego, jakby był szalony, chociaż Silas wydawał się zaskakująco spokojny.

Gideon uniósł rękę, żeby ich uciszyć.

-Wiem, że niektóre kobiety znalazły już potencjalnych mężów, i jeśli chcą wyjść za mąż, to mogą to robić. Ale jeśli chodzi o pozostałe, będziemy zajęci odbudową i nie byłoby w porządku, żeby dodatkowo utrudniać im jeszcze życie małżeńskimi obowiązkami, gdy będą nam pomagać.

W końcu odważył się spojrzeć na Sarę. Miała szeroko otwarte usta. Ann podbiegła do niej, cała roześmiana.

Ku jego zaskoczeniu na twarzy panny Willis nie było cienia tryumfu. Tylko szok, który powoli zmieniał się we wdzięczność.

Oderwał od niej wzrok. Nie miała za co być mu wdzięczna, chociaż nie wiedziała tego. Tak czy inaczej, będzie jego. Pewnie był szalony, skoro chciał się z nią ożenić, biorąc pod uwagę jego przeszłość. Ale tylko tak mógł ją zdobyć. I tak już czuła się winna z powodu tego, co razem zrobili. Widział to w jej oczach dziś rano. Jedyнным sposobem, żeby pozbyć się takiego poczucia winy u kobiety, było poślubienie jej.

- Teraz wszyscy będziemy spać na pokładzie - ciągnął - chyba że niektórzy z was chcą rozbić sobie namiot albo spędzić noc na plaży pod gołym niebem. Poza tym wszystko jest tak samo jak przedtem. Mężczyźni będą traktować kobiety z szacunkiem i spełniać ich życzenia. Zgadza się z tym wszyscy?

Zamilkł, czekając na burzę protestów. Ale poza kilkoma głosami sprzeciwów, mężczyźni najwyraźniej zaakceptowali jego decyzję. Może oni także dostrzegali jej słuszość. Niektórzy mogli mieć problemy ze swoimi kobietami. Może wszyscy potrzebowali więcej czasu, żeby dojść do porozumienia

- Barnaby będzie odpowiedzialny za prace związane z odbudową, a Silas dopilnuje rozładunku słupa. Jeśli chodzi o kobiety, to naradzę się z panną Willis, jak mogłyby pomóc. To wszystko. Możecie się rozejść.

Rozglądał się za Sarą, ale otaczały ją kobiety, które zadawały jej mnóstwo pytań. Potem zauważył Barnaby'ego, który zmierzał w jego kierunku z marsową miną.

- Co się, do cholery, z tobą dzieje? - odezwał się z większą niż zazwyczaj impertynencją. - Najpierw się zgadzasz wysłać połowę mężczyzn po zapasy, a teraz odkładasz zaślubiny. Może po prostu ożenimy się z kobietami i będziemy mieli to wreszcie za sobą, a potem pomyślimy o budowaniu domówi

- Tak, obaj wiemy, jakie masz doświadczenie z kobietami - odparł Gideon. - Idziesz z nimi do łóżka, a potem się ich pozbywasz. Cóż, w ten sposób możesz traktować kochanki, Barnaby, ale nie możesz tak postępować z żoną.

- A odkąd to wiesz, w jaki sposób postępować z żoną? Kiedy ostatni raz miałeś kochankę dłużej niż miesiąc?

- To prawda. - Gideon popatrzył tam, gdzie stała Sara; jej włosy błyszcząły w słońcu jak wstęgi ognia. - Ale zamierzam to zmienić.

Barnaby podążył za jego wzrokiem.

- Wiedziałem. Znowu ta kobieta. Wzięło cię. - Kiedy Gideon nie odpowiedział, Barnaby dodał:

- Czy właśnie z nią zamierzasz się ożenić? Naprawdę uważasz, że ta sztywna świętoszka wybierze ciebie na męża?

Gideon powstrzymał uśmiech, słysząc całkiem trafny opis Sary.

- Jak będzie miała więcej czasu, wybierze mnie. Możesz być tego pewien.

- Ach, więc o to chodzi. Dajesz sobie czas, żeby adorować *milady*? Rozumiem, że to oznacza, iż reszta z nas może o niej zapomnieć.

Rzucił Barnaby'emu taksujące spojrzenie.

- Czy nie nazwałś jej właśnie sztywną świętoszką?

- Niektórzy mężczyźni lubią świętoszki.

Gideon wściekł się.

- Nie, jeśli ja mam w tej kwestii coś do powiedzenia. Poinformuj ludzi, że Sara Willis jest moja. Żadnemu nie wolno nawet pocałować jej w policzek, czy to jasne?

Barnaby uniósł ręce w geście rezygnacji.

- Oczywiście, kapitanie, oczywiście. Nie martw się. Nikt nie jest na tyle głupi, aby próbować ukraść twoją kobietę.

Twoją kobietę. Podobało mu się brzmienie tych słów.

- Dobrze. A teraz, jeśli mi wybaczysz, chcę zamienić słowo z „moją kobietą”.

Podszedł do Sary. Naradzały się z Louisa.

- Louiso, czy możesz nas zostawić? - spytał. - Chcę porozmawiać z Sarą na osobności.

- Oczywiście - mruknęła Louisa, chociaż zauważył, że nie spuszczała z niego oczu, odsuwając się tylko o kilka metrów.

Patrzył na nią groźnie, dopóki nie odeszła dalej. Potem zwrócił się do Sary.

- Kim ona jest, twoją opiekunką?

- Po prostu martwi się o mnie, to wszystko.
- Cóż, już nie musi się o ciebie martwić. Teraz ja się o ciebie troszczę.

Na ustach Sary pojawił się delikatny uśmiech,

- Tak, widzę. Naprawdę, Gideonie, to miłe z twojej strony, że dałeś nam więcej czasu. Nie będziesz tego żałował. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Zobaczysz.

Przyglądał się jej uważnie.

- Dla ciebie też?

Zarumieniła się.

- Tak, oczywiście. - Odwróciła wzrok, dotykając medalionu, który zawsze nosiła. - Muszę o czymś z tobą porozmawiać, Gideonie. Ja... to znaczy... to, co się zdarzyło w nocy... chyba nie powinno się powtórzyć.

- Mówisz o pożarze? - spytał, udając głupiego.

Nie mógł uwierzyć, że powiedziała mu coś takiego, zwłaszcza po jego szlachetnym goście. Spojrzała mu w oczy.

- Dobrze wiesz, że nie mówię o pożarze. Chodzi mi o spanie ze sobą. To niestosowne dla...

- Nie uważasz, że jest trochę za późno, żeby zastanawiać się nad niestosownością?

- Może. Ale ja... wciąż uważam, że nie powinniśmy... powtarzać poprzedniej nocy. - Kiedy rzucił j jej pełne niedowierzania spojrzenie, szybko dodała: - Jeśli mamy się pobrać, powinniśmy lepiej się poznać, i nie chodzi mi o łóżko. Ja nie mogę trzeźwo myśleć, kiedy się ze mną kochasz.

- Dobrze.

- Małżeństwo to decyzja na całe życie. Chcę ją podjąć świadomie.

- Mogę ci w tym pomóc.

Wyciągnął do niej rękę.

Cofnęła się.

- Nie! Właśnie o to mi chodzi. Chcesz, żebym zapomniała o wszystkim poza tobą. Któregoś dnia obudzę się jako twoja żona i będę się zastanawiać, jak do tego doszło. Nie chcę tego; chcę wiedzieć co robię, kiedy zgodzę się wyjść za ciebie za mąż.

Przeklęta kobieta. Dlaczego zawsze musi o wszystkim myśleć? Dlaczego nie może być jak inne kobiety, szczęśliwe, że mężczyzna zawrócił im w głowie?

Zamarł. Właśnie to zrobiła jego matka - i było wielką katastrofą. Nie, nie chciał, aby historia się powtórzyła. Chciał, żeby Sara niczego nie żałowała, kiedy zgodzi się go poślubić. Ale niech go szlag, jeśli to oznaczało, że miałyby jej nie dotykać, nie całować czy nie chodzić z nią do łóżka. Da jej mnóstwo czasu do zastanowienia... ale nie oznaczało to, że nie mogą się sobą cieszyć. Musiał tylko sprawić, żeby zrozumiała, iż pragnie go równie mocno jak on jej. I tylko w jeden sposób mógł tego dokonać.

- Dobrze, Saro. Możemy się lepiej poznać. Możemy odbudowywać Atlantydę, rozmawiać i w ogóle się nie dotykać, jeśli tego chcesz. - Widząc jej zaskoczone spojrzenie, dodał: - Ale nie sądzę, żebyś właśnie tego chciała. Jestem jednak gotów pozwolić ci się o tym przekonać.

Zamilkł, dając jej czas na zastanowienie się nad jego słowami. Kiedy znowu zaczął mówić, jego głos był zaledwie szeptem.

- Ale muszę cię ostrzec. Kiedy zmienisz zdanie - a zmienisz - będzie twoja kolej, żeby do mnie przyjść. Bo kiedy następnym razem będziemy się kochać, to ty będziesz musiała o to poprosić.

Zbierając całą siłę woli, odwrócił się i odszedł.

Rozdział 20

*Talent wielki przejawiamy,
Kobietom dogadzając,
Wiedzę bowiem posiadamy,
Czegóż to nie mają.*

John Clayford
Jowialny żeglarz

W ciągu dnia było tyle pracy i tyle kłótni między kobietami o to, która ma co robić, że Sara ledwie miała czas odsapnąć. Trzeba było nosić wodę i nakarmić mężczyzn. Trzeba było ścinać i wysuszyć trawę na strzechę i uszyć materace z płótna przywiezionego z Sao Nicolau.

Jednak wystarczająco często widywała Gideona, żeby nie zapomnieć ich wspólnej nocy. Pytał o opinię, jak domy powinny zostać rozplanowane. Ilekroć potrzebował czegoś od kobiet, najpierw zwracał się do niej, i spędzili wiele godzin rozprawiając o tym, jak rozlokować ich skromne zasoby.

Ona także wynajdowała preteksty, żeby z nim porozmawiać. Chociaż karciała się za to, jednak lubiła patrzeć, jak Gideon pracuje, a jego mięśnie poruszają się pod błyszczącą od potu skórą. Jadał z nią obiad pod drzewem, częstując ją bananami które polubiła, i kawałkami wieprzowiny upieczonej przez Silasa na prowizorycznym rożnie. Czasami jego palce niechcący dotykały jej palców podczas posiłku, ale poza tym trzymał ręce przy sobie.

To powinno ułatwić sprawę. Ale nie ułatwiło. W nocy leżała w swojej kajucie, nie mogąc spać i rozmyślając o nim. Czasami zamykała oczy i wyobrażała sobie, że Gideon przesuwając palcami po jej ramionach, piersiach, biodrach. Czasami zaczynała dotykać się sama, i to było najgorsze... wiedzieć, że przez niego zachowywała się tak grzesznie.

^ ^ ^

Drugi tydzień był trudniejszy. Wtedy, po wielu przepychankach i kłótniach, wszyscy wpadli w rutynę. Każdy zajął się pracą, która najbardziej mu odpowiadała, i sumiennie odbudowywał Atlantyde. Oznaczało to mniej czasu na rozmowy z Gideonem i mniej powodów, żeby się do niego zwracać. Co więcej, czasami nie robił sobie przerwy na obiad, chociaż zazwyczaj obiady jadał z nią.

A jednak czuła jego obecność bez względu na to, gdzie była, nawet gdy on stawiał chaty czy nadzorował ścinanie drzew. Znajdowała wymówki, żeby go zobaczyć, a potem wymówki dla swoich wymówek, czasami łapała się na tym, że go dotyka... jego ramienia, łokcia, ręki. Oczywiście nie chciała tego. To się po prostu działo. A kiedy już się zdarzało, on zamierał, wbijając w nią wyglodniałe spojrzenie, pod wpływem którego zawsze cofała rękę.

Wieczorami zaczął przynosić jej podarki - pachnące mydło, trochę satyny na czepek, kawałek pomarańczowego koralowca, który znalazł podczas połowu ryb. Nigdy nie dał jej niczego, co według niej mogło być kradzione, i to przepełniało jej serce radością, bo pewnie posiadał mnóstwo biżuterii, którą mógł jej ofiarować.

Czasami zabierał ją na spacer po pokładzie i opowiadał o swoich nadziejach związanych z wyspą. Chociaż bardzo tego nie chciała, jego słowa ją wzruszały. Jak mogła nie być poruszona marzeniem o społeczeństwie, w którym kobiety i mężczyźni mieli pracować i żyć bez okrucieństwa bezdusznych rządów? W którym kara byłaby adekwatna do przestępstwa, a ludzie tacy jak Ann nie byliby pozbawieni tego, czego najbardziej potrzebowali?

Wtedy nadchodził najgorszy moment - kiedy odprowadzał ją pod drzwi kajuty. Zawsze miała nadzieję, że ją pocałuje, i była rozczarowana, kiedy tego nie robił. Kiedy już znajdowała się w łóżku dawała się ponieść wyobraźni. Już dawno przestała rozmyślać o jego rękach na swoim ciele, teraz fantazjowała o jego pocałunku. Zawsze zaczynało się od tego, że na nowo przeżywała ich pocałunki, ale potem zaczynała marzyć o tym, że całuje jej piersi i brzuch, a nawet najbardziej intymne miejsca.

To było skandaliczne i bardzo się tego wstydziła. Czasami nawet budziła się i odkrywała, że dotyka się w lubieżny sposób, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. W nocy płonęła. Płonęła w ciągu dnia. Ale Gideon, niech go piekło pochłonie, najwyraźniej był zdecydowany jej nie dotykać.

Jednak pod koniec trzeciego tygodnia to się zmieniło. Gideon zaczął jej dotykać, kiedy najmniej się tego spodziewała. Jak gdyby nigdy nic odgarniał jej włosy z oczu albo brał ją za rękę, żeby pomóc zejść po trapie. Kiedy razem spożywali posiłki, a niemal wszystkie spożywali razem, najwyraźniej przyjemność sprawiało mu „przypadkowe” ocieranie się o jej piersi, ilekroć pochylał się, żeby po coś sięgnąć, albo siadał tak blisko, że ich nogi stykały się przy każdym poruszeniu.

Gdyby miała choć trochę rozumu, zwróciłaby mu uwagę, iż nie dotrzymywał obietnicy. Ale już dawno postradła rozum. Żyła dla tych ukradkowych dotyków.

Przyjemność sprawiały jej jego podarki i to, że zdawał się na jej ocenę w niektórych sprawach.

Co gorsza, jej nocne fantazje przekształciły się w niepohamowane wspomnienia z ich wspólnej nocy. Już nie próbowała z tym walczyć, a wręcz się w tym zatapiała.

Niestety nie była w stanie zaspokoić bolesnego pragnienia, które narastało w jej podbrzuszu, pragnienia, by ją całował, pieścił i, tak, kochał się z nią.

Właśnie takie myśli zaprzętały jej głowę ostatniego poranka trzeciego tygodnia. Było wcześniej, słońce jeszcze nie wzeszło, i pozostawiła wszystkich śpiących na pokładzie. Chciała trochę pomyśleć, poszła więc plażą do strumienia.

W małej kolonii ustalono kilka zasad, a jedna z nich dotyczyła kąpieli. Ponieważ woda w strumieniu była rano zbyt zimna, kobiety miały się kąpać wczesnym, a mężczyźni późnym popołudniem, po skończeniu pracy. Ten system dawał kobietom prywatność, której potrzebowały, zwłaszcza tym, które jeszcze nie wybrały mężów.

Kiedy więc Sara dotarła nad strumień, zaskoczył ją widok nagiego Gideona myjącego się w zimnej wodzie. Szybko schowała się za drzewem, żeby jej nie zauważył.

Nie mogła w to uwierzyć. Czy przychodził tutaj co rano? Dlaczego, skoro w ciągu dnia woda była znacznie cieplejsza?

Powinam zostawić go samego, powiedziała sobie zdecydowanie. Jednak jej erotyczne senne marzenia były wciąż świeże. Nie mogła odejść.

Ukradkowo zerknęła na plażę, czy nikt jej nie widział.

Strumień był tak płytki, że woda sięgała Gideonowi tylko do kolan. Był do Sary odwrócony tyłem. Wyglądał wspaniale... Ciemne włosy opadały mu na barczyste plecy poznaczone bliznami, jędrne pośladki napinały się przy każdym ruchu.

Co by zrobił, gdyby po prostu wyłoniła się zza drzewa wprost w jego ramiona? Nie, nie mogła tego zrobić. Nie wolno jej.

Nagle się odwrócił, chociaż jej nie widział. Szybko zdusiła okrzyk zaskoczenia. Dobry Boże. Miał pełny wzwód. Mamrotał coś i marszczył brwi, gdy szorował tors szmatką.

Potem, ku jej przerażeniu, wziął do ręki swój członek. Kazała sobie natychmiast odejść, ale stopy wrosły jej w ziemię. Była całkowicie zafascynowana. A więc w ten sposób udało mu się trzymać od niej z daleka, podczas gdy ona niemal dyszała z pragnienia, żeby iść z nim do łóżka.

Ale jeśli tak właśnie było, dlaczego jego ruchy były niemal brutalne? Może odczuwał to samo co ona. Dotykanie się było równie daremne jak polewanie wodą tych płonących chat.

Nagle uniósł głowę i ją zobaczył. Ich spojrzenia spotkały się, pełne żaru, pragnienia i żądzy. Przez chwilę stała jak porażona, z otwartymi ustami. Potem wpadła w panikę. Krzyknąwszy ze wstydu, uniosła kraj sukni i uciekła najszybciej i najdalej jak mogła.

Biegąc plażą, karciała się w myślach. Nigdy nie powinna była iść nad strumień. A już na pewno nie powinna go podglądać. Teraz, kiedy wiedział, że patrzyła, na pewno odgadnie jej straszny sekret - że pragnęła go równie mocno jak on pragnął jej.

Wbiegła po trapie na pokład, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia piratów. Obejrzała się za siebie, obawiając się, że Gideon mógłby podążać za nią. Ale na szczęście nigdzie go nie było. Dopiero kiedy dotarła do swojej kajuty i zamknęła drzwi, poczuła się bezpiecznie. Ale nawet wtedy musiało minąć kilka chwil, zanim jej serce uspokoiło się uspokoiło i przestała nasłuchiwać jego kroków za drzwiami.

Przez resztę dnia go unikała. Nie mogła spojrzeć mu w twarz. Było to nie do pomyślenia. Ale nie umiała przestać myśleć ani powstrzymać erotycznych fantazji.

Co się z nią działo? Jak to możliwe, że ten mężczyzna prawie jej nie dotykał, a ona myślała o nim przez cały czas? To było nie w porządku.

Późnym popołudniem jej frustracja była tak wielka, że Sara postanowiła odnaleźć Louise, mając nadzieję, że ta przemówi jej do rozsądku. Louisa nie przepadała za Gideonem. Z pewnością przypomni Sarze o wszystkich jego wadach, a ona właśnie tego potrzebowała.

Jednak zamiast Louisy znalazła Silasa. Kiedy weszła, właśnie podnosił olbrzymi kawał ciasta na chleb na posypany mąką blat stołu.

- Louisa - zaczął, ale zamilkł, kiedy zobaczył ją. - Ach, Sara - odezwał się mrukliwie, jak to miał w zwyczaju. - Ugniataj ten chleb. Muszę pilnować, żeby mięso się nie spaliło.

- Gdzie jest Louisa?

Wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć, dokąd poszła ta kobieta? Pewnie niedługo wróci, ale to ciasto trzeba wyrobić teraz. Louisa zawsze znika, ilekroć jej potrzebuję.

Jego zrządzenie nie zmyliło Sary. Ten mężczyzna był po uszy zakochany. Co więcej, przez ostatnie dwa tygodnie Louisa i on byli nierozłączni. Już poprosili Gideona, jako kapitana statku, żeby udzielił im ślubu i jak każda młoda para byli sobą całkowicie pochłonięci. Prawie im zazdrościła.

- No, dziewczyno, pomóż mi przy tym chlebie - powtórzył Silas, machnięciem ręki kierując ją do stołu.

- Nie wiem jak.

W domu takie rzeczy robiła służba.

Nie miała nastroju, żeby się czegokolwiek uczyć...

- Wyrabianie chleba jest proste - odezwał się Silas, nie zwracając uwagi na jej protesty. Zaczął naciskać na kulę ciasta, aż ta się rozplaszczyla, potem złożył ją i powtórzył tę czynność. - Widzisz?

- Ale ja to popsuję.

- Brednie! - Chwycił ją za ramię i przyciągnął do stołu. - Nie możesz tego zepsuć. Im bardziej będziesz naciskać, tym lepiej. Im mocniej uderzysz, tym wyżej wyrośnie. Uwierz mi na słowo. Zniesie wszystko, co mu zrobisz.

Gdy wyrabiała ciasto, jej myśli podążyły ku Gideonowi. Co miała z nim zrobić? Takie coś nie powinno się przydarzyć szanowanej damie. Mężczyźni pożąдали kobiet, oczywiście, ale tylko upadłe kobiety pożądały mężczyzn. Albo to jej wpojono. Zaczynała podejrzewać, że wszystko, co jej wpojono, było podejrzane. W przeciwnym razie jak mogłaby odnaleźć tyle przyjemności w ramionach pirata? A właśnie tak było; nie mogła temu zaprzeczyć. Ale co miała z tym zrobić? Powiedział, że będzie musiała go poprosić. Nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby zrobić coś takiego. Mało tego. Może uznał, że szkoda było czasu na

zawracanie sobie głowy arystokratką. Na samą myśl o tym zrobiło jej się zimno ze strachu.

Wściekle uderzyła pięściami w ciasto. Nie było ważne, co on sobie myślał. Wróci do Londynu bez niego.

Głos Silasa przerwał jej rozmyślenia.

- Poczekaj, dziewczyno. Wiem, że powiedziałem, iż nie możesz tego zepsuć, ale nie mówiłem, że masz je zabić.

Uświadomiła sobie, że waliła w ciasto z całych sił.

- Przepraszam... ja... zamyśliłam się.

Wziął od niej ciasto, zwinął je i umieścił w formie do chleba.

- Tak, pewnie o niebezpiecznych rzeczach. Co cię tak trapi?

Spojrzała na niego czujnie.

- Nic... ważnego.

Znowu zaczął polewać mięso sosem.

- Chodzi o naszego dobrego kapitana, prawda? Znowu cię niepokoi.

- Tak... cóż, nie. Nie w taki sposób, jak myślisz. - Kiedy rzucił jej przenikliwe spojrzenie, odwróciła się do niego plecami i zaczęła bawić się zasuwką spizarni. - On... on jest uosobieniem kurtuazji.

- I to ci przeszkadza?

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko że... nie wiem, co o tym sądzić. Czasami wydaje mi się, że on mnie bardzo nie lubi. Innym razem... on...

Innym razem kocha się ze mną namiętnie i czule. Ale przecież nie mogła powiedzieć tego Silasowi.

Możesz mi wierzyć, ten mężczyzna na pewno cię lubi - odezwał się Silas spokojnym głosem. Po prostu nie potrafił ot tak zaufać kobiecie, zwłaszcza twojego pokroju.

Znowu to okropne wyrażenie - twojego pokroju. Spojrzała na Silasa.

- Dlaczego on tak bardzo nienawidzi ludzi „mojego pokroju”? Kto tak bardzo go skrzywdził?

Silas odłożył łyżkę i przez chwilę przyglądał się Sarze.

- Czy zachowasz to dla siebie, jeśli powiem ci, co wiem?

Była bardzo zaciekawiona i przytaknęła energicznie. Wskazał na krzesło.

- To lepiej usiądź, dziewczyno. To trudna i długa opowieść. Ale jeśli ktoś powinien ją poznać, to właśnie ty.

Siadając za stołem, skrzyżowała przed sobą ręce i wpatrywała się w męczyzną wyczekująco.

- Jego matka - powiedział. - To ona go skrzywdziła.

Popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Nie rozumiem.

- Matka Gideona była córką księcia. Bardzo bogatą damą z bardzo zamożnej angielskiej rodziny.

Zaczęło w niej narastać okropne uczucie. Gideon był Anglikiem? Jego matka była arystokratką. Matka Gideona?

- Wyglądasz na zaskoczoną. - Wziąwszy fajkę Silas napełnił ją tytoniem z woreczka, który miał w kieszeni kamizelki. - Chyba należało się tego spodziewać. Piraci raczej nie są skoligaceni z arystokracją.

- Ale jak? Kto?

Silas włożył słomkę do ognia w piecu i użył jej do podpalenia tytoniu.

- Mogę opowiedzieć ci jak. Kto - nie jest do końca takie oczywiste. Przynajmniej dla niego.

- Wrzucił słomkę do ognia i mocno się zaciągnął. - Opowiedział mi tę historię, kiedy pewnej nocy był pijany. Tamtego dnia pojaliśmy statek, którym płynęła stara kobieta o imieniu Eustacia. Jej imię poruszyło go na tyle, że sięgnął po butelkę. Pewnie zauważyłaś, że Gideon dużo nie pije. Sadzę, że obawia się, iż skończy jak jego ojciec. W każdym razie tamtej nocy powiedział, że jego matka miała na imię Eustacia albo tak mówił jego ojciec, kiedy się upił.

- Gideon trochę mi opowiadał o swoim ojcu. To musiał być straszny człowiek.

- Tak, był. Gideon go nienawidzi. Ale matki nienawidzi bardziej. Ma do niej żal, że zostawiła go na łasce ojca kanalii.

- Nie rozumiem. Jak to możliwe, że córka księcia spotyka takiego człowieka jak ojciec Gideona? Czy jego ojciec nie był Amerykaninem?

- Nie. Jego ojciec był Anglikiem jak ty. Najwyraźniej był nauczycielem Eustacii. Musiał być czarujący, skoro udało mu się ją nakłonić, aby z nim uciekła. - Twarz Silasa spochmurniała. - Ale po urodzeniu Gideona dosyć miała ubożego życia, jakie wiodła z Eliasem Hornem. Poprosiła rodzinę, aby ją zabrała, a oni się zgodzili. - Przyglądał się jej zza fajki. - Ale kazali jej zostawić syna. Sara głośno wciągnęła powietrze.

- Niemożliwe! - Kiedy przytaknął, powiedziała: - Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może żeby zatuszować skandal. Może mieli nadzieję, że jeśli nie będzie w pobliżu Elias i Gideona, będą mogli wszystko utrzymać w sekrecie. Kto to wie, co sobie myślą angielscy arystokraci?

Drgnęła. Wiedziała, że nie był to przytyk do niej, ale pokazywało to, z jaką podejrzliwością załoga Satyra traktowała jej rodaków. I jej klasę. Bez wątpienia ich nienawiść powiększyła się podczas amerykańskiej rewolucji, która skończyła się chyba mniej więcej w tym czasie, kiedy Gideon się urodził.

Ale Gideonem powodowało coś więcej. Przypominając sobie, z jaką goryczą mówił o swojej matce, poczuła ukłucie żalu. Nic dziwnego, że nienawidzi ludzi „jej pokroju”. Nic dziwnego, że nie chciał jej zaufać.

Jego brak zaufania do niej nie był do końca w porządku. Ona nigdy nie zostawiłaby swojego dziecka, bez względu na to, czego żądałaby od niej rodzina. Nie mogła pojąć, jak Eustacia mogła to zrobić.

- Czy kiedykolwiek próbował ją odnaleźć, poznać jej wersję tej historii? - spytała.

- Jeśli nawet, to nie powiedział mi o tym. Ale to i tak raczej niemożliwe. Jego ojciec zabrał go do Ameryki, kiedy był jeszcze mały. Mówił, że chce dla nich nowego życia. Ale nie mógł zapomnieć o swojej żonie i topił smutki w butelce. Gideon kiedyś mi powiedział, że gdy dorastał, mieszkali w piętnastu różnych miastach. Jego ojciec nie był w stanie utrzymać pracy nauczyciela z powodu picia.

To wyjaśniało, dlaczego Gideon tak bardzo pragnął Atlantydy. Nigdy nie miał domu i był zdeterminowany, żeby Atlantydę uczynić swoim domem. Pragnął domu i kogoś, komu będzie na nim zależało, chociaż nigdy by tego nie przyznał.

- Dlaczego uciekł na morze? Bo ojciec go bił? Silas potrząsnął głową.

- Nie miał wyboru. Jego ojciec zapił się na śmierć, kiedy Gideon nie miał jeszcze trzynastu lat, więc zaciągnął się, żeby nie umrzeć z głodu.

- W wieku trzynastu lat? Miał tylko trzynaście lat, gdy wypłynął na morze? - Poczula w piersi narastający ból. W wieku trzynastu lat była rozpieszczana przez kochającą matkę i dobrego ojczyma i dostawała wszystko, co chciała, podczas gdy Gideon tkwił w deszczu na pokładzie statku, wykonując polecenia i czyszcząc buty załogi.

Na jej twarzy odmalowały się targające nią uczucia.

- Nie było aż tak źle, dziewczyno. Bycie chłopcem pokładowym uczyniło z niego mężczyznę, a to dobrze, nie sądzisz?

W jej oczach pojawiły się łzy; odwróciła się, by je ukryć. Przypomniały jej się te wszystkie momenty, w których oskarżała Gideona o okrucieństwo. Jeśli ktoś doznał okrucieństwa, to właśnie Gideon.

Ale on nie był okrutny. Zdecydowanie nie. Tak, porwał je wbrew ich woli, i wciąż miała o to do niego pretensję. Ale zrobił to, sądząc, że robi coś dobrego. Zrobił to dla ukochanej kolonii, miejsca, w którym mógłby położyć kres okrucieństwu. Prawdę powiedziawszy, dobrze nią zarządzał. Zawsze wysłuchiwał obu stron sporu i rozsądzał je sprawiedliwie. Dotrzymał obietnicy, że kobiety będą traktowane z szacunkiem, wprowadzając tę zasadę żelazną ręką. Kiedy znowu chciała zacząć uczyć kobiety, zaskoczył ją swoją zgodą. Zgodził się nawet spać w swojej niewykończonej chacie i oddał swoją kajutę Molly, ciężarnej kobiecie, która w każdej chwili mogła urodzić, i jej córce Jane.

Wcale nie był tym okropnym, strasznym mężczyzną, za którego wzięła go na początku. A to oznaczało, że

stanowił dla niej o wiele większe zagrożenie, niż myślała.

- Zależy ci na tym chłopaku, co, Saro? - powiedział Silas, przerywając jej rozmyślania.

Ocierając łzy, przytaknęła.

- Ale on mnie nienawidzi, bo jestem angielską arystokratką jak jego matka.

- Nie. - Jego głos był łagodny. - Gideon może jest rozgoryczony, ale nie głupi. Rozpozna porządną kobietę, kiedy ją spotka. Sądzę, że bardzo mu na tobie zależy.

- Dlaczego więc nie powiedział mi o niej? - Bolała ją myśl, że nie ufał jej wystarczająco. - Opowiedział mi o swoim ojcu, ale nie chciał opowiedzieć o matce, nawet po tym, jak my... - Urwała i oblała się rumieńcem. - To dlatego, że uważa, jestem... jestem taka jak ona, prawda? Myśli, że zależy mi tylko na mojej rodzinie i przywilejach.

- To nieprawda. Może na początku myślał, jesteś jak jego matka, ale teraz już tak nie myśli. Jestem tego pewien. Widzi w tobie tę osobę, którą jesteś.

- To znaczy kogo?

- Kobietę, której potrzebuje... kogoś, kto zmiękczy tę twardość, którą zawdzięcza matce.

Nie mogę tego zrobić, chciała krzyknąć. Nawet gdyby mi na to pozwolił, nie zostanę tutaj wystarczająco długo, aby być tym, kogo potrzebuje. Zamierzam go porzucić, tak samo jak jego matka. Zamierzam odejść, kiedy przybędzie Jordan.

Ale nie chciała odchodzić, nie chciała go porzucać. Po raz pierwszy od czasu, gdy odszedł Petey, zrozumiała prawdę. Nie chciała wracać do brudu i nieszczęść Londynu. Chciała zostać tutaj, żeby uczyć kobiety, patrzeć, jak rozwija się kolonia, i być z Gideonem.

Chciała uśmierzyć jego ból i ukoić serce.

I nie mogła tego wszystkiego powiedzieć Silasowi

- Jeśli on nie rozmawia z tobą o pewnych rzeczach, to ty musisz porozmawiać z nim - odezwał się Silas.

- Porozmawiać z nim? I co miałabym mu powiedzieć?

- Co czujesz. Czego pragniesz. Kosztowało mnie wiele odwagi, żeby powiedzieć Louisie o... cóż, o różnych rzeczach. Ale na szczęście to zrobiłem, bo inaczej nie miałbym jej za żonę.

- Nie mogę rozmawiać z Gideonem.

Jak mogłaby mu powiedzieć, czego pragnie, skoro nawet sama tego nie wiedziała? I jak mogła powiedzieć, co czuje, skoro miała zamiar niebawem go opuścić?

Szybko wstała z krzesła i ruszyła do drzwi.

- Przepraszam, Silasie, muszę iść.

- Zaczekaj! - Kiedy zatrzymała się i odwróciła do niego, podał jej wiadro. - Jeśli nie masz nic przeciwko, żeby coś dla mnie zrobić, muszę dostarczyć to do nowego domu Gideona. Prosił o to dziś rano, powiedział, że jest mu potrzebne, żeby wyrzucić wióry.

- Mówiłam ci, Silasie, że teraz nie mogę rozmawiać z Gideonem.

- Och, spokojnie. Nie ma potrzeby z nim rozmawiać. Nie ma go w domu. Pomaga Barnaby'emu w połowie ryb na drugim końcu wyspy. - Kiedy się zawahała, przyglądając mu się podejrzliwie, wskazał na swoją drewnianą nogę. - Dla mnie to kawał drogi, a Gideon będzie potem tego potrzebował.

- Dobrze.

Wzięła wiadro. Musiała uciec, zanim otworzy przed nim serce i opowie mu o wszystkich swoich rozterkach.

Silas chciał dobrze, ale nie mógł jej pomóc, co zrobić z Gideonem. Tylko ona mogła to zrobić.

Rozdział 21

*Dziękuję losowi i boskiej opatrności,
Których w dniu narodzin doświadczyłem
I jako angielskie dziecko
Szczęśliwie się urodziłem.*

Ann (1788-1866) i Jane (1783-1824) Taylor
angielskie autorki książek dla dzieci, poetki
Dziecięce hymny pochwalne

Gideon siedział na ławce przy swoim niedokończonym domu, szlifując krawędzie deski, którą zamierzał wykorzystać jako półkę w małej kuchni budowanej dla Sary. Kiedy zaczął budować kuchnię, pomyślał, że może chciałaby mieć swoją własną, zamiast korzystać ze wspólnej kuchni.

Chciał, żeby była to niespodzianka, ale teraz ogarnęły go wątpliwości. Minęły trzy tygodnie, a on wciąż daleki był od zdobycia Sary. Na pewno była dla niego miłsza. Czasami zachowywała się prawie jak żona. Dwie noce temu wrócił do chaty i zobaczył, że wszystkie jego ubrania zostały uprane i pocerowane. Wiedział, że ona to zrobiła, ponieważ Barnaby widział, jak tamtego dnia wchodziła do chaty.

Gdy widziała go pracującego w palącym słońcu, przynosiła mu wiadro zimnej wody, gdy sądziła, że on nie widzi, a Silas zdradził mu, że zawsze prosiła Louise, aby przygotowywała dla Gideona jego ulubione potrawy. Nigdy nie doświadczył kobiecej troski, której chłopcy zazwyczaj doświadczają od swoich matek,

a potem od żon. To było coś nowego, że ktoś tak o niego dbał. Podobało mu się to. I to bardzo.

Problem polegał na tym, że nie chciała rozmawiać o jego zamiarze poślubienia jej, nawet gdy celowo poruszał ten temat. Najwyraźniej jego niezdarne próby adorowania jej spełzły na niczym. Ale co on wiedział o adorowaniu kobiet? Nigdy nawet nie miał ukochanej, tylko przypadkowe znajomości z łatwymi kobietami, po których towarzyszyło mu uczucie niespełnienia i smutku.

Jednak wiązał z Sarą nadzieje. Tamtego ranka kiedy zastała go podczas kąpieli, był pewien, że w końcu przełamał jej skrupuły. Ale nie, po przez cały dzień go unikała.

Nagle jego prawa ręka ześliznęła się i kamień ścierny boleśnie podrapał skórę na kłykciach lewej ręki. Zakławszy, odrzucił kamień i deskę na bok. Niech diabli wezmą tę kobietę i jej wątpliwości. Zimne kąpiele stały się jego rytuałem. Szedł spać i budził się ze wzrodem.

To nie miało być takie trudne. Spędzał na morzu całe miesiące bez kobiet i nigdy nie czuł się tak sfrustrowany jak przez ostatnie trzy tygodnie. Ale czym innym było pływanie po morzu, a czym innym ciągle przebywanie w obecności tej jedynej, której pragnął, a której nie mógł dotykać. Tylko tyle mógł zrobić, żeby nie pocałować jej namiętnie, ilekroć wieczorem odprowadzał ją do drzwi jej kajuty.

Jednak wiedział, że nie może jej uwieść. Próbował już bez powodzenia wcześniej, więc nie było powodu sądzić, że teraz mu się uda. Nie, musiał trzymać się swojego planu i modlić się, że ona ulegnie, zanim minie miesiąc.

Wstał, przeciągnął się i sięgnął po deskę. Właśnie wtedy zobaczył ją w drzwiach swojej chaty, zaskoczoną i z pustym wiadrem w ręku. Co tutaj robisz? - wydusiła z siebie.

Jej zdezorientowanie wywołało jego uśmiech.

- To mój dom, pamiętasz?

- Tak, ale Silas powiedział... - Urwała. Zerknąwszy na wiadro, mruknęła: - Niech diabli porwą tego wścibskiego człowieka!

- Jakiego wścibskiego człowieka?

- Silasa, przekłętego kłamcę. Powiedział mi, że potrzebujesz tego wiadra. Błagał, żebym ci je tutaj przyniosła, i powiedział, że łowisz ryby z Barnabym. Najwyraźniej kłamał, żeby doprowadzić do naszego spotkania.

Dzięki, Silasie, pomyślał Horn. Zrobił krok w jej stronę, zadowolony, że nie uciekła, i intensywnie myślał, co mógłby powiedzieć, żeby ją zatrzymać.

- Dlaczego Silas miałby chcieć doprowadzić do naszego spotkania? Nigdy wcześniej tego nie robił.

To nie wywołało reakcji, jakiej oczekiwał. Zarumieniła się po cebulki włosów.

- Bo my... rozmawialiśmy o tobie. - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Opowiedział mi o twojej matce.

Gideon zamarł. Cała przyjemność, jaką odczuwał z jej obecności, gwałtownie zniknęła. O jego matce? Silas powiedział jej o jego matce? Przekłety stary głupiec. Jak go dopadnie, powyrywa mu włosy z brody. Jak śmiał jej powiedzieć? Odwróciwszy się, wziął kamień ścierny, dzban z piachem i poszedł do swojej sypialni. Nigdy wcześniej nie miała śmiałości, by tam wejść, i modlił się, żeby nie weszła teraz.

Ostatnią rzeczą, o jakiej chciał rozmawiać z Sarą, była jego podstępna matka.

Ale Sara poszła za nim, najwyraźniej bez żadnych zahamowań.

- Nie kłamał, prawda? Twoja matka naprawdę jest angielską arystokratką? Córką księcia?

- Tak. - Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz - I co z tego?

- Naprawdę porzuciła ciebie i twojego ojca?

Z jego ust wyrwał się jęk. Cholera. Zaciśnął rękę na kamieniu, aż mu pobieleły kłykcie. Czuł litość, nawet na nią nie patrząc. Dlatego jej o tym nie powiedział. Nie chciał, aby poznała jego wstydlivy sekret, żeby litowała się nad nim, podczas gdy on pragnął, aby czuła coś zupełnie innego.

- Zrobiła to? - powtórzyła Sara. -

Tak.

Jak się spodziewał, wyglądała na zszokowaną. A w jej oczach dostrzegł litość. Widząc to, drgnął.

- Próbowales ją odnaleźć? - spytała. - Może później tego żałowała. Może...

- Uwierz mi, nie żałowała.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Na jej twarzy pojawił się upór.

- Och, ponieważ raz cię zostawiła, postanowiłeś wyrzucić ją ze swego życia i nigdy...

- Przysłała list, w porządku? - Znowu czuł ból. Powinien już dawno się uodpornić. Dlaczego to wciąż tak boleło? Mówił dalej, wiedząc, że Sara nie da mu spokoju, jeśli nie powie jej wszystkiego. - Pytałem o nią w brytyjskim konsulacie, kiedy! miałem dziesięć lat. Znałem tylko jej imię, więc uważali, że kłamię... albo że mój ojciec kłamał, kiedy mi o niej mówił. Wyraźnie dali mi do zrozumienia, że żadna angielska dama nie uciekłaby

ze swoim nauczycielem.

Za pójście do konsulatu ojciec sprął go mocniej niż zwykle. Widocznie konsul opowiedział Eliasowi Hornowi o tajemnej wizycie Gideona, zakładając, że Elias z jakiegoś nikczemnego powodu wysłał tam syna, i ostrzegł Eliasa, żeby trzymał dzieciaka z dala od konsulatu.

- Kilka miesięcy później na adres konsulatu przyszedł list do mojego ojca - mówił dalej. - Nie wiem, może konsul zadał sobie trud, aby ją odnaleźć. List był od mojej matki. Pisała, że nie chce... mieć ze mną do czynienia. - Z trudem wymówił te słowa. - Kilka lat później mój ojciec dowiedział się, że umarła, a jej rodzina nie życzyła sobie z nami żadnych kontaktów. I wtedy mój ojciec zaczął zapijać się na śmierć.

Wtedy Gideon porzucił już dziecinne nadzieje, że odnajdzie matkę i przekona ją, by go do siebie zabrała. Znosił pijaństwo ojca w milczeniu, wiedząc, że Elias bił go tylko dlatego, że Gideon był jej synem. Wtedy właśnie poprzysiął sobie, że pewnego dnia odpłaci Anglikom... wszystkim... za ich wyniosłość i brak zasad, za to, iż uważali, że mogą bezkarnie robić cokolwiek im się podoba.

I dotrzymał obietnicy, czyż nie? Ośmieszył wszystkich arystokratów, których spotkał na swej drodze, mając nadzieję, że któryś będzie krewnym jego matki. Cieszył się, ilekroć zrywał biżuterię z szyi jakiejś angielskiej suki.

Dopóki nie pojawiła się Sara. Sara zmieniała wszystko.

- Ale nie zostawiła ci niczego? - naciskała. - Testamentu? Jakiegoś... jakiegoś znaku, że żałowała tego, co zrobiła?

Irytowało go, że nie chciała uwierzyć, iż Angielka mogłaby tak okropnie postąpić. Nerwowo zdjął pasek i rzucił jej do stóp.

- Ta sprzączka jest jedyną rzeczą, jaką mi zostawiła i jestem pewien, że nie chciała jej zostawić. To była jej broszka, zanim przerobiłem ją na sprzączkę.

Sara podniosła pasek. Powoli obracała go w rękach. Patrzył, jak przesuwa palcami po brylantach i olbrzymim onyksie pośrodku wyrzeźbionym w kształt końskiego łba.

- Nie wątpię, że widziałaś mnóstwo takich drogocennych broszek w swoim życiu – powiedział, nawet teraz nie mogąc powstrzymać rozgoryczenia. - Pewnie sama posiadałaś ich kilka.

- Tak, to prawda. Ale nie prosiłam o nie. Nie oczekiwałam ich. Po prostu... pojawiły się, kiedy zostałam przybraną córką hrabiego. - Spojrzała na niego smutno. - Dlaczego zatrzymałeś tę broszkę, skoro tak bardzo nienawidzisz matki?

Chciał wzruszyć ramionami, ale jej pytania były jak ostrze noża wbijające się w stare rany, i trudno było zachowywać się nonszalancko.

- Kiedy miałem pięć lat, ciągle pytałem, dlaczego nie mam matki, więc ojciec pokazał mi broszkę i opowiedział całą historię. Kilka dni później ukradłem mu ją i schowałem. Widzisz, nigdy nie chciałem uwierzyć...

Urwał. Nigdy nie chciał uwierzyć, że jego matka celowo go porzuciła. Taka świadomość była zbyt bolesna dla pięcioletniego dziecka.

- Wiele lat później, kiedy dowiedziałem się, że mówił prawdę, zatrzymałem broszkę, aby przypominała mi, co zrobiła i jaką była kobietą.

- Nie rozumiem. Jak jakakolwiek kobieta mogłaby porzucić swoje dziecko?

Odezwał się ostrzej, niż zamierzał.

- Nie wiem. Podejrzewam, że brakowało jej służby gotowej spełnić każdą zachciankę. Brakowało jej drogich sukien i szampana, i resorowanego powozu. Brakowało jej biżuterii, którą mogłaby nosić na przyjęciach...

Urwał, nim załała go żółć. Spojrzał na wyspę. Jego wyspę. Wziął kilka głębokich oddechów, pozwalając, by słodkie powietrze Atlantydy uspokoiło go. Jedynie Atlantyda mogła uwolnić go od bólu po zdradzie matki.

Kiedy zaczął mówić dalej, cieszył się, że jego los był spokojniejszy.

Zapewniam cię, że mój ojciec nie miał jej wiele do zaoferowania. Dobrze zarabiał, ale nie umywało się to do poziomu, do jakiego była przyzwyczajona. Kiedy go poznała, nie był pijakiem, a w każdym razie tak mi powiedział. Zaczął pić, kiedy go porzuciła. - Jeszcze raz w głosie Gideona zabrzmiał gniew. - Widocznie nie mógł zrozumieć, dlaczego mąż i syn nie dorównywali wielkiemu domowi z pięćdziesięcioma służącymi i diamentowymi broszami wielkości jej arystokratycznej piąstki.

Przez dłuższą chwilę Sara się nie odzywała. Kiedy wreszcie to zrobiła, jej głos był zachrypnięty.

- Nie jestem taka jak ona, Gideonie. Wiem, że tak myślisz, ale...

- Nie wkładaj mi słów do ust, Saro! Do diabła, wiem, że nie jesteś taka jak ona. Ani trochę! Uwierz mi, moja matka nigdy nie podróżowała by statkiem pełnym skazanych kobiet. Nie cytowała by piratowi Arystofanesa. Zemdłałaby na widok węża i na pewno nie pomagałaby przy gaszeniu pożaru!

Wziął głęboki oddech i spojrzał jej w oczy. - Jednak tych wszystkich rzeczy nie zrobiłaby żadna z angielskich

arystokratek, które spotkali. Większość hrabiowskich żon i córek nie miało charakteru i rozumu.

- Winisz je za to? Wszystkie pewnie były przerażone.

Powiedziała to trochę defensywnie i Gideon uśmiechnął się nieznacznie. To było takie typowe dla Sary, żeby ujmować się za grupą kobiet, których nawet nie znała.

- Być może. Ale ty nie byłaś. Pogroziłaś mi pięścią i powiedziałaś, co o tym myślisz. Pogódź się z tym Saro, nie jesteś typową angielską arystokratką.

- Ale skoro... nie nienawidzisz mnie za to, kim jestem, dlaczego ty nie... to znaczy... - Urwała oblewając się rumieńcem.

Wpatrywał się w nią. Chyba nie usiłowała powiedzieć tego, co sam myślał.

- Dlaczego co, Saro? - odezwał się ostrożnie.

- Nic.

Poczuł wielkie rozczarowanie.

- Dlaczego nie możesz tego przyznać? Dlaczego udajesz, że mnie nie pragniesz, i każesz nam obojgu przechodzić przez te męki?

- Ponieważ to niewłaściwe, żebym cię pragnęła. Nie powinnam cię pragnąć! Tak nie powinno być!

- Dlaczego? Bo jesteś córką hrabiego, a ja tylko brudnym piratem? - Czuł się tak, jakby przypiekała mu duszę żywym ogniem. Odwróciwszy się do okna, oparł ręce na parapecie. - Może jednak myliłem się co do ciebie. Przy kobietach jesteś w stanie zapomnieć, że one są kryminalistkami, osobami nie z twojej sfery.. Ale ze mną...

- Nie to miałam na myśli! Tylko że... Podeszła do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie - wyszeptał ochryple. - Jeśli nie możesz przyjść do mojego łóżka, to mnie nie dotykaj.

- Ale Gedeonie...

Chwyciwszy ją za rękę, odwrócił się i wykręcił ją za jej plecy, mocno ją przytrzymując.

- Pamiętasz, co widziałaś rano, Saro? Co robiłem w strumieniu? Właśnie to robi mężczyzna dręczony niezaspokojonym pragnieniem, kiedy chce kobiety, która nie chce jego.

- Ale ja cię pragnę - wyszeptała szczerze, rumieniąc się. - Naprawdę. Masz rację. Pragnę cię tak bardzo, że ledwie to znoszę.

- Ale tego żałujesz - warknął.

- Tak. Nie mogę temu zaprzeczyć. Gardzę tym, co robiłeś w życiu, że napadałeś na statki i że nas porwałeś. Nic na to nie poradzę. Wychowano mnie w przekonaniu, że takie rzeczy są złe.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Po raz pierwszy w życiu miał wyrzuty sumienia z powodu życia, jakie prowadził. Miał powody, żeby wieść takie życie, to prawda, ale przez większą część jego pirackiego życia rząd popierał jego działania. Ale to nie czyniło go lepszym w jej oczach. I nagle zapragnął dla niej wymazać te lata.

-Ale nieważne jak bardzo przekonuję samą siebie, że to niewłaściwe, by cię pragnąć - mówiła cicho. - Nie mogę się powstrzymać. To jest dla mnie tak naturalne jak... jak... - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Prawienie ludziom kazań na temat ich grzechów. Pragnę cię, Gideonie, bardziej niż czegokolwiek. I z tego powodu gotowa jestem wybaczyć całą resztę.

Chociaż serce mu podskoczyło na te słowa, bał się w nie uwierzyć.

- Mówisz tak, bo litujesz się nade mną z powodu tego, co zrobiła moja matka. Jasno powiedziałaś, że nie chcesz kryminalisty w swoim łóżku, mężczyzny, który musiał porwać kobiety, żeby mieć żonę, mężczyzny, któremu przyjemność sprawia kradzież biżuterii...

Przerwała jego pełne goryczy słowa pocałunkiem, przywierając do niego całym ciałem i biorąc go w ramiona. Zamarł, krew zadudniła mu w uszach.

- Saro - ostrzegł, kiedy odsunęła się od niego. - Nie rób tego. Nie wiesz, czego chcesz.

- Wiem, czego chcę. - Przesunęła palcami po gołej skórze jego ramion. - Chcę, żebyś się ze mną kochał. Powiedziałaś, że następnym razem ja będę musiała o to poprosić. Więc proszę. – Głos jej drżał. - Kochaj się ze mną, Gideonie. Proszę.

To małe, słodkie „proszę” prawie go zgubiło. Krew wrzała mu w żyłach, ale się nie poruszył.

- To mi już nie wystarczy. Chcę cię za żonę, Saro. Tego chcę. I jeśli nie możesz nią być...

- Mogę. - Wydawała się zaskoczona swoją odpowiedzią, ale tylko przez chwilę. Potem na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji. - Wyjdę za ciebie i pomogę ci uczynić z Atlantydy kolonię marzeń.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Ile razy miał na to nadzieję? Czy jego umysł go zwodził?

- Ożenisz się ze mną, Gideonie Horn, straszny kapitanie piratów i lordzie mórz? - spytała z ironiczną powagą i ledwie skrywanym uśmiechem.

W tej sekundzie stracił nad sobą kontrolę. W odpowiedzi wziął ją w ramiona i pocałował zbyt mocno, zbyt namiętnie. Ale nie mógł się pohamować. Wreszcie była jego! Sara była jego. A on tak jej pragnął, że nie wiedział, jakim cudem

udało mu nie posiadać jej tu i teraz.

Oplotła mu ramionami szyję i mocno się do niego przytuliła, jednocześnie pieszcząc językiem jego język. Jej usta były gorące i słodkie, i nie mógł się nimi nasycić.

Jej małe, miękkie piersi przywarły do jego torsu. Rozchylił dekolt bluzki, którą dla niej kupił, wsunął pod spód rękę i zaczął pieścić piersi, aż usłyszał jęk.

Całował jej szyję, dekolt, odkrywając słony smak jej skóry.

- Gideonie... och, Gideonie... - wyszeptała, jeszcze bardziej go rozpalając.

Przez chwilę udało mu się powstrzymać od dotykania i całowania jej, i wychrypiął:

- Powinniśmy wrócić na statek, do twojej kajuty...

- Nie! - Nerwowo zaczęła rozpinąć guziki jego rozporoka. - Nie, kochajmy się tutaj, w naszym domu.

W naszym domu. To jednak nie był sen. Była z nim tutaj - przyrzekła być jego na zawsze. Rozwiązał tasiemki jej bluzki, potem zsunął materiał z ramion, odsłaniając jej piersi.

Między pocałunkami, pieszczotami i czułymi słówkami rozbierali się dłużej, niżby tego chciał, ale nie przeszkadzało mu to, skoro patrzyła na niego promienna i taka chętna, by oddać mu swoje ciało. Kiedy już byli nadzy, stanęli przy posłaniu, które przyniósł z ładowni.

Ale wtedy Gideon zatrzymał się, hamując swoje pożądanie.

- Co się stało? - wyszeptała, kiedy odsunął ją od siebie.

- Nie chcę, żebyśmy się kochali jak zwierzęta w rui. - Klęknąwszy na cienkim materacu, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie, aż znalazła się kilka centymetrów od niego. - Chcę, żebyś zapamiętała to na zawsze.

- To znaczy? - Otworzyła szeroko oczy, kiedy jego palce rozchyliły gęste, wilgotne loczki między jej nogami. Drżąc, wbiła palce w jego ramiona i spojrzała na niego czujnie. Pocałował jej intymne miejsce. Westchnęła przeciągle.

Najpierw pieścił ją powoli i głęboko, zgłębiając językiem wszystkie zakamarki jej kobiecości. Była gorąca i wilgotna, a jej smak doprowadzał go do szaleństwa. Coraz mocniej zaciskał dłonie na jej udach. Bardzo pragnął znaleźć się w niej, ale czegoś pragnął bardziej... przywiązać ją do siebie, sprawić, żeby nigdy nie żałowała swojego wyboru. Nie przestawał więc jej pieścić, dopóki nie poczuł, że zadrżała pod jego ustami.

Dopiero wtedy położył ją na pościeli i wszedł w nią. Chciał dotrzeć do jej duszy, żeby nigdy przenigdy go nie opuściła. Będzie jego na zawsze.

Uniosła się ku niemu, odrzucając głowę do tyłu i chwytając go za ramiona, żeby przyciągnąć go ku sobie. Boże, była taka ciasna i ciepła, i taka cudowna, myślał, gdy pograżyli się w dzikim, zmysłowym rytmie. Krew uderzyła mu do głowy. Niemal eksplodował, ale wstrzymywał się jeszcze na chwilę, po czym wytrysnął w niej z jękiem czystej rozkoszy.

Jak długo tak leżał? Pewnie tylko kilka sekund, ale wydawało mu się, że minęły godziny, zanim powoli wrócił na ziemię, czując pod sobą jej ciało wilgotne od potu, słysząc jej szybki, płytki oddech.

Zsunął się z niej i położył na boku. Wtuliła się w niego, jak zwinięty żagiel po sztormie, z ramio-

nami skrzyżowanymi na jego piersi i nogami splecionymi z jego nogami. Podkładając sobie jedną rękę pod głowę, drugą wodziła po włosach na jego torsie.

Spojrzał na srebrny medalion, który zawsze miała na szyi, i nagle ogarnęło go nieodparte pragnienie, żeby wszystko o niej wiedzieć. Dotknął medalionu.

- Piękny... Kto ci go dał?

- Moja matka. - Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. - W środku jest kosmyk jej włosów. To pewnie głupie nosić coś takiego, ale...

- Ani trochę. Musiałaś być blisko ze swoją matką - Zazdrościł jej tego.

- Bardzo za nią tęsknię. Mama zawsze mnie wysłuchiwała i umiała mądrze doradzić.

Popatrzył poza nią na niewykończoną sypialnię, w której się znajdowali, i nagle zapragnął, żeby była większa, wspanialsza.

- Co twoja matka pomyślałaby o takim losie dla ciebie?

- Możesz wierzyć albo nie, ale sądzę, żeby to zaaprobowała. Mama miała bardzo otwarte serce i znała się na ludziach. Kiedy byłam zadurzona w pułkowniku Taylorze, od razu mi powiedziała, że to nie jest mężczyzna dla mnie. Ale myślę, że ciebie by polubiła.

Było mu przyjemnie, że tak powiedziała, ale jednocześnie poczuł się zazdrosny. Sara kogoś kiedyś kochała?

- Kim był pułkownik Taylor?

Pochyliła głowę, zmieszana.

- Mężczyzną, z którym omal nie uciekłam. Moja rodzina go nie akceptowała.

- Pewnie dlatego, że nie był księciem.

- Nie. Ponieważ wiedzieli, że był łowcą posagów. Jordan dowiedział się co nieco o jego pochodzeniu i okazało się, że pułkownik nie miał grosza. Kiedy Jordan powiedział o tym mojemu ojczymowi, ten zagroził, że zabierze mi pensję, jeśli nie zerwę z tym mężczyzną.

Gideon zeszywniał, rozmyślając o własnym ojcu.

- To, że ten człowiek nie miał pieniędzy, ,nie oznacza, iż cię nie kochał.

- Ja też tak myślałam. Poszłam więc do pułkownika Taylora i zaproponowałam, że z nim ucieknę. Powiedziałam mu, że nie ma dla mnie znaczenia, czy zostaną wydziedziczona. - W jej głosie dało się słyszeć napięcie. - Ale najwyraźniej miało znaczeni dla niego. Jasno dał mi do zrozumienia, że nie ma funduszy, aby utrzymywać żonę, która nie mogła, jak to określił „wnieść niczego poza swoją urodą”.

Gideon usłyszał w jej głosie ból i gwałtownie zapragnął odnaleźć pułkownika Taylora i dać mu porządną lekcję.

- Ten mężczyzna musiał być idiotą, skoro zrezygnował z ciebie. Dzięki Bogu, że twój ojczym odkrył jego prawdziwy charakter, zanim było za późno.

- Tak, dzięki Bogu. - Po chwili dodała słabo: - Gideonie, co się stanie, jeśli... mój brat jakimś cudem tutaj dotrze? Powiedziałam ci wcześniej, że on nie spocznie, dopóki mnie nie znajdzie.

Ogarnął go niezrozumiały niepokój, ale zaraz sobie powiedział, że nie ma się o co martwić.

- Nigdy nie odnajdzie Atlantydy, na pewno nie bez przewodnika. Nawet mieszkańcy Wysp Zielonego Przylądka nie wiedzą o jej istnieniu.

- Ale gdyby mu się udało - naciskała. - Co byś zrobił?

- Nie pozwoliłbym mu cię zabrać, jeśli o to pytasz. Będę walczył z każdym mężczyzną, który próbowałby mi cię odebrać. - Odezwała się wcześniejsza nieufność i wbrew sobie dodał gorzko: może masz nadzieję, że tak się stanie, że hrabia cię uratuje?

- Nie, oczywiście, że nie! - Na sekundę w jej oczach pojawiło się poczucie winy, ale zniknęło szybko, że nie był pewien, czy w ogóle je tam widział. Położyła dłoń na jego policzku, głaszcząc go delikatnie palcami. - Kiedy powiedziałam, że chcę wyjść za ciebie za mąż, mówiłam poważnie. Ale tęsknię za bratem. Chciałabym go powiadomić, że nic mi nie jest.

Te słowa wbiły się jak pal w jego serce. Puścił ją i odwrócił się na plecy.

- Tak, wy angielskie arystokratki najwyraźniej jesteście bardzo przywiązane do rodziny.

- Przestań, Gideonie. - Przysunęła się do niego i położyła mu głowę na piersi. - Przestań porównywać mnie do swojej matki. Nie zamierzam cię opuścić, nie, jeśli to ma zależeć ode mnie. Chcę tylko powiedzieć, że nic by się nie stało, gdybym wysłała bratu list z informacją, że nic mi nie jest i że jestem szczęśliwą żoną...

- ...Pirata? To z pewnością go uszczęśliwi.

- Byłego pirata. - Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. - Przynajmniej nie jesteś łowcą posagów. Ty nawet nie pozwalasz mi wrócić do domu, a co tu mówić o roszczeniu pretensji do mojej części spadku.

Owładnęło nim poczucie winy.

- Nawet mi nie mów o powrocie do domu. Wiesz, że nie możesz; będzie mnóstwo pytań. Będą próbowali cię nakłonić, żebyś ujawniła, gdzie jesteśmy. -

- Widząc, że poczuła się urażona, szybko dodał: - Nie mówię, żebyś to zrobiła, ale gdybyś tego nie zrobiła, mogliby cię nie wypuścić, dopóki byś nie powiedziała. A jeśli nie mogłabyś wrócić tutaj ja nie mógłbym pojechać za tobą. Powiesiliby mnie.

Pobladła.

- Nie pomyślałam o tym. - Potem się rozpromieniła. - Może moglibyśmy pojechać do Anglii razem, w przebraniu albo coś takiego. Nigdy nie chciałeś zobaczyć kraju, w którym się urodziłeś? Odnaleźć swoją rodzinę...

- Nigdy. Nie po tym, co zrobili mnie i mojemu ojcu.

- A to inna sprawa... nie jesteś ani trochę ciekawy, czy ojciec powiedział ci całą prawdę? A jeśli jest druga wersja całej historii? Co, jeśli twoja matka opuściła go, bo ją bił albo robił coś równie okropnego...

- Zostawiając mnie, żebym to ja był bity? To gorsze niż to, co on mi powiedział.

To ją zaniepokoiło.

- Cóż, tak, ale mogło być coś innego...

- Nie. Widziałem list od niej. Po co te wszystkie pytania? I po co ta cała rozmowa o powrocie do Anglii, skoro jesteś szczęśliwa, że wychodzisz za mnie za mąż?

Na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

- Przepraszam, Gideonie. Nie mogę po prostu przestać się o niego martwić i myśleć, przez co teraz przechodzi. To nie znaczy, że chcę cię opuścić, Ale chcę go uspokoić.

Wpatrywał się w nią. Powoli ogarniał go strach, że ją utraci. Jeśli zabroni jej komunikować się z rodziną, Sara w końcu go za to znienawidzi. To pragnienie jej nie minie.

Z drugiej strony, jeśli pozwoli jej wysłać list, czy to wystarczy?

- Jeśli mu powiem, że jestem bezpieczna – nalegała - może nie będzie próbował mnie odnaleźć.

- Nie jestem tego pewien. Gdybym był twoim bratem, nie spocząłbym, dopóki bym cię nie odnalazł i nie nadzieiał na szpikulec człowieka, który cię wykorzystał.

Pobladła, przyciskając palce do jego ust.

- Nie mów tak. Nikomu nie pozwolę nadzieiał cię szpikulec, zwłaszcza mojemu bratu.

Nagły przestрах w jej oczach trochę rozwiązał jego wątpliwości.

- Dobrze. Możesz wysłać list do brata. Chyba nic się nie stanie, jeśli to zrobisz.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, mocno się przytulając.

- Dziękuję, Gideonie. Tak bardzo ci dziękuję.

Czując, że postąpił wielkodusznie, uśmiechnął się do jej głowy otoczonej chmurą potarganych włosów i pogłaskał ją czule.

- Myślę, że pozostałe kobiety także mogą napisać listy do swoich rodzin, jeśli chcą.

Uniosła gwałtownie głowę i zobaczył wyraz niezmaconej radości malujący się na jej twarzy.

- Och, Gideonie, to będzie dla nich wiele znaczyć! Większość z nich nikogo nie ma, ale jestem pewna, że niektóre będą chciały skontaktować się z rodzinami.

- Każę jednemu z moich ludzi wysłać listy z Sao Nicolau, kiedy w tym tygodniu pojadą po duchownego.

- Duchownego?

Pocałował jej piegowaty nos.

- Przecież nie mogę sam sobie udzielić ślubu prawda? Na Sao Nicolau mieszka anglikański duchowny, który może przyjechać tutaj na kilka. A niektóre kobiety też mogą chcieć, żeby ślubu udzielał im duchowny.

- Tego nie wiem. - Powiodła palcem po bliźnie na jego policzku. - Podejrzewam, że połowa z nich nigdy nie przekroczyła wrót kościoła.

- Ależ, panno Willis - zażartował - chyba nie chce mi pani powiedzieć, że nie wszystkie z pani drogocennych więźniarek są nieskazitelnie czystymi panienkami.

Groźnie zmarszczyła brwi, dźgając go palcem w pierś.

- Ty, mój panie, nie masz prawa wytykać komukolwiek, że nie jest nieskazitelnie czysty. Rabowanie statków, porywanie kobiet i...

Zdusił jej kazanie pocałunkiem.

Tak, pomyślał, gdy ponownie stwardniał i poczuł, jak Sara chętnie rozchyła nogi. Właśnie tak należało z nią postępować - całować ją, dopóki nie zapomniała, o co się złościła. Kochać się z nią, dopóki nie zapomniała o tych przeklętych więźniakach i Anglii, i przyrodnim bracie.

Zwłaszcza o przyrodnim bracie. Bo miał dziwne przeczucie, że rozmowy o tym przeklętym Angliku jeszcze się nie skończyły.

Rozdział 22

*Złoto nic dla mnie nie znaczy!
Żal ściska moje serce
Pragnienie twego towarzystwa z pewnością świadczy
O mojej rozterce:
Dlatego, najdroższa, nie zostawiaj mnie w mękach
Na brzegu;
Bądźmy zawsze razem, ukochana,
Bo więcej mógłbym cię nie zobaczyć.*

Anonim
Niezrażony marynarz

Jeszcze jedna historia, opowiedz nam jeszcze jedną historię! - wołały dzieci, siedząc wokół Sary na plaży.

Minęły dwa dni, odkąd zgodziła się wyjść za Gideona - dwa wspaniałe, szczęśliwe dni. Oczywiście dzieci wyczuły jej nastrój. Jak mogłyby nie wyczuć, skoro przez cały czas uśmiechała się sama do siebie i chodziła z głową w chmurach? Właśnie dlatego dzisiaj udało im się ją przekonać, żeby zrezygnowała z lekcji i opowiedziała im bajkę. A jej nawet to nie przeszkadzało. W tej chwili była tak szczęśliwa, że chętnie poczęstowałaby herbatą i ciasteczkami samego diabła, gdyby ją ładnie poprosił.

Ann jednak przynajmniej raz była zdecydowanie bardziej praktyczna.

- No, dzieciaki, opowiedziała wam trzy bajki. Już wystarczy.

- Mnie nie przeszkadza...

Przerwał jej głęboki męski głos.

- Ja opowiem dzieciom bajkę, jeśli chcą.

Sara zobaczyła Gideona zadowolonego i beztroskiego jak nigdy dotąd. Podszedł do niej z łobuzerskim uśmiechem na opalonej twarzy. Wiatr rozwiął kruczoczarne włosy, przez co rysy jego twarzy nie wydawały się już tak ostre. Kiedy do niej mrugnął, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Cóż, czasami ten mężczyzna zachowywał się jak mały chłopiec.

- Jestem pewna, że chętnie wysłuchają twojej opowieści, Gideonie - powiedziała. - Prawda, dzieci?

Cisza.

Zerknęła na dzieci, które przyglądały się piratowi z mieszaniną strachu i podziwu. Do tej pory nie bardzo interesował się dziećmi. Niewiele o nich wiedziały poza tym, że on i jego ludzie pojмали je i ich matki.

Być może gdyby dzieci były starsze, nie czułyby się tak bardzo onieśmiałe. Jednak najstarszy chłopiec miał zaledwie sześć lat, a najstarsza dziewczynka dziewięć.

Prychnięcie Ann przerwało krępujące milczenie.

- Nie wstyďte się. Wiem, że chętnie posłuchacie historii kapitana. Pewnie macie już dość słuchania mnie i panny Willis, prawda?

Pod surowym spojrzeniem Ann dzieci zaczęły powoli kiwać potakująco głowami.

Gideon kucnął obok Sary, uśmiechając się beztrosko.

- Popatrzcie wszyscy tutaj. Wiem, że słyszeliście o mnie różne przerażające opowieści. I nie zamierzam was oszukiwać. Niektóre z nich są prawdziwe. Zdarzyło mi się kraść biżuterię i stoczyłem wiele bitew, większość w obronie mojego kraju.

Dzieci wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Ale wiele z tego, co o mnie myślicie, nie jest prawdą. Statek nazywa się Satyr, nie Szatan. - Uśmiechnął się do nich szelmowsko. - I chociaż mogę go czasami przypominać, nie jestem diabłem. Pochyliwszy głowę, rozchylił włosy obiema rękami. - Przyjrzyjcie się. Widzicie jakieś rogi na mojej głowie? - Usiadł na piasku i ściągnął jeden but, potem uniósł stopę i poruszał palcami. - A kopyta? Widzicie jakieś kopyta? Bo ja nie. - Podniósł stopę wyżej, jakby sam chciał ją obejrzeć. Potem zmarszczył nos. - Żadnych kopyt, ale na pewno śmierdzą.

Siedząca z przodu córeczka Molly, Jane, zachichotała, a potem przykryła usta dłonią.

Wykorzystując dobry początek, Gideon wystawił nogę w stronę Jane i znowu zamachał palcami.

- Chcesz powąchać moją stopę? - Chichocząc, potrząsnęła głową. - Może chcesz sprawdzić, czy są tu jakieś ukryte kopyta? Może pod palcami? Albo z tyłu pięty?

Kilkoro innych dzieci się roześmiało.

- No dalej. Sprawdźcie, czy znajdziecie jakieś kopyta. - Jane nieśmiało wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego palców u stóp. - Nie łaskocz mnie - ostrzegł. - Mam łaskotki.

Sara zdusiła uśmiech. Nie miał żadnych łaskotek, a ona o tym wiedziała, bo знаła każdy centymetr jego ciała.

Jane dotknęła palcem pięty pirata, a on zaśmiał się na niby.

- Przestań, proszę, przestań! - zawołał, udając strach. - Powiedziałem ci, że mam łaskotki! - To oczywiście sprowokowało bardziej śmiałe próby połaskotania go,

i niebawem inne dzieci także próbowały doprowadzić go do śmiechu. Po chwili tłoczyły się wokół niego, a śmiechom i radosnym pokrzykiwaniom nie było końca.

Obserwowała to, czując coraz większy ucisk w gardle. Byłby takim wspaniałym ojcem. Mogła wyobrazić go sobie, jak bawi się w piasku ze swoim ciemnowłosym synem albo ciemnooką córeczką. Tak bardzo się cieszyła, że wyjdzie za niego za męża.

Gdyby tylko mogła być pewna, że Jordan wszystkiego nie zniszczy.

Rozpromieniła się. Oczywiście, może wcale nie przybędzie. Dzięki temu, że Gideon okazał się łaskawy, mogła wysłać list do Jordana, prosząc go aby nie przyjeżdżał. Przy odrobinie szczęścia list dotrze wystarczająco wcześnie, żeby go uspokoić, iż z nią wszystko w porządku i nie musi jej szukać. Przecież minęły dopiero trzy tygodnie, odkąd Petey odszedł, i pewnie jeszcze nie znalazł statku płynącego z Wysp Zielonego Przylądka do Anglii. Ale jej list mógł wylądować na tym samym statku co Petey.

A nawet jeśli list dotrze do Anglii po tym, jak Jordan wyruszy w rejs, i jeśli Jordan dotrze na wyspę, to i tak przybędzie za późno. Duchowny zjawi się tutaj za dwa dni, a wtedy ona i Gideon będą już małżeństwem. Wtedy nikt nie zdoła ich rozdzielić. Nawet Jordan nie będzie oczekiwał, że Sara opuści męża, człowieka, którego kocha.

Mężczyznę, którego kocha. Poczowała ukłucie w piersi. Kochała Gideona tak bardzo, że czasami z trudem to mogła udźwignąć. Uświadomiła to sobie tej nocy, gdy opowiedział jej o swojej matce, tej nocy, gdy kochał się z nią tak czule, że niemal pękło jej serce. Już wtedy chciała mu o tym powiedzieć,

ale jej uczucie było tak nowe i świeże, że obawiała się, iż mogłaby nie znieść, gdyby on nie wyznał jej miłości. Jakaś jego część wciąż jej nie ufała, bez względu na to, co mówił, i nie będzie czuł się całkowicie pewien, dopóki nie wezmą ślubu.

Jak do tego doszło? Jakim cudem uczynienie byłego pirata szczęśliwym stało się najważniejszym celem w jej życiu? Nie wiedziała; co więcej, nie dbała o to. Jej uczucia się nie zmieniają.

Dlatego zgodziła się za niego wyjść. Nie miało sensu dłużej udawać, że po prostu odplynie beztrasko z Jordanem, kiedy ten po nią przyplynie. Nie mogła opuścić Gideona, tak samo jak nie mogła przestać oddychać.

Poza tym nie zamierzała zamieniać spokoju Atlantydy na Londyn. W Londynie zawsze czuła się, jakby wtykała palce w lepkaż małż. Nie dostawała zbyt wiele wsparcia od ludzi, którzy podobno byli jej równi, co więcej, kpili z niej z powodu jej wysiłków. Bez względu na to, jak bardzo się starała, zawsze więcej traciła niż zyskiwała.

Jednak na Atlantydzie mogła naprawdę pomóc ludziom. Po części dzięki niej kobiety zaczęły bardziej polegać same na sobie. Mężczyźni zaczęli okazywać im szacunek, pytać o ich potrzeby i czynić drobne gesty, które zaskarbiały im sympatię wybrank. Byli naprawdę miłymi mężczyznami, a przynajmniej większość z nich.

Budowali razem coś trwałego. Serce jej rosnęło, gdy patrzyła, jak ludzie, którzy zostali odrzuceni przez własne kraje, odzyskali poczucie wartości i znaleźli pożyteczny cel w życiu. Każdego dnia budziła się z entuzjazmem, z entuzjazmem odkrywała wyspę i nowe radości, które chciała dzielić z Gideonem.

Tylko z jednego powodu czuła się winna – że niewystarczająco mocno naciskała Gideona w kwestii kobiet. Oboje unikali tematu małżeństw, nie chcąc przerywać tej delikatnej nici szczęścia która ich połączyła. Ale niebawem będzie musiała poruszyć ten temat. Miesiąc, który Gideon dał kobietom, za dwa dni dobiegnie końca, i chociaż większość z nich wybrała już mężów, niektóre wciąż się wzbraniały, zwłaszcza te, które pozostawiły w kraju ukochanych.

Gideon z pewnością zrobi dla nich wyjątek, kiedy ona wyjaśni powody. W ciągu ostatnich tygodni przekonała się, że Gideon był człowiekiem racjonalnym, zdolnym do wielkiej szczodrości. Pomimo swojego cynizmu miał nadzieję na coś lepszego i był gotowy walczyć, żeby to osiągnąć.

Obserwowała, jak opowiada dzieciom historię o jednookim Jacku, okrętowej papudze, która miała słabość do solonej wołowiny. Bawiąc się piaskiem, przyglądała się ze ściśniętym sercem. Jego policzek z blizną, którą kiedyś uważała za złowieszczą, a teraz była taka urocza... Jego duże, zwinne palce, które dawały jej dziką rozkosz kilkakrotnie w ciągu ostatnich kilku dni... Jego białe stopy...

Och, tak, kochała go całego. I chociaż on nie wypowiedział jeszcze tych słów, wiedziała, że to zrobi. Musiał. Ona nie pozwoli mu się nie kochać.

Skończył swoją opowieść i dzieci głośno zaczęły domagać się kolejnej, ale podniósł ręce, jakby się poddając.

- Przykro mi, ale nie mogę. Nie teraz. Czeka na mnie Silas i pozostali mężczyźni. Idziemy na polowanie.

Kiedy rozległ się chór niezadowolonych głosów, powiedział:

- Wszystkie lubicie pieczonego prosiaka, prawića?
Dzieci potaknęły.

- Cóż, więc - wstał, otrzepując spodnie z piasku - musimy jakiegoś dla was upolować. Ale wrócimy przed nocą i wtedy opowiem wam kolejną historię, dobrze?

- Taaaaak! - krzyknęły dzieci.

Kiedy podszedł do Sary, Ann wstała, posyłając im obojgu pobłażliwy uśmiech i zbierając dzieci wokół siebie.

- Dzieci, chodźmy na spacer po plaży. Wydaje mi się, że niedaleko stąd widziałam gniazdo żółwia.

Sara uśmiechnęła się do przyjaciółki z wdzięcznością.

- Nie będzie cię cały dzień? - spytała Horna, gdy tylko dzieci się oddaliły.

Uśmiechnął się, biorąc ją w ramiona.

- Brzmisz jak żona, a jeszcze nawet nie jesteśmy po ślubie.

- Przeszkadza ci to? - spytała figlarnie.

- Ani trochę. - Pocałował ją mocno, błędząc nieprzyzwoicie rękami po jej ciele. Czego z pewnością nie powinien robić na otwartej plaży.

Kiedy odsunął się od niej, przywarła do niego, nie chcąc się z nim rozstawać. A przecież nie spędzali razem każdej chwili. Jednak z jakiegoś powodu dzisiaj nie umiała się z nim rozstać.

- Mogłabym pójść z tobą.

Roześmiał się.

- I co byś robiła? Ładowała nam strzelby? Kroiła i rozbierała mięso? Niosła je z powrotem? Masz lepsze rzeczy do roboty niż przedzieranie się po krzakach z grupą śmierdzących mężczyzn.

- Nie dlatego nie chcesz, żebym poszła -
zarzuciła mu. - Ty i pozostali po prostu chcecie
swobodnie stękać, drapać się i wlewać w siebie
grog, nie martwiąc się, co o was pomyślą kobiety.

- Skoro o tym wspomniałaś...

- Idź już - powiedziała z udawaną pogardą,
odpychając go od siebie. - Nie spodziewaj się
jednak, że przyjmę cię w łóżku śmierdzącego
grogiem i świńską krwią.

- Nie martw się. - Przytulił ją do siebie. - Po
tylu godzinach stękania, drapania się i wlewania
w siebie grogu, będę miał wielką ochotę na kąpiel -
Jednym palcem rozchylił dekolt jej bluzki i zajrzał
pod spód. - I jeszcze na kilka innych przyjemnych
rzeczy.

- Gideonie! - zaprotestowała, rumieniąc się.

Mocniej objął ją w pasie. Już drżała
w oczekiwania na jego pocałunek.

- Kapitanie! - rozległo się wołanie od strony su.
- Idziesz czy nie?

Puścił ją z westchnieniem.

- Tak, niech to szlag - zawołał. - Będę za chwilę.

- Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.
Uniosła się, żeby pocałować go w policzek.- Baw
się dobrze. I przynieście nam porządnego tłustego
prosiaka na wesele.

- Właśnie taki mam zamiar, kochanie - odparł
z uśmiechem.

Potem odwrócił się i poszedł plażą w stronę
lasu.

Serce jej biło jak szalone, gdy patrzyła, jak
zatrzymał się i pomachał, a potem zniknął w lesie.
Kochanie. Nazwał ją swoją kochaną. To pewnie nic
nie znaczyło, ale dawało jej nadzieję. Wkrótce na
pewno powie coś więcej; była tego pewna. Już nie

mogła się doczekać, aby wtedy odpowiedzieć mu tym samym.

Unosząc kraj sukni, ruszyła na spacer po plaży. Tak pogrążona w myślach o Gideonie, że nie zauważyła, jak daleko odeszła od innych.

Dopóki ktoś nie chwycił jej z tyłu.

Zakrywając jej usta dłonią, wciągnął między drzewa. Była przerażona i zaczęła wyrywać się z uścisku mężczyzny.

- Puść ją, Petey! - syknął jakiś głos, kiedy ona i jej napastnik znaleźli się w lesie. - Przestraszyłeś ją!

- Nie krzycz, panienko, dobrze? - Petey wyszeptał jej do ucha. - Teraz cię puszczę.

Odpowiedziała mu kuksańcem między zębra. - Au! - krzyknął, puszcżając ją. - A to za co, u licha?

Odrzuciła się do niego z furią w oczach.

- Za napędzenie mi stracha, ty matole!

- Stracha? - rozległ się kolejny znajomy głos. Zza drzew wyłonił się Jordan, wymizerowany i błądy. - Twoje słownictwo się zmieniło od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, Saro.

- Jordan! - zawołała, a serce podskoczyło jej z radości na widok ukochanego przyrodniego brata. Rzuciła się w jego otwarte ramiona i wtuliła w nie twarz.

- Och, Jordanie, jesteś!

- Tak, kruszynko, jestem. - Mocno ją przytulił. - A tobie nic nie jest? Czy te diabły coś ci zrobiły? - Odsunął ją od siebie na długość ramion i uważnie się jej przyjrzał. - Wyglądasz dobrze, ale wiem, to nic nie znaczy.

- Nic mi nie jest - szepnęła. - Naprawdę. Odgarnął jej włosy z policzka, uważnie studiując jej twarz.

- Nie masz pojęcia, jakie tortury przeżywałem wyobrażając sobie jakie okropieństwa... - Urwał z ponurym wyrazem twarzy. - Ale teraz to już bez znaczenia. W końcu cię odnalazłem. Teraz jesteś bezpieczna.

Ogarnęło ją poczucie winy. Bezpieczna? Jak miała mu powiedzieć, że przez cały czas była bezpieczna? Że cieszyła się, zaczynała budować nowe życie i zakochała się, podczas gdy Jordan cierpiał katusze z jej powodu.

Ale nie była to wyłącznie jej wina. Och, gdyby Gideon mógł teraz zobaczyć jej brata, zrozumiałby, jak nieuczciwie się zachował, porywając je wszystkie.

Gideon! Boże drogi, co miała zrobić z Gideonem i Jordanem?

Odsunęła się od brata. Szukając rozpaczliwie sposobu, by powiedzieć mu, co się zmieniło w jej życiu w ciągu ostatnich miesięcy, mieszała pokryła pytaniami.

- Jak udało ci się dotrzeć tutaj tak szybko?

- Jak tylko Chastity dopłynął do Londynu, kapitan przyszedł do mnie i opowiedział mi o pojmaniu. Natychmiast wyruszyłem na Wyspy Zielonego Przylądka, gdzie statek po raz ostatni wpłynął do portu. Pływając od wyspy do wyspy w poszukiwaniu informacji o miejscu pobytu piratów, natknąłem się na Sao Nicolau na Peteya, który czekał na miejsce na statku płynącym do Anglii. On mnie tutaj przyprowadził.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogło wydarzyć się coś takiego - chociaż, gdyby o tym pomyślała, domyśliłaby się, że Jordan wyruszy jak tylko Chastity dotrze do Anglii. Teraz się zjawił. A ona zupełnie nie była na to przygotowana.

- Gdzie jest twój statek?

- Petey rozejrzał się po wyspie, zanim ją opuścił i wskazał nam ustronne miejsce, gdzie moi ludzie mogą czekać, aż przyprawimy ciebie i jego narzeczoną.

- A jeśli o tym mowa, gubernatorze... – zaczął Petey.

- Jordan odprawił go ręką.

- Tak, idź i jej poszukaj. Ale pospiesz się, zanim statek zostanie zauważony. Sara i ja poczekamy tutaj na ciebie.

Dobrze, pomyślała, kiedy Petey odszedł w pośpiechu. Potrzebowała kilku chwil na osobności z Jordanem.

Zwróci! się do niej z ponurym wyrazem twarzy.

- Wiem, że chciałaś uratować pozostałe kobiety, Saro, ale najpierw musiałem się upewnić, że nic ci nie grozi. Kiedy tylko Petey znajdzie swoją narzeczoną, będziemy mogli wrócić na Defiant.

Spojrzała na niego zaskoczona. Defiant był dumą jego floty. Nie mogła uwierzyć, że nie zawahał się go dla niej użyć.

- Mogłem ściągnąć tutaj marynarkę wojenną - mówił dalej - ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, twoja reputacja zostałaby zniszczona na zawsze. Już zapłaciłem kapitanowi Chastity, żeby kłamał o tym, co wydarzyło się podczas ataku piratów, pomyślałem więc, że lepiej wezmę jeden ze swoich statków, żeby nie ryzykować skandalu.

- Ale, Jordanie...

- Nie martw się - ciągnął Jordan, jakby nic nie powiedziała. - Mam wystarczająco dużo uzbrojonych ludzi i armat, żeby samemu rozbić to gniazdo piratów. Możemy zatopić Satyra, zanim ci dranie zorientują się, co się dzieje. Potem możemy...

- Nie! Nie możesz tego zrobić! Popatrzył na nią, jakby oszalała, potem wyraz jego twarzy się zmienił.

- Och, tak, zapomniałem. Petey powiedział mi, że kobiety śpią na pokładzie statku. Cóż, trzeba więc po prostu odpłynąć Satyrem na bezpieczną odległość, zanim zaatakujemy. Mam wystarczająco dużo ludzi...

- Jordanie, proszę! Nie możesz tego zrobić!

- Dlaczego nie?

Splotła dłonie, usiłując znaleźć sposób, aby mu powiedzieć.

- Bo nie pozwolę ci na to. Nie mogę ci pozwolić skrzywdzić Gideona.

- Gideona? - powtórzył z nieprzyjemnym błyskiem w oczach. - Chyba nie mówisz o kapitanie Hornie? Lordzie piratów? Człowieku, który siał spustoszenie na brytyjskich wodach przez ostatnie dziesięć lat? Bezwzględny kryminaliście z...

- Nie jest bezwzględny! I nie jest kryminalistą. Już nie.

- Chodzi ci o to, że oznajmił, iż zamierza osiąść na tej wyspie? Petey wszystko opowiedział mi o tym człowieku, którego z jakiegoś absurdalnego powodu wydaje się podziwiać. Ale ja nie jestem zaślepiiony romantycznymi legendami o piratach, Saro. Wiem, jaki on jest.

- Ale on nie jest taki, jak sądzisz! Nie jest tym... tym okropnym potworem, którego z niego zrobili w gazetach. Jest inteligentny i dobry, i...

- I dla zabawy porywa kobiety.

Przełknęła ślinę. Trudno było zbić ten argument.

- Nie dla zabawy. Ale tak, porwał nas. To było nierozsądne, i jeśli pozwolisz mi z nim porozmawiać, przekonam go żeby zwolnić te kobiety, które chcą opuścić wyspę.

- Pozwolić ci z nim porozmawiać? - Chwycił ją za ramiona. - Saro, to nie jest jeden z tych żalonych staruszków z komisji marynarki, którego możesz omamić słodkimi słówkami, żeby zrobił co chcesz! To zaprawiony w boju bandyta!

- Nie znasz go!

- A ty znasz? - Zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważnie, zauważając swobodny strój i bose stopy. - A jak dobrze znasz tego pirata?

Usiłując powstrzymać rumieniec, odwróciła twarz.

- Wystarczająco dobrze. Kocham go, Jordanie. Poprosił, żebym za niego wyszła, i zgodziłam się. Mamy się pobrać pojutrze.

- Po moim trupie! - wybuchnął. - Jeśli chociaż przez chwilę sądziłaś, że będę stał z boku i patrzył, jak popełniasz taki błąd...

Spojrzała mu w oczy.

- To nie jest błąd! Doskonale wiem, co robię!

- Tak, tak samo jak wiedziałaś, co robisz, kiedy zakochałaś się w tym przeklętym pułkowniku Taylorze!

Odskoczyła od niego.

- Ty... ty... - Urwała, gwałtownie wciągając powietrze, żeby się uspokoić. - Jak śmiesz ich porównywać! Pułkownik Taylor chciał moich pieniędzy! Gideon nie chce ode mnie niczego poza moją miłością!

Jordan potarł dłonią wierzch pięści, jakby chciał nią kogoś zdzielić. Pewnie Gideona.

- Posłuchaj, co mówisz, Saro. Bronisz człowieka, który nienawidzi angielskiej arystokracji od dnia, kiedy po raz pierwszy postawił żagle. Czy masz pojęcie, ilu

Anglików ten pirat okradł? Ile kobiet uwiódł, ile...

- Nigdy nie uwiódłby kobiety - chyba że poprosiłaby go o to - wypaliła. Potem oblała się gwałtownie rumieńcem i odwróciła twarz. Niech to szlag, nie powinna tego mówić, zwłaszcza nie Jordanowi. - T-to znaczy...

- Chcesz powiedzieć, że uwiódł ciebie?... - odezwał się groźnie. Włożył dłoń za pazuchę i wyciągnął pistolet. - Teraz będę musiał go zabić.

Rzuciła się na niego, chwytając go z całych sił za rękę.

- Nigdy ci nie wybaczę, jeśli spadnie mu choć jeden włos z głowy!

- Przeżyję to - warknął, usiłując ją odepchnąć - Gdzie jest ten drań...

- Nie waż się! Ja... ja powiem o tobie piratom zanim zdążysz opuścić wyspę! Przysięgam, że to zrobię!

Ludzie Gideona nie skrzywdziliby Jordana, gdyby im na to nie pozwoliła. Zaczęli jej ufać, a może nawet ją szanować - wiedziała o tym. Nie miała jednak pewności, że Gideon postąpiłby tak samo. Gdyby Gideon chociaż przez chwilę pomyślał, że Jordan przybył na wyspę, aby zabrać Sarę, zakułby go w kajdany. Musiała zrobić wszystko co w jej mocy, żeby trzymać tych mężczyzn z daleka od siebie.

Jordan patrzył na nią z rozdziawioną buzią.

- Wydasz mnie piratom? Zrobiłabyś to?

- Nie mogę ci pozwolić go skrzywdzić, nie rozumiesz tego? Nie mogę pozwolić, żebyś przyprowadził tu swoich ludzi i zniszczył Atlantydę! Za ciężko pracowaliśmy, żeby teraz oglądać jej zniszczenie. Nie możesz tego zrozumieć? Teraz to miasteczko, miejsce, w którym ludzie mieszkają i pracują i mają rodziny.

Nie możesz tak po prostu ściągnąć tutaj swoich... swoich armat i zrównać to miejsce z ziemią. Nie pozwolę ci na to!

- Ta wyspa wiele dla ciebie znaczy, prawda?

- Ta wyspa znaczy dla mnie wszystko - powiedziała cicho.

Odwrócił od niej wzrok i wsunął pistolet z powrotem za pazuchę.

- Dobrze. Zrobię, jak zechcesz.

Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Co to znaczy „jak zechcę”?

- Nie ściągnę tutaj swoich armat. Odpłynę, zanim piraci zorientują się, że tu byłem. - Spojrzał jej w oczy. - Ale pod jednym warunkiem.

- Warunkiem?

- Że odpłyniesz ze mną. Serce w niej zamarło.

Mogła się tego spodziewać. Jordan zawsze gotów był zrobić wszystko, co konieczne, aby ją chronić, nawet jeśli miałby to być podły szantaż.

- Pamiętaj o tym - dodał, widząc wyraz jej twarzy - że moi ludzie dostali rozkaz, by zaatakować jeśli nie wrócę na statek do południa. Nie odpłynę, dopóki ty nie odpłyniesz ze mną, nawet jeśli miałyby to oznaczać zniszczenie tej wyspy.

Zadrżała.

- Jordanie, nie prosz mnie o to. Są tutaj kobiety, które chcą odejść, i powinieneś je zabrać, ale jeśli chodzi o mnie...

- Tylko ty mnie obchodzisz, Saro. Bez ciebie nigdzie się nie ruszę.

- Nie chcę stąd odpływać. Nie słyszałeś, co mówiłam?

Słyszałem. Ale nie wydaje mi się, żebyś mówiła poważnie. - Jego głos stał się dobrotliwy. - Żołnierze

znają to zjawisko. Często się zdarza wśród uwięzionych mężczyzn. Kiedy są oderwani od społeczeństwa, tracą punkt odniesienia i zaczynają rozumieć i ufać swojemu porywaczowi. Kiedy jednak zostają uratowani, uświadamiają sobie, że w niewoli nie myśleli trzeźwo. Rzeczywiście, nie myśleli trzeźwo!

- Och, jak mam sprawić, żebyś zrozumiał? Ja myślę trzeźwo. Wiem, co robię!

- Więc to udowodnij. Płyn ze mną do Anglii, Saro. Zostaw tych łotrów i ich kolonię. Jeśli po paru tygodniach będziesz czuła to samo, przywiozę ci tutaj z powrotem.

- Nie, nie zrobisz tego. Znam cię, Jordanie. Nawet jeśli udowodnię, że się myliłeś, nie przyznasz się do pomyłki. Zabierzesz mnie stąd, a potem będziesz szukał wymówek, żeby mnie tu nie przywieźć. - Spojrzała na niego błagalnie. - Jeśli mnie zmusisz, żebym z tobą popłynęła, to mnie zabije słyszysz? Znienawidzę cię za to. Mogę ci to obiecać.

Wzdrygnął się na jej słowa, ale tylko przez chwilę. Potem jego twarz przybrała nieustępliwy wyraz,

- Lepiej, żebyś mnie za to znienawidziła, niż miałabyś żałować, że tu zostałam. Daję ci słowo, że jeśli ze mną nie popłyniesz, wezmę do niewoli każdego z tych piratów i zabiorę ich do Anglii, a kobiety z nimi. Mam wystarczająco dużo ludzi i broni, żeby to zrobić.

Zadrżała na myśl, jakich zniszczeń mogliby dokonać jego ludzie na wyspie. Jak mogła go powstrzymać? Jak mogła sprawić, żeby zrozumiał, iż naprawdę wiedziała, co robi?

Nagle dźwięk łamanych gałęzi sprawił, że oboje zamarli. Zbliżał się Petey, prowadząc za sobą Ann.

- Jesteście - warknął Jordan. - Najwyższy czas. Musimy ruszać.

Petey zerknął na Ann, potem skrzyżował ramiona.

- Zostajemy tutaj, Ann i ja. Nie płyniemy z panem do Anglii, gubernatorze.

Jordan zacisnął pięści.

- Oszaleliście? Co ten pirat wam zrobił, rzucił na was zaklęcie?

- Nie mogę wrócić do Anglii, milordzie - szepnęła Ann, trochę onieśmielona Jordanem. - Znowu mnie wyślą do Nowej Południowej Walii. Albo całe życie będę musiała uciekać przed władzą. Petey nie chce ryzykować. - Uśmiechnęła się nieśmiało do ukochanego. - Woli zostać ze mną tutaj, niż płynąć do Anglii beze mnie.

- Panno Morris - odezwał się Jordan - jestem pewien, że uda mi się przekonać kilku ludzi, żeby cię nie deportowali.

- Nie chodzi tylko o to, panie - wtrącił się Petey. - To jest... cóż, to jest bardzo ładne miejsce. Byłem tutaj tylko przez jeden dzień, ale wystarczyło, żeby to miejsce wydało mi się idealnym domem. W Anglii nic na mnie nie czeka. Tommy mnie nie potrzebuje. Ma własną rodzinę. Wiele lat musiałbym pływać, żeby zarobić chociaż na mały domek, i musiałbym na długo rozstawać się z Ann. A tutaj, jeśli będę ciężko pracował, mogę mieć wszystko, czego zapragnę. - Spojrzał z miłością na Ann. - Wszystko.

- Jak sądzisz, co zrobi ten kapitan piratów, kiedy odkryje, że to ty nas tutaj przywiodłeś? - warknął Jordan.

Petey szeroko otworzył oczy.

- Naprawdę, panie, nie wiem. Ale to rozsądny człowiek. Kiedy wyjaśnię mu, że miałem zobowiązania wobec panny Willis, na pewno zrozumie.

Sara nie była tego taka pewna, ale nie zamierzała gasić entuzjazmu Peteya.

- Widzisz, o co mi chodzi? - burknęła do Jordani
- Nawet twój służący nie chce opuszczać Atlantydy!

- Atlantyda - prychnął Jordan. - Cóż za nazwa dla pirackiej meliny. Grecy pewnie przewracają się w grobach. - Zerknął na Peteya. - Zostań więc. Mam tylko nadzieję, że pożyjesz wystarczająco długo, żeby cieszyć się urokami tej wyspy. - Odwrócił się do swojej przyrodniej siostry. - Ale ty moja droga, płyniesz ze mną. Bo inaczej dopadną tego przekłętą kapitana piratów i odetną mu głowę od jego zdradzieckiego ciała!

Przyglądała się twarzy przyrodniego brata z ciężkim sercem. Mówił poważnie. Jeśli go stąd nie zabierze, on zabije Gideona albo weźmie go do niewoli, co będzie znaczyło to samo. Nie wspominając już o tym, co jego ludzie zrobiliby wyspie i jej mieszkańcom.

- Jeśli z tobą popłynę, obiecasz, że nikogo nie skrzywdzisz? I obiecasz, że nie powiesz nikomu o tym miejscu? - Nie było to idealne rozwiązanie, ale tylko tyle mogła wymyślić w zaistniałych okolicznościach.

Sprowadzając tutaj Petera, otworzyła puszkę Pandory i nie mogła całkowicie uniknąć strat.

- Nie mogę powstrzymać moich ludzi przed ujawnieniem położenia tego miejsca - mruknął.

- Jeśli nie hrabia Blackmore, to kto inny mógłby to zrobić.

- Saro, nadużywasz mojej cierpliwości...

- Ludzie nie wiedzą, kto mieszka na tej wyspie, panienko - wtrącił Petey, ściągając na siebie groźne spojrzenie Jordana. - Jego lordowska mość nie powiedział im, dokąd płyną, dopóki nie dotarli

Do Wypś Zielonego Przylądka, bo nie chciał, żeby doszło do skandalu. A potem nie mówił im, żeby ze strachu przed lordem piratów nie zdezerterowali. Większość marynarzy boi się kapitana Horna.

- Dobrze, i niech tak zostanie.

Poczuła ulgę. Jeśli Petey miał rację, może przynajmniej nie dojdzie do tego, że marynarze wrócą tutaj, żeby pozabijać albo uwięzić piratów. Zwróciła się do brata, krzyżując ramiona na piersi.

- Nie pojedę z tobą, jeśli nie przyrzekniesz, że zostawisz tę wyspę nienaruszoną i że nikomu o niej nie powiesz, zwłaszcza swoim ludziom.

Jordan spojrział na nią pytająco.

- Jeśli to zrobię, wrócisz ze mną do Anglii? Zapomnisz o tych bzdurach?

- Wrócę do Anglii, ale nie zapomnę o niczym. Dopilnuję, żebyś mnie tutaj przywiózł, kiedy przekonam cię, że moje uczucia się nie zmieniły.

- Do licha, Saro...

- To moje warunki, Jordanie. Przyjmujesz je?

Odwrócił wzrok, patrząc na błyszczącą w słońcu taflę wody.

- Tak. Wszystko, byle tylko zabrać cię z tej przeklętej wyspy.

- Musisz dać mi słowo dżentelmena, słyszysz? Nie chcę, żebyś dawał swoim znajomym z marynarki różne wskazówki, gdzie znajduje się kryjówka pewnego pirata.

- Jesteś przekłętą upartą kobietą, wiesz o tym?

- Nauczyłam się tego od ciebie.

Westchnął, przeczesując palcami kasztanowe włosy.

- To chyba prawda. Cóż, daję więc słowo honoru, że nie zdradzę położenia wyspy. Czy teraz możemy iść?

- A co z innymi kobietami? Tymi, które nie chcą zostać?

- Myślałem, że wszyscy są szczęśliwi w twoim raju - odparł sarkastycznie.

Spuściła wzrok.

- Niektóre kobiety... nie pasują do tego miejsca. Możemy je zabrać?

- Nie, jeśli nie chcesz zaalarmować piratów o naszej obecności. Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy cię samą. Wystarczy jedna kobieta, żeby wszcząć alarm. Wtedy zostanę uwięziony, a moi ludzie zaatakują. Oczywiście jeśli pozwolisz, żeby moi ludzie zaatakowali, bez trudu uwolnimy kobiety..

Gwałtownie podniosła głowę.

- Absolutnie nie.

- Chodźmy więc. Opuśćmy to przekłete miejsce.

- Za chwilę. - Odwróciła się do Ann. - Powiedz kobietom, że po nie wrócę. Kiedy wrócę, każda która będzie chciała odejść, będzie mogła to zrobić. - Zdejmując z szyi medalion, przytrzymała go przez chwilę, potem pocałowała i podała Ann. - I oddaj to Gideonowi. Powiedz, że wrócę po to. Koniecznie mu to powiedz, rozumiesz?

- Saro - wtrącił się Jordan - to należało do twojej matki.

- Właśnie.

Czuła ucisk w gardle. Wkrótce odzyska swój medalion. Na pewno!

- Gideon wie, ile on dla mnie znaczy i wie, że nigdy bym go nie zostawiła. Nie wiem, jak inaczej go przekonać, że tutaj wrócę.

Jakież to będzie niewystarczające w obliczu zdrady jego matki. Jej potajemne odejście go zabije. Być może nigdy jej nie wybaczy, i taka możliwość niemal doprowadzała ją do łez.

Zwróciła się do Peteya, chcąc mu powiedzieć, żeby zapewnił Gideona, iż nie odeszła z własnej woli. Potem zamilkła. Nie, jeśli Gideon dowie się, została zmuszona do odejścia, nic go nie powstrzyma, żeby popłynąć za nią do Anglii. Nie mogła na to pozwolić. Musiał uwierzyć, że odeszła dobrowolnie.

- Powiedz Gideonowi, że wrócę, choćby nie wiem co, ale nie mów o mojej umowie z Jordanem, słyszysz? Popłynie za mną do Anglii i go powieszą, i każdego, kto z nim będzie. Przynajmniej, że mu nie powiesz, dlaczego odeszłam. Oboje musicie przyrzec.

Po chwili wahania Petey skinął potakująco głową. Potem zrobiła to Ann.

Na ten widok serce Sary ścisnął żal. Zmuszając ich, żeby przyrzekli, naraziła Gideona na wielkie cierpienie. Ale wolała, żeby cierpieć, niż żeby został uwięziony w chwili, gdy znajdzie się na angielskich wodach. W Anglii jego los byłby przesądzony. Nawet nie mogła o tym myśleć.

- Chodźmy, Saro - powiedział niecierpliwie Jordan. - Moi ludzie dostali rozkaz, żeby zaatakować, jeśli nie wrócę do południa na statek.

- Dobrze. - Uściskała Ann, potem Peteya. - Wrócę - powiedziała płaczliwie im obojgu. - Może to potrwać kilka miesięcy, ale wrócę na Atlantyde najszybciej jak będę mogła.

Gdy odchodziła z Jordanem, rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- Zachowujesz się, jakbyś szła na ścięcie, a nie wracała na łono rodziny i do swojego domu.

- Łono rodziny? Ciebie uważałam za swoją rodzinę, Jordanie. - Chłodnym wzrokiem patrzyła przed siebie, niemal nie zauważając, dokąd szli.

- Ale teraz? Teraz uważam cię za swojego strażnika. I obawiam się, że będę tak o tobie myśleć, dopóki mnie tu z powrotem nie zabierzesz.

Chociaż raz jej brat miał na tyle rozumu, żeby nie odpowiedzieć.

Rozdział 23

*Jeśli wszyscy ludzie rodzą się wolni, to dlaczego
wszystkie kobiety rodzą się niewolnicami?*

Mary Astell (1666-1731)

poetka i „pierwsza angielska feministka”

Wstęp do rozważań na temat małżeństwa

Kiedy wczesnym wieczorem mężczyźni wrócili z polowania, byli w wyśmienitych nastrojach. Upolowali kilka prosiaków i kuropatw. Żartując i przechwalając się, dotarli do ogniska i poprosili o piwo.

Jednak Gideon nie miał ochoty na piwo. Chciał Sary. Nie mógł się doczekać, kiedy powie jej o wodospadzie, na który natknęli się nieopodal pomarańczowego gaju. Już zaplanował, że wróci tam z nią rano. Mogliby wykąpać się w wodospadzie, potem karmić się pomarańczami, co byłoby doskonałym preludem do miłosnego popołudnia w lesie.

Przekładając płócienną torbę z jednej ręki do drugiej, pomyślał o prezencie, który dla niej miał - dziwny kawałek migocącego kamienia, kilka pomarańczy, kawałek rzeźby z kości słoniowej. Była to idealna miniatura plaży na Atlantydzie, kawałek rzeźbionej kości słoniowej nie większy od jego kciuka. Wymienił go na swój najlepszy nóż myśliwski. Będzie zaskoczony, jeśli Sara nie pomyśli, że to najurokliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Ale gdzie ona się podziewała? Sądził, że będzie tutaj czekać. Spojrzał w stronę domu i zobaczył światło w oknie. Pewnie poszła już do domu. Jeśli tak, to im szybciej do niej dołączy, tym lepiej. Zauważywszy Louise stojącą przy ogniu, gestem nakazał mężczyznom niosącym świnię na kijach, żeby zanieśli je do niej. Z szerokim uśmiechem położyli przed nią upolowane zwierzęta, jakby składali hołd swojej królowe.

- Dziś wieczorem czeka nas uczta, Louiso. - Gideon rzucił przed nią większą płócienną torbę. - Najpierw upiecz kuropatwy. Zjemy je, czekając na prosiaka. I nie pozwól, żeby ten twój mąż go zepsuł, słyszysz? Masz dobrą rękę do wieprzowiny. Przekonajmy się, co z nią zrobisz.

- Dobrze - odezwał się pogodnie Silas. Mężczyzna wypił za dużo i teraz zupełnie nie dbał o to, że jego kucharzenie było do niczego. - Dziewczyna ma prawdziwy talent do przyrządzania wieprzowiny, nieprawdaż? - Rzucił jej pożądlive spojrzenie. - I to nie jest jej jedyny talent. Uwierzcie mi na słowo, chłopaki.

Mężczyźni dawali sobie kuksańce, wymieniając spojrzenia i chichotali, zerkając na Louise, żeby zobaczyć jej reakcję. Zazwyczaj tego rodzaju uwagi wywołałyby u niej głęboki rumieniec, a potem ostrą odpowiedź. Ponieważ jej niewyparzony język ich bawił, zawsze lubili patrzeć, jak znosi ich sprośności.

- Wystarczy, Silasie - odezwała się cicho. Mężczyźni spojrzeli na nią, czekając na jeszcze jakąś reakcję. Kiedy się nie doczekali, Silas powiedział:

- Tylko tyle zamierzasz powiedzieć, dziewczyno? - Uwiesił się na ramieniu Gideona dla zachowania równowagi.

- Co myślicie, chłopaki? Czy w końcu poskromiłem tę kobietkę?

Silasie, proszę, trzymaj język na wodzy - poprosiła Louisa.

Coś w jej głosie, nietypowe dla niej wyciszenie, zwróciło uwagę Gideona. Kiedy Silas zaczął jeszcze mamrotać, Gideon go uciszył. Potem zwrócił się do Louisy.

- O co chodzi? Co się stało?

Spojrzała z niepokojem na mężczyzn.

- Może powinniśmy porozmawiać na osobności.

- Nie ma takiej potrzeby. - Ogarnął go nagły chłód, kiedy w jego umyśle pojawił się niepokój. - Czy chodzi o Sarę? Coś jej się stało?

Louisa patrzyła na piasek.

- Nic jej się nie stało. To znaczy... cóż...

- Gdzie ona jest? - Odwrócił się i spojrzał na chatę, a serce podskoczyło mu do gardła. Jeśli coś jej się stało... ruszył w stronę domu, ale powstrzymał go znajomy głos.

- Odeszła, kapitanie.

Odwrócił się powoli i zobaczył Peteya Hargravesa stojącego przy ognisku.

- Co ty, u licha, tutaj robisz? - warknął Gideon. - I co to znaczy „odeszła”? Dokąd odeszła?

Ann Morris stanęła obok Peteya, biorąc go pod ramię, podczas gdy on obracał w dłoniach kapelusz.

- Cóż, kapitanie, widzi pan... to znaczy, ja...

- Popłynęła z bratem do Anglii - powiedziała Queenie, występując naprzód. - A Petey przypro-wadził tutaj tego faceta, żeby ją zabrał. - Na jej twarzy pojawił się przelotnie wyraz zadowolenia. - Jak już powiedziałam ci wcześniej, gubernatorze. Marnujesz czas na tę chudą sawantkę.

- Queenie, zamknij się - rzuciła ostro Louisa gdy Gideon pobladł.

Patrząc na Peteya z wściekłością, Gideon warknął:

- O czym ona mówi?

Louisa zrobiła krok do przodu, na jej twarzy malowało się współczucie.

- Petey pracował dla brata panny Willis, hrabiego Blackmore'a. To Petey sprowadził tutaj dziś rano hrabiego i jego ludzi na statku Defiant. Gdy zabrali pannę Willis, odплыnęli do Anglii.

Gideonowi krew przestała krążyć w żyłach. Sara odeszła? Hrabia ją zabrał? Musiał to zrobić siłą bo inaczej Sara nigdy by go nie opuściła. Nie po tych wszystkich rzeczach, które sobie powiedzieli, po tym, jak się kochali i planowali wspólną przyszłość, i...

Jęknął, przypominając sobie rozmowę o jej bracie, o tym, jak za nią tęsknił. Powiedziała, że nie opuściłaby Atlantydy. Ale powiedziała także, że chce odwiedzić Anglię.

Zaciskając pięści, rozważał w myślach wszystko, co powiedziała, jej niepokój, co się stanie, jeśli jej brat ją znajdzie. Spodziewała się wtedy Hargravesa, nieprawdaż? Jeśli Hargraves pracował dla hrabiego, Sara musiała wiedzieć, że jej brat po nią przyplynie. Kochając się z nim, liczyła dni do przybycia swoich wybawców.

Nie, nie mógł w to uwierzyć. Nie jego Sara.

- Czy od początku wiedziała, że pracujesz dla jej brata? - spytał Hargravesa, uczepiając się iskierki nadziei, że może jednak nie wiedziała, dlaczego Hargraves znalazł się na pokładzie Chastity.

Hargraves wyglądał na zaskoczonego jego pytaniem.

- Tak, kapitanie.

Poczuł się zdradzony, bardziej nawet niż przez matkę. Od początku miał rację. Angielskie arystokratki nie zadawały się z własnej woli z takimi jak on. Jednak zdecydowanie robiły, co w ich mocy, żeby przetrwać do czasu, aż przybędzie ratunek, nawet jeśli oznaczało to pójście do łóżka z jurnym piratem.

Wydarzenia ostatnich kilku tygodni dotarły do niego z bolesną jasnością.

- Dlatego zgodziła się za mnie wyjść, prawda? - Spojrzał na morze, usiłując opanować się przy mężczyznach, chociaż czuł się, jakby rzemienna dyscyplina rozrywała mu serce na strzępy. - Wy dwoje mieliście trzymać ją ode mnie z daleka, dopóki nie zostanie uratowana. Ale kiedy dałem ci okazję, żeby odejść, skorzystałaś z niej. A ona została, żeby uspić moją czujność, planując w tym czasie ucieczkę.

Przeklinając, wrzucił torbę z prezentami do morza.

- I pomyśleć, że uwierzyłem, iż naprawdę jej się tutaj podoba, że naprawdę chce coś zrobić dla Atlantydy. Ależ byłem głupcem! Skończonym głupcem!

- Gideonie - odezwał się Silas - dobrze wiesz, że ta dziewczyna nie kłamała, że coś chce zrobić dla Atlantydy. Każdy widział, że kochała to miejsce niemal tak mocno jak ty.

- Dlaczego więc odplynęła ze swoim bratem?

- Nie możesz jej za to winić! - zaprotestował Hargraves. - Nie chciała odchodzić. Nakłonił ją.

Gideon popatrzył na Hargravesa.

- Co to znaczy, że ją nakłonił? Boże, jeśli zabrał ją stąd siłą, popłynę za nim i dopilnuję, żeby już nigdy nie zabrał niczego, co należy do mnie!

Ann stanęła między Gideonem i Peteyem z pobladała twarzą.

- Petey nie to miał na myśli, kapitanie. Panna Willis odplynęła z własnej woli, naprawdę. - Kiedy Gideon spojrział na nią groźnie, pospiesznie dodała: - Ale nie odeszła na dobre. Kazała ci powiedzieć, że wróci najszybciej, jak to będzie możliwe. Och, i prosiła, żebym ci to dała. - Ann pogrzebała w kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej mały srebrny przedmiot. Podała mu go. - Powiedziała, że będzie to dla ciebie zabezpieczenie, że ona wróci.

Wziął przedmiot, rozpoznając srebrny medalion Sary. Przez chwilę powróciła nadzieja. Zawsze nosiła ten medalion. Wiedział, ile dla niej znaczy. Na pewno nie zostawiłaby go, gdyby nie zamierzała zjawić się z powrotem.

Jednak jego matka zostawiła wartościową broszkę, kiedy porzuciła jego i ojca.

Zaciskając palce wokół medalionu, spojrział na Hargravesa.

- Skoro ten przeklęty hrabia nie zmusił jej do odejścia, dlaczego odeszła? Nie miała powodu, żeby mnie opuszczać. Mieliśmy się pobrać. Powiedziała, że chce ze mną zostać.

Hargraves i Ann wymienili spojrzenia.

- Nie wiem, kapitanie - odparł nerwowo Hargraves. - Może miała jakieś sprawy do załatwienia w Anglii, zanim się tutaj osiedli.

Jednak wahanie na twarzy Hargravesa mówiło, że on sam w to nie wierzył.

Nagle przyszło mu do głowy kolejne wyjaśnienie, dlaczego zostawiła medalion, wyjaśnienie tak bolesne, że cierpiał na samą myśl o tym.

- A może - odezwał się chłodno - nie zamierza wcale tutaj wrócić. Może ten wisior to tylko podstęp, żebym za nią nie popłynął i nie zajął statku jej brata.

Na twarzy Ann pojawił się niepokój.

- Nie, nie może pan tak myśleć, kapitanie. Jej brat miał ze sobą wielu ludzi i broń. Gdyby chciał pana zniszczyć, mógłby to zrobić od razu. Ale nie zrobił tego. Nie pozwoliłaby mu na to. Błagała, żeby z panem nie walczył, i on się zgodził.

- Tak, zgodził się, bo wiedział, że on i jego ludzie nie mają z nami szans! Tchórz! Zakraść się na Atlantyde i ukraść moją narzeczoną, nawet nie próbując mi się przeciwstawić! Gdybym był na jego miejscu, nie uległbym tak łatwo prośbom Sary! Z radością walczyłbym z każdym mężczyzną, który śmiał...

Urwał, przypominając sobie nagle, co powiedział Sarze zaledwie dwie noce wcześniej. Nie pozwoliłbym mu cię zabrać, jeśli o to pytasz. Będę walczył z każdym mężczyzną, który spróbowałby mi cię odebrać. Najwyraźniej ona także to pamiętała. Wzięła sobie jego słowa do serca i postarała się, żeby Gideon nie miał okazji skrzywdzić jej brata.

Ogarnęła go wściekłość, wściekłość tak potężna jak sztorm na morzu. Tylko o to jej chodziło - żeby chronić brata, który pewnie był jakimś fircykiem, który nie umiał posługiwać się szablą ani pistoletem!

Bez względu na to, jak bardzo Ann czy Hargraves próbowali ją bronić, prawda była taka, że mając do wyboru jego albo rodzinę, Sara wybrała rodzinę. Mogła mówić o zreformowaniu świata i stworzeniu na Atlantydzie kolonii, z której mogliby być dumni,

ale to były tylko słowa. W innym razie nigdy nie pozostawiłaby go dla brata.

Zaciskając medalion w dłoni, przyjrzał się twarzom ludzi stojących wokół ogniska. Co z nimi? Co z innymi mieszkańcami Atlantydy, na których jej podobno zależało? Walczyła o te kobiety i zaproponowała, że będzie uczyć mężczyzn. Wszyscy jej ufali. Ale kiedy pojawiła się szansa na wolność, wykorzystala ją, nie oglądając się za siebie, nawet się nie żegnając.

Rozprawiała o tym, by dać kobietom wybór, ale żadnej z nich nie wzięła ze sobą. Zamiast tego umknęła z wyspy ze swoim tchórzliwym bratem, zostawiając wszystkich za sobą. Niech diabli porwą tę kobietę! Mylił się co do niej od samego początku!

Wszystkie te arystokratki były takie same - kłamliwe, słabe i zdecydowane zrobić wszystko, co muszą, żeby wrócić na łono swoich bogatych rodzin. Jak wcześniej mógł wierzyć, że będzie inaczej?

- Proszę, kapitanie Horn - łagodny głos Ann przerwał jego rozmyślenia. - Musi pan uwierzyć, że ona zamierza wrócić. Wie pan, że panna Willis nigdy nie obiecałaby czegoś takiego, gdyby nie zamierzała dotrzymać obietnicy.

Odwrócił się do Ann z ponurym wyrazem twarzy.

- Możesz w to wierzyć, jeśli przez to czujesz się lepiej, ale ja wiem swoje. Odeszła, nie dbając o żadną z was, i na pewno nie dbając o mnie. I nie wróci. A Atlantyda bez niej będzie lepszym miejscem.

- Ale to nie tak - zaczął protestować Hargraves. Gideon uciszył go złowrogim spojrzeniem.

- Jeśli chodzi o ciebie, panie Hargraves, to nie chcę już słyszeć ani słowa więcej. Dałem ci więcej

niż widziałeś kiedykolwiek w życiu, żebyś tylko się stąd wyniósł, a ty mi odpłaciłeś, sprowadzając tutaj stado wilków. - Przyszła mu do głowy pewna okropna możliwość. Podchodząc do Hargravesa, chwycił go za koszulę. - A teraz oni wszyscy wiedzą, gdzie znajduje się wyspa, czyż nie? Podejrzewam, że hrabia chciał tylko zabrać stąd swoją siostrę, zanim przyśle tu marynarkę jego królewskiej mości, żeby nas rozgromić. Równie dobrze moglibyśmy być martwi, przez ciebie!

Hargraves gwałtownie potrzęsął głową.

- Jego lordowska mość trzymał marynarkę z dala od całej sprawy, chcąc ocalić reputację panny Willis. Daję słowo. Nie powiedział swoim ludziom, kto mieszka na tej wyspie, obawiając się, że ze strachu przed panem czmychną. A panienka powiedziała, że nie popłynie z nim, jeśli nie obieca, że nikomu nie zdradzi, gdzie znajduje się Atlantyda.

Gideon wpatrywał się lodowatym wzrokiem w człowieka, który zawsze się mu stawiał.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Jeśli myślałbym, że lada moment wyspa zostanie zaatakowana przez marynarkę, czy zostałbym tutaj? Mogłem odpłynąć na pokładzie Defiant, zabierając ze sobą moją ukochaną.

Ten człowiek mówił do rzeczy. Gideon wciąż zachował na tyle zdrowego rozsądku, żeby to sobie uświadomić.

Przeniósł wzrok z Hargravesa na Ann, na której twarzy malował się strach.

- Proszę, *sir* - odezwała się spiętym głosem. - Niech pan nie robi Peteyowi krzywdy. Został tutaj dla mnie. Wierzy w Atlantyde tak samo mocno jak ja. Nie zniósłabym, gdyby... gdyby coś mu się stało.

- Nie martw się, panienko Ann - wtrącił Silas - Kapitan nie zamierza skrzywdzić pana Hargravesa. O ile twój mężczyzna będzie się dobrze zachowywał na wyspie.

- Nie mieszaj się, Silas - ostrzegł go Gideon.

Jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądał się Hargravesowi, myśląc, jaką przyjemność dałoby mu wychłostanie tego człowieka za doprowadzenie do tego, że Sara odeszła.

Ale nigdy nie akceptował chłosty i na pewno nie mógł zrobić tego teraz, kiedy obok stała mała Ann z sercem na dłoni, błagając go o litość. Poza tym Hargraves zrobił tylko coś, co uważał za swój obowiązek. To Sara ich wszystkich zdradziła, Sara, która go porzuciła.

Zakławszy, odepchnął Hargravesa.

- W porządku. Ty i Ann róbcie, co chcecie. Ale jeśli macie choć trochę rozumu, to nie wchodźcie mi w drogę.

Ruszył w stronę swojego domu, ponurego, pustego domu, ale zatrzymał go kolejny głos.

- Co ze ślubami? - spytała Queenie. - Czy nadal musimy wybrać sobie mężów za dwa dni?

Zmierzył Queenie zimnym spojrzeniem. Bardzo chciał jej powiedzieć, że musi wybrać sobie męża. Byłoby to nauczka dla tej bezczelnej dziwki.

Ale nawet zanim Sara odeszła, zrozumiał, że głupotą jest rozkazywać, kto ma się z kim pobrać, zwłaszcza jeśli chciał, żeby kobiety i mężczyźni darzyli się szczerymi uczuciami. Tego nauczyła go Sara. Nawet pożądanie nie mogło zastąpić szacunku i uczucia w małżeństwie, a nie mogło być o nich mowy, jeśli kogoś zmuszało się do małżeństwa. On zmusił ją, żeby z nim była, a teraz za to płacił.

- Nie będzie żadnych ślubów, chyba że niektórzy z was chcą się pobrać.

Kobiety były zaskoczone, Louisa zrobiła krok naprzód.

- Dziękujemy, kapitanie. To miło z pańskiej strony. I w imieniu kobiet chcę powiedzieć, że doceniamy pana dobroć.

- Dobroć? Nie robię tego z dobroci! Robię to, ponieważ tego właśnie potrzebuje Atlantyda. Tylko na tym mi zawsze zależało. Nie zmieni się to tylko dlatego, że Sara odeszła. Może i zostawiła nas wszystkich, ale to miejsce będzie trwać... my będziemy trwać.

Uczynią z Atlantydy miejsce godne pozazdroszczenia, z Sarą lub bez niej. Potem pewnego dnia ją znajdzie i pokaże jej, co zostawiła. Ponieważ tym razem nie był małym chłopcem, który nie miał wpływu na to, co się stanie po tym, jak porzuciła go kobieta. Tym razem miał wielki wpływ.

Rozdział 24

*Powiedziała: „Nigdy nie opuszczę swojej miłości,
choć tak dawno się rozstaliśmy”.*

Anonim

Żeglarz i jego miłość

Minął prawie tydzień od powrotu Jordana i Sary do Anglii, po miesiącu spędzonym na morzu. Był wieczór, Jordan stał na dole schodów swego londyńskiego domu, przechadzając się i co chwila spoglądając na wiszący w holu zegar. Sara się spóźniała. Zgodziła się pójść z nim dziś wieczorem na bal do Merringtonów, a teraz była co najmniej pół godziny spóźniona.

Nie wiedział, jak udało mu się ją przekonać by poszła. Dziś rano powiedziała z przerażeni „nie”, jakby ją prosił, aby nago biegała po ulicy. Potem po południu, kiedy wrócił z Parlamenty do domu, zmieniła zdanie.

Dzięki Bogu. Nadszedł czas, żeby wróciła do towarzystwa i zapomniała o tym przeklętym piracie. Kilka tańców z mężczyznami z jej klasy i zrozumie, jaka była niemądra zakochując się w kapitanie piratów. Poza tym ludzie musieli ją zobaczyć, żeby wreszcie mógł położyć kres wszelkim domysłom i spekulacjom. Bóg jeden wie, ile zadał sobie trudu, żeby ocalić jej reputację.

Zatuszował jej doświadczenia z piratami, płacąc właścicielom Chastity ogromne pieniądze, żeby mówili, iż została odesłana z załogą po ataku piratów i nie odniosła żadnego uszczerbku. Rozpowiadał wszystkim, że dochodzi do siebie po przeżytej traumie. Dotychczas wszyscy wydawali się wierzyć w jego bajeczkę.

Thomas Hargraves wszedł i chrząknął, gdy Jordan właśnie po raz piętnasty obchodził hol. Chociaż Jordan nie miał nastroju na rozmowę ze swoim lokajem, jednak ukrył irytację. W końcu Hargraves na zawsze stracił przez niego brata, Peteya.

- O co chodzi, Hargraves? - Zerknął ponownie na schody.

- Chodzi o pannę Sarę. Chciał pan, żebym informował o jej wyjściach, gdy pan jest w Parlamencie, i pomyślałem, że zrobię to, zanim pan wyjdzie.

Jordan popatrzył na zegar i westchnął.

- Czemu nie? W tej chwili nie mam nic lepszego do roboty.

- Tak, panie. - Hargraves wyciągnął kartkę papieru. - O 9.11 dziś rano, po śniadaniu z panem, panna Sara wzięła kąpiel, z pomocą Peggy. Peggy pomogła jej się ubrać - w różową batystową suknię spacerową, jak sądzę - i panna Sara zeszła na dół o 10.05.

Papier zaszeleścił nieznacznie, Hargraves zaczął czytać dalej.

- Potem grała na pianinie w salonie. O ile się nie mylę, pierwsza piosenka to była „Brzegi Claudy”. - Postukał się palcem w brodę. - A może to było „Przy ogrodzie Sa...”

- Nie obchodzi mnie, co miała na sobie, ani co grała, Hargraves! - wybuchnął zniecierpliwiony.

Chcę tylko wiedzieć, co robiła.

- Tak, panie - odparł Hargraves, najwyraźniej trochę urażony. - Grała na pianinie do 10.32 po czym poprosiła mnie o egzemplarz przewodnika genealogicznego *Debrett's Perrage*. Czytała do 12.19, muszę powiedzieć, że bardzo ją zajął. Na obiad przyniosłem jej tacę, na której kucharz umieściła zapiekankę z kurczaka - ulubione danie panny Sary - sałatę z sześcioma orzechami, dwa plastry...

- Hargraves...

- Chcę, żeby pan dokładnie wiedział, co dostała, ponieważ niczego nie tknęła. A jak pan wie, panna Sara nigdy nie opuszcza obiadu - zwłaszcza jeśli jest zapiekanka z kurczaka.

Jordan zmarszczył brwi i znowu zaczął się przechadzać.

- Możesz darować sobie komentarze. Wiem, że od powrotu nie jada.

Na statku też tak było. A dziś rano obserwował jak długo smaruje masłem grzanekę, potem odkłada ją nietkniętą na bok.

Nie to jednak było najgorsze. Sypiała tylko kilka godzin w nocy, a potem krążyła po holu jak duch. Unikała wszelkich z nim kontaktów, a kiedy już była do nich zmuszona, odpowiadała na pytania monosylabami.

To znaczy jeśli nie dotyczyły tego przekłętego pirata. Wtedy mówiła Jordanowi więcej, niż chciał usłyszeć, wszystko o marzeniach tego człowieka o utopii i o jego dobroci dla dzieci, i o całym mnóstwie innych jego „cudownych” zalet, aż w końcu miał serdecznie dość nazwiska Gideon Horn.

Ale to wszystko już się skończyło. Zgodziła się pójść z nim na ten bal. Na pewno był to znak, że powoli zapominała o swoim zauroczeniu kapitanem

Hornem. I jeśli miał być szczerzy, nie mógł się doczekać.

- Po obiedzie panna Sara wyszła - ciągnął Hargraves.

- Wyszła? Mówiłem ci, że beze mnie ma nigdzie nie wychodzić!

Od ich powrotu żył w ciągłym strachu, że Sara wynajmie statek i wróci na tę przeklętą wyspę.

Hargraves poczerwieniał.

- Ona... yyy... wymknęła się niezauważona. - Kiedy Jordan popatrzył na niego gniewnie, służący dodał pospiesznie: - Ale wróciła już po dwóch godzinach. Powiedziała, że poszła odwiedzić jedną ze swoich znajomych z Komitetu Dam. Wyglądała całkiem dobrze i od razu spytała, gdzie pan jest.

To musiało być wtedy, gdy weszła do biblioteki, aby mu powiedzieć, że pójdzie z nim na bal. Co stało się w ciągu tych dwóch godzin, że zmieniła zdanie?

To nie miało znaczenia. Dochodziła do siebie i tylko to się dla niego liczyło.

Na górze otworzyły się drzwi, co znaczyło, że wreszcie była gotowa, i gestem dłoni nakazał Hargravesowi milczenie.

- Resztę opowiesz mi rano - rzeki ściszym głosem i odwrócił się w stronę schodów. - Idź po...

Urwał, widząc siostrę na szczycie schodów. Otworzył usta. Och, mój Boże... co to za szaleństwo? Miała na sobie okropną suknię. Głęboki dekolot odsłaniał niemal całe piersi, a materiał mocno opinał wszystkie krągłości. Co więcej, suknia uszyta była ze złotej gazy, cienkiej jak papier, takiej, jaką nosiły tylko francuskie kobiety - albo jedna z jego kochanek. Prawie widział jej pępek, na Boga.

Czy ona oszalała? Sara nigdy nie nosiła takich sukien! Nawet zameżna Angielka nie pokazałaby się publicznie w tak skandalicznym stroju, a co dopiero szanowana panna.

- Skąd, u licha, masz tę suknię? - warknął, podchodząc do schodów. - Wracaj na górę i natychmiast się przebierz! Nie pójdziesz w tym!

Spojrzała na niego chłodno.

- A dlaczego nie? Jedyńm powodem, dla którego mnie tam zabierasz, jest znalezienie następnego Gideona, mam rację? Po prostu dostosowałam się do twojego planu. W tym stroju na pewno skuszę jakiegoś biedaka, żeby mnie wziął, nie uważasz? - Zeszła dwa stopnie w dół. - Ale kiedy już go usidlę, będziesz musiał znaleźć sposób, żeby oszukać go w kwestii mojego upadku. Ale może nie będzie go to obchodziło. W końcu jestem posiadaczka fortuny. To z pewnością kupi mi przyzwoitego męża, jeśli suknia się nie sprawdzi.

- Łowców posagów? Rozpustników? - krzyknął ruszając na schody. - Właśnie takiego chcesz męża.

- Co to ma za znaczenie? Każdy jest dobry, nie sądzisz? Musisz tak sądzić, bo inaczej nie zabrałbyś mnie od tego, którego kochałam, mając nadzieję, że znajdę sobie kogoś lepszego.

Zatrzymał się i zmrużył oczy.

- Co to jest, Saro, jakaś sztuczka, żeby m poczuł się winny tego, co zrobiłem?

- Sztuczka? - odparła niewinnie. - Ani trochę. Po prostu staram ci się pomóc. Skoro uznałeś, że masz prawo decydować, za kogo mogę lub nie mogę wyjść, wypełniam swoją część zadania złapania męża. Co o tym myślisz? - Wygładziła suknię. - Czy lordowi Manfredowi spodoba się ta suknia? Podobno szuka żony.

Jordan zacisnął zęby. Lord Manfred miał sześćdziesiąt lat i był zarówno rozpustnikiem, jak i łowcą posagów. Ten drań od lat kręcił się wokół Sary. Sara nienawidziła go niemal tak samo mocno jak Jordan.

- Powiedziałaś swoje - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Teraz idź i włóż przyzwoitą suknię.

- Och, ależ Jordanie, nie mam nic lepszego, żeby usidłać...

- W tej chwili, Saro Willis! Albo przysięgam, że sam cię przebiorę!

- Cóż - rzuciła bezceremonialnie - skoro nalegasz. Ale nie obwiniaj mnie, jeśli nie od razu uda mi się złapać odpowiedniego męża.

Odwróciła się i weszła na górę po schodach.

- I niech ci się nie wydaje, że w ten sposób wykręcisz się od pójścia ze mną na bal – zawołał za nią Jordan. - Oczekuję cię na dole za nie więcej niż pół godziny!

- Tak, Jordanie - odparła z satysfakcją w głosie.

Kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, uśmiechnęła się do siebie. Proszę, braciszku, pomyślała, podchodząc do Peggy trzymającej suknię, którą Sara zamierzała włożyć. Służąca nic nie mówiąc, pomogła zdjąć Sarze skandaliczną francuską kreację, którą ta pożyczyła od znajomej z Komitetu Dam. Dobry Boże, Sara nigdy nie czuła się tak naga, a zwłaszcza w obecności Jordana. Ale może teraz zrozumiał, co sądziła o jego nieznośnie aroganckim zachowaniu.

Bóg jeden wie, że wcześniej nie rozumiał. Na pokładzie Defiant tłumaczyła mu do znudzenia. Jednak nic nie było w stanie sprawić, żeby zmienił zdanie. Jak na mężczyznę, który cieszył się opinią największego rozpustnika w Anglii, zachowywał się jak świętoszek.

Popadała w obłąd wiedząc, że z każdą chwilą, w której trzymał ją z dala od Gideona, ten budował coraz większy mur nieufności wobec niej, wierząc, że go porzuciła tak samo jak jego matka. Nie mogła znieść tej myśli!

Zmarszczyła brwi, podczas gdy Peggy pomagała jej włożyć inną, bardziej przyzwoitą suknię. Och, gdyby tylko mogła sama wrócić na Atlantyde! Ale nie śmiała bez pozwolenia Jordana, bojąc się, że podąży za nią, i tym razem przyprowdzi ze sobą marynarkę wojenną, żeby zniszczyć wyspę i wszystkich jej mieszkańców. Doprowadzał ją do szału!

Tego ranka, kiedy miał czelność zaproponować aby poszła z nim na bal, jakby w ciągu ostatnich miesięcy w jej życiu nic się nie wydarzyło, postanowiła pokazać mu, jak bezdusznie się zachowywał. Może teraz będzie jej słuchał.

Ale najpierw musiała pójść na ten bal, i to z bardzo ważnego powodu. Tego ranka przyszło jej do głowy, że skoro i tak musi być w Anglii, równie dobrze może dowiedzieć się czegoś o rodzinie Gideona. Dlatego wzięła *Debrett's Peerage*. Według przewodnika istniała córka księcia o imieniu Eustachia, której wiek wskazywał, że mogłaby być matką Gideona. Co było bardziej zaskakujące, to fakt, że kobieta nadal żyła. Była żoną markiza Drydena. A najlepsze w tym było to, że lady Dryden miała zjawić się dzisiaj na balu, jeśli informacje, które Sara uzyskała od znajomej z Komitetu Dam, były prawdziwe.

Oczywiście lady Dryden mogła nie być matką Gideona. Z tego, co powiedziała Sarze znajoma, ta kobieta nie pasowała do wyobrażenia Sary o matce Gideona. Lady Dryden i jej mąż nie byli duszami towarzystwa, lecz odludkami, którzy wiedli spokojne

życie w swojej posiadłości w Derbyshire. Filantropi, którzy hojnie obdarowywali kilka instytucji charytatywnych, unikali publicznego uznania, które szło za taką hojnością. A lady Dryden słyszała ze swojej zyczliwości i dobroci.

To nie miało żadnego sensu. Ta kobieta powinna być rozpuszczona i samolubna. Miała nie żyć, na Boga. Ale Sara przeczytała cały przewodnik i nie znalazła żadnej innej damy, która mogłaby być matką Gideona.

Może Elias kłamał, że jego żona zmarła. A może Gideon źle zrozumiał albo źle usłyszał. Tak czy siak, dzisiaj zamierzała odkryć prawdę. Po tym, jak trochę jeszcze pomęczy Jordana. Kiedy ponownie zeszła na dół, obrzucił ją aprobusującym spojrzeniem, po czym pospiesznie wyprowadził z domu. Dopiero kiedy jechali powozem, odezwał się do niej.

- Nie rozumiem, co takiego złego zrobiłem. Przecież chcę tylko twojego dobra.

Patrzyła prosto przed siebie.

- Powstrzymując mnie przed poślubieniem mężczyny, którego kocham?

- Tylko ci się wydaje, że go kochasz. Po jakimś czasie zrozumiesz, że było to tylko chwilowe zauroczenie...

- Dziękuję ci za pochlebną ocenę mojego charakteru.

- Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć? Uśmiechnęła się gorzko.

- Ty naprawdę nie rozumiesz, prawda? Wiem, że istnieją kobiety o niestałym charakterze, które zakochują się, potem zmieniają zdanie wraz ze zmianą krajobrazu. - Pomyślała o matce Gideona,

która porzuciła go bez zastanowienia. - Ale chyba nie sądziłeś, że jestem jedną z nich. Gdyby stało się tak, jakbyś chciał, i zapomniałabym o Gideonie po kilku dniach spędzonych w Anglii, czy nie dowodziłoby to, że mam najbardziej zmienny i niesolidny charakter?

- Dowodziłoby, że jesteś rozsądna - odparł Jordan, chociaż sprawiał wrażenie niepewnego swojego stanowiska po raz pierwszy od czasu, gdy opuścili Atlantyde.

- Rozsądna? Nie sądzę. Rozsądna kobieta oddaje swojego serca, a potem nie odbiera go bez powodu. Zajęło mi tydzień, nim pod szorstką zewnętrzną powłoką Gideona zobaczyłam prawdziwego mężczyznę, a trzy tygodnie, żeby zgodzić się za niego wyjść. To nie była decyzja, którą podjęłam bez zastanowienia. Nie rozumiesz tego? Wiedziałam, że przybędziesz mnie uratować. Gdybym chciała opierać się Gideonowi, mogłam to zrobić. - Jej głos stał się łagodniejszy, kiedy przypomniał sobie, jak wyglądał kapitan, gdy poprosił ją o rękę. - Ale nie chciałam mu się opierać. Nadal nie chcę. Dlatego muszę tam wrócić.

Zaklął pod nosem.

- Możesz prosić mnie o wszystko, ale nie o to, Saro! Na Boga, pozwolę ci szerzyć swoje reformatorskie idee gdziekolwiek chcesz i kiedy tylko chcesz. Tylko mnie nie proś, żebym zabrał cię z powrotem na tę wyspę!

Tupnęła nogą, aż zakotłosało powozem.

- Nie chcę niczego innego! Za kogo ty mnie masz, jeśli uważasz, że przyjmę coś takiego w zamian za mężczyznę, którego kocham?

Zacisnąwszy zęby, wyrzwał na zewnątrz, na pograżone we mgle londyńskie ulice.

- Nie zaciekało cię, dlaczego ten pirat tak bardzo nienawidzi arystokracji? Skąd wiesz, że pewnego dnia nie zmieni zdania na twój temat z powodu swojej nieuzasadnionej nienawiści?

- Nie jest nieuzasadniona. To... to...

Sara, jak wiele razy wcześniej, powstrzymała się przed opowiedzeniem mu o przeszłości Gideona. I miała po temu powody. Jordan nigdy by w to nie uwierzył. Uznałby, że to kłamstwo, które Gideon opowiedział, żeby zdobyć jej współczucie. Sam fakt, że nigdy nie próbował odnaleźć swojej matki, czyniłby całą historię w oczach Jordana niewiarygodną. Nigdy nie uwierzyłby, że pirat mógł być tak dumny, aby narażać się na upokarzające odkrycie, iż rodzina matki wciąż go nie chce. Dlatego musiała dowiedzieć się prawdy, zanim powie cokolwiek Jordanowi.

Bawiła się zapięciem torebki.

- Po prostu mi uwierz, że ma wszelkie powody, aby nas nienawidzić.

Przez chwilę jechali w milczeniu, zanim ponownie się odezwał:

- Nadal więc jesteś zdecydowana pojąć pirata za męża?

- Tak. I to się nie zmieni, bez względu na to, na ile balów mnie zaciągniesz.

- Dlaczego więc zgodziłaś się pójść na ten? Unikała jego wzroku.

- Mam... coś do załatwienia.

- Coś do załatwienia? Co takiego?

Zastanawiała się, co mu odpowiedzieć, potem uznała, że może wyjawić część prawdy.

- Chcę poznać lady Dryden, która podobno ma tam być. Muszę z nią o czymś porozmawiać.

- Czy dotyczy to Komitetu Dam? Wiem, że jest filantropką.

Uchwyciła się tej wymówki.

- Tak. O Komitecie Dam.

- Może być ci trudno ją odszukać. Podobno ma tam być spory tłum.

- To nie ma znaczenia. Znajdę ją.

Tak, znajdzie ją. Nawet jeśli miałyby zagadnąć każdą matronę. Bo w taki czy inny sposób zamierzała dowiedzieć się, czy lady Dryden była matką Gideona. Przynajmniej tyle mogła zrobić dla mężczyzny, którego kochała.

^ ^ ^

Gideon wszedł na pokład Satyra, zatrzymując się w miejscu, w którym całował Sarę w noc pożaru. W noc, kiedy tak czule mu się oddała.

Poczuł ucisk w piersi, ten sam, który towarzyszył mu od dnia, kiedy odeszła. Ile czasu minęło? Trzy tygodnie? Cztery? Nie wiedział. Ostatni miesiąc był mglistym ciągiem nieprzespanych nocy i gorączkowych dni. Horn zmuszał swych ludzi do ciężkiej pracy, aż w końcu przyszedł do niego Barnaby, błagając, by przestał. Ale Gideon chciał skończyć budowę chat, a kiedy już wszystkie wybudowano, poświęcił się budowie szkoły i kościoła.

Miał już tylko jeden cel w życiu: uczynić z Atlantydy idealne miejsce. Wtedy świat usłyszy o jego utopii, o miejscu, w którym mężczyźni i kobiety żyli obok siebie wolni, bez tyranii i niesprawiedliwych rządów. Świat usłyszy i ona usłyszy. Dowie się, że odniósł sukces wbrew niej, i będzie się przeklinała za to, że odeszła.

Uderzył pięścią w poręcz. Kogo próbował oszukać? Nie będzie jej obchodziło, co stało się z Atlantydą. Udało jej się uwolnić, i tylko to się dla niej liczy. Wszystko, co mówiła o tym, że chce pomóc przy odbudowie... to były tylko puste słowa, miały odwrócić jego uwagę od tego, co planowała. A on uwierzył w te słowa! Jak zakochany głupiec, uwierzył w każde słowo!

Już zaczął odchodzić od poręczy, kiedy spojrzał na swoją chatę. Był to jedyny nieskończony budynek na wyspie. Nie dotknął się do niego od dnia, w którym odeszła. Po co? Bez Sary nie potrzebował domu. Jediną kobietą, którą kiedykolwiek pragnął poślubić, była ona, a skoro ona odeszła...

A skoro odeszła, nie miało już znaczenia, jak wyglądał jego dom ani jakim sukcesem okaże się Atlantyda. Nic nie miało znaczenia.

Niech to szlag, dlaczego nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie? Wszystko mu o niej przypominało. Kiedy obcinał kiść bananów, myślał, jak bardzo je lubiła. Za każdym razem, gdy widział białą haftowaną bluzkę albo rude włosy, jego serce zamierało.

Odeszła, i bez względu na to, co powiedziała, już nie wróci. Głupotą byłoby uważać inaczej.

Wyciągnął z kieszeni jej medalion i popatrzył na niego. Nie wiedział, dlaczego go zatrzymał. Obracał go w dłoni, przypominając sobie, jak się nim bawiła, rozmawiając z nim, jej smukłe palce obracały łańcuszek to w jedną, to w drugą stronę. Powinien wyrzucić tę przeklętą rzecz do oceanu. Uosabiała kłamstwo, jedno z wielu, które mu powiedziała, żeby go zwodzić, póki nie przybędzie pomoc.

Przewiesił medalion przez balustradę i spojrział na głęboką wodę. Wystarczyło, żeby go upuścił by pozwolił mu ześliznąć się z palców.

Ale nie był w stanie tego zrobić. Jakiś niemądry sentymentalny odruch kazał mu wsunąć medalion do kieszeni spodni.

Z groźną miną przeszedł przez pokład, po czym wszedł do salonu i ruszył w kierunku swojej kajuty. W nocy nadal sypiała tutaj Molly z dziećmi, ale Gideon korzystał z kajuty za dnia. A teraz miał bardzo konkretny powód, żeby tutaj przyjść. Chciał swoją butelkę rumu. Nieczęsto pił, ale dzisiaj zamierzał się upić. Chociaż na chwilę pragnął uwolnić się od myśli o Sarze.

Otworzywszy drzwi, natychmiast usłyszał pisk i zobaczył blond głowę znikającą pod prześcieradłem.

- Wyłaż, do diabła, kimkolwiek jesteś! - wrzasnął.

- Co u licha tutaj robisz? - Zwolnił chłopca, okrętowego z jego obowiązków w dniu, w którym osiedlili się na Atlantydzie, więc to nie mógł być on, a chwilę wcześniej widział Molly pogrążoną w rozmowie z Louisa, więc to również nie mogła być ona.

Lepiej, żeby nie była to także któraś z pozostałych kobiet. Nie miał teraz nastroju, żeby się z nimi użerać. Jeśli więc była to ta przeklęta Queenie, wyrzuci ją na zbitą twarz.

Potem uświadomił sobie, że trzęsąca się pod prześcieradłem postać była zdecydowanie mniejsza niż którakolwiek z kobiet. Jęknął. Jane, pięcioletnia córka Molly. To musiała być ona.

Przybrał trochę łagodniejszy ton.

- Jane, czy to ty, dziewczyno? Wyjdź. Wszystko w porządku. Nic ci nie zrobię.

Blond główka powoli wyłoniła się spod satyny - najpierw czerwone oczy i nos, potem nadąsana buzia.

- Nakrzyczyłaś na mnie! Mówiłaś brzydkie słowa i krzyczyłaś na mnie!

Z westchnieniem podszedł do łóżka i usiadł na nim.

- Wiem, kochanie. Nie powinienem tego robić. Tylko że ostatnio jestem w podłym nastroju.

Wychyliła się spod prześcieradła.

- Bo panna Sara odeszła, co?

Zesztywniał.

- Panna Sara nie ma z tym nic wspólnego.

- Och. Myślałam, że panna Sara miała za ciebie wyjść za mąż.

- Gdzie jest twoja matka? - spytał, chcąc zmienić temat. Przyszedł tutaj, żeby przestać myśleć o Sarze, a nie żeby przypominało mu o niej jakieś dziecko. - Dlaczego Molly zostawiła cię tutaj samą?

- Powiedziała, że musi porozmawiać z panną Louisa. Kazała mi się zdrzemnąć. - Znowu zrobiła nadąsaną minę. - A ja nie lubię drzemek.

Powstrzymując uśmiech, nachylił się i potargał jej włosy.

- Tak, ale drzemki są dobre dla małych dziewczynek. Może się położysz, a ja sobie pójdę, dobrze?

Posłusznie położyła się na poduszkach, ale czuł na sobie jej wzrok, kiedy się podniósł i podszedł do biurka. Otworzywszy szufladę, wyciągnął z niej butelkę rumu, żałując, że nie może jej nigdzie ukryć.

- Czy to dżin? - spytała.

- Nie. Śpij już.

- Mój tata pił dżin, kiedy był smutny. Potem śpiewał wesołe piosenki i rozśmieszał mnie.

Gideon popatrzył na nią. Choć Sara mówiła mu, że niektóre kobiety miały w Anglii mężów, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Przecież gdyby miały porządnych mężów, nie popełniłyby przestępstwa, czyż nie?

- Tęsknię za tatą - powiedziała z dziecięcą szczerością. - Bardzo.

- Dlaczego nie zostałeś z nim w Anglii?

- On i mama powiedzieli, że muszę iść z nią. Powiedział, że mężczyźni na morzu nie będą jej nagabywać, gdy zobaczą, że ma mnie. - W jej oczach pojawił się błysk. - Tata powiedział, że przyjedzie do nas, jak tylko uzbiera pieniądze. - Potem znowu posmutniała. - Tylko... tylko mama mówi, że on nie może do nas przyjechać, skoro teraz mieszkamy na wyspie. Mama mówi, że teraz będę miała nowego tatę.

Poczuł ucisk w gardle. Usiłował nie zwracać na to uwagi. Mąż Molly i tak pewnie nigdy nie dotarłby do Nowej Południowej Walii, i być może tak czy inaczej byłaby zmuszona znaleźć tam sobie nowego męża, chociażby po to, żeby mieć za co wyżywić dzieci.

Jednak powtarzanie sobie tego wcale nie zmniejszało jego poczucia winy. Mała Jane nie rozumiała tych niuansów? Wiedziała tylko, że wcześniej była nadzieja, że połączą się z ojcem, a teraz już nie miały już żadnej nadziei.

Po raz pierwszy zrozumiał, co Sara usiłowała mu wytłumaczyć. Nie wszystkie kobiety były szczęśliwe, że są na wyspie. Nie wszystkim podobało się, że muszą wyjść za mąż i nie mają w tej kwestii nic do powiedzenia. Rzeczywiście. Niektóre nie były ani trochę szczęśliwe. Niektóre musiały pogodzić się, że na zawsze straciły tych, których kochały.

A wszystko to dzięki niemu i jego wielkim planom stworzenia utopii. Utopii? Kiedy nazwał Atlantyde utopią przy Sarze, nazwała ją „utopią, gdzie mężczyźni mają wybór, a kobiety żadnego”. Właśnie tym była - on ją taką stworzył. Ale właśnie odkrywał, że utopia, gdzie tylko połowa populacji ma wybór, nie była żadną utopią.

- Mama mówi, że muszę być dużą dziewczynką – ciągnęła Jane ze łzami w oczach. - Mówi, że muszę nauczyć się lubić nowego tatę. - Spojrzała na niego i serce mu się ścisnęło. - Ale tęsknię za swoim tatą. Nie chcę nowego. Postawiwszy szybko butelkę rumu na biurku, podszedł i usiadł przy Jane. Objął ją i przytulił do siebie.

- Nie martw się, kochanie. Nie musisz mieć nowego taty, jeśli nie chcesz. Zajmę się tym.

Wtuliła się w niego, cicho pociągając nosem.

- Nie przeszkadzałoby mi tak bardzo, gdybyś ty był moim nowym tatą. Ale ty zamierzasz się ożenić z panną Sarą, prawda? Kiedy wróci.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że niemal pękło mu serce.

- Tak, kiedy wróci - powtórzył głucho.

Nagle do kajuty wpadł Barnaby.

- Kapitanie, lepiej będzie jak szybko przyjdiesz. Molly zaczęła rodzić. - Zerknął na dziecko, potem pociągnął Gideona do drzwi. Kiedy Gideon wstał, Barnaby dodał szeptem: - I nie wygląda to najlepiej. Może tego nie przeżyć. Chce zobaczyć córkę, więc może zabierz ją ze sobą.

W tym momencie Gideon zapomniał o butelce rumu, po którą przyszedł. Zapomniał o zdradzie Sary i własnym cierpieniu. Czując ucisk w żołądku, chwycił Jane w ramiona i ruszył za Barnabym.

Rozdział 25

Dominujące obyczaje danego wieku zależą bardziej niż nam się zdaje, albo bardziej, niż chcemy to przyznać, od zachowania kobiet; jest to jeden z podstawowych trybików, dzięki którym porusza się wielka maszyna ludzkiej społeczności.

Hannah More (1746-1883)

angielska pisarka i filantropka

Eseje na różne tematy... dla młodych dam

Jordan miał rację, pomyślała Sara, rozglądając się po zatłoczonych salach luksusowej posiadłości Merringtonów. Znalezienie lady Dryden w tym tłumie było niemożliwe. Przez ostatni dwie godziny Sara szukała tej kobiety, lecz bez powodzenia. Ponieważ lady Dryden rzadko bywał w towarzystwie, niewiele osób ją znało. Kiedy Sarze wreszcie udało się spotkać kogoś, kto ją znał i po prosiła tę osobę, aby wskazała jej lady Dryden, powiedziano jej, że właśnie się minęły. Ta dama była tak nieuchwytna jak morska bryza w czasie flauty.

Sfrustrowana Sara ruszyła na balkon, żeby choć przez chwilę побыć w samotności. Niestety chwile później na balkonie pojawiła się jakaś kobieta. Przywitały się grzecznym skinieniem głowy, ale uszanowały swoją prywatność i stały w milczeniu przez kilka chwil. W końcu kobieta odwróciła się, żeby wejść do sali, w tym momencie naszyjnik na jej szyi zaczepił o pochodnię, co zwróciło uwagę Sary.

Onyksowy wisior miał kształt końskiego łba otoczonego diamentami. Choć był mniejszy od klamry Gideona, to jednak stanowił jej wierną kopię.

Sara poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

- Lady Dryden?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na Sarę zaskoczona.

- Tak? Przepraszam, czy my się znamy?

Sara przyglądała się jej z coraz większym podnieceniem. To była ona. To musiała być ona. Miała taką samą biżuterię i taką samą karnację. Z kruczoczarnymi włosami przetykanymi srebrną nitką siwizny i niebieskimi oczami, lady Dryden zdecydowanie mogła być matką Gideona.

Ale od czego zacząć? Sara setki razy odtwarzała w myślach to spotkanie, ale teraz czuła się zagubiona.

- Nazywam się Sara Willis. Jestem przyrodną siostrą hrabiego Blackmore'a. - Sara przełknęła ślinę. - Podziwiałam pani wisior. - Zawsze uważała, że najlepiej jest od razu przejść do rzeczy. - Niedawno widziałam bardzo podobną broszkę.

Kobieta jakby zeszywniała.

- Doprawdy? Gdzie? - W jej głosie nie było ani trochę nonszalancji. Prawdę powiedziawszy, nagle bardzo zainteresowała się tym, co Sara miała do powiedzenia.

- Zapewne zabrzmiało to dziwnie, ale nosił ją pirat. Zrobił z niej klamrę swojego paska.

- Pirat? Czy to jest jakiś żart? - spytała lady Dryden, najwyraźniej zawiedziona. Zanim Sara zdążyła zaprotestować, wyraz twarzy lady Dryden zmienił się. - Chwilczkę, pani jest pewnie tą młodą damą, która podróżowała na pokładzie Chastity. Opowiadała mi o pani znajoma z Komitetu Dam. Statek został

pojmany przez piratów, a potem o mały włos nie została porwana.

- Tak, to ja - powiedziała sucho. Najwyraźniej historyjka Jordana była szeroko znana. Ale nadszedł czas, żeby ktoś poznał prawdę, zwłaszcza ten ktoś. - Prawdę powiedziawszy, zostałam porwana. Spędziłam miesiąc z piratami na wyspie na Atlantyku. Dobrze ich poznałam, zwłaszcza kapitana.

Lady Dryden wyglądała na zszokowaną i trochę zaskoczoną szczerością całkowicie obcej kobiety.

- Lorda piratów? Spędziła pani miesiąc z samym lordem piratów?

- Tak. Słyszała pani kiedyś jego prawdziwe nazwisko?

Lady Dryden potrząsnęła głową, ewidentnie zdziwiona pytaniem Sary.

- On nazywa się Horn. Gideon Horn.

Z twarzy lady Dryden odpłynęła krew. Kobieta wyglądała tak źle, jakby za chwilę miała zemdleć, i Sara szybko do niej podeszła.

- Przepraszam, zdenerwowałam panią. Dobrze się pani czuje?

- Powiedziała... powiedziała pani... Horn? Ten człowiek nazywał się Horn? Jest pani pewna?

- Tak. Miałam okazję całkiem dobrze poznać kapitana Horna podczas mojego pobytu na jego wyspie. - Zawahała się, czy ma mówić dalej, widząc jawne cierpienie lady Dryden. Ale ta kobieta porzuciła własnego syna, i zasłużyła sobie na to, żeby być zdenerwowaną. Głos Sary stał się bardziej zdecydowany. - Prawdę mówiąc, byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że wcale nie jest Amerykaninem. Urodził się w Anglii, jako syn córki księcia. Jego matka uciekła ze swoim nauczycielem,

Anglikiem o nazwisku Elias Horn, tam porzuciła swoje dziecko, gdy rodzina wezwała ją do powrotu.

- Nie! - zaprotestowała lady Dryden. - Wcałe tak nie było! Ja nigdy... - Urwała, a w jej oczach pojawiły się łzy. - A więc dlatego mój syn nigdy mnie nie szukał. Przez cały ten czas myślał, że...

Sara także była zdezorientowana. Nie takiej reakcji się spodziewała.

- Lady Dryden, czy chce pani powiedzieć, że rzeczywiście jest pani matką Gideona Horna?

Kobieta spojrzała na nią błędnym wzrokiem.

- Oczywiście! Zapewne domyśliła się tego pani, inaczej nie mówiłaby mi pani o nim!

Serce Sary waliło jak oszalałe. Odnalazła matkę Gideona.

- Nie miałam pewności. Elias Horn powiedział Gideonowi, że jego matka nie żyje. Ale w przewodniku genealogicznym *Debrett's Peerage* znalazłam tylko jedną córkę księcia o imieniu Eustacia, i to była pani. Potem, kiedy zobaczyłam ten wisior...

- Upewniła się pani. - Lady Dryden spojrzała w stronę jadalni, a po jej policzkach płynęły łzy. Wydawała się niemal szalona, gdy chwyciła Sarę za ramię. - Och, panno Willis, musimy znaleźć mojego męża! On musi tego natychmiast wysłuchać!

Sara czuła się kompletnie zdezorientowana. Lady Dryden nie zachowywała się jak kobieta, która właśnie usłyszała, iż syn, którym gardziła, jest piratem. I dlatego, po tylu latach braku zainteresowania, teraz tak bardzo chciała się o nim nagle wszystkiego dowiedzieć? Albo opowiedzieć mężowi o niechlubnej przeszłości?

- Lady Dryden - mruknęła z niepokojem gdy kobieta pociągnęła ją w stronę drzwi - jest pani pewna, że chce opowiedzieć o tym swojemu mężowi bez... uprzedzenia?

- Tak, oczywiście! - Potem, jakby dotarło do niej znaczenie pytania Sary, lady Dryden zerknęła na nią zaniepokojona. - Och, ale pani musi sądzić... Jeśli mój syn tak sądzi, więc pani musi sądzić... Nieważne. To nie ma znaczenia. Zrozumie pani, kiedy wszystko pani opowiem. Ale najpierw musimy odnaleźć mojego męża! Zapewniam panią, że będzie chciał usłyszeć wszystko, co ma pani do powiedzenia. Wszystko!

- Oczywiście, proszę pani - odparła Sara. Nie była w stanie powiedzieć nic innego.

Jednak, gdy kobieta ciągnęła ją do sali balowej obiecała sobie jedną rzecz. Kiedy markiz usłyszy co powiedziała już jego żonie, Sara będzie chciała poznać odpowiedzi na kilka swoich pytań.

^ ^ ^

Molly została umieszczona w sypialni Louisy i Silasa, i krzyczała na całe gardło. Na szczęści jedna z kobiet zabrała Jane, jak tylko dziewczynka zobaczyła się z matką. Nie chciał, aby mała słyszała, jak jej matka cierpi.

Nigdy nie przypuszczał, że rodzenie dzieci jest takie straszne. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z rodzącą kobietą. Z trudem wytrzymał te kilka minut w sypialni. A kiedy wyszedł z pokoju, zaraz po Jane, Louisa wymamrotała coś o całym męskim gatunku.

Nie obraził się. Jak mógłby? Molly zdierała sobie płuca i znosiła od wielu godzin ból, a wszystko po to,

aby urodzić dziecko, chociaż u jej boku nie było męża. W tej chwili czuł jedynie największy szacunek dla kobiet i pogardę dla siebie i swojej płci.

Zmartwiona Ann pojawiła się w drzwiach sypialni.

- Dziecko ułożone jest pośladkowo, kapitanie. Dlatego Molly tak trudno jest urodzić.

- Ułożone pośladkowo?

- Kiedy dziecko wychodzi na świat, główka powinna wyjść pierwsza. Ale pupka tego maleństwa chce wyjść pierwsza, a to się nie uda. Nie wiemy z Louisą wystarczająco dużo o porodach, żeby sobie poradzić, a wśród kobiet nie ma położnej. Już pytałyśmy.

- Na pewno jest ktoś, kto może pomóc – zaproponował Gideon. - Na tej wyspie jest pięćdziesiąt albo więcej kobiet.

- To prawda. Ale większość z nich wie tyle o porodach, co ja - wystarczająco dużo, żeby pomóc w normalnym porodzie. Przy takim jak ten, potrzebujemy położnej, ale nie mamy takiej. Na tej wyspie nie ma żadnego lekarza?

Potrząsnął głową, czując palące poczucie winy. Żadnego lekarza. Żadnej położnej. Planował oczywiście ściągnąć jakiegoś medyka na wyspę, ale jeszcze tego nie zrobił.

Nagle przy drzwiach wejściowych rozległ się skrzekliwy głos.

- No dobrze, gdzie ona jest? Gdzie jest rodząca?

Oboje odwrócili się i zobaczyli Queenie, z podwiniętymi rękawami i zdecydowanym wyrazem twarzy.

- Queenie - odezwała się Ann stanowczym głosem - nie możesz niepokoić Molly. Sprawy nie mają się zbyt dobrze. Dziecko jest ułożone pośladkowo.

- Potrzebuje kobiety, która będzie wiedziała, jak jej pomóc, tego właśnie jej potrzeba – odparła Queenie.

Z sypialni dobiegł kolejny krzyk i Queenie ruszyła w tamtym kierunku. Ann zagroziła jej drogę, na co Queenie obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

- Zejdź mi z drogi, wiejska dziewucho. Jak sądzisz, kto odbierał wszystkie porody w burdelu? Ja. Nie mogliśmy ryzykować wizyty lekarza, żeby nie doniósł na nas władzom. Przyjęłam więcej dzieci, niż ty trzymałaś w swoim życiu na rękach. I przyjmę to dziecko, jeśli mnie przepuścisz.

Ann zawahała się, jakby nie do końca jej wierzyła.

- Puść ją - rzucił Gideon przez zaciśnięte zęby. - Jeśli mówi, że umie to zrobić, to pozwólmy jej to zrobić, na Boga. Nie mamy wyboru.

Kiedy Ann odsunęła się na bok, Queenie wpadła do sypialni, zostawiając otwarte drzwi.

- Queenie! - krzyknęła w sypialni Louisa.

- Wszystko w porządku - powiedziała Ann, która weszła za Queenie. - Mówi, że przyjmowała już porody.

Louisa chrząknęła.

- Pewnie częściej widywała, co wchodzi w kobietę, niż z z niej wychodzi.

- To prawda - odparła Queenie łagodnie. - Ale ty nie masz zbyt wielkiego wyboru, panno Przemądrzała.

Gideon stanął w drzwiach i zajrzał do środka zobaczył Ann, Louise i Queenie stojące wokół łóżka. Dostrzegł też bladą twarz Molly i jej mokre od potu włosy. Queenie usiadła na brzegu łóżka, mrużąc coś zaniepokojona. Nie widział, co robiła

ale kiedy skończyła, wytarła ręce w fartuch i powiedziała:

- Tak, dziecko jest ułożone pośladkowo. Musimy je obrócić.

- Obrócić? Można to zrobić? - spytała Louisa z niepokojem.

- Tak, można to zrobić. Czasami. Robiłam to kilka razy wcześniej. - Queenie wydawała się zmartwiona.

- Ale udało się tylko raz. Czasami nie można obrócić dziecka.

- Rób wszystko, co musisz! - wysoki głos Molly wybił się ponad ściszone głosy pozostałych kobiet. - Po prostu wyciągnij ze mnie dziecko, do cholery!

- Na Boga, zróbcie coś! - wydusił z siebie Horn.

- Zajmę się tym, kapitanie - odparła Queenie. - Niech pan nam przyniesie gorącą wodę, dobrze? niech Silas zrobi herbatę. Ta biedna dziewczyna będzie jej potrzebować już po wszystkim.

Nie musiała dwa razy prosić. Gideon uciekł, przeklinając się za tchórzostwo. Molly była taka drobna, taka krucha. Jak ona to przeżyje? I co stanie się z jej nowo narodzonym dzieckiem i Jane, jeśli Molly umrze?

Znalazł Silasa w kuchni i przekazał mu polecenia Queenie. Silas już wcześniej nastawił wodę. Zdjął teraz czajnik z ognia i stanął przy Gideonie.

- Jesteś blady, kapitanie. Bardzo cierpi, co?

Gideon spojrzał na starszego mężczyznę.

- Ona może umrzeć. Dziecko może umrzeć. - Uderzył pięścią w stół, wściekły na siebie. - I to wszystko moja wina, słyszysz? Powinienem był tu sprowadzić lekarzy i położne. Ale czy ja umiem zajmować się kobietami? Nie mam o tym zielonego pojęcia! Sara miała rację. Nie obchodziły mnie ich

potrzeby, ani przez chwilę! Nic dziwnego, że mnie zostawiła!

Odstawiwszy czajnik, Silas poklepał Gideona po ramieniu, potem podszedł do kredensu i nalał mu whisky do kieliszka.

- Uspokój się i wypij to. Nie może być aż tak źle. A panna Sara nie zostawiła cię, ponieważ nie ściągnęłaś tutaj lekarzy. Odeszła, bo musiała zająć się swoją rodziną. Ale wróci. Powiedziała, że wróci i ja jej wierzę.

- Nie wróci - odparł ponuro Gideon. - Nienawidzi mnie, i wcale się jej nie dziwię.

- Przestań tak mówić. Takie myślenie nic dobrego nie przyniesie, zwłaszcza że to nieprawda. Posiedź tutaj i wypij to, a ja zaniosę wodę Louisie. I może jak wrócę, będę miał dla ciebie dobre wieści.

Dobre wieści? Jakie dobre wieści mógłby przynieść Silas? Nawet jeśli Molly przeżyje, w co wątpił, nadal będzie uwięziona na tej wyspie, z jego winy.

A u jego boku wciąż nie było Sary. Każdego dnia musiał wstawać z łóżka i iść do pracy, jeść i żyć, przez cały czas mając świadomość, że Sara nie kochała go wystarczająco mocno, aby zostać. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy w ogóle go kochała. Nigdy nie powiedziała, że go kocha. Oczywiście on też nic na ten temat nie mówił, bojąc się, że jeśli powie jej o swoich uczuciach, stanie się jeszcze bardziej bezbronny. Ale i tak ją stracił, a teraz było za późno, aby jej powiedzieć, że bez niej czuł się jak statek bez żagli - pozbawiony znaczenia.

Nic dziwnego, że ojciec co wieczór upijał się na umór po tym, jak stracił kobietę, którą kochał. Był to jakiś sposób, żeby przetrwać samotne noce i puste dni.

Jednak Gideon tak nie zrobi. Za bardzo się szanował, żeby tak się zachowywać. Nie, on po prostu będzie... żył dalej.

Choć nigdy nie uda mu się zapomnieć.

Z jękiem ukrył twarz w dłoniach. Jeśli chciała ukarać go za wszystkie jego grzechy, z pewnością jej się to udało. Nie zdawał sobie sprawy, jak wiele wniosła w jego życie, dopóki mu tego wszystkiego nie odebrała.

Wstając z krzesła, odepchnął je w przypiływie nagłego gniewu. Najgorsze było to, że nie poczekała na niego, nie powiedziała słowa, nawet się nie pożegnała. Uciekła, jakby tylko marząc o tym, by zejść mu z oczu.

I to po tym wszystkim, co mówiła mu o chęci pomocy, po tym wszystkim, co powiedziała mu tamtej nocy na pokładzie... dobrze pamiętał tę noc: jak dała mu nadzieję, jak wyciągnęła go z rozpacz, mówiąc, że mogą odbudować Atlantyde...

Niech to szlag, co powiedziała? „Jeśli chcesz o to walczyć, zamiast pozwolić temu umrzeć”.

Może o nią również nie walczył wystarczająco mocno. Odeszła, a on pozwolił jej na to, tak rozłoszczony jej zdradą, że nie zrobił nic wtedy, kiedy mógł coś zrobić.

Ale teraz, kiedy analizował tygodnie, które spędzili razem - a zwłaszcza dwa ostatnie dni - nie mógł uwierzyć, że nie mówiła poważnie o ślubie i pomocy w odbudowie Atlantydy. Przecież nikt nie zmuszał jej, żeby zgodziła się wyjść za niego. A skoro wiedziała, że jej brat przybędzie na ratunek, dlaczego po prostu nie oparła się Gideonowi do czasu przybycia brata?

Zmroziło mu krew w żyłach. Może zbyt pochopnie założył, że chciała odejść. Usiłował sobie przy-

pomnieć, co Ann i Petey powiedzieli tamtej nocy na plaży. Petey dał do zrozumienia, że Sara została zmuszona, zanim Ann go powstrzymała. I co Ann powiedziała, o Sarze błagającej brata, żeby nie zaatakował wyspy? Może to nie o brata się martwiła.

Potrząsnął głową. Pokładał nadzieję w przypadkowych słowach i opacznie zrozumianym znaczeniu.

Jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że tamtego dnia wydarzyło się coś jeszcze, co sprawiło, że odeszła bez słowa.

- No, kapitanie - rozległ się w progu melodyjny głos.
- Urodziła zdrową dziewczynkę.

Odwrócił się i zobaczył rozpromieniona Ann. Poczuł wielką ulgę.

- A ona dobrze się czuje?

- Obie czują się dobrze. Queenie wszystkich zaskoczyła, ale wiedziała, co robi, i dobrze się nimi zajęła.

- Dzięki Bogu, że ktoś wiedział co i jak. - Przeczesał palcami włosy. - Bo ja nie wiedziałem.

Ann chciała odejść.

- Ann! - zawołał.

- Tak, kapitanie?

- Opowiedz mi dokładnie, co wydarzyło w dniu, w którym odeszła Sara.

Ann spuściła wzrok.

- Już... już powiedziałam.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Coś pominęłaś.

Narysowała stopą kółko na podłodze.

- Nie ma znaczenia, co stało się tamtego dnia, kapitanie. Panna Willis wróci najszybciej, jak to będzie możliwe. Wiem, że tak będzie.

- Nie mogę na to czekać. - Pomyślał, jak niewiele brakowało, żeby Molly straciła życie. - Płynę do Anglii. Zabieram wszystkie kobiety, które chcą wrócić. Nie będę miał na rękach krwi żadnej z nich. - Zamilkł, czując się tak spokojny, jak nie czuł się od dawna. - I zamierzam odnaleźć Sarę i wytłumaczyć jej, że jej miejsce jest tutaj. Muszę ją odnaleźć. Muszę jej powiedzieć, że jej potrzebuję... że ją kocham.

Podniosła ku niemu wzrok, przepełniony troską i strachem.

- Och, ale kapitanie, nie może pan! Nie wolno panu! Jeśli pojedzie pan za nią, to, co zrobiła, pójdzie na marne! Nigdy mi nie wybaczy, jeśli panu na to pozwolę! Nigdy!

Zamarł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Kładąc dłoń na ustach, popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ann, powiedz mi prawdę. Dlaczego ci nie wybaczy? Czy ona... czy ona mnie nienawidzi?

- Och, nie, kapitanie! Jak mogłaby pana nienawidzić? - Ann westchnęła. - Jej brat, hrabia, to znaczy... powiedział, że zrówna wyspę z ziemią, jeśli Sara z nim nie wróci do Anglii. Obawiała się, że może to zrobić. Miał ze sobą wielu uzbrojonych ludzi i był zdecydowany to zrobić. Ustąpił dopiero wtedy, gdy zgodziła się z nim wrócić.

Więc Sara go nie zdradziła. Sara zrobiła to, co zawsze robiła - poświęciła wszystko dla tych, których kochała. Ogarnął go gniew - gniew na brata Sary, gniew na Ann i Peteya, że go oszukali... a przede wszystkim gniew na samego siebie, że wierzył, iż Sara mogła z własnej woli go opuścić.

- Dlaczego pozwoliłaś, abym uwierzył, że chciała odejść? - powiedział pełnym bólu głosem i zrobił krok w jej kierunku. - Dlaczego to zrobiłaś wiedząc, co do niej czuję?

Na twarzy Ann odmalowało się poczucie winy.

- Nie chciałam tego robić. Musiałam. Zmusiła mnie, abym jej obiecała, że nie powiem panu prawdy, bo bała się właśnie tego, o czym pan teraz mówi. Że popłynie pan za nią do Anglii i tam pana powieszają. Za bardzo bała się o pańskie życie żeby je ryzykować.

- Jakbym miał jakieś życie bez niej – warknął. - Teraz muszę płynąć. Nie mogę jej tam zostawić z bratem potworem.

- Nie, nie może pan za nią płynąć! Pęknie jej serce, jeśli pana złapią! Powiedziała, że zrobi wszystko co w jej mocy, żeby wrócić, i wiem, że...

- Naprawdę wierzysz, że on pozwoli jej wrócić? Człowiek, który groził, że zniszczy wszystko, co kochała, by zmusić ją do powrotu? - Zaciśnął pięści. - Nie puści jej. Ja bym nie puścił na jego miejscu.

- Och, kapitanie - jęknęła żałośnie Ann - jeśli Anglicy pana złapią, powieszają pana!

- Anglicy jak dotychczas mnie nie złapali - odparł gwałtownie - i na pewno nie pozwolę im się złapać tym razem.

- Ale...

- Płynę do Anglii, i koniec dyskusji, Ann. Powiedz kobietom, że zabiorę wszystkie, które chcą ze mną wrócić. A jeśli boją się wracać do Anglii, zabiorę je na Santiago i zapłacę za ich podróż do każdego miejsca, jakie wybiorą.

Na twarzy Ann malowało się zaskoczenie.

- Niektóre z panem popłyną, ale sądzę, że większość wolałaby zostać.

Złagodził ton głosu.

- Jeśli któraś chce zostać, z radością ją przyjmiemy, bez względu na to, czy zdecyduje się na wyjście za mąż, czy nie. Ale już skończyłem z szukaniem żon dla moich ludzi. Od tej pory będą musieli sami ich sobie szukać... chętnych żon, jeśli mam coś w tej sprawie do powiedzenia.

Ann podeszła, stanęła na palcach i delikatnie pocałowała go w policzek.

- Jest pan dobrym człowiekiem, kapitanie Horn. Wiem, że panna Willis byłaby tutaj z panem, gdyby mogła.

- Ona będzie tutaj ze mną. Będzie tutaj, nawet jeśli miałbym przeczesać wszystkie przekłete Wyspy Brytyjskie, żeby ją znaleźć.

Rozdział 26

*Twoja miłość jest mi droższa niż życie,
I jestem szczęśliwy, bo będziesz moją żoną,
A skoro jestem na łodzi z tobą,
Cieszyć się będę twym urokiem, miłością,
w dzień i w nocy...*

Anonim

Billy Kadet powraca do domu

Śnieżnobiałe żagle Satyra z łopotem złapały wiatr, i statek odpłynął z Sao Nicolau. Gideon skierował go do Anglii. Dotarcie tutaj zajęło mu prawie trzy tygodnie. Statek nie był przygotowany do tak długiego rejsu, Horn poświęcił więc dużo cennego czasu na przechylenie go i osmołowanie olinowania, zanim mogli opuścić Atlantyde. Potem, gdy dotarli do Santiago, musieli uzupełnić zapasy i wziąć ładunek, dzięki któremu mogliby uchodzić za statek handlowy, kiedy wpłyną na angielskie wody.

Musieli również zaspokoić potrzeby jedenastu kobiet i ich dzieci, które postanowiły opuścić Atlantyde. Osiem kobiet zdecydowało się popłynąć z Santiago gdzie indziej. Musiał znaleźć im kwatery i załatwić miejsce na innych statkach. Wszystko to zajęło sporo czasu.

Pozostałe trzy kobiety były na pokładzie Satyra. Nalegały na powrót do Anglii, chociaż w ten sposób ryzykowały, że zostaną ponownie złapane. Między nimi była Molly z Jane i nowo narodzonym dzieckiem. Zamierzał dopilnować, aby bez względu na wszystko

wróciła do męża. Chciała z mężem przybyć z powrotem na Atlantyde, a Gideon zgodził się na to, o ile mężczyzna też wyrazi zgodę, cieszyło go, że tylko jedenaście kobiet chciało opuścić wyspę. Większość była zadowolona z życia na Atlantydzie. I większość znalazła sobie mężów.

Ośloniwszy oczy przed słońcem, oszacował dystans wokół półwyspu i ustawił się do wiatru. Miał nadzieję dopłynąć do Anglii w ciągu dwóch tygodni, chociaż musieli płynąć pod prąd. Satyr był przecież lekki, miał tylko niewielki ładunek i nie-liczną załogę. Horn nie chciał ryzykować życia wszystkich swoich ludzi, jeśli on lub jego statek zostaliby uwięzieni w Anglii. Ci mężczyźni, którzy zgodzili się z nim popłynąć, nie bali się zaryzykować. Byli to odważni marynarze, którzy z jakiegoś powodu pragnęli zobaczyć Anglię. Kilku z nich zamierzało nawet znaleźć tam sobie żony i zabrać je na Atlantyde.

- Dobrze jest znowu żeglować, prawda? - odezwał się Barnaby.

Gideon zerknął na swojego pierwszego oficera. Barnaby był jednym z tych, którzy popłynęli, ponieważ uwielbiali ryzyko. Czasami Gideon wątpił, czy Barnaby kiedykolwiek się usatkuje.

- Dobrze - powtórzył Gideon, ale nie do końca tak myślał.

Chociaż kochał morze jak każdy żeglarz, bardziej kochał Atlantyde. Już teraz tęsknił za piaskiem pod stopami, śmiechem dzieci bawiących się w strumieniu i zapachem lasu.

Ale może tęsknił za tymi rzeczami, ponieważ cieszył się nimi z Sarą. A za Sarą tęsknił najbardziej.

- Co mężczyźni sądzą o tym, że zmieniłem zasady dotyczące kobiet? - spytał Gideon.

Żaden z jego ludzi nie był na tyle odważny, żeby poruszyć ten temat, zwłaszcza po odejściu Sary.

Barnaby oparł się o balustradę i zapatrzył przed siebie.

- Najwyraźniej mają tak samo miękkie serce ty. Akceptują to. Chyba uznali, że miałeś rację – że spędzenie życia u boku niechętnej żony nie jest zbyt miłą perspektywą.

- Szkoda, że nie uświadomiłem sobie tego wcześniej. - Zanim doprowadził do tego, że Sara znalazł się poza jego zasięgiem. Zanim zakochał się w drażliwej reformatorce, która pewnie prędzej by go stłukła na kwaśne jabłko za porwanie kobiet niż wyszła za niego za mąż.

Nieważne. Zniósłby bicie, gdyby musiał, jeśli potem by za niego wyszła.

A gdyby nie wyszła? Gdyby jednak okazało się, że jest niestała w uczuciach? Gdyby jednak cofnęła obietnicę poślubienia go i oznajmiła, że myślała, iż już się go pozbyła. Co wtedy?

Ta ewentualność dręczyła go przez ostatnie trzy tygodnie. Ciągłe zadręczał Peteya i Ann, by opowiadali, co dokładnie zaszło między Sarą i jej bratem, ale pomimo iż ciągle powtarzali, że została zmuszona, nie czuł się do końca przekonany. Nawet jeśli jej brat zmusił ją do odejścia, wiele mogło się wydarzyć w ciągu dwóch miesięcy, jakie upłynęły od tego czasu. Wróciwszy do towarzystwa, mogła uznać, że jej pobyt na Atlantydzie był niepokojącym snem i to wszystko. Mogła w ogóle nie chcieć go widzieć.

A jednak musiał zaryzykować, nawet jeśli miałby przez to skończyć jak ojciec - dręczony wspomnieniami o utraconej miłości.

Nagle Barnaby gwizdnął, przerywając mu jego ponure rozmyślenia.

- Spójrz tam, kapitanie. Szkoda, że już nie rabujemy. Trafia nam się idealna zdobycz. Angielski statek handlowy.

Gideon spojrzał. Duży statek pod angielską banderą płynął do Wysp Zielonego Przylądka. Głęboko zanurzony, kusił możliwymi łupami.

- Tak, rzeczywiście piękna zdobycz. Ale skończyłem z piractwem, Barnaby. Na dobre.

- Doprawdy? - Barnaby zmrużył oczy. - Ten statek może sprawić, że zmienisz zdanie.

- Nic nie sprawi, że zmienię zdanie - powiedział Gideon, stając ponownie za sterem.

- Nie działaj pochopnie. Popatrz na jego nazwę, a potem powiedz mi, że nie chcesz napaść na ten statek.

- Gideon przyjrzał się burcie statku. Tam, złotymi literami lśniła nazwa Defiant. Natychmiast się wyprostował i sięgnął po lunetkę.

- Czy nie tak nazywa się statek lorda Blackmore'a? - mruknął Barnaby - Ten, którym zabrał pannę Willis?

Gideon potaknął, przyglądając się kadłubowi statku, potem rzucił okiem na pokład. Nie widział nic, co by na to wskazywało, ale nie mógł stłumić w sobie nadziei, że Sara była na pokładzie.

- Wątpię, aby istniały dwa statki Defiant, które miałyby powód, aby znaleźć się na tych wodach. To musi być jego statek. Założę się, że ten przeklęty Anglik powrócił, aby dokończyć dzieła zniszczenia na Atlantydzie. Skoro Sara wtedy nie pozwoliła mu zrównać wyspy z ziemią, prawdopodobnie zostawił ją w Anglii i wrócił bez niej, żeby to zrobić. - Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech. - Może

się zdziwić, prawda? Zajmę jego statek nim pozwolę mu zbliżyć się na milę do Atlantydy

- Zajmiesz jego statek? Czym? Prawie nie mamy załogi.

- Czy kiedyś powstrzymała nas jakaś beznadziejna sytuacja? - Gideon przyglądał się przez lunetę załodze statku, zastanawiając się, dlaczego była tak nieliczna. - Mamy wystarczająco dużo armat a jego statek nie wygląda na dobrze uzbrojony. Założę się, że możemy go pokonać w bitwie morskiej. Jeśli nie zgodzi się podpłynąć i wpuścić nas na pokład, damę słowo, że zrobię pięćdziesiąt dziur w jego kadłubie, aż wykurzę tego tchórza z ukrycia. Jeśli jest na pokładzie, zmuszę go, aby mi powiedział gdzie ona jest. Jeśli nie, zatrzymam statek, póki mi jej nie odda.

- Jesteś całkiem szalony, wiesz? - powiedział szczerze Barnaby. Potem wzruszył ramionami. - Ale muszę powiedzieć, że brakuje mi porządnej bitwy morskiej.

Zauważywszy angielską banderę Defianta, Gideon mruknął:

- Szkoda, że zniszczyliśmy naszą starą piracką banderę.

Zapadła cisza, zanim Barnaby powiedział, jękając się:

- Hm... właściwie to... to znaczy...

Gideon odsunął lunetkę od oka i spojrzał na pierwszego oficera.

- Myślałem, że rozkazałem ją zniszczyć po zakończeniu naszego ostatniego rejsu.

- To prawda. Ale... cóż... myślałem, że może zmienisz zdanie, więc ją zachowałem. Jest w mojej kajucie.

Gideon zduśił uśmiech.

- Powinienem skazać cię na piaskowanie pokładu przez tydzień za niewykonanie rozkazu, panie Kent. Ale tym razem chyba mogę przymknąć oko na to wykroczenie. - Znowu zaczął obserwować Defianta przez lunetkę. - Powiedz mi, czy kiedyś wcześniej zajęliśmy już statek Blackmore'a? Barnaby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszał to imię na którymś ze statków.

- Więc najwyższy czas, abyśmy jakiś zajęli, nie uważasz?

- Tak jest, kapitanie. Nie możemy pozwolić, aby nowy hrabia nabrał zbyt wysokiego mniema o swoim męstwie na morzu.

- Rzeczywiście. - Gideon odłożył lunetkę, uśmiechając się.

Ten hrabia zdecydowanie powinien dostać nauczkę.

^ ^ ^

Sara siedziała przy śniadaniu w salonie statku w towarzystwie lorda i lady Dryden oraz Jordana. Z roztargnieniem bawiła się jedzeniem, zbyt podniekształcona, żeby cokolwiek przełknąć. Zbliżali się do Wysp Zielonego Przylądka, tylko dwa dni żeglugi od Atlantydy. Z trudem mogła uwierzyć, że Jordan w końcu się zgodził zabrać ją na wyspę. Ale nie miał wielkiego wyboru, kiedy markiz i jego żona zaczęli na niego naciskać. Gdyby się nie zgodził, markiz sam wynająłby statek i popłynął, zabierając ze sobą Sarę. A Jordan nigdy nie chciał tracić kontroli nad sytuacją.

W czasie podróży Sara bardzo polubiła lady Dryden. A także jej męża. Chociaż kilka lat starszy

od swojej żony, zupełnie nie zachowywał się z pretensją typową dla ludzi o jego pozycji i w jego wieku. Prawdę powiedziawszy, jego królewskie maniere, arystokratyczne rysy i ciepły uśmiech przypominały Sarze zmarłego ojczyma.

I oto podróżowali we czwórkę do Atlantydy. Pozostała trójka rozmawiała o czymś, co mogłoby ją zainteresować, gdyby nie rozmyślała o Gideonie. Był już niedaleko. Miała mu tak wiele do powiedzenia, że ledwie mogła wytrzymać.

Obawiała się tylko, że on może nie chcieć z nią, rozmawiać. Och, jeśli nie zechce się z nią zobaczyć, wysłuchać jej, ona tego nie przeżyje.

Drzwi do salonu otworzyły się i do środka wpadł pierwszy oficer.

- Panie, z prawej burty jest statek, szybko nas dogania! I ma piracką banderę!

Kiedy Jordan zaklął, Sara zerwała się z krzesła tak szybko, że je przewróciła. Pobiegła do swojej kajuty. Pozostali pobiegli za nią. Usiłowała zobaczyć ten statek przez okienko.

To był Satyr.

- Gideon - wykrztusiła.

Lord i lady Dryden zaczęli szeptać, a Jordan stanął obok Sary.

- Wydawało mi się, że mówiłaś, iż lord piratów porzucił piractwo.

- Bo porzucił.

Odwróciła się do nich. Lord i lady Dryden wyglądali na zaniepokojonych, a Jordan na wściekłego. W geście uporu skrzyżowała ramiona na piersi.

- Porzucił - powtórzyła bardziej zdecydowanie. - Oczywiście, że porzucił.

- Dlaczego więc tutaj jest - spytał jej brat - ściągając nas pod piracką banderę?

- Nie wiem. - Uniosła podbródek. - Ale na pewno ma ku temu powód.

- Wkrótce się o tym przekonamy, czyż nie? - Odwróciwszy się, Jordan przeszedł obok lorda i lady Dryden i wyszedł z kajuty do salonu.

Sara pobiegła za nim, a pozostała dwójka podążyła za nią.

- Co zamierzasz zrobić, Jordanie?

- Zamierzam przekonać się, jak „uczciwy” i „dobry” jest tak naprawdę twój kapitan piratów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Co...

Urwała, gdy do salonu wszedł kapitan. Jego twarz poczerwieniała z wściekłości.

- To lord piratów, tak przynajmniej mówi mi jeden z moich marynarzy. Rozkazali nam „stanąć”. Za pańskim pozwoleniem, jaśnie panie, wołałbym walczyć. Sądzę, że możemy wygrać, chociaż nie mamy aż tylu ludzi, ilu bym chciał.

- Nie! - krzyknęły chórem trzy głosy.

Jordan zmarszczył brwi.

- Obawiam się, kapitanie, że walka nie wchodzi w rachubę. Widzi pan, moja siostra zamierza poślubić lorda piratów, a lord i lady Dryden są tutaj po to, by dopilnować, żeby tak się stało. Chociaż bardzo chciałbym rozkazać ci zmieść Satyra z powierzchni wody, nie mogę tego zrobić. Jeśli to zrobię, jedno z nich może zamordować mnie we śnie, a wtedy nikt panu nie zapłaci za rejs, prawda?

Kapitan rzucił swojemu pracodawcy pełne niedowierzania spojrzenie.

- Chce więc pan, abyśmy się zatrzymali?

- Tak. - W głosie Jordana wyczuwało się napięcie. - Ale niech pańscy ludzie będą gotowi do walki i ukryją się przed piratami.

Skinąwszy głową, kapitan wyszedł. Jordan zwrócił się do Sary.

- Masz tu zostać, dopóki z nim nie porozmawiam.

- Nie! - zaprotestowała. - Zastrzelisz go, Jordanie. Nie pozwolę ci na to!

- Saro, godziłem się na twoje wszystkie warunki aż do teraz. Możesz przynajmniej dać mi szansę przekonania się, czy intencje twojego kapitana piratów są uczciwe. Ten atak na mój statek nie daje mi pewności, że on naprawdę zamierza zrezygnować z piractwa. A ja nie zamierzam mu cię oddać jeśli nie zyskam pewności, że będzie cię dobrze traktować.

- Ale, Jordanie...

- On ma rację - wtrącił się lord Dryden. - sądzę, że wszyscy powinniśmy zostać pod pokładem dopóki się nie przekonamy, że nic nam nie grozi.

Sara może i lubiła lorda Drydena, ale nie była zadowolona z tego, że się odezwał. Najwyraźniej jego żona również.

- Tam jest mój syn, Marcusie, i nie będę siedzieć tutaj, kręcąc młynka palcami, skoro mogę go wreszcie przytulić!

- Podzielam twoje uczucia, moja droga. Ale bez względu na to, co czujemy, jeszcze nie znamy tego człowieka. Jest nieprzewidywalny, a według panny Willis, także zgorzkniały. Sądzę, że lepiej jest najpierw sprawdzić temperaturę wody, że się tak wyrażę, zanim się ujawnimy.

- Zgadzą się więc - powiedział do markiza Jordan. - Zostanie pan tu z damami? Zaopiekuje się pan nimi, jeśli coś pójdzie nie tak?

- Nic nie pójdzie nie tak, chyba że ty to spowodujesz! - zaprotestowała Sara, ale Jordan i lord Dryden zignorowali jej słowa.

Kiedy lord Dryden się zgodził, Jordan wyszedł.

- Jordan! - krzyknęła za nim. - Nie waż się go zranić.

Podchodząc do niej, lord Dryden poklepał ją po ramieniu.

- No już, panno Willis, wszystko będzie dobrze. Pani brat może i jest porywczy, ale zależy mu pani.

- Jeśli dotknie Gideona, uduszę go - powiedziała żarliwie.

- Proszę się nie martwić - przerwał jej lord ze słabym uśmiechem. - Jeśli dotknie Gideona, żona i ja przytrzymamy go, kiedy będzie go pani dusiła.

^ ^ ^

Gideon wszedł na pokład Defianta z kilkoma swoimi ludźmi, czując ucisk w żołądku. To było proste. Rozkazali, aby statek się zatrzymał, wykonano ten rozkaz bez żadnego protestu.

Horn chwycił za rękojeść szabli, stając twarzą w twarz z kapitanem statku o twarzy osmaganej morskim wiatrem.

Ten człowiek wyglądał na dziwnie nieprzestraszonego.

- Nie mamy żadnego ładunku, który mógłby przydać się panu lub pana łotrom, *sir*.

- Nie interesuje mnie wasz ładunek. Szukam hrabiego Blackmore'a. Jest na statku?

- Jest - rozległ się kolejny głos zza głównego masztu. Wyszedł zza niego mężczyzna z pistoletem w dłoni. - Ja jestem hrabia Blackmore.

Gideon przyjrzał się wrogowi chłodnym wzrokiem, szukając oznak tchórzostwa, którego się

po nim spodziewał. Ale chociaż mężczyzna był wykwintnie ubrany i młodszy, niż Gideon oczekiwał, nie wyglądał jak arystokraci, z którymi miał dotychczas do czynienia. Miał w sobie jakąś twardość, upartą dumę, które Gideon wbrew sobie podziwiał.

I celował do Gideona z pistoletu, jakby miał wielką ochotę strzelić.

- Czego ode mnie chcesz? Złota?

- Jest tylko jedna rzecz, której od ciebie chcę i to jest Sara - odparł szczerze Gideon, nie zwracając uwagi na pistolet. - Chcę swojej narzeczonej. Albo mnie do niej zabierzesz, albo wezmę ciebie i twój statek jako zakładników.

- Albo mogę zastrzelić ciebie i twoich przeklętych piratów. Nawet teraz moi ludzie trzymają twoich na muszce i mogą ich wystrzelać, jeśli wydam rozkaz.

Gideon popatrzył na niego kpiąco.

- Barnaby! - krzyknął. - Jak sobie radzą ludzie hrabiego?

Barnaby i piętnastu jego ludzi wyszli z za nadbudówki, popychając przed sobą grupę rozbrojonych i niezadowolonych marynarzy.

- Och, radzą sobie całkiem dobrze, kapitanie. A ich broń dodaliśmy do naszego arsenału.

Hrabia zmarszczył brwi, gdy Gideon zwrócił się do niego z nieskrywanym uśmiechem.

- Od wielu lat jestem piratem, lordzie Blackmore, od zbyt wielu, żeby dać się nabrać na takie śmieszne triki.

- Ja nadał trzymam cię na muszce - odparł hrabia.

- Tak, a moi ludzie trzymają na muszce ciebie. A jeśli chodzi o twoją siostrę...

- Jordanie, ty głupcze, natychmiast odłóż pistolet!
- krzyknął znajomy kobiecy głos. - Spod pokładu wybiegła Sara i stanęła między Gideonem a bratem.
- Nie waż się do niego strzelać! Nie waż się! Gideonowi zabrakło tchu, gdy ujrzał rude włosy smukłą postać.

- Sara!

Odwróciła się do niego.

- Powiedziałam, że wrócę. Powiedziałam.

Rzucając szablę, pochwycił Sarę i mocno do siebie przytulił. Była tu. Naprawdę tu była!

- Sara, moja Sara - szeptał jej we włosy - nie masz pojęcia, jak bardzo bez ciebie cierpiałem.

- Nie bardziej niż ja bez ciebie. - Odsunęła się od niego nieznacznie i oczami pełnymi łez czule patrzyła na jego twarz. - Jesteś za blady i za chudy, mój kochany. Tak mi przykro. Nie chciałam cię opuszczać. Naprawdę nie chciałam.

- Wiem. - Przesunął dłonie po jej talii, nadal nie mogąc uwierzyć, że trzymają w ramionach. - Dlatego tu jestem. Właśnie płynąłem do Anglii, żeby cię znaleźć, kiedy zauważyłem statek twojego brata.

Sara zrobiła zagniewaną minę.

- Ann powiedziała ci, co się stało? Och, niech no ja ją dopadnę...

- Nie możesz jej winić, że mi powiedziała, najdroższa. I tak już zdecydowałem, że popłynę, by zawieźć kobiety, które nie chcą żyć na Atlantydzie.

Na twarzy Sary malował się szok.

- Słucham?

- Miałaś rację w tak wielu sprawach - powiedział poważnym głosem - a zwłaszcza co do kobiet. W końcu to zrozumiałem. Co to za raj, w którym ludzie nie są wolni?

- Och, Gideonie - powiedziała łamiącym głosem.
Niepewnie mówił dalej.

- Więc... postanowiłem zabrać kobiety z powrotem do Anglii, te, które chciały wrócić. - Jego głos stał się bardziej żarliwy. - A po dotarciu tam zamierzałem cię odnaleźć i błagać, byś wróciła. Dlatego Ann powiedziała mi prawdę o tym, dlaczego odeszłaś. Usiłowała mnie powstrzymać przed podążeniem za tobą. Powiedziała, że jeśli zostanę złapany, twoje poświęcenie pójdzie na marne.

- Powinieneś być jej posłuchać. Nie wierzyłeś, że wrócę? A powinieneś, zwłaszcza że powiedziała ci prawdę.

- Nie o ciebie się martwiłem. Spojrzał ponad nią na jej brata. Hrabia już nie celował w Gideona z pistoletu, ale zabijał go spojrzeniem.

- Obawiałem się, że ten drań twój brat nigdy nie pozwoli ci wrócić.

Hrabia skrzyżował ramiona na piersi z zuchwałym wyrazem twarzy.

- Rzeczywiście przyszło mi to do głowy, Horn.

- Cicho, Jordan - powiedziała Sara, kiedy Gideon zeszywniał. - To, co zrobił, było okropne, wiem, ale musisz mu wybaczyć. Jest przecież moim bratem.

- Nie z krwi - warknął Gideon, nadal nie spuszcżając oczu z hrabiego. - I na pewno nie zasługuję na to, żeby nazywać się twoim krewnym.

- Znam ją dłużej niż ty i lepiej się o nią troszczę - wypalił hrabia.

Zrobił krok do przodu, miał zaciśnięte pięści, ale zaraz zobaczył wycelowany w siebie pistolet Barnaby'ego.

Sara spojrzała gniewnie na Barnaby'ego.

- Natychmiast to odłóż, Barnaby Kencie, albo nigdy więcej się do ciebie nie odezwę!

Barnaby zerknął na Gideona, czekając na potwierdzenie jej słów.

- Nie zastrzelisz mojego brata, Gideonie, chociaż możesz bardzo tego chcieć. Wiem, że źle się zachowałem, ale ty też.

Gideon zdusił uśmiech, widząc jej uniesiony podbródek. Była tak samo uparta, wymagająca i lojalna, jak pamiętał. Dzięki Bogu, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Dobrze, najdroższa. Nie pozwolę Barnaby'emu zabić twojego przyrodniego brata. Poza tym na co by się zdało zabijanie hrabiego, skoro właśnie postanowiłem rzucić piractwo, prawda?

Kiedy się rozpromieniła i stanęła na palcach, żeby musnąć jego usta ustami, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował, nie zważając na zduszone pomruki jej brata. Kiedy w końcu udało mu się od niej oderwać, Barnaby wciąż trzymał hrabiego na muszce, chociaż uśmiechał się od ucha do ucha.

- Odłóż pistolet, Barnaby - powiedział jowialnie Gideon. - Wygląda na to, że Sara wróciła do mnie pomimo machinacji lorda Blackmore'a. Nie ma więc potrzeby go zabijać, prawda?

- Chyba nie. - Barnaby zatknął pistolet za pas.

- Rozumiem, że rozmowa o strzelaniu dobiegła już końca? - rozległ się kolejny głos.

- Kim wy, do licha, jesteście? - zawołał Barnaby.

Gideon popatrzył tam, gdzie spod pokładu wyszło dwoje starszych ludzi. Oboje, co dziwne, wpatrywali się w Gideona, chociaż w ich oczach nie widział żadnych oznak lęku.

Sara spojrzała na nich, a potem na Gideona,
- Mhm... Gideonie, są ze mną ludzie, których mam nadzieję... chciałbyś poznać.

Elegancko ubrana para przyglądała mu w sposób, który wprawiał go w zakłopotanie.

- Tak?

- Gideonie, przedstawiam ci lady Dryden, Eustację Worley. Twoją matkę.

Jak rażony piorunem, Gideon spojrzał na szczupłą ciemnowłosą kobietę.

- Moja matka nie żyje, Saro - wyszeptał.

Kobieta drgnęła i ruszyła do przodu, ale powstrzymał ją wysoki mężczyzna stojący u jej boku,

- To nieprawda - odezwała się łagodnie Sara, zmuszając Gideona, by znowu skupił na niej swoją uwagę. - Ona żyje. Wiele lat temu Elias Horn cię oszukał. Prawdą było tylko to, że rzeczywiście pracował jako nauczyciel twojej matki i że przez chwilę była nim zauroczona. Ale wszystko inne to kłamstwo. Kiedy zaczął na nią naciskać, aby z nim uciekła, odmówiła. Nigdy nie uciekła z Eliaszem Hornem. Wyszła za mąż za twojego ojca.

- Powiedziałaś... za mojego... ojca? - Znowu spojrzał na parę stojącą za Barnabym, i tym razem przyjrzał się dumnemu i niezachwianemu mężczyźnie... wysokiemu, szpakowatemu, o niebieskich oczach i... twarzy Gideona.

Serce Gideona zaczęło bić jak oszalałe.

- Witaj, synu - odezwał się mężczyzna spiętym głosem, a jego oczy błyszczały od łez.

Potrząsając głową, Gideon odsunął się od Sary.

- To musi być jakaś pomyłka. Mój ojciec nie żyje. Moja matka nie żyje.

- Twoja matka stoi tutaj - powiedziała zdecydowanie Sara. - Kiedy poznała lorda Drydena, uświadomiła

sobie, że Elias Horn nie był mężczyzną dla niej. Zauważyła już wcześniej jego pociąg do alkoholu, więc najdelikatniej jak umiała, powiedziała, że nie wyjdzie za niego za męż. - Głos Sary stał się ostrzejszy. - Najwyraźniej to nie zadowoliło Eliasa. Kiedy poślubiła lorda Drydena, wysyłał do niej listy, usiłując nakłonić ją do spotkania. A kiedy lord Dryden to przerwał, zemścił się na nich obojgu i wykradł cię krótko po twoich narodzinach. Pewnego dnia, kiedy niania wyszła z tobą do parku, poczekał, aż się na chwilę odwróci, a potem cię zabrał.

- Nie, to niemożliwe - odezwał się Gideon ochrypłym głosem. - Elias czasami był nieczułym człowiekiem, ale nie zrobiłby... nie mógłby... W jego głowie pojawiło się tysiące wspomnień, które próbował dopasować do wiedzy, którą właśnie posiadał, ale nie potrafił. Dowiedzieć się, że ma ojca i matkę, że Elias go okłamywał... - A co z broszką, którą zostawiła? - spytał, dotykając palcami paska.

- Przypięłam ją do wnętrza koszyka, w którym leżałeś, tego dnia, kiedy zostałeś porwany - powiedziała jego matka. - Bardzo ją lubiłeś, bo migotała w świetle.

W jej głosie słychać było taką szczerą, że niemal jej uwierzył. Niemal.

- Nie, widziałem list od ciebie do mojego... do Eliasa. Co z listem?

- Z listem? - powtórzył lord Dryden, zerkając na Sarę. - O czym on mówi?

Ale Sara wydawała się go nie słyszeć.

- Miałeś dziesięć lat, Gideonie. Czy przyszło ci do głowy, żeby sprawdzić znaczek? Oczywiście, że nie. Elias napisał fałszywy list i pokazał ci go, bo

zaczęłeś sprawiać mu kłopoty, zadając pytania w konsulacie.

- Och, mój Boże - wydusił z siebie Gideon. Czuł się jak łódź wywrócona do góry dnem przez sztorm. Jeśli była to prawda, to wszystko, co myślał, wszystko, w co wierzył, było całkowicie nieprawdziwe. - To jest niemożliwe.

- Pomyśl, Gideonie - odezwała się Sara. - Gdyby Elias naprawdę był twoim ojcem, dlaczego torturowałby cię, czytając ci list, który miał zranić? Żaden kochający ojciec z własnej woli nie powiedziałby synowi, że jego matka go nie chce, że rodzina matki uważa go ledwie za pył pod stopami. Zrobił to, ponieważ czuł się jak pył pod ich stopami, i chciał, żebyś czuł się tak samo. Bez wątpienia sądził, że uda mu się zniszczyć małżeństwo lady Dryden, kiedy ukradnie jej syna.

Gideon zacisnął pięści, przypominając sobie, ile razy Elias przeklinał go za to, że jest tak samo dumny i wyniosły jak jego matka. Przypomniał sobie wszystkie razy, które musiał znosić, brak uczucia, który wyczuwał u Eliasa od samego początku.

Narastała w nim wściekłość, ślepa furia, która potrzebowała ujścia.

Zwrócił się do swoich rodziców.

- Skoro wiedzieliście, że Elias mnie porwał, dlaczego mnie nie szukaliście? Dlaczego zostawiliście mnie na pastwę tego... tego potwora?

- Och, mój kochany chłopcze, ależ szukaliśmy! - wykrzyknęła lady Dryden. - Ale nigdy nie przyszło nam do głowy, że mógłby zabrać cię do Ameryki. Nie sądziliśmy, że go na to stać. Poza tym wciąż trwała wojna z Ameryką i uznaliśmy, że nigdy by cię tam nie zawiózł.

Lord Dryden zrobił krok naprzód, w jego oczach malował się nieopisany ból.

- Szukaliśmy w Irlandii, Anglii, Szkocji. Szukaliśmy nawet na kontynencie. Za każdym razem, gdy dowiadaliśmy się o porzuconym dziecku, które pasowało do twojego opisu, jechaliśmy tam, żeby sprawdzić, czy to nie ty. Nigdy nie wierzyliśmy, że cię zatrzyma. Dlaczego miałby to robić? Nie miał pojęcia, jak zajmować się dziećmi.

- To prawda - odezwał się gorzko Gideon. Popatrzył na matkę. - Sądzę, że zatrzymał mnie tylko dlatego, iż stanowiłem jedyną więź z tobą. Zawsze się kochał. I może nawet jakaś część jego wierzyła, że naprawdę był moim ojcem. - Jego głos stał się ostrzejszy. - Znajac Eliasa, pewnie bardziej chodziło mu o to, aby ukarać ciebie, karząc mnie. Zawsze powtarzał, że jestem taki jak ty, za każdym razem, gdy...

- Gideonie, nie - odezwała się półgłosem Sara, podchodząc do niego. - Nie możesz im tego wszystkiego opowiedzieć. Cierpieli nieopisane męki, zastanawiając się, jak jesteś traktowany, i byłoby okrucieństwem dręczyć ich teraz.

Popatrzył na lorda i lady Dryden i uświadomił sobie, że Sara miała rację. Nigdy nie widział tak bardzo zatroskanych ludzi. Nie można ich obwiniać za to, co zrobił człowiek, który nie był całkiem zdrowy na umyśle. A wyjawienie im, jak bardzo Elias był perfidny, z pewnością by ich zabiło.

Jego rodzice. Niech to szlag, byli jego rodzicami. Jak uda mu się przyzwyczać do myśli, że ma rodziców?

- Synu - odezwała się jego matka pełnym bólu głosem i podeszła bliżej. - Czekałam... trzydzieści

lat, żeby cię przytulić. Myślisz, że... mógłbyś... zaspokoić pragnienie starej kobiety?

Łzy napłynęły mu do oczu. Spojrzał na twarz kobiety, której nie znał, kobiety, której nienawidził całe swoje życie bez powodu. I nagle desperacko zapragnął ją poznać.

- Mamo - tylko tyle mógł z siebie wydusić.

A potem tulili się do siebie w milczeniu.

Sara patrzyła na nich i czuła, że zaraz pęknie jej serce. Nie mogła być zła na Jordana, że zmusił ją do powrotu do Anglii, skoro skończyło się to w taki sposób.

Następnie lord Dryden wziął w ramiona syna; oczy miał czerwone od łez, gdy przytulał do siebie młodego mężczyznę. Kiedy po chwili rodzice go puścili, Gideon wyglądał jak chłopiec, który właśnie dostał klucz do sklepu z cukierkami.

- Matka i ojciec. Nie mogę w to uwierzyć. - Od-suwając się od rodziców, zwrócił się do Sary.

- A wszystko to dzięki tobie. Ty ich znalazłaś, prawda? Zrobiłaś to dla mnie.

Skromnie spuściła głowę.

- Po prostu nigdy nie mogłam uwierzyć, że Elias mówił prawdę. Nie mieściło mi się w głowie, że kobieta mogłaby bez zastanowienia porzucić swoje dziecko.

Chwyciwszy ją w tali, przytulił do siebie.

- Zawsze miałaś lepsze zdanie o ludziach niż ja, Wygląda na to, że tym razem miałaś rację. Pomyśl o wszystkich tych latach, które mógłbym z nimi spędzić, gdybym tak łatwo nie uwierzył Eliasowi. - Palcem podniósł jej podbródek. - Może spotkałbym cię wcześniej.

Jej oczy błyszczały. Dotknęła dłonią jego policzka.

- Te lata należą do przeszłości. Teraz ważne jest, że mamy siebie.

- A ja mam ciebie? - wyszeptał. - Wyjdiesz za mnie? Wrócisz ze mną na Atlantyde?

- Na Atlantyde? - wtrącił się lord Dryden. - Ależ, synu, jesteś moim dziedzicem. Twoje miejsce jest w Anglii.

Widząc zaskoczenie Gideona, Sara dodała złościwie:

- Tak, Gideonie. Wygląda na to, że lord piratów rzeczywiście jest lordem, jednym z tych okropnych arystokratów, których zawsze tak lubił dręczyć. Jesteś hrabią Worthing. Masz tytuł i wielkie posiadłości w Anglii. Jego twarz zachmurzyła się.

- Nie dbam o to wszystko, Saro. To dla mnie nic nie znaczy. - W jego głosie słychać było napięcie. - Ale wiem, że to... znaczy coś dla ciebie. Jeśli nie chcesz żyć na Atlantydzie...

Dotknęła palcem jego ust, aby go uciszyć.

- Nie bądź niemądry. Na Atlantydzie jest mój dom. Jak mogłabym mieszkać gdziekolwiek indziej?

- Kocham cię, Saro. Kocham cię tak bardzo, że jestem gotowy popłynąć do Anglii i być... być...

- ...Hrabią Worthing.

- Tak, hrabią Worthing, jeśli tego właśnie chcesz. Jeśli tego ci trzeba.

Jej serce pęczniało z radości, że gotów był do takiego poświęcenia w imię miłości do niej.

- I ja cię kocham, Gideonie. I dlatego nie wrócimy do Anglii, dopóki nie będziesz na to gotowy... jeśli w ogóle będziesz na to gotowy.

- Mam więc tak szybko utracić syna? - spytała lady Dryden. - Kiedy dopiero co go odzyskałam?

Obejmując Sarę ramieniem, Gideon zwrócił się ku matce.

- Nie utracisz mnie, mamó. Obiecuję.
- Uśmiechnął się. - W końcu jestem kapitanem statku. Sądzę, że Sara i ja będziemy często podróżować do Anglii w przyszłości.

- Powieszają cię, jeśli cię złapią - wtrącił kwaśno Barnaby.

- Nie mojego syna - odparł lord Dryden. - Zapewniam cię, że z koneksjami moimi i lorda Blackmore'a możemy zdobyć ułaskawienie dla hrabiego Worthing.

Kiedy Jordan prychnął głośno, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Słyszysz? - spytał Gideon Barnaby'ego. - Mam zostać ułaskawiony i usatkwować się jako hrabia. Całkiem niezły koniec dla lorda piratów, nie uważasz?

- Usidlony przez kobietę - mruknął Barnaby. - Na Atlantydzie nigdy w to nie uwierzą.

- Och, uwierzą - powiedziała Sara, patrząc na swojego przysłego męża, tak szczęśliwa, że aż kręciło jej się w głowie. - Przecież każdy z tych piratów został uziemiony przez kobietę.

- Tak, to prawda - mruknął Gideon, przyciągając ją do siebie po kolejny pocałunek. - I jeśli mam być szczerzy, to nie jest tak zła nauczka jak na bandę nikczemnych amerykańskich korsarzy.

Epilog

Sala balowa w posiadłości Drydenów w Derbyshire pełna była ludzi, którzy chcieli zobaczyć dawno utraconego dziedzica. Jego lordowska mość wydał wystawny bal kostiumowy, aby przywitać syna, a teraz Sara i Gideon szli przez salę, mając wrażenie, że przedstawiono im już chyba wszystkich mieszkańców kraju.

Uznając, że będzie to wyborny żart, Sara i lady Dryden namówiły Gideona do przebrania się za Waltera Raleigha*, by jego kostium pasował do kostiumu królowej Elżbiety, który miała na sobie Sara. Pozwoliły mu nawet założyć jego kolczyk. Jak powiedziała lady Dryden: „Wygląda jak pirat nawet w eleganckim ubraniu, może się więc za niego przebrać”. W czarnej masce, z opaloną twarzą i świeżo ostrzyżonymi włosami, Sara uznała go za najprzystojniejszego mężczyznę na balu, i zauważyła, że niejedna kobieta przygląda mu się z zainteresowaniem.

On jednak był tego całkowicie nieświadomy. Nigdy nie widziała go tak skrępowanego, nawet wtedy, gdy po

*Sir Walter Raleigh (ok. 1554-1618) - angielski żeglarz i pisarz, faworyt Elżbiety I.

raz pierwszy znalazł się w Anglii dwa tygodnie temu. Wtedy był po prostu ciekawy i trochę rozbawiony faktem, iż został szanowanym członkiem arystokracji, którą przez tyle lat zwalczał.

Jednak dziś wieczór był bardzo świadomy tego, czego się od niego oczekuje jako od dziedzica markiza Drydena.

- Czy kobiety muszą dygać przede mną, jakbym był jakimś bóstwem? - mruknął.

- Tak. Należy ci się to z powodu twojej pozycji. - Uśmiechnęła się szelmowsko Sara. - Nie musiałeś nawet wymachiwać przed nimi szablą, żeby to uzyskać. To ci dopiero. Musi to być dla ciebie całym nowym doświadczeniem.

Zerknął na nią z ukosa.

- Jeśli nie okażesz mi należnego szacunku, moja droga żono, będę musiał wyciągnąć moją... yyy... szablę, kiedy już będziemy sami.

- Och, zrobisz to, prawda? I sądzisz, że to przy-sporzy ci szacunku?

Uśmiechnął się.

- Było skuteczne w przeszłości.

Uderzyła go lekko wachlarzem.

- Jesteś zdecydowanie zbyt niesforny jak na takie eleganckie towarzystwo, drogi lordzie.

- Przestań mnie tak nazywać - powiedział, marszcząc brwi. - To słowo wciąż mnie drażni.

- Cóż, będziesz się musiał przyzwyczaić, jeśli planujesz spędzić jakiś czas w Anglii.

- Nie byłoby nas tutaj, gdybyś nie spodziewała się dziecka. - Zerknął na jej zaokrąglony brzuszek, ledwie ukryty pod kostiumem, i wyraz jego twarzy stał się łagodniejszy. - Widziałem poród Molly i nie będę ryzykował.

- To nie jedyny powód, dla którego tutaj jesteśmy, i dobrze o tym wiesz - powiedziała cicho. Chciałś także zobaczyć, jak wyglądałoby twoje życie, gdyby nie Elias Horn, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Może.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdążyła się odezwać, podszedł do nich jej przyrodni brat. Również został zaproszony przez markiza i jego żonę na przyjęcie w posiadłości Derbyshire, ku rozczarowaniu Gideona.

Jak było do przewidzenia, Jordan nie zadał sobie trudu, żeby znaleźć kostium, lecz jak wielu innych mężczyzn założył czarną maskę na twarz.

- I jak się miewa przyszała mama? Nie możesz się przemęczać. Nie chcę, aby narodziny mojego siostrzeńca stanowiły powód do jakichkolwiek spekulacji.

Gideon położył rękę między łopatkami Sary w opiekuńczym geście, który tak dobrze znała.

- Chcesz powiedzieć, że jestem typem człowieka, który pozwala swojej żonie się przemęczać?

- Skoro tak sądzisz...

- Zachowujcie się, obaj - upomniała ich. - Daję słowo, że zachowujecie się jak dwójka uczniów bijących się o półpensówkę, ilekroć się spotykacie.

- Och, jesteś zdecydowanie więcej warta niż półpensówka - odparł Jordan. Zanim Gideon zdążył cokolwiek powiedzieć, dodał: - Ale nie przyszedłem tutaj, żeby cię denerwować, kruszyno. Chciałem cię tylko poinformować, że wyjeżdżam.

- I dobrze - mruknął pod nosem Gideon.

Zdzieliła go wachlarzem i zwróciła się do brata.

- Co to znaczy, że wyjeżdżasz? Sądziłam, że przyjechałeś na cały tydzień!

- Nie chodzi mi o to, że wracam do Londynu. Po prostu na jakiś czas opuszczam bal. Znalazłem kogoś, kto chce, abym zabrał... ją do domu.

- Ją? - powiedziała Sara zaciekawiona. - Sądziłam, że poza lordem i lady Dryden nie znasz nikogo w Derbyshire.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

- Bo nie znam. Ale kiedy intrygująca wdowa prosi mnie, abym zabrał ją do domu, zawsze się zgadzam.

- Ależ, Jordanie...

- Co na to poradzę, że kobiety uważają, iż jestem zabójczy? - Skinął ku Gideonowi głową. - Przynajmniej nie jestem podobny do twojego męża i nie porywam jej wbrew jej woli.

Gideon spojrział na niego gniewnie.

- Słuchaj no, Blackmore, mam już dosyć...

- Cicho, Gideonie. Nie widzisz, że on próbuje wyprowadzić cię z równowagi? - Sara rzuciła bratu surowe spojrzenie. - A jeśli ty nie przestaniesz się tak zachowywać, wrócę na Atlantyde, zanim dziecko się urodzi, i nie zobaczysz go przez rok.

Jordan przyglądał się jej podejrzliwie.

- Lady Dryden chce tak bardzo zobaczyć narodziny wnuka, że nie pozwoli ci na to.

- Zabiorę ją i lorda z nami. Bardzo pragną wrócić na wyspę, od czasu swojej pierwszej wizyty dwa tygodnie po naszym ślubie.

Nie musiała mówić, iż Gideon nigdy nie pozwoliłby jej podróżować statkiem tuż przed narodzeniem dziecka.

- Dobrze, spróbuję być uprzejmy. - Obejrzał się przez ramię w kierunku drzwi, gdzie stała młoda

dama odziana w czarną krepę. - Dziś wieczorem mogę być uprzejmy dla każdego, pod warunkiem że będę mógł odwiedzić do domu tę piękność. - Nachylając się nad Sarą, szepnął: - Dobranoc, kruszyno, nie czekaj na mnie. - Potem odwrócił się i żwawym krokiem poszedł do młodej kobiety.

Ledwie się oddalił, Gideon wybuchł śmiechem.

- Co jest takie zabawne? - spytała Sara.

- Twój brat, kochanie, całkowicie na opak zrozumiał zamiary tej piękności, chyba że ja się myślę. Dostanie bardzo zasłużoną nauczkę.

Sara patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Jego oczy błyszczały z rozbawienia.

- Poznałem tę młodą damę wcześniej. Wiesz, kim ona jest? Córką proboszcza, a nie wesołą wdówką. Jest w żałobie po matce, nie po mężu. Przyszła tutaj z kuzynem, który był ubrany podobnie do twojego brata, i założę się, że kiedy poprosiła, by odwiedzić ją do domu, była przekonana, iż mówi do kuzyna.

- A niech to! - zawołała Sara i ruszyła za Jordaniem.

Ale Gideon chwycił ją za ramię.

- Ani się waż. Zasłużył sobie na odrobinę upokorzenia, nie sądzisz?

Zawahała się, patrząc, jak brat wziął uroczą młodą damę pod ramię i wyprowadził z sali.

Pociągnęła Gideona na balkon, żeby zobaczyć, co się stanie. Zmrużyła oczy, gdy zobaczyła, że Jordan pomaga kobiecie wsiąść do powozu Blackmore'ów. Córką proboszcza? Urocza, naiwna córka proboszcza?

Zaczęła się uśmiechać.

- Może córka proboszcza jest właśnie taką kobietą, jakiej mój brat potrzebuje.

- Mówimy o tym samym mężczyźnie? Hrabim Blackmore, którego sama nazwałaś rozpustnikiem? Który żeni się z córką proboszcza?

- Tak, ale najwyraźniej nie masz aż tak wybujałej wyobraźni. - Odwróciła się i spojrzała na niego czule. - Rok temu nie przyszłoby ci do głowy, że Barnaby będzie szczęśliwy w małżeństwie z prostytutką taką jak Queenie i z niecierpliwością będzie oczekiwał ich pierwszego dziecka. Albo że zrzędlawy stary Silas będzie zdolny do spółnienia bliźniaków i zarządzania wyspą podczas twojej nieobecności. Albo nawet że ty sam ożenisz się z przyrodnią siostrą hrabiego. Nie wyobrażałeś sobie tego wszystkiego, prawda?

- Nie. - Uśmiechnął się od niechcienia. - Dobrze, wygrałaś. Podejrzewam, że skoro żądny krwi pirat mógł znaleźć sobie porządną kobietę, twój brat także może. - Bez ostrzeżenia przyciągnął ją do siebie i pocałował tak namiętnie, że zakreśliło jej się w głowie. Kiedy się odsunął, w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Ale jeśli miałbym oceniać po kilku minutach rozmowy z tą córką proboszcza, to sądzę, że twojego brata czeka ostra walka.

Uśmiechnęła się powoli i objęła go.

- Tym lepiej. Zawsze mówiłam, że najlepsi ludzie to tacy, o których warto walczyć.

